

Douglas Adams

Łosoś zwątpienia

Autostopem przez Galaktykę po raz ostatni

Przełożył Paweł Wiczorek

Tytuł oryginału The Salmon of Doubt

*Dla Polly*

Literatura irlandzka jest jedną z najstarszych w Europie. Jej tradycja ustna sięga czasów przedchrześcijańskich, w formie pisanej rozwinęła się niebawem po VI wieku, kiedy dostosowano alfabet łaciński do języka irlandzkiego. Jednym z najslawniejszych zbiorów irlandzkich legend jest pochodzący z XII wieku tak zwany cykl feniański, opisujący losy Finna i jego towarzyszy broni. Istnieje wiele wersji poszczególnych legend, niekiedy szczegóły są sprzeczne, uznajmy jednak, że wszystko odbyło się mniej więcej tak:

Demne był synem dowódcy Fenian, Cumhaila Mac Artha, który – nim żona zdążyła powić mu syna – zginął w bitwie z ręki Goala Mac Morna, wodza rywalizującego klanu. Z obawy o życie nowo narodzonego potomka, matka posłała go do swoich najbliższych przyjaciółek – wojowniczkę Fiachel i druidki Bodbal – które ukryły dziecko w ostępach irlandzkich lasów, by po latach nauczyć je wszystkiego, co konieczne do pomszczenia ojca. Edukację rozpoczął od nauki polowania. Gdy tak dobrze biegał, że złapał i przyniósł dzikiego jelenia, kobiety uznały, iż nadszedł czas uczyć go sztuki wojennej.

Zdobywszy wszystkie potrzebne umiejętności, Demne wyruszył w drogę. Spotkał wkrótce grupę młodzieńców, grających w hurling (przypominający nieco hokej na trawie, tradycyjny irlandzki sport narodowy, przy czym piłkę można zarówno wbijać do bramki uderzeniami kija, jak i donosić ją do niej na jego płaskim zakończeniu. Sport ten wymaga ogromnej sprawności fizycznej, siły i odwagi). Przez kilka kolejnych dni wygrywał, grając jedną ręką – najpierw stając przeciwko jednej czwartej grupy, potem przeciwko połowie, na koniec walcząc ze wszystkimi. Pokonani poskarżyli się swojemu wodzowi i za jego radą zaczęli się szykować do zabicia Demne'a. Zaatakowali go w wodzie, Demne jednak nie tylko uszedł z życiem, ale utopił kilku napastników.

Po tej przygodzie chłopiec wyruszył w dalszą wędrówkę. Zaciągał się na służbę u kilku królów, ale wszyscy – ze strachu przed zemstą Mac Morna – kiedy tylko się dowiadywali, kim jest, odprawiali go.

Nie mogąc uniknąć prześladowań ze strony wrogów ojca, Demne postanowił zostać poetą. Poeci mieli w celtyckim społeczeństwie tak wysoką pozycję, że przynależność do tej grupy uchroniłaby go przed niebezpieczeństwem. Wędrował przez Irlandię, aż niedaleko rzeki Boyne spotkał starego poetę Finnesa, który zgodził się udzielać mu nauk. Demne pozostał u mistrza przez siedem lat.

W rzece Boyne żył magiczny łosoś, który zjadał orzechy z leszczyny, a był znany jako Łosoś Wiedzy. Pewien druid przepowiedział, że kto pierwszy skosztuje jego magicznego mięsa, posiadzie wszechwiedzę o wszystkim. Po wielu latach obserwowania łososa Finnesowi udało się go złapać (inne wersje legendy twierdzą, że to Demne złowił łososa) i kazał swojemu uczniowi go upiec, ostrzegając oczywiście, że nie wolno mu zjeść ani kawałka ryby.

Choć Demne był dobrym myśliwym i wojownikiem, dotknął łososa przy pieczeniu, aby przebić

powstały pod skórą pęcherz i oparzył sobie kciuk. Zaczął ssać palec, posmakował łososia i tym sposobem zdobył posiadaną przez niego mądrość. Powiedział oczywiście mistrzowi Finnecesowi, co się stało, a ten uznał, iż to nie jemu, lecz jego uczniowi było przeznaczone zjeść rybę i zmienił Demnemu imię na „Finn”. Młodzieniec, znany od tej chwili jako Finn Mac Cumhail, zebrał stu pięćdziesięciu najlepszych oraz najodważniejszych Fenian i starł się z Goalem Mac Mornem. Bitwa była długa, trwała wiele dni, w końcu jednak Fenianie wzięli górę, a Goal Mac Mora zginął od miecza Finna.

Fenianie uczestniczyli potem w licznych wielkich bitwach i zarówno oni sami, jak i ich wódz Finn Mac Cumhail stali się postaciami, bez których nie byłoby irlandzkiej historii. Przekaz mówi, że nie widziano ludzi odważniejszych i lepszych w bitwie od Fenian, a nikt nie mógł się równać z Finnem Mac Cumhailem, gdy chodziło o posługiwanie się magią, kunsztem poetyckim oraz wiedzą.

Paweł Wieczorek

Poznałem Douglasa Adamsa w 1990 roku. Wkrótce po tym, jak mianowano mnie w Harmony Books jego redaktorem, poleciałem do Londynu na poszukiwania spóźnionej od dawna piątej powieści cyklu *Autostopem – W zasadzie niegroźna*. Ledwie zadzwoniłem do drzwi rezydencji Adamsa w Islington, długimi schodami zaczął do mnie zbiegać wielki, tryskający energią mężczyzna, gorąco mnie powitał i rzucił we mnie garścią kartek. „Zobaczmy, co o tym sądzisz” – rzucił przez ramię, biegnąc z powrotem na górę. Godzinę później wrócił z nowymi kartkami w dłoni, czekając z niecierpliwością na moją opinię w sprawie pierwszej partii. Tak minęło całe popołudnie – okresy spokojnego czytania przerywały kolejne podskoki na schodach, następna rozmowa i nowe strony. Jak się okazało, był to ulubiony sposób pracy Douglasa Adamsa.

We wrześniu 2001 roku, cztery miesiące po tragicznej, nieoczekiwanej śmierci Douglasa, zadzwonił do mnie jego agent, Ed Victor. Poinformował mnie, że przyjaciel zachował zawartość licznych ukochanych macintoshy Douglasa i spytał, czy byłbym zainteresowany przeczesaniem plików oraz sprawdzeniem, czy kryją się w nich materiały na książkę. Kilka dni później dostarczono mi kopertę. Pchany ciekawością rozerwałem ją.

Najpierw pomyślałem, że przyjaciel Douglasa, Chris Ogle, podjął się herkulesowego zadania – jak się okazało, było to zgodne z prawdą. Płyta CD, na której zebrane zostały zapiski Douglasa, zawierała 2579 plików – od wielkich, obejmujących całe książki, po listy na rzecz jego ulubionej akcji charytatywnej „Save the Rhino” (Chrońcie Nosorożce). Liczne fascynujące zbiory pozwalały rzucić okiem na dziesiątki częściowo uwarzonych pomysłów na książki, filmy i programy telewizyjne – jedne miały długość zdania czy dwóch, inne obejmowały po kilka stron. Dochodziły do tego szkice przemówień, teksty pisane przez Douglasa do jego strony internetowej, wstępy licznych książek i informacje wprowadzające, dotyczące różnych wydarzeń, także rozmyślenia o sprawach bliskich sercu autora: muzyce, technice, nauce, zagrożonych gatunkach, podróżach i whisky single-malt (wymieniając jedynie kilka). Na koniec znalazłem dziesiątki wersji nowej powieści, z którą Douglas się zmagał przez większą część minionego dziesięciolecia. Poukładanie wszystkiego, tak aby dotrzeć do materiału, nad którym pracował – znajduje się on w trzeciej części niniejszej książki – okazało się dla mnie największym wyzwaniem. Choć sformułowanie takie może sugerować, iż zadanie było trudne, nie jest to prawdą. Ledwie pojawiało się jakiegokolwiek pytanie, odpowiedź natychmiast sama się pojawiała.

Pomyślana jako trzecia część cyklu z Dirkiem Gentlym, powstająca powieść Douglasa rozpoczęła swój żywot pod tytułem *A Spoon Too Short*” (O łyżkę za blisko) i tak była określana w jego archiwum do sierpnia 1993 roku. Od tego momentu zaczyna być mowa o powieści jako o *Łososiu zwątpienia*, a materiały dzielą się na trzy grupy. Licząc od najstarszych do najnowszych, noszą nazwy: *Stary łosoś*, *Łosoś zwątpienia* i *LA/Nosorożec/Posiadłość Rantingów*. Czytając różne wersje, postanowiłem, że najlepiej przysłuży się Douglasowi połączenie w całość najlepszego materiału – niezależnie od tego, kiedy został napisany (podobnie bym zaproponował, gdyby żył). Tak więc ze *Starego łososia* wzięłem to, co tworzy obecny pierwszy rozdział – akcję na DaveLandzie. Kolejnych sześć rozdziałów pochodzi w całości z drugiej – najdłuższej – ciągłej wersji, czyli

*Łososia zwątpienia*. Następnie, starając się zachować ciągłość wątków, wstawiłem dwa z trzech najnowszych rozdziałów – z *LA/Nosorożca/Posiadłości Rantingów* (które stały się rozdziałami 8. i 9.). Rozdział 10. to powrót do ostatniego rozdziału *Łososia zwątpienia*, a całość kończy najnowszy tekst Douglasa z *LA/Nosorożca/Posiadłości Rantingów*. Aby dać czytelnikowi wrażenie, co Douglas planował w dalszej części powieści, zaczynam wszystko od jego faksu do londyńskiej redaktorki, Sue Freestone, która ściśle z nim współpracowała od pierwszej książki, jaką napisał.

Zainspirowany czytaniem zawartych na płycie CD skarbów, pozostawionych przez Adamsa, pozyskałem do szerszego zarzucenia sieci bezcenną pomoc jego osobistej asystentki, Sophie Astin. Czy istnieją kolejne klejnoty, które moglibyśmy zawrzeć w książce, mającej być hołdem dla Douglasa? Okazało się, że w trakcie nieurodzajnych okresów między kolejnymi książkami oraz wielkimi projektami multimedialnymi, Douglas pisywał artykuły dla gazet i czasopism. Wraz z tekstami z płyty CD stworzyły one wspaniały zbiór materiałów, z których mogła urodzić się niniejsza książka.

Następnym zadaniem była selekcja, dokonana bez krztyny obiektywizmu. Swoje ulubione kawałki zaproponowali Sophie Austin, Ed Victor i wdowa po Douglasie, Jane Belson, niezależnie sam wybierałem te, które mi się najbardziej podobały. Gdy przyjaciel i wspólnik Douglasa, Robbie Stamp zaproponował, żeby książka odpowiadała strukturą stronie internetowej pisarza (życie, wszechświat i cała reszta), wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Ku memu zachwytowi, wachlarz dzieł zebranych objął całą drogę, jaką Douglas Adams przebył w trakcie zbyt krótkiego, ale zadziwiająco bogatego twórczo życia.

Moja ostatnia wizyta u Douglasa miała miejsce w Kalifornii. Naszą popołudniową przechadzkę po zimowej plaży w Santa Barbara przerywały wyścigi z jego sześciolletnią córką, Polly. Nigdy przedtem nie widziałem go tak szczęśliwego i nawet przez myśl mi nie przeszło, że będzie to nasz ostatni wspólnie spędzony czas. Od dnia jego śmierci wspominam Douglasa z zadziwiającą częstotliwością, co jest najwyraźniej doświadczeniem wielu bliskich mu ludzi. Blisko rok po śmierci jego obecność jest w dalszym ciągu nadzwyczaj silna i nie mogę pozbyć się myśli, że przyłożył rękę do zdumiewająco łatwego powstania niniejszej książki. Wiem, że bardzo chciałby, aby się Wam podobała i mam nadzieję, że tak będzie.

Peter Guzzardi

Chapel Hill, Karolina Północna

12 lutego 2002 roku

W 1979 roku, niedługo po opublikowaniu *Autostopem przez Galaktykę*, Douglas Adams został zaproszony do podpisywania swojej książki w niewielkiej księgarni w Soho, specjalizującej się w literaturze science fiction. Kiedy jechał na miejsce, drogę zagroziła mu jakaś demonstracja. „Zrobił się korek uliczny, a wszędzie były tłumy” – wspomina. Dopiero przebiwszy się do sklepu, zrozumiał, że tłum zjawił się z jego powodu. Następnego dnia zadzwonił jego wydawca – z informacją, że jest na pierwszym miejscu bestsellerów londyńskiego niedzielного „Timesa”. Jego życie zmieniło się na zawsze. „To było jak wycieczka helikopterem na szczyt Mount Everestu – mówi Adams. – Albo jak orgazm bez gry wstępnej”.

*Autostopem* już było wtedy kultową audycją radiową, później zostało przerobione na wersję telewizyjną i teatralną. Rozrosło się o cztery dalsze książki i sprzedano na całym świecie w czternastu milionach egzemplarzy. Stworzono z tego materiału płyty i gry komputerowe, a obecnie – po dwudziestu latach hollywoodzkiego lawirowania – jest tak blisko, jak zawsze, przemiany w film.

Cała historia zaczyna się na Ziemi, gdzie spotykamy łagodnych manier mieszkańca przedmieści, Artura Denta, który próbuje powstrzymać zarząd gminy przed zniszczeniem jego domu, na miejscu którego ma zostać zbudowana trasa szybkiego ruchu. Ford Prefect – niektórzy widzieli w nim Wergiliusza, oczywiście przy założeniu, że Dent to Dante – okazuje się mieszkańcem planety położonej niedaleko Betelgeuse i informuje Artura, że Ziemia ma zostać wyburzona, aby zrobić miejsce na hiperprzestrzenną trasę szybkiego ruchu. Zabierają się autostopem na statek kosmiczny Vogonów oraz zaczynają wykorzystywać przewodnik pod tytułem *Autostopem przez Galaktykę* – niezwykle rzetelne źródło wszelkiej wiedzy o życiu, wszechświecie i całej reszcie.

Kreatywność i specyficzny, międzygalaktyczny humor Adamsa wywarł wielki wpływ na kulturę. Powiedzenie „autostopem przez galaktykę” szybko weszło do mowy potocznej, powstały także liczne literackie i telewizyjne parodie, naśladujące pomysły Adamsa. Nazwa jego ryby Babel – maleńkiej rybki, którą można sobie włożyć do ucha, aby tłumaczyła każdy istniejący we wszechświecie język – została wykorzystana jako nazwa maszyny tłumaczącej, stosowanej w wyszukiwarkach internetowych\*. Po swoim sukcesie Adams napisał kilka dalszych powieści i przygotował szereg programów telewizyjnych, także książkę i płytę CD o zagrożonych gatunkach. Założył firmę internetową H2G2, która niedawno podjęła pomysł, aby domknąć sprawę, oferując usługi polegające na udzielaniu przez telefon komórkowy rzetelnych informacji dotyczących życia, wszechświata i całej reszty.

Wygląda na to, że sporą część majątku Adams wydawał, realizując pasje techniczne, nigdy jednak nie był jajogłowym miłośnikiem science fiction. Był rozluźniony, towarzyski i miał solidną, dwumetrową konstrukcję. Tak naprawdę roztaczał wokół siebie ducha angielskich uczniów szkół publicznych, którzy w latach siedemdziesiątych stali się gwiazdoram rocka – raz, w Earls Court, grał na scenie razem ze swoimi kumplami, czyli Pink Floyd. W przemiły, charakterystyczny sposób, zamiast wyciągnąć z portfela zdjęcie córki, otwiera laptopa o mogącej zrobić wrażenie mocy, na

którym – po krótkim stukaniu w klawisze – pojawiła się w imitacji popowego wideoklipu Polly Adams, lat pięć, zapowiadająca kilkunastosekundowy występ kolejnego kumpla – Johna Cleese’a.

Takie więc stało się jego życie: pełne pieniędzy, doborowych przyjaciół i przyjemnych zabawek. Biorąc pod uwagę nagie fakty z życiorysu – szkołę z internatem, Cambridge Footlights\* i BBC – na pierwszy rzut oka nie ma w tym nic zaskakującego, jego życiowa podróż nie była jednak pozbawioną zakrętów przejażdżką utartymi szlakami, którymi porusza się establishment.

Douglas Noel Adams urodził się w 1952 roku w Cambridge. Jeden z licznych dowcipów, jakie miał na składzie, dotyczył tego, że był DNA w Cambridge dziewięć miesięcy przed dokonaniem sławnego odkrycia przed Cricka i Watsona. Jego matka, Janet, pracowała jako pielęgniarka w szpitalu imienia Addenbrooke’a, a ojciec, Christopher, był nauczycielem, następnie ukończył studia podyplomowe z teologii, został kuratorem sądowym, a na koniec konsultantem do spraw zarządzania, co zdaniem Adamsa było: „Bardzo, bardzo osobliwym posunięciem. Każdy, kto znał mojego ojca, wie, że zarządzanie nie było dziedziną, na której dobrze się znał”.

Rodzina „dość cienko przędła” i wyprowadziła się z Cambridge, kiedy Douglas miał pół roku, po czym pomieszkiwała w różnych domach na obrzeżach Wschodniego Londynu. Kiedy Adams miał pięć lat, rodzice się rozwiedli. „Zadziwiające, w jakim stopniu dzieci traktują swe życie jako normalne – mówi. – Choć oczywiście nie było łatwo. Rodzice rozwiedli się w czasie, kiedy nie było to tak powszechne jak dziś, a jeśli mam być szczery, niewiele pamiętam z tego, co działo się przed moim piątym rokiem życia. Jakkolwiek by na to patrzeć, nie sądzę, aby był to wspólny okres”.

Po rozejściu się rodziców Douglas, młodsza siostra i matka wyjechali do Brentford w hrabstwie Essex, gdzie matka prowadziła hostel dla chorych zwierząt. Stosunkowo zamożnego ojca widywał wówczas w weekendy; spotkania te powodowały jednak u niego dezorientację i napięcie. Dodatkowo komplikował sprawy fakt, że po ponownym zawarciu przez rodziców związków małżeńskich pojawiło się kilkoro przybranych braci i sióstr. Adams stwierdził kiedyś, że choć na jednym poziomie przyjmował to wszystko jako normalne, „w sumie zachowywał się dziwnie” i pamięta, że był rozedrganym, nieco cudacznym dzieckiem. Przez jakiś czas nauczyciele sądzili, iż jest poniżej poziomu wystarczającego do rozpoczęcia nauki szkolnej. Gdy jednak poszedł do dotowanej przez państwo Brentwood Prep School, uważano go za niezwykle bystrego.

Szkoła ta szczyli się godną uwagi listą powojennych absolwentów: przed Douglasem byli tam projektant mody Hardy Amies, zhańbiony historyk David Irving, prezenter telewizyjny Noel Edmonds, minister spraw wewnętrznych Jack Straw i wydawca londyńskiego „Timesa” Peter Stothard, a aktorzy komediowi Griff Rhys Jones i Keith Allen – kilka lat po nim. W obecnej Izbie Gmin jest czterech absolwentów – dwóch laburzystowskich i dwóch konserwatywnych. Choć w świetle wizerunku twardziela, na jakiego kreuje się Keith Allen\*, wydaje się to niezbyt na miejscu, właśnie Adams pomagał siedmioletniemu Allenowi w nauce gry na pianinie.

Kiedy Adams miał trzynaście lat, matka wyszła ponownie za mąż i przeprowadzili się do Gorset, a on przestał być w szkole „dziennym chłopcem” – zamieszkał w internacie. Wszystko wskazuje, że było to dla niego niezwykle korzystne doświadczenie. „Gdy wychodziłem ze szkoły o czwartej po południu, zawsze ze sporą zazdrością przyglądałem się temu, co robią mieszkańcy internatu – wspomina. – Sprawiali wrażenie, że się dobrze bawią i muszę przyznać, iż późniejsze mieszkanie

w internacie bardzo mi się podobało. Jest we mnie coś, co lubi sobie naiwnie wyobrazić, jak indywidualistyczną i buntowniczą mam naturę, bliższe prawdy jest jednak, że lubię mieć wokół siebie miłą i przytulną instytucję, o którą mogę się nieco pocierać. Nie ma nic lepszego od drobnych ograniczeń, w które da się wygodnie kopać”.

Adams twierdzi, że uczyło go kilku „bardzo dobrych, oddanych, gorliwych i charyzmatycznych ludzi”. Na niedawnym londyńskim przyjęciu stał się z Jackiem Strawem\* na temat oczywistej niechęci Nowej Partii Pracy do bezpośrednio dotowanych szkół – argumentując, że żadnemu z nich zbytnio nie zaszkodziła.

Dyrektorem szkoły był Frank Halford, pamiętający Adamsa jako Już wtedy bardzo wysokiego i popularnego. Zaraz po tym, jak w telewizji zaczęto nadawać *Doktora Who*, napisał na koniec semestru sztukę, którą nazwał *Doctor Witch*. Wiele lat później Adams pisał scenariusze do odcinków serialu *Doktor Who*. Określał Halforda jako inspirującego nauczyciela, który bardzo mu pomógł. „Raz dał mi dziesięć punktów na dziesięć możliwych za opowiadanie, a w czasie swojej długiej kariery nauczycielskiej zrobił to tylko raz. Nawet dziś, kiedy moją pisarską duszę ogarnia ciemna noc i uważam, że już nigdy nic nie napiszę, sięgam myślą nie po fakt, że napisałem kilka bestsellerów albo że dostawałem duże zaliczki – pomaga mi pamięć tego, że Frank Halford dał mi kiedyś dziesięć punktów na dziesięć możliwych, więc na jakimś fundamentalnym poziomie na pewno jestem w stanie pisać”.

Wszystko wskazuje na to, że Adams od początku miał łatwość zamiany tego, co napisał na gotówkę. Sprzedał komiksowi „Eagle” kilka krótkich, „o długości mniej więcej haiku”, opowiadań i dostał za nie dziesięć szylingów. „W tamtych czasach za dziesięć szylingów można było praktycznie kupić jacht” – śmiał się. Jego prawdziwym zainteresowaniem była jednak muzyka. Nauczył się grać na gitarze, nuta po nucie kopiując z jednej z pierwszych płyt Paula Simona zawile schematy szarpania strun palcami. Był właścicielem bogatej kolekcji elektrycznych gitar dla leworęcznych, przyznawał jednak, że pozostał „w głębi serca folkowcem. Nawet występując z Pink Floydami, zagrałem bardzo prostą figurację gitarową z *Brain Damage*, w której szarpie się pojedyncze struny palcami”.

Adams dorastał w latach sześćdziesiątych i Beatlesi „zasiali w mojej głowie ziarno, które doprowadziło ją do eksplozji. Co dziewięć miesięcy pojawiała się nowa płyta, stanowiąca trzęsienie ziemi w stosunku do poziomu, na jakim znajdowali się przy poprzedniej. Mieliśmy na ich punkcie taką obsesję, że kiedy wyszła *Penny Lane*, a żaden z nas nie słyszał piosenki w radiu, biliśmy chłopaka, który ją słyszał, aż zanucił nam melodię. Ludzie pytają teraz, czy Oasis są tak dobrzy jak Beatlesi. Nie sądzę, by byli nawet tak dobrzy jak Rutles\*”.

Kolejną grupą, która wywarła na niego kluczowy wpływ, był Monty Python. Jak każdy słuchał brytyjskich komedii radiowych „głównego nurtu” z lat pięćdziesiątych i odkrycie, że bycie śmiesznym może być sposobem wyrażania się inteligentnych ludzi – „równocześnie będąc bardzo, bardzo głupim” – określa jako „objawienie”.

Logicznym, następnym krokiem było pójście na uniwersytet w Cambridge, „ponieważ chciałem zostać członkiem Footlights. Tak jak Python chciałem zostać piszącym aktorem. W rzeczywistości chciałem być Johnem Cleese’em i nieco czasu zajęło mi zrozumienie, że stanowisko jest zajęte”.



Na uniwersytecie szybko porzucił granie – „po prostu nie byłem wiarygodny” – i zaczął pisać własne skecze w stylu Monty Pythona. Pamięta kilka: jeden o pracowniku kolei, który dostał naganę za to, że w celu udowodnienia pewnej kwestii egzystencjalnej pozostawił w całym południowym regionie otwarte wszystkie zwrotnice, drugi o trudnościach przy organizacji dorocznego zgromadzenia generalnego Towarzystwa Paranoi Crawley.

Menedżerka sztuki Mary Allen, znana z pracy w Radzie Sztuki i Operze Królewskiej, studiowała równolegle z Adamsem i pozostała jego przyjaciółką. Wykonywała jego utwory i pamięta go jako „osobę, którą zawsze dało się zauważyć nawet w grupie bardzo utalentowanych ludzi. Materiały Douglasa były niezwykle i charakterystyczne, wykonawca musiał do nich pasować, a one musiały pasować do wykonawcy. Nawet w krótkich skeczach tworzył przedziwne światy”.

„Miałem lekkie poczucie winy z powodu studiowania literatury angielskiej – mówi Adams. – Sądziłem, że powinienem robić coś użytecznego i wymagającego, ale choć marudziłem, zachwycała mnie możliwość nieprzepracowywania się”. Nawet jego eseje były pełne żartów. „Gdybym wiedział wtedy to, co wiem teraz, studiowałbym biologię albo zoologię. W owym czasie nie miałem pojęcia, że to bardzo ciekawe dziedziny, teraz jednak uważam, że zajmują się najciekawszymi na świecie tematami”.

Do osób, które studiowały równolegle z nim, należy prawnik i prezenter telewizyjny Clive Anderson, minister kultury Chris Smith był przewodniczącym związku studentów. Adams nieraz uczestniczył we wstępnych fazach debat politycznych, wcale jednak nie dlatego, że interesowała go polityka. „Szukałem wszelkich okazji do strojenia sobie żartów. To bardzo dziwne, dostrzegać obecnie tych ludzi rozrzuconych wszędzie w krajobrazie życia publicznego. Moi koledzy ze studiów zaczynają zdobywać nagrody za dorobek życiowy – bez dwóch zdań człowiek robi się przez to nerwowo”.

Po skończeniu studiów Adams uzyskał możliwość pracy z jednym ze swoich bohaterów. Kilka skeczów Footlights zrobiło wrażenie na członku Monty Pythona, Grahamie Chapmanie, który nawiązał z Douglasem kontakt. Gdy Adams poszedł na spotkanie, został – ku swemu zachwytowi – poproszony o pomoc przy pracy nad tekstem, który Chapman miał skończyć jeszcze tego samego popołudnia. „Skończyło się to mniej więcej roczną współpracą. Głównie nad planowanym serialem telewizyjnym, który nigdy nie wyszedł poza fazę odcinka pilotowego”. W owym czasie Chapman „wysączał codziennie kilka butelek ginu, co chyba trochę kolidowało z pracą”, Adams uważa jednak, że był niezwykle utalentowany. „Był naturalną częścią zespołu i potrzebował dyscypliny innych ludzi, która umożliwiała ukazanie jego błyskotliwości. Jego najmocniejszą stroną było wrzucanie do mieszanki elementu wywracającego wszystko do góry nogami”.

Po rozejściu się dróg Chapmana i Adamsa kariera tego drugiego zamarła. W dalszym ciągu pisał skecze, ledwie jednak zarabiał na życie. „Okazało się, że nie jestem szczególnie dobry w pisaniu skeczów. Nie umiałem tworzyć na zamówienie, nie bardzo leżały mi aktualne tematy, od czasu do czasu wyskakiwałem jednak z czymś wspinałym spoza głównego nurtu”.

Geoffrey Perkins, szef działu komedii w telewizji BBC, był producentem radiowej wersji *Autostopem*. Pamięta, że po raz pierwszy spotkał Adamsa reżyserującego przedstawienie Footlights. „Naskoczył na niego jeden z aktorów, po czym [Adams] wpadł na krzesło. Następnym razem

natknąłem się na niego, kiedy próbował pisać skecze do show radiowego „Weekending”, uważanego wtedy za teren treningowy dla pisarzy. Douglas był jednym z tych, którym z honorem nie udało się cokolwiek zdziałać dla „Weekending”. Program potrzebował ludzi umiejących napisać kawałek o długości poniżej pół minuty, a Douglas nie był w stanie napisać zdania trwającego mniej niż trzydzieści sekund”.

Ponieważ marzenie, aby zostać pisarzem, rozpadało się, Adams przyjął kilka przedziwnych posad – w tym czyściciela kurzych klatek i ochroniarza rządzącej rodziny Kataru. „Firma ochroniarska musiała być chyba zdesperowana. Dostałem robotę z ogłoszenia w »Evening Standard«, „. Na polecenie Adamsa przez jakiś czas tę samą pracę wykonywał Griff Rhys Jones. Douglas przypomina sobie, że podczas nocnych zmian oraz siedzenia przed hotelowymi sypialniami popadał w coraz głębsze przygnębienie. „Nie mogłem się pozbyć myśli, że nie tak miało mi się powieść”.

Pamięta, jak bardzo rodzina martwiła się tym, co robi i choć w dalszym ciągu od czasu do czasu posyłał do radia jakiś skecz, przyznaje, że jego wiara w siebie spadła do bardzo niskiego poziomu. Skłonność do małej wiary pozostała mu mimo późniejszego sukcesu życiowego i zamożności. „Mam straszne okresy zaniku wiary we własną wartość – mówi. – Po prostu przestaję wierzyć, że cokolwiek może mi się udać i żaden dowód nie jest mnie w stanie od tego odwieść. Przez krótki czas poddawałem się terapii, szybko doszedłem jednak do wniosku, że dzieje się ze mną to samo, co z narzekającym na pogodę rolnikiem. Nie da się naprawić pogody – trzeba się do niej dostosować”. Czy takie podejście mu pomogło? „Niekoniecznie” – mówi, wzruszając ramionami.

*Autostopem* było ostatnim rzutem kostką, choć patrząc retrospektywnie, moment został dobrany znakomicie. Dzięki *Gwiezdnym wojnom* science fiction zrobiło się modne, a Monty Python sprawił, że choć szkoda było myśleć o przedstawieniu złożonym ze skeczów, można było przemawiać do wrażliwości na ten sam rodzaj komizmu.

Członek »Monty Pythona, Terry Jones, słuchał taśm przed emisją i przypomina sobie, że uderzyło go „intelektualne podejście i niezwykle konceptualne pomysły” Adamsa. „Jak określiliby to Matthew Arnold\*, czuło się, że to, co pisze, ma źródło w krytycznym podejściu do życia. Jego teksty miały podstawę moralną oraz krytyczną, za którą krył się silny umysł. John Cleese ma na przykład potężny umysł, ale jest bardziej logiczny i analityczny – Douglas jest bardziej kapryśny i analityczny”. Geoffrey Perkins zgadza się z tym, choć jego zdaniem projekt w niewielkim stopniu opierał się na wzniosłej idei.

„Douglas zabrał się za sprawę, mając mnóstwo pomysłów, ale niewielkie pojęcie, jak całość ma wyglądać. Pisał w niemal dickensowski sposób, tworząc epizodyczne, cotygodniowe odcinki, nie mając w zasadzie wyobrażenia, jak wszystko się skończy”.

Adams twierdzi, że w chwili gdy program poszedł na antenę w 1978 roku, włożył weń mniej więcej dziewięć miesięcy solidnej pracy i otrzymał tysiąc funtów honorarium. „Wyglądało na to, że trochę potrwa, nim wyjdę na zero”, przyjął więc stanowisko realizatora w BBC. Zrezygnował z tej pracy po pół roku, kiedy okazało się, że równocześnie pisze drugi cykl odcinków dla radia, powieść, scenariusz do serialu telewizyjnego oraz odcinki *Doktora Who*. Mimo tak wielkiego obciążenia, już wtedy pracował na swą legendarną reputację człowieka, który nie pisze. „Uwielbiam nieprzekraczalne terminy – powiedział kiedyś. – Uwielbiam świst, jaki robią, kiedy mijają”.

Sukces jedynie nasilił jego umiejętność lawirowania. Redaktorka w wydawnictwie, Sue Freestone, szybko pojęła, że Adams traktuje pisanie jak przedstawienie, urządziła więc sobie biuro w jego jadalni. „On nieustannie potrzebuje widowni, żeby móc natychmiast poznać opinię na temat swoich pomysłów, czasami odnosi to jednak w dość niemiły sposób skutek odwrotny od zamierzonego. Kiedyś opowiadał scenę z początku książki, kiedy pojawiało się kilka tac, na których – jednoznacznie – leżało po jednym bananie. Było to bez najmniejszej wątpliwości ważne, poprosiłam o wyjaśnienie. Lubił drażnić się z widownią, stwierdził więc, że powie mi później. Kiedy doszliśmy do końca książki, zapytałam ponownie: »No dobra, Douglas – co z tymi bananami?« Popatrzył na mnie, nic nie rozumiejąc. Zapomniał o epizodzie z bananami. Do dziś od czasu do czasu pytam, czy go sobie przypomniał, najwyraźniej jednak nic nie pamięta”.

Pisarz i producent John Lloyd przyjaźnił się i współpracował z Adamsem jeszcze przed *Autostopem*. Pamięta „agonię niezdecydowania i panikę”, opadające Adama podczas pisania. „Gdy kończył książkę, byliśmy z trzema przyjaciółmi na wakacjach na Korfu i skończyło się na tym, że zaanektował dla siebie cały dom. Miał pokój do pisania, pokój do spania, pokój, gdzie siedł, gdy nie mógł pisać i tak dalej. Najwyraźniej nie docierało do niego, że inni też chcą się wyspać. Idzie przez życie z mózgiem wielkości planety i często wydaje się żyć na innej orbicie niż my. Nie ma w nim złośliwości, kiedy jednak znajdzie się w szponach paniki czy przerażenia i nie może skończyć książki, wszystko inne blednie i staje się nieważne”.

Choć wrywano mu teksty z gardła, okazały się niezwykle lubiane. Wszystkie jego książki stały się bestsellerami i dostał od amerykańskich wydawców ponad dwa miliony dolarów zaliczki. Razem z Johnem Lloydem napisał przekomiczny pseudosłownik *The Meaning of Liff*, w którym dotychczas nie nazwanym, a powszechnie znanym przedmiotom, stanom i sytuacjom – na przykład uczuciu, które ogarnia człowieka o czwartej po południu, kiedy nie zrobił tego, co należy – nadane zostały nazwy istniejących miast. Doskonałym określeniem tej lekkiej depresji okazało się Farnham. Pod koniec lat osiemdziesiątych napisał dwie powieści pseudodetektywistyczne, których głównym bohaterem jest Dirk Gently.

Sue Freestone zauważa, że mimo niezwyklej zdolności Adama do posługiwania się humorem, zawsze była pod wrażeniem, jak głęboko jego twórczość oddziałuje na niektórych czytelników. W „*Autostopem*”, jeżeli chcesz czuć się bezpiecznie, wystarczy, abyś miał ze sobą ręcznik – mówi. – Usłyszałam kiedyś o umierającej w hospicjum kobiecie, która uznała, że nic złego jej się nie stanie, bowiem zawsze ma przy sobie ręcznik. Włączyła wszechświat przedstawiany przez Adama w swój własny. Kiedy Douglas dowiedział się o tej sprawie, był niezwykle zażenowany, dla tej kobiety ręcznik stanowił jednak dosłowny symbol bezpieczeństwa podczas czekającej ją nieznaney podróży”.

W jego książkach przewija się szereg poważnych tematów. Druga część cyklu z Dirkiem Gentlym\* może bez trudu zostać odczytana jako powieść o wyobcowanych, bezdomnych ludziach wyrzuconych poza nawias. „Jego wyobrażenia wykracza daleko poza jego spryt – mówi Freestone. – Krytyka społeczna jest zazwyczaj ukryta pod płaszczykiem komedii, jeśli jednak chce się ją odnaleźć, staje się widoczna”.

Przeszedłszy chudy okres, Adams pracował nieustannie do połowy lat dziewięćdziesiątych, kiedy to bardzo świadomie przyhamował. „Kompletnie utknąłem w połowie powieści i choć brzmi to niewdzięcznie, konieczność podpisywania książki na dużą skalę wpędziłaby mnie w przepelnioną

wściekłością depresję”.

Twierdzi, że w dalszym ciągu uważa się za scenarzystę, a jedynie nieumyślnie odkrył w sobie powieściopisarza. „Brzmi to absurdalnie, ale jakaś część mnie poczuła się zdradzona, miałem też odczucie, jakbym oszukiwał. Dochodzi do tego cykl pieniężny. Zapłaciłeś wiele i nie jesteś szczęśliwy, więc w pierwszym rzędzie kupujesz rzeczy, których nie chcesz ani nie potrzebujesz – ale na które musisz mieć kolejne pieniądze”.

Przyznaje, że jego sprawy finansowe zagmatwały się w latach osiemdziesiątych. Nie chce mówić o szczegółach, zdradza jednak, że efekt domina był znaczący i wszyscy sądzili, że jest znacznie bogatszy, niż był w rzeczywistości. Zmiany w życiu Adamsa można prześledzić nawet między pierwszym a drugim cyklem radiowym; w pierwszym jest mnóstwo dowcipów o pubach i całkowitym braku pieniędzy, w drugim jest znacznie więcej żartów o drogich restauracjach i księgowych.

„Czułem się jak mysz w kołowrotku – mówi. – Wejście w ten cykl nie było przyjemne w żadnym stadium. Kiedy piszesz pierwszą książkę, mając dwadzieścia pięć lat albo coś koło tego, masz dwadzieścia pięć lat doświadczenia, jest to jednak doświadczenie młodzieńcze. Druga książka wychodzi po dodatkowym roku wysiadania w księgarniach. Dość szybko jesteś wyciśnięty jak gąbka”.

Jego reakcją na wyczerpywanie się paliwa była próba „kreatywnego płodozmianu”. Poszedł w kierunku wyznaczonym przez jego zainteresowanie techniką oraz rosnącą pasją dotyczącą zagadnień środowiskowych. W 1990 roku napisał książkę *Ostatnia okazja, by ujrzeć\**. „Jak z takimi rzeczami bywa, spośród moich książek ta właśnie odniosła najmniejszy sukces, z niej właśnie jestem jednak najbardziej dumny”.

Książka zaczęła się rodzić, kiedy Adams został wysłany przez pewne czasopismo na Madagaskar w celu odnalezienia rzadkiego gatunku lemura. Uznał, że może to być dość ciekawe, okazało się jednak rewelacją. Fascynacja ekologią doprowadziła go do zainteresowania ewolucją. „Dano mi nitkę do pociągnięcia, a podążanie za nią zaczęło otwierać przede mną zagadnienia, które szybko stały się przedmiotem ogromnej fascynacji”. Linki na dole jego e-maili kierują obecnie ludzi do Fundacji Dian Fossey, działającej na rzecz ratowania goryli oraz do organizacji Chrońcie Nosorożce. Adams był także sygnatariuszem „Great Ape Project” (Projekt Wielka Małpa), organizacji dążącej do zmiany moralnego statusu małp człekokształtnych i przyznania im prawa do „życia, wolności i uwolnienia od tortur”.

Był członkiem-założycielem zespołu, który rozpoczął działanie jako Comic Relief\*, nigdy jednak nie był umartwiający się aktywistą. Przyjęcia, jakie organizował w domu w Islington, uświetniali muzycznie legendarni gwiazdorzycy rocka (Gary Brooker z Procol Harum zaśpiewał kiedyś cały *A Whiter Shade of Pale* wraz ze wszystkimi usuniętymi wersami), bywali na nich arystokraci mediów oraz miliarderzy, którzy dorobili się majątku na najnowocześniejszych technologiach. Do nieco mniej ortodoksyjnych – jak na entuzjastycznego, niemal „ewangelicznego” ateistę – zwyczajów Adamsa należało także zamawianie w każde Boże Narodzenie kolędników.

„W dzieciństwie byłem praktykującym chrześcijaninem. Uwielbiałem szkolny chór i pamiętam, że

zawsze bardzo emocjonalnie odbierałem kolędowanie”. W panteonie tych, którzy wywarli na niego wpływ, obok Beatlesów i Monty Pythona umieszcza Bacha. Jak przystaje to jednak do jego namiętnego ateizmu? „Życie jest pełne spraw, które w ten czy inny sposób poruszają człowieka albo na niego wpływają – wyjaśnia, – Moja opinia, że Bach był pomyłką, nie zmienia oceny, że *Msza b-moll* jest jednym z największych osiągnięć ludzkości. Do dziś, gdy ją słucham, napływają mi łzy do oczu. Sprawę religii uważam za bardzo interesującą, zadziwia mnie jednak, że tak inteligentni w innych zakresach ludzie biorą ją na poważnie”.

Przywiązanie do tradycyjnych struktur – choć nie do tradycyjnych poglądów – objawia się w tym, że jego urodzona w 1994 roku córka Polly ma czworo „rodziców niechrzestnych”. Jednym z nich jest Mary Allen i to ona poznała Adamsa z jego obecną żoną, adwokat Jane Belson. „Na początku lat osiemdziesiątych Douglas przechodził pewien kryzys pisarski i codziennie do mnie dzwonił – mówi Allen. – W końcu spytałam go, czy jest samotny. Wyglądało, że jest, uznaliśmy więc, że potrzebuje kogoś, kto by z nim dzielił wielkie mieszkanie. Jane wprowadziła się”. Po kilku falstartach wzięli ślub w 1991 roku i mieszkali w Islington aż do zeszłego roku, gdy rodzina przeprowadziła się do Santa Barbara.

Adams zdradza, że przeprowadzka była trudniejsza, niż się spodziewał. „Dopiero niedawno zrozumiałem, jak przeciwna była jej moja żona”, dodaje jednak, że każdemu by polecił „w otchłaniach wieku średniego zebrać manatki i pojechać w inne miejsce. Wymyślasz swoje życie na nowo i zaczynasz od początku. To bardzo ożywcze”.

Jego rola w internetowej firmie pasuje do dążenia ku „ożyciu”. Stanowisko, które zajmuje, nazywa się „główny fantasta”. „Nigdy nie myślałem o sobie jako o przepowiadającym przyszłość pisarzu science fiction, nigdy nie chciałem zostać kimś w rodzaju Arthura C. Clarke’a. *Autostopem* było narracyjnym urządzeniem, mającym wchłonąć wszystkie pomysły odpryskujące iskrami od koła zamachowego, okazało się jednak bardzo dobrym narzędziem. Dzień wszakże jeszcze się nie skończył – ostrzega. – Cały czas znajdujemy się w basenie, a przed nami leży ocean”.

Innymi nowymi przedsięwzięciami są: powieść (spóźniona o osiem lat i coraz bardziej), rozmowy o filmie z Dirkiem Gentlym, strona internetowa H2G2 i powieść elektroniczna. „Od jakiegoś czasu mówię o nadejściu książek elektronicznych, które zdobędą znaczenie i nagle Stephen King wydaje swoją. Czuję się kompletnym idiotą – jakbym to ja powinien był to zrobić”.

Praca nad filmem to „dwadzieścia lat zatwardzenia”, a Adams porównuje hollywoodzki sposób działania do „próby ugrillowania steku poprzez wpuszczanie do pokoju kolejnych osób, które na niego chuchają”. Podchodzi zaskakująco entuzjastycznie do tej antycznej formy sztuki.

„W przypadku nowych, niedojrzałych technologii, istnieje niebezpieczeństwo, że zamiast myśleć o tym, co ma się do powiedzenia, człowiek podnieca się rozmyślaniami o tym, w jaki sposób je sprzedać. Z takiego powodu praca w tworzywie, przy którym nie trzeba rozwiązywać tego problemu, bo ma się do czynienia z dojrzałym środkiem przekazu, przynosi satysfakcję”.

Po tak długim okresie nieurodzaju zauważa mądrze, że wiele jego nowych projektów i pomysłów nie wypali, ale „przez kilka lat byłem poza głównym nurtem pisania powieści i naprawdę potrzebowałem przerwy. Rozmyślałem intensywnie i kreatywnie nad masą rzeczy nie mających

związku z pisaniem książek i mam obecnie wrażenie, że mój akumulator znów jest naładowany”.

**ŻYCIE NA JEDEN RZUT OKIEM:** Douglas Noel Adams.

**URODZONY:** 11 marca 1952 w Cambridge.

**WYKSZTAŁCENIE:** Brentwood School w Essex; St. John's College w Cambridge.

**MAŁŻEŃSTWO:** 1991 rok z Jane Belson (jedna córka – Polly – urodzona w 1994 roku).

**KARIERA:** 1974–78 scenarzysta radiowy i telewizyjny, 1978 realizator radiowy w BBC.

**NIEKTÓRE SCENARIUSZE:** *The Hitchhiker's Guide to the Galaxy* 1978 oraz 1980 radiowe, 1981 telewizyjne.

**GRY:** *The Hitchhiker's Guide to the Galaxy* (1984), *Bureaucracy* (1987), *Starship Titanic* (1997).

**KSIĄŻKI:** *Autostopem przez Galaktykę* (1979, wyd. pol. 1994); *Restauracja na końcu wszechświata* (1980, wyd. pol. 1994); *Życie, wszechświat i cała reszta* (1982, wyd. pol. 1995); *The Meaning of Liff* (1983, z Johnem Lloydem); *Cześć, i dzięki za ryby* (1984, wyd. pol. 1995); *Holistyczna agencja detektywistyczna Dirka Gently'ego* (1987, wyd. pol. 1995); *Długi mroczny podwieczorek dusz* (1988, wyd. pol. 1995); *Ostatnia okazja, by ujrzeć* (1990, wyd. pol. 1998); *The Deeper Meaning of Liff* (1990, z Johnem Lloydem); *W zasadzie niegroźna* (1992, wyd. pol. 1996).

Nicholas Wroe

Z: „The Guardian”,

sobota, 3 czerwca 2000

## Przedmowa

Jest to dla mnie bardzo douglasowa chwila. Chwile douglasowe z ogromnym prawdopodobieństwem są związane z:

- \* Komputerami Apple Macintosh
- \* Niemożliwymi do dotrzymania terminami
- \* Edem Victorem, agentem Douglasa
- \* Zagrożonymi gatunkami
- \* Przesadnie drogimi, pięciogwiazdkowymi hotelami.

Stukam na komputerze (macintoshu), walcząc z niemożliwym do dotrzymania terminem oddania tekstu, narzuconym mi przez Eda Victora. Czy mógłbym dostarczyć na najbliższy wtorek przedmowę do *Łososia zwątpienia!*

Siedzę w najbardziej oburzająco drogim hotelu w Peru – Miraflores Park Hotel w Limie – rozkoszuję się owiniętymi w celofan misami owoców i wraz z Louisem Roedererem przygotowuję się do wyjazdu na północ kraju, gdzie zamierzamy wytropić niedźwiedzie okularowe, jeden z najmniej znanych i równocześnie najbardziej zagrożonych gatunków ssaków na naszej planecie.

Ponieważ hotel jest drogi, w każdym pokoju ma łącze internetowe i właśnie skończyłem oglądać na komputerze dwugodzinny film, w którym Steve Jobs, dyrektor Apple'a, wygłaszał przemówienie otwierające Macintosh Expo w San Francisco. Imperator Komputerowego Spokoju właśnie zademonstrował nowego I-Maca, a nie byłem w stanie zadzwonić do Douglasa ani wysłać mu e-maila, by z nim o tym porozmawiać. Pojawił się rewolucyjnie nowy seksowny i niezwykły sprzęt Apple'a, a Douglas go nie zobaczy! Nie pobawi się I-Podem ani nie porozrabia w I-Photo. Dla każdego, kto znał Douglasa – a zawieram w tym miliony jego czytelników – nieszczęście i rozpacz tej sytuacji są oczywiste. Jest to straszne dla niego, ponieważ stracił okazję poznania Nowego Sprzętu i jest okropne dla nas, ponieważ Nowy Sprzęt nigdy nie zostanie uczczony przez uznanego Poetę Nowego Sprzętu.

Chcę wiedzieć, co myśleć. Chcę wiedzieć, jak wyglądają nowe maszyny – oczywiście, że mogę użyć własnych oczu i własnej wrażliwości, przyzwyczailem się jednak do znacznie lepszych opinii Douglasa. Zaraz znalazłby dokładny epitet, doskonałą metaforę, koronujące sprawę porównanie. Oczywiście nie tylko dotyczące Nowego Sprzętu. Znalazłby sposób skojarzenia nietypowo przemiłego zachowania i charakteru niedźwiedzi okularowych zarówno ze znanym zachowaniem



ludzkim, jak i abstrakcyjną myślą naukową. Spora część świata, w którym się poruszamy, widziana oczami Douglasa, stawała się lepiej rozumiała. Czyli – wielki zamęt i absurdalny brak jasności, panujące w naszym świecie, stawały się klarowniejsze. Nim Douglas wyjaśnił to w przystępny, paradoksalny i niewymuszony sposób, nie za bardzo wiedzieliśmy, jak pełen konfliktów i zwariowany jest wszechświat ani jak śmieszna i słaba na umyśle może być ludzka rasa. Przed chwilą byłem w łazience i zauważyłem, że oferowane tam mydło (ciasno zapakowane w kolisty kawałek absurdalnie niemożliwego do otwarcia, niezniszczalnego plastikowanego papieru, oferowanego gościom ku ich wygodzie), wcale nie nazywa się mydło: w rzeczywistości jest to Migdałowa Kostka do Twarzy. Kiedyś byłby – dziś coś absolutnie, kompletnie niemożliwego – natychmiastowy e-mail do Douglasa i e-mail zwrotny, który by sprawił, że przez pół godziny chichotałbym i tańczył po pokoju.

W smutnych tygodniach po jego szokującej i niesprawiedliwej śmierci każdy słyszał, jak dobrym autorem komicznych tekstów był Douglas, jakie miał szerokie zainteresowania i do jak szerokiego grona przemawiał. Ta książka pokazuje, jakim był nauczycielem. Tak samo jak zachody słońca zmieniły kolory i kształty od chwili, gdy zaczął na nie patrzeć Turner, tak samo – w wyniku przenikliwego i dociekliwego spojrzenia Douglasa – lemur i filiżanka herbaty już nigdy nie będą takie same.

Zostać poproszonym o napisanie wstępu do książki, zawierającej niezwykle błyskotliwy wstęp, napisany na temat wstępów do książek, to nie fair. Jeszcze bardziej nie fair jest zostać poproszonym o napisanie wstępu do pośmiertnego wydania prac jednego z najlepszych pisarzy komicznych naszej epoki – jeżeli książka, w którą ma się wprowadzić czytelnika, zawiera najlepszy możliwy wstęp do pośmiertnego wydania prac najlepszego komicznego pisarza wszechczasów: jak podkreślił to w czasie ceremonii pogrzebowej Douglasa w Londynie jego wydawca Ed Victor, przedmowa do *Sunset at Blandings* P. G. Wodehouse'a jest zadziwiająco dokładnym opisem talentów Douglasa. Oczywiście, nie ma najmniejszej wątpliwości, że kiedy ją pisał, nawet przez myśl mu to nie przeszło.

Douglas nie był straszliwie angielsko skromny, co nie znaczy, że był próżny albo chełpliwy, jego pasja do przekazywania swoich pomysłów i fascynacji łatwo jednak więziła człowieka przy telefonie, obiadowym stole albo w łazience, zmuszając do zapomnienia o reszcie towarzystwa i bożym świecie. Rozmowa z Douglasem – a nie sądzę, żebym go obrażał – umiała być *mano a marto, tete a tete*, wyczerpująca i dezorientująca dla kogoś, kto nie umiał nadążyć za namiętym skakaniem od myśli do myśli. Pisać w zagmatwany sposób umiał jednak nie lepiej, niż zrobić doskonały piruet; a uwierzcie mi – w historii świata istniało niewielu ludzi, którzy mieliby mniejszy talent do wykonywania piruetów bez niszczenia mebli i pozbawiania wszelkiej nadziei niewinnych gapiów niż Douglas Noel Adams.

Był pisarzem. Istnieją ludzie, piszący od czasu do czasu i robiący to dobrze oraz pisarze. Douglas – a nie ma sensu tego wyjaśniać ani poddawać dokładnej analizie – urodził się, dorastał i pozostał Pisarzem aż do przedwczesnego dnia śmierci. Przez ostatnie dziesięć lat życia przestał być powieściopisarzem, nawet jednak na sekundę nie przestał być pisarzem i *Łosoś zwątpienia* stanowi uczczenie tego właśnie faktu. Czy to w trakcie przygotowań do wykładów, podczas okazjonalnego wykonywania pracy dziennikarza, czy w artykułach do specjalistycznych publikacji naukowych lub technicznych, Douglasa nigdy nie opuściła wrodzona zdolność stawiania jednego słowa za drugim

w celu budzenia, zachwycania, wciągania, afirmowania, informowania lub rozśmieszania umysłów czytelników. Cechował go nieegoistyczny styl, w którym każdy trop i każda sztuczka, jakimi dysponuje pisarstwo, były używane tylko wtedy, gdy służyły celom całości. Uważam, że czytając tę książkę, będziesz zadziwiony pozorną (i kompletnie wprowadzającą w błąd) prostotą jego stylu. Będziesz miał wrażenie, że mówi do ciebie – niemal z głowy. Tak samo jednak jak w przypadku Wodehouse’a, lekkość i gładkość pracy jego autorskiego silnika były wynikiem nieustannej regulacji oraz dokręcania naoliwionych śrubek i uszczelek.

Z pewnymi rzadkimi artystami (w tym znów z Wodehouse’em) łączy Douglasa zdolność wywołania w czytelniku wrażenia, że zwraca się do niego i tylko do niego. Moim zdaniem tłumaczy to po części niezwykłą siłę i zapał jego „bazy fanów” (jeżeli wolno mi użyć tak odrażającego określenia). Weźmy przypadkowo cztery nazwiska (przypadkowe wybieranie nazwisk na użytek sporu zawsze zabiera mnóstwo czasu i wymaga wielkiego zastanowienia), to oglądając obrazy Velazqueza, słuchając muzyki Mozarta, czytając książki Dickensa czy śmiejąc się z Billy’ego Connolly’ego, ma się świadomość, że to co robią, robią dla świata i efekty są wspaniałe, jeśli jednak ogląda się Blake’a, słucha Bacha, czyta Douglasa Adamsa albo ogląda w akcji Eddiego Izzarda, ma się wrażenie, że prawdopodobnie jest się jedyną osobą na świecie, która naprawdę rozumie, o co im chodzi. Oczywiście, niemal wszyscy się nimi zachwycają, ale nikt nie „podłącza się” do nich tak jak ty. Pokuszę się o wysunięcie tego poglądu jako zarysu teorii. Bez dwóch zdań twórczość Douglasa nie jest sztuką przez duże „S” Bacha czy Blake’a, ale uważam, że mój pogląd da się obronić. To jak z zakochaniem – kiedy człowiekowi wpadnie w oko i spenetruje mózg szczególnie smaczny zwrot lub określenie Adamsa, ma się ochotę stuknąć w ramię najbliższego obcego człowieka i podzielić się z nim radością. Obcy może się roześmieje i spodobać mu się napisane słowa, ale i tak będziesz uważał, że nie rozumie ich siły i jakości tak dobrze jak ty – podobnie jak (dzięki Bogu) twoi przyjaciele nie zakochują się w osobie, o której im ciągle opowiadasz.

Jesteś na skraju wkroczenia do mądrego, prowokującego, życzliwego, komicznego i uzależniającego świata Douglasa Adamsa. Nie połykaj go w całości – potraktuj jak ulubioną potrawę Douglasa, która wygląda na lekką i łatwo przyswajalną, a jest znacznie subtelniejsza i pożywniejsza, niż wydaje się na pierwszy rzut oka.

W przypadku wielu niedawno zmarłych pisarzy byłoby najlepiej, gdyby dolne szuflady ich biurka pozostały zamknięte i mocno zaryglowane. W przypadku Douglasa – a jestem pewien, że się ze mną zgodzisz – dolna szuflada (czy w tym przypadku foldery twardego dysku) okazała się niezwykle triumfalnie warta otwarcia. Chris Ogle, Peter Guzzardi, żona Douglasa, Jane i jego asystentka Sophie Austin wykonali wspaniałą pracę. Bezdouglasowy świat jest znacznie mniej przyjemny od pełnodouglasowego, podskoki *Łososia zwątpienia* pomogą jednak zapomnieć o melancholii spowodowanej nagłym odejściem autora.

Stephen Fry

Peru

styczeń 2002



Życie

*Drogi Wydawco!*

*Pot skapywał mi z twarzy na kolana, sprawiając, że ubranie przemokło i zaczęło się kleić. Siedziałem, chodziłem, obserwowałem. Siedząc, gwałtownie dygotałem, wpatrując się w wąską szparką i czekałem – ciągle czekałem. Kiedy zaciskałem dłonie, paznokcie wbijały mi się w ciało. Przeciągałem ramieniem po gorącej, mokrej twarzy, z której spływał pot. Napięcie było nie do zniesienia. W próbie powstrzymania drżenia z powodu straszliwego ciężaru strachu przegryzłem sobie wargę. Nagle szparka się otworzyła i do środka wpadła poczta. Złapałem „Eagle’a” i rozerwałem papierowe opakowanie.*

*Moja gehenna została na tydzień zakończona!*

*D. N. Adams (lat 12), Brentwood, Essex*

*23 stycznia 1965*

Z: „The Eagle” i „Boys World Magazine”

\* \* \*

[Uwaga od wydawcy: W latach sześćdziesiątych „The Eagle” było niezwykle popularnym angielskim czasopismem science fiction. Powyższy list jest pierwszą, o jakiej wiadomo, opublikowaną pracą Douglasa Adamsa, liczącego podówczas 12 lat].

\*

## Głosy wszystkich naszych wczorajszych dni

Dni szkolne pamiętam jak przez mgłę. Były tłem prób słuchania Beatlesów.

Kiedy wyszło *Can't Buy My Love*, miałem dwanaście lat. W czasie porannej przerwy na szklankę mleka wykradłem się ze szkoły, kupiłem płytę i włamałem się do pokoju przełożonej, ponieważ miała adapter. Puściłem płytę – nie na tyle głośno, aby zostać złapanym, a jedynie na tyle, by słyszeć piosenkę przyciśniętym do głośnika uchem. Potem puściłem płytę jeszcze raz – na drugie ucho. Odwróciłem następnie płytę i zrobiłem to samo z *You Can't Do That*. Wtedy znalazła mnie przełożona i musiałem za karę zostać po lekcjach, czego się spodziewałem. Była to niewygórowana cena za możliwość kontaktu (o czym wiem teraz) ze sztuką.

Wtedy nie zdawałem sobie z tego oczywiście sprawy, wiedziałem jedynie, że Beatlesi to najbardziej podniecające zjawisko we wszechświecie. Nie zawsze było łatwo żyć z tym poglądem. Po pierwsze trzeba się było bić z fanami Stonesów, co było niełatwe, ponieważ walczyli nieczysto i bardziej przyziemnie. Po drugie trzeba było walczyć z dorosłymi, rodzicami i nauczycielami twierdzącymi, że marnujesz czas i kieszonkowe na śmieci, o których za tydzień nikt nie będzie pamiętał.

Nie bardzo mogłem zrozumieć, dlaczego to mówią. Śpiewałem w szkolnym chórze, wiedziałem, na czym polega harmonia oraz kontrapunkt i było dla mnie oczywiste, że Beatlesi są niezwykle pomysłowi. Dziwiło mnie, że nikt poza mną tego nie słyszy: niemożliwych harmonii i partii, których nigdy przedtem nie było w piosenkach pop. Beatlesi umieszczali te elementy w piosenkach najwyraźniej dla własnej tajemnej rozrywki i podniecało mnie, że ludzie mogą się w ten sposób bawić.

Następną fascynującą rzeczą było to, że nieustannie męcili mi w głowie. Wiedziałem, że kiedy wydadzą nową płytę, przez kilka pierwszych przesłuchań pozostanę obojętny i zdezorientowany. Potem mętlik w mojej głowie zacznie się stopniowo rozplątywać. Zrozumiem, że jego powodem był fakt słuchania czegoś niepodobnego do czegokolwiek, co dotychczas skomponowano i napisano. *Another Girl*, *Good Day Sunshine* i niesamowite *Díve My Car* – utwory te są teraz tak znajome, że sporego wysiłku woli wymaga przypomnienie sobie, jak obce się początkowo wydawały. Beatlesi nie pisali piosenek – wymyślali środek przekazu, w którym następnie pracowali.

Nigdy nie miałem okazji zobaczyć ich na żywo. Wiem – to trudne do uwierzenia. Żyć w czasach, w których występowali na scenie i nigdy nie być na ich koncercie. Mam skłonność do marudzenia na ten temat. Nie jedź ze mną do San Francisco, bo uprę się, aby pokazać ci Candlestick Park i zacznę ryczeć o tym, że zagrali tu w 1966 swój ostatni koncert – tuż przed tym, jak dotarło do mnie, że koncerty rockowe to imprezy, na które można chodzić, nawet jeśli mieszka się w Brentford.

Jeden z moich szkolnych kolegów miał kiedyś wejściówki do studia na nagranie programu Davida Frosta, skończyło się jednak na tym, że nie poszliśmy. Wieczorem oglądałem show – Beatlesi zaśpiewali w nim *Hey Jude*. Byłem chory mniej więcej przez rok. Inny przypadek, kiedy w końcu nie pojechałem do Londynu, miał miejsce akurat w dniu, gdy zagrali koncert na dachu w Savile Row. Nie

jestem – nigdy nie będę – w stanie o tym mówić.

No cóż, lata przeminęły, przeminęli Beatlesi, Paul McCartney jednak trwał i trwa. Kilka miesięcy temu zadzwonił do mnie gitarzysta Robbie McIntosh i spytał: „Gramy za kilka dni w Mean Fiddlerze – miałbyś ochotę wpaść?”.

Jest to jedno z najbardziej zwariowanych pytań, jakie mi kiedykolwiek zadano i już samo rozgryzienie, co właściwie Robbie ma na myśli, zajęło mi kilka minut. Tym, którzy tego nie wiedzą, należy wyjaśnić, że Mean Fiddler to pub w niezbyt miłej części północno-zachodniego Londynu ze znajdującą się na zapleczu salą, w której grają zespoły. Może się tam zmieścić jakieś dwieście osób.

Przez chwilę dezorientowało mnie określenie „my”, wiedziałem bowiem, że Robbie gra obecnie w zespole Paula McCartneya, a nie sądziłem, aby Paul McCartney grywał w pubach. Jeżeli grywał, głupotą byłoby sądzić, że nie oddałbym prawej ręki za to, aby tam się znaleźć. Poszedłem.

Paul McCartney wstał przed zebranymi w pubie ludźmi i zagrał piosenki, których, jak sądzę, nigdy przedtem nie grał publicznie. Aby wymienić tylko dwie: *Herę*, *There and Everywhere* oraz *Blackbird*. Na Boga – sam grywałem *Blackbird* w pubach! Kiedy miałem ponownie zdawać egzamin na poziom A z muzyki, spędziłem wiele tygodni, ucząc się partii gitary. Teraz zastanawiałem się, czy nie mam halucynacji.

Przeżyłem dwa momenty pełnego czci zdumienia. Pierwszym był ostatni bis – nieskazitelne, burzliwe wykonanie – wierzcie lub nie – *Sgt. Pepper s Lonely Heart Club Band*. (Pamiętajcie – to się odbywało w pubie!). Drugi nastąpił w trakcie wykonania jednej z najwspanialszych rockowych piosenek *Can 'i Buy MyLove*, którą po raz pierwszy słyszałem, siedząc w kucki, z uchem przystawionym do głośnika adaptera marki Dansette, w pokoju przełożonej mojej szkoły.

Jest taka gra, w którą lubimy grać, a nazywa się: „Kiedy najchętniej chciałbyś żyć i dlaczego?”. W okresie włoskiego Renesansu? W Mozartowskim Wiedniu? W Szekspirowskiej Anglii? Osobiście z przyjemnością pokrażyłbym w okolicy Bacha, mam jednak z tą grą duże problemy, ponieważ życie w jakimkolwiek innym okresie historycznym oznaczałoby brak Beatlesów i uczciwie przyznam, że chyba nie byłbym zdolny tego wytrzymać. Mozart, Bach i Shakespeare są zawsze z nami, dorastałem jednak z Beatlesami i nie wiem, czy coś innego miało na ranie większy wpływ.

A więc Paul McCartney kończy jutro pięćdziesiąt lat. Wszystkiego najlepszego, Paul. Za nic nie chciałbym tego stracić.

„The [London] Sunday Times”

17 czerwca 1992

Uczęszczałem do Brentwood School przez całe dwanaście lat. Były to, ogólnie rzecz biorąc – w sposób pełen wznoszeń i upadków – dość dobre lata: raczej szczęśliwe, zasadniczo niedojrzałe, nieco bardziej usportowione, niż byłem na to podówczas w nastroju, ale pełne rzetelnego, (choć czasami bardzo ekscentrycznego) nauczania. Muszę przyznać, że dopiero z biegiem czasu zacząłem rozumieć, jak dobrze uczono mnie w Brentwood – szczególnie angielskiego i fizyki. (Dziwne). W każdym razie w moim przypadku całe dwunastoletnie doświadczenie całkowicie przyćmiewa pamięć jednego strasznego, paraliżującego umysł zdarzenia. Mam na myśli epizod ze spodniami. Już wyjaśniam.

Zawsze byłem absurdalnie, śmiesznie wysoki. Aby dać wam wyobrażenie w tym zakresie, powiem, że kiedy robiliśmy wycieczki do „ciekawych i rozwijających miejsc”, wychowawca nie mówił: „Spotykamy się pod wieżą zegarową” czy: „Spotykamy się pod pomnikiem ku czci poległych”, lecz: „Spotykamy się pod Adamsem”. Byłem przynajmniej tak samo dobrze widoczny jak wszystko inne na horyzoncie, na dodatek mogłem być dowolnie przestawiany. Kiedy na lekcji fizyki mieliśmy powtórzyć demonstrację Galileusza, pokazującą, że dwa ciała o różnej wadze spadają na ziemię z tą samą prędkością, to mnie wyznaczono zadanie upuszczenia piłki krykieta i ziarna grochu, bowiem było to prostsze niż podchodzenie do okna na piętrze. Zawsze górowałem nad wszystkimi. Na samym początku mojej kariery szkolnej, kiedy miałem siedem lat, przedstawiłem się innemu nowemu uczniowi (Robertowi Neary’emu), zachodząc go od tyłu i, w eksperymentatorskim duchu, spuszczać mu na głowę piłkę do krykieta, równocześnie powiedziałem: „Cześć, nazywam się Adams – a jak ty się nazywasz?” Jestem pewien, że dla Roberta Neary’ego właśnie to było strasliwym, paraliżującym umysł zdarzeniem.

W Prep School, w której spędziłem pięć lat z dwunastu, wszyscy nosiliśmy krótkie spodnie; w lecie szare szorty z blezerem, a w zimie tweedowe garnitury „pieprz i sól” z krótkimi spodniami. Jest oczywiście pewien bardzo uzasadniony powód, dlaczego młodzi ludzie powinni nosić krótkie spodnie nawet w trakcie głębokiej angielskiej zimy (a były wtedy zimniejsze, prawda?). Według magazynu „Wired” nie należy się przed rokiem 2020 spodziewać wejścia do produkcji samonaprawiających się tkanin, odkąd jednak pięć milionów lat temu zesliśmy z drzew albo wyszliśmy z bagien, na/w których żyliśmy, mamy samonaprawiające się kolana.

Tak więc szorty miały sens. Choć wszyscy musieli je nosić, w moim przypadku zaczęło to być dość absurdalne. Nie chodziło o górowanie wzrostem nad kolegami – chodziło o górowanie nad nauczycielami. Noszącymi szorty. Pewnego razu moja matka poprosiła dyrektora, aby był łaskaw zrobić w moim przypadku wyjątek i pozwolił mi nosić długie spodnie, Jack Higgs jednak – zawsze uczciwy, choć twardy – powiedział „nie”. Pozostało mi już tylko pół roku do przejścia do szkoły głównej, gdzie jak wszyscy inni miałem nosić długie spodnie. Musiałem poczekać.

W końcu skończyłem Prep School i dwa tygodnie przed rozpoczęciem trimestru Świętego Michała\* matka zabrała mnie do szkolnego sklepu, aby – wreszcie – kupić mi garnitur szkolny z długimi spodniami. Zgadnijcie, co się stało. Nie produkowano ich w długościach wystarczających dla mnie. Pozwólcie, że to powtórzę, aby do każdego, kto czyta te słowa, w pełni dotarł dramatyzm sytuacji – z takim samym ogromem, w jaki dotarł do mnie, gdy stałem w szkolnym sklepie, owego

dnia w lecie 1964 roku. Nie mieli szkolnych spodni na tyle długich, aby pasowały na mnie. Trzeba było uszyć na zamówienie. Miało to potrwać sześć tygodni. Sześć tygodni! Sześć minus dwa wynosiło – jak nas starannie i skrupulatnie nauczono – cztery. Oznaczało to, że przez pełne cztery tygodnie najbliższego okresu miałem być jedynym w szkole chłopakiem w krótkich spodniach. Przez następne dwa tygodnie igrałem ze szczęściem w ruchu drogowym, niedbale obchodziłem się z nożami kuchennymi i odmawiałem odsuwania się na peronach od torów, niestety moje życie chronił jakiś czar i musiałem to przejść – cztery tygodnie największego, znanego człowiekowi upokorzenia i zażenowania, a raczej upokorzenia i zażenowania najdelikatniejszej ze wszystkich : istot, czyli przerośniętego dwunastolatka. Każdy z nas zna przepelnione bólem sny, w których nagle odkrywamy, że stoimy nago na głównej ulicy. Uwierzcie mi – to było gorsze i wcale nie było snem.

Historia ta nieco się w tym momencie rozmywa, bowiem miesiąc później dostałem długie spodnie i zostałem ponownie przyjęty do kulturalnego towarzystwa. Uwierzcie mi jednak, że ciągle noszę w sobie blizny i choć robię, co mogę, aby górować nad światem jak Kolos, pisząc bestsellery i... (no cóż, chyba starczy), to jeżeli robię wrażenie nieprzystosowanego, wyizolowanego społecznie, smutnego i zgarbionego, emocjonalnego inwalidy (myślę głównie o niedzielnych, lutowych porankach), obwiniać o to należy owe cztery tygodnie przymusowego noszenia krótkich spodni we wrześniu 1964 roku.

\*



# Y

„Why” (dlaczego) to jedyne pytanie, dręczące ludzi na tyle, aby nazwali od niego całą literę alfabetu.

Alfabet nie zaczyna się: „A B C D Co? Kiedy? Jak?”, ale kończy: „V W X Why? Z”.

„Dlaczego?” jest najtrudniejszym do odpowiedzenia pytaniem. Kiedy ktoś zapyta: „Która godzina?” albo: „Kiedy odbyła się bitwa z 1066 roku?”, albo: „Tato, w jaki sposób te pasy się zaciskają, kiedy naciskasz hamulec?”, odpowiedzi są proste i brzmią po kolei: „Za dwadzieścia pięć ósma”, „Piętnaście po dziesiątej rano” i „Nie zadawaj głupich pytań”.

Kiedy jednak słyszymy słowo „Dlaczego?”, wiadomo, że mamy do czynienia z którąś z najtrudniejszych do wyjaśnienia zagadek, takich jak: „Dlaczego się rodzimy?” czy „Dlaczego spędzamy tyle przerw w pracy, odpowiadając na spamy?”.

Weźmy też to:

„Pójdiesz ze mną do łóżka?”.

„Dlaczego?”.

Na to „Dlaczego?” istnieje tylko jedna dobra odpowiedź i być może także ją powinniśmy włączyć do alfabetu. Jest na nią miejsce. „Dlaczego?” nie musi być ostatnim słowem, nawet nie jest ostatnią literą. Jakby to było, gdyby alfabet nie kończył się „V W X Dlaczego? Z” a „V W X Czemu nie?”.

Nie zadawajcie głupich pytań.

*Z: Hockney's Alphabet\**

(Faber & Faber)

*The Meaning of Liff\** rozpoczęło życie jako ćwiczenie z angielskiego, które miałem wykonać w szkole, a piętnaście lat później zamieniło się w grę, w którą grałem z Johnem Lloydem. Siedzieliśmy z kilkoma przyjaciółmi w greckiej tawernie, całe popołudnie rozwiązywaliśmy szarady i piliśmy retsinę, aż musieliśmy wymyślić jakąś grę, która nie wymagałaby zbyt częstego wstawania.

Odbywało się to tak (musiało być proste, ponieważ wieczór był zbyt zaawansowany na skomplikowane reguły): jedna osoba mówiła nazwę miasta, a ktoś inny mówił, co to słowo znaczy. Szkoda, że was tam nie było.

Szybko odkryliśmy, że istnieje potworna masa doświadczeń, idei i sytuacji, które każdy zna i sobie przypomina, ale które nigdy nie zostały odpowiednio uprzedmiotowione po prostu dlatego, że nie powstało określające je słowo. Wszystkie należały do kategorii: „Zdarzyło wam się kiedyś, że...”, „Wiecie, jak człowiek się czuje, kiedy...” lub „Wiecie co? Zawsze sądziłem, że tylko ja...”. Wszystko, czego potrzeba, to słowo i sprawa staje się znanym faktem.

Nieokreślony dyskomfort, spowodowany siedzeniem na krześle, jeszcze ciepłym od czyjegoś tyłka to odczucie tak samo realne jak uczucie, które pojawia się, gdy z krzaków wyskakuje na człowieka ogromny, rozsierdzony słoń, z tym że tylko to drugie posiada określenie. Teraz oba mają swoje słowa. Pierwsze brzmi „nasiadki”\*, a drugie – oczywiście – „strach”.

Zaczęliśmy zbierać coraz więcej i więcej takich słów i powoli docierało do nas, jak arbitralnie wybiórczym dziełem jest *Oxford English Dictionary*. Po prostu nie dostrzega ogromnych kawałów ludzkiego doświadczenia. Na przykład stania w kuchni i zastanawiania się, po co się przyszło. Każdy to robi, ale ponieważ nie ma – a raczej nie było – na to określenia, każdy sądzi, że tylko on tak robi, jest więc głębszy od innych ludzi. Dostrzeżenie, że inni są tak samo głupi, a stan, w jakim się znajdujemy, stojąc w kuchni i zastanawiając się, po co się przyszło, to „nieziemsko”\*, dodaje otuchy.

Stopniowo w dolnej szufladzie Johna Lloyda zaczęły rosnać stosiki fiszek katalogowych, a każdy, kto usłyszał o sprawie, dodawał własne pomysły.

Po raz pierwszy ujrzały światło dzienne, kiedy John komponował kalendarz „Not 1982” i zabrakło mu paru rzeczy, które można by umieścić na dołach stron (także na górach i na kilku środkach). Wyciągnął szufladę, wybrał kilkanaście najlepszych nowych słów i włączył je do książki pod nazwą *Oxtail English Dictionary*\*. Szybko okazało się to jedną z najlepiej przyjętych części „Not 1982” i sukces idei na małą skalę zasugerował szansę powodzenia książki poświęconej tylko temu tematowi. Oto i ona, *The Meaning of Liff*, produkt ciężkiej pracy całego życia, poświęconej badaniu i dokumentowaniu zachowań ludzkich.

Z gazetki promocyjnej wydawnictwa Pan,

nr 54 październik 1983

\*

## Mój nos

Moja matka ma długi nos, a ojciec ma szeroki, ja zaś mam połączenie obu. Jest wielki. Jedyną znaną mi osobą o nosie znacząco większym od mojego, był nauczyciel w mojej szkole przygotowawczej, który miał maleńkie oczka, praktycznie nie posiadał podbródka i był śmiesznie chudy. Przypominał krzyżówkę flaminga ze staromodnym narzędziem rolniczym, a przy bocznym wietrze chadzał dość niepewnie. Często się chował.

Ja też chciałem się chować. Jako chłopcu przez lata bezlitośnie dokuczano mi z powodu nosa – aż któregoś dnia ujrzałem się z profilu w ustawionych skośnie lustrach i musiałem przyznać, że jest właściwie dość zabawny. Od tego czasu przestano mi dokuczać z powodu nosa, a zaczęto mi bezlitośnie dokuczać w związku z tym, że mówię takie słowa jak „właściwie”, co nie ustało do dziś.

Jedną z dziwniejszych cech mojego nosa jest to, że nie wpuszcza powietrza. Trudno to zrozumieć, a tym bardziej w to uwierzyć. Problem sięga bardzo dawnych czasów, kiedy byłem małym chłopcem i mieszkałem w domu babci. Moja babcia była lokalną przedstawicielką RSPCA\*, co oznaczało, że dom był zawsze pełen poważnie uszkodzonych psów i kotów, od czasu do czasu zdarzał się nawet borsuk gronostaj czy gołąb.

Niektóre zwierzęta były uszkodzone fizycznie, inne psychicznie, a kontakt z nimi powodował u mnie poważny uszczerbek długości czasu, w którym byłem zdolny skupić uwagę. Ponieważ powietrze było gęste od zwierzęcych włosów i kurzu, miałem stale zaczerwieniony, ciekący nos i kichałem co piętnaście sekund. Każda myśl, której nie dało się zgłębić, rozwinąć oraz doprowadzić do logicznej konkluzji w ciągu piętnastu sekund, była siłą wyrzucana z mojej głowy – wraz z dużą ilością śluzu.

Są tacy ludzie, którzy twierdzą, że mam skłonność myślenia i pisania jednowersowcem i jeżeli w tym krytycyzmie jest choć ziarno prawdy, niemal na pewno nawyk ten wykształcił się w okresie, kiedy mieszkałem z babcią.

Uciekłem z jej domu do szkoły z internatem, gdzie po raz pierwszy w życiu mogłem oddychać. Ta nowo odnaleziona, błoga wolność trwała przez dobre dwa tygodnie – do czasu, kiedy musiałem się nauczyć grać w rugby. Mniej więcej po pierwszych pięciu minutach pierwszego meczu, w jakim grałem w życiu, udało mi się złamać nos o własne kolano, co – choć było bez wątpienia niezwykle osiągnięciem – wywarło na mnie ten sam skutek, jaki w powieściach Ridera Haggarda wywierały na całe cywilizacje geologiczne wypiętrzzenia; skutecznie i na zawsze odcięło mnie od świata zewnętrznego.

Różni laryngolodzy udawali się w różnych okresach na wielkie wyprawy speleologiczne w głąb moich jam nosowych, większość z nich wracała zdumiona. Ci, którzy nie wracali zadziwieni, wcale nie wracali, dlatego są teraz nie tyle częścią rozwiązania, co problemu.

Jedyną rzeczą, jaka kiedykolwiek nęciła mnie do tego, by spróbować zażywania kokainy, to złowieszcze ostrzeżenie, że biały proszek zżera przegrodę. Gdybym wierzył, że kokaina mogłaby się

przebić przez moją przegrodę nosową, z radością wpychałbym ją sobie wiadrami do nosa i pozwalał jej zżerać przegrodę w takim stopniu, w jakim tylko zechce. Zniechęciła mnie jednak obserwacja, że przyjaciele, którzy wiadrami wpychają sobie kokainę do nosa, mają jeszcze krótszą zdolność skupienia uwagi niż ja.

Obecnie jestem raczej pogodzony z tym, że mój nos spełnia funkcję bardziej dekoracyjną niż funkcjonalną. Tak samo jak Kosmiczny Teleskop Hubble'a – jest znakomitym osiągnięciem inżynierskim, nie nadaje się jednak właściwie do niczego, może poza wywoływaniem tanich parsknięć śmiechu.

„Esquire”, lato 1991

\*

Książka, która mnie odmieniła

**Tytuł:**

*Ślepy zegarmistrz, czyli jak ewolucja dowodzi, że świat nie został zaplanowany\**.

**Autor:**

Richard Dawkins.

**Kiedy pierwszy raz ją czytałeś?**

Kiedy została wydana. Chyba około 1990 roku.

**Dlaczego wywarła na tobie takie wrażenie?**

Jest jak otwieranie drzwi i okien w ciemnym i dusznym pomieszczeniu. Pozwala zauważyć, z jaką normalnie żyjemy bezładną gmatwaniną połowicznie przetrwawionych idei – zwłaszcza ci z nas, którzy mają wykształcenie artystyczne. „Tak jakby” rozumiemy ewolucję, choć w głębi duszy uważamy, że prawdopodobnie kryje się w niej coś więcej. Niektórzy z nas uważają nawet, że istnieje „coś w rodzaju” boga, który dba o rzeczy brzmiące nieco nieprawdopodobnie. Dawkins zalewa nas jasnym światłem, wpuszcza mnóstwo świeżego powietrza i pokazuje, że struktura ewolucji ma olśniewającą klarowność – zapierającą dech w piersiach, kiedy się ją nagle dostrzeże. Dowodzi także, że jeżeli jej nie dostrzegamy, to – dosłownie – nie wiemy najważniejszej rzeczy o tym, kim jesteśmy i skąd pochodzimy.

**Czytałeś ją ponownie?**

Tak, raz czy dwa razy. Często do niej zaglądam.

**Robi takie samo wrażenie jak za pierwszym czytaniem?**

Tak. Dzieło ewolucji odbywa się tak odmiennie od naszych intuicyjnych założeń dotyczących świata, że szok zrozumienia jest zawsze świeży.

**Polecasz tę książkę czy jest jedynie twoją prywatną pasją?**

Polecam ją każdemu.

\*

## Maggie i Trudie

Powiem od razu: nie jestem w żadnym formalnym związku z psem. Nie karmię psa, nie zapewniam psu łóżka, nie pielęgnuję psa, nie znajduję dla psa hotelu, gdy muszę wyjechać, nie odswawiam psa ani nie organizuję nagłego usuwania jakiegokolwiek psiego narządu wewnętrznego, kiedy wywoła moje niezadowolenie. Mówiąc krótko: nie posiadam psa.

Z drugiej strony utrzymuję swego rodzaju potajemny, zakazany związek z psem, a raczej z dwiema sukami. W konsekwencji wydaje mi się, że wiem nieco o tym, jak to jest być kochanką.

Suki te nie mieszkają po sąsiedzku. Nawet nie mieszkają na tej samej... no cóż, chciałem powiedzieć „ulicy” i nieco zwiększyć napięcie, ale przejdźmy prosto do prawdy. Mieszkają w Santa Fe w Nowym Meksyku, co jest niesamowitym miejscem do mieszkania dla psa – a właściwie dla każdego. Jeżeli nigdy nie byłeś w Santa Fe w Nowym Meksyku ani nie spędziłeś tam nieco czasu, to pozwól mi powiedzieć jedno – jesteś kompletnym idiotą. Sam byłem kompletnym idiotą mniej więcej do roku wstecz, kiedy to zbieg okoliczności, przedstawianiem którego nie należy mnie niepokoić, sprawił, że wynająłem czyjś dom daleko na pustyni, na północ od Santa Fe, by napisać scenariusz. Aby dać wam wyobrażenie, czym jest Santa Fe, mógłbym się rozwodzić o pustyni, wysokości, światła oraz biżuterii ze srebra i turkusów, najlepiej jednak zrobię, wspominając o znaku drogowym, stojącym na autostradzie z Albuquerque. Informuje on (dużymi literami) „PORYWISTE WIATRY”, a mniejszymi „MOGĄ WYSTĄPIĆ”.

Ani razu nie spotkałem sąsiadów. Mieszkali w odległości nieco ponad pół kilometra, na szczycie następnego piaszczystego wzgórza, zaraz jednak po tym, jak wyruszałem na poranne bieganie, truchtanie, spokojny spacer, natykałem się na ich suki, które tak momentalnie i szaleńczo zachwycały się moim widokiem, aż zacząłem się zastanawiać, czy nie sądzą, że znaleźliśmy się w poprzednim wcieleniu (niedaleko mieszkała Shirley MacLaine i od samego przebywania w pobliżu mogły przejąć wszelkie możliwe przedziwne poglądy).

Nazywały się Maggie i Trudie. Trudie była wyjątkowo głupio wyglądającą suką – wielkim, czarnym pudlem, poruszającym się dokładnie tak, jak by to wyrysował Walt Disney: specyficznymi podskokami, podkreślanymi od przodu przez duże, miękko opadające uszy, a od tyłu przez kikut ogona z kunsztownie przyciętą kitką włosów. Jej sierść składała się z dywanu ciasno zwiniętych czarnych loków, podkreślających ogólny disneyowski efekt poprzez ukazanie, że jest pozbawiona jakichkolwiek złych cech. To, że jest szaleńczo zachwycona moim widokiem, okazywała co rano poprzez coś, co jak zawsze mi się zdawało, nazywa się „robieniem kangura”, a w rzeczywistości jest „skakaniem konikiem”. (Dopiero co odkryłem swój błąd i będę musiał odtworzyć w myślach całe fragmenty mojego życia, by sprawdzić, jakie mogłem spowodować nieporozumienia albo jakich mogłem stać się ofiarą). „Konik” to skok w górę z równoczesnym uniesieniem wszystkich czterech łap. Moja rada – nie umieraj, dopóki nie zobaczysz wielkiego, czarnego pudła robiącego „koniki” na śniegu.

To, że jest szaleńczo zachwycona moim widokiem, Maggie okazywała co rano gryzieniem Trudie

w kark. Był to także jej sposób okazywania szaleńczego zachwytu perspektywą spaceru, okazywania tego, że była na spacerze i naprawdę się jej podobał, okazywania tego, że chce zostać wpuszczona do domu i tego, że chce zostać wypuszczona z domu. Nieustanne, zabawowe gryzienie Trudie w kark było, krótko mówiąc, jej stylem życia.

Maggie była ładnym psem. Nie była pudlem – należała do rasy, której nazwę miałem ciągle na końcu języka. Nie za bardzo znam się na i rasach psów, ale Maggie należała do jednej z tych naprawdę klasycznych, oczywistych ras – była smukłym, czarnobrazowym, nieco retrieverowym wydaniem czegoś dużobeaglowatego. Jak te psy się nazywają? Labratory? Spaniele? Elkhoundy? Samojedy? Kiedy uznałem, że] znamy się na tyle dobrze, aby przyznać, że choć to tak oczywiste, nie I bardzo umiem określić, jakiej rasy psem jest Maggie, zapytałem o to] mojego przyjaciela Michaela, producenta filmowego.

– Mag...gie... – odparł powoli, poważnie, po teksasku przeciągając zgłoski – to kuuun... ddel.

Tak więc co rano wyruszaliśmy we trójkę: ja, potężny angielski pisarz, pudel Trudie i kundel Maggie. Biegłem – truchtałem – spacerowałem szeroką, polną drogą biegnącą przez suche, czerwone wydmy, Trudie hasała wzdłuż drogi, szperając po wszelkich zakamarkach, aż łopotały jej uszy, a Maggie skakała za nią, radośnie gryząc ją w kark. Trudie podchodziła do tego niezwykle dobrodusznie i długo to znosiła, jednak od czasu do czasu nagle miała całkowicie dość. Wykonywała wtedy nagły skok, obracała się w powietrzu, lądowała na wszystkich czterech łapach naprzeciwko Maggie i przeszywała ją niezwykle znaczącym spojrzeniem, na co Maggie siadała i zaczynała lekko pogryzać prawą tylną łapę, jakby była ogólnie znudzona Trudie.

Potem zaczynały od nowa. Biegały, przewracały się i kotłowały, i goniły i gryzły, pędziły przez wydmy, przez szczeciniastą trawę i poszycie, po czym od czasu do czasu nagle, w nie wyjaśniony sposób się zatrzymywały, jakby obu równocześnie zabrakło ruchów. Zażenowane, wpatrywały się wtedy przez chwilę w punkt między sobą, po czym zaczynały od nowa.

Jaką rolę grałem w tym wszystkim ja? No cóż, w zasadzie żadną. Przez pełne dwadzieścia minut albo pół godziny całkowicie mnie ignorowały. Było to stuprocentowo w porządku, nie miałem nic przeciwko, sytuacja dziwiła mnie jednak, ponieważ zjawiały się codziennie, wczesnym rankiem, pod moim domem, poszczekiwały, drapiąc w drzwi oraz okna, aż wstałem i zabrałem je na spacer. Jeżeli cokolwiek zaburzało codzienny rytuał – na przykład gdy musiałem jechać do miasta, miałem spotkanie, leciałem do Anglii czy coś innego – stawały się głęboko nieszczęśliwe i nie wiedziały, co robić. Zawsze, kiedy wychodziliśmy razem na spacer, całkowicie mnie ignorowały, a nie mogły wybrać się na spacer beze mnie. Ukazywało to, że owe nie moje psy mają głęboko filozoficzną żyłkę – wykombinowały, że do odpowiedniego ignorowania mnie ja muszę być obecny. Nie da się ignorować kogoś, kogo nie ma, ponieważ „ignorować” to „celowo nie zauważać”.

Dalsze głębiny ich myślenia zostały ujawnione, kiedy przyjaciółka Michaela, Victoria, opowiedziała mi, że gdy kiedyś do mnie przysła, spróbowała rzucić Maggie i Trudie piłkę, by za nią pobiegły. Psy siedziały i z kamiennymi minami obserwowały, jak piłka wlatuje w niebo, spada, po czym toczy się, podskakując po ziemi, by w końcu znieruchomieć. Przekazywały jej zdaniem jednoznacznie: „Nie robimy takich rzeczy. My szwendamy się z pisarzami”.



Była to prawda. Łaziły za mną cały dzień – codziennie. Dokładnie jednak jak pisarze, szwendające się z pisarzami psy nie lubią aktu pisania. Tak więc kiedy pisałem, cały dzień krążyły wokół moich nóg i nieustannie odsuwały mi nosem łokcie na bok, aby położyć mi łeb na kolanach i smutno na mnie patrzeć w nadziei, że nabiorę rozsądku i pójdę na spacer, na którym będą mogły mnie odpowiednio ignorować.

Wieczorem odczłapywały do swego właściwego domu, by je nakarmiono, napojono i ułożono na noc do łóżka. Wydawało mi się to uczciwym układem, bowiem czerpałem całą przyjemność z ich towarzystwa – a była ona znaczna – bez jakiegokolwiek odpowiedzialności. Układ był świetny do dnia, aż Maggie pojawiła się z samego rana – gotowa i chętna ignorować mnie sama. Bez Trudie. Nie było z nią Trudie. Zatkąło mnie. Nie wiedziałem, co się stało z Trudie i nie miałem możliwości dowiedzenia się tego, ponieważ nie należała do mnie. Przejechała ją ciężarówka? Leżała gdzieś, krwawiąc na poboczu drogi? Maggie sprawiała wrażenie zniecierpliwionej i zaniepokojonej. Zdawało mi się, że wie, gdzie jest Trudie i co jej się stało. Najlepiej będzie, jeżeli za nią pójdę – jak za Lassie. Włożyłem odpowiednie buty i wypadłem na zewnątrz. Przeszliśmy wiele kilometrów, włócząc się po pustyni w poszukiwaniu Trudie, zakreślając najbardziej okrężną trasę. W końcu dotarło do mnie, że Maggie wcale nie szuka Trudie – po prostu ignorowała mnie, którą to strategię komplikowałem, idąc nie zwykłą poranną spacerową trasą, a cały czas podążając za suką. Wróciliśmy do domu, a Maggie usiadła u moich stóp i zrobiła nieszczęśliwą minę. Nie mogłem nic poradzić, nie mogłem do nikogo zadzwonić, ponieważ Trudie nie należała do mnie. Jedyne co mogłem robić, to – jak kochanka – siedzieć i zamartwiać się w milczeniu. Nic nie jadłem, Maggie wieczorem czmychnęła do domu, a ja w nocy źle spałem.

Rano wróciły. Obie. Tyle tylko, że przydarzyło się coś strasznego, i Trudie była po fryzjerze. Większość sierści przycięto jej na dwa milimetry, zostawiając kilka natapirowanych kępek na łbie, uszach i ogonie. Byłem oburzony. Wyglądała nedorzecznie. Poszliśmy na spacer, ale – przyznam szczerze – czułem zażenowanie. Gdyby była moim psem, nie wyglądałaby tak.

Kilka dni później musiałem wrócić do Anglii. Próbowałem to wyjaśnić sukom, przygotować je na to, ale szły w zaparte. Rano, kiedy wyjeżdżałem, widziały, jak wkładam walizki na tył samochodu i trzymały się z dala, zamiast mną niezwykle interesowały się innym psem. Naprawdę mnie ignorowały. Uciekłem do domu, dziwnie się czując.

Sześć tygodni później wróciłem do pracy nad drugą wersją tekstu. Nie mogłem ot tak zadzwonić i zamówić sobie psów. Musiałem spacerować po podwórzu, wyglądać straszliwie oczywiście i produkować i wszelkie rodzaje piskliwych odgłosów, jakie zwykle zauważają psy. Nagle przekaz do nich dotarł i popędziły na spotkanie ze mną przez, zaśnieżoną pustynię (była połowa stycznia). Kiedy przybiegły, zaczęły z podniecenia skakać na ściany, nie mogliśmy jednak uczynić wiele więcej, jak wyjść na szybkie, zdrowe Ignorowanie Się w śniegu. Trudie robiła „koniki”, Maggie gryzła ją w kark i ruszyliśmy przed siebie. Trzy tygodnie później znów wyjechałem. Któregoś dnia tego roku wrócę, aby się z nimi zobaczyć, zdaję sobie jednak sprawę z tego, że będę dla nich już tylko Kolejnym Człowiekiem. Prędzej czy później będę się musiał poświęcić własnemu psu.

(pod redakcją Alana Corena; Robson Books; wrzesień 1994)

\*

## Zasady

W byłym Związku Radzieckim ludzie zwykli mawiać, że wszystko, co nie jest zabronione, jest obowiązkowe. Sztuka polegała na tym, aby pamiętać, co jest co. Na Zachodzie zawsze sobie gratulowaliśmy, że mamy nieco bardziej swobodne, zdroworozsądkowe podejście do różnych spraw i zapominaliśmy, że zdrowy rozsądek często jest nie mniej arbitralny. Trzeba znać zasady. Zwłaszcza podczas podróży.

Kilka lat temu – no cóż, mogę dokładnie powiedzieć, że było to na początku 1994 roku – miałem małe starcie z policją. Z żoną, która była w szóstym miesiącu ciąży, wjeżdżałem westwayem do centrum Londynu i wyprzedziłem po wewnętrznym pasie. Szczerze mówiąc, w istniejących okolicznościach nie była to nieokrzesana ani nieostrożna jazda – ruch po prostu tak płynął, w każdym razie nagle stwierdziłem, że zatrzymuje mnie radiowóz. Policjanci kazali mi jechać za sobą i – co zaskakujące – zatrzymać się za nimi na zakręcie zjazdu z autostrady, gdzie mogliśmy wszyscy wysiąść i pogawędzić sobie o moim haniebnym przestępstwie. Byłem przerażony. Samochody osobowe, ciężarówki, a co najgorsze, białe furgonetki gnały zjazdem i jestem pewien, że żaden kierowca nie spodziewał się natknąć na zaparkowane tam, dokładnie na zakręcie, dwa samochody. Każdy z pojazdów mógł bez trudu wjechać w tył mojego samochodu – z siedzącą w środku ciężarną żoną. Sytuacja była zatrważająca i chora. Poruszyłem tę kwestię, ale funkcjonariusz policji – jak to często bywa z przedstawicielami tej formacji – zajął odmienne stanowisko do mojego.

Pogląd policjanta streszczał się do tego, że wyprzedzanie po wewnętrznym pasie było z natury rzeczy niebezpieczne. Dlaczego? Ponieważ tak mówi prawo. Parkowanie w niewidocznym zza zakrętu miejscu na zjeździe z autostrady nie jest niebezpieczne, ponieważ znajduję się tu na polecenie policji, co czyni sytuację prawnie dozwoloną, a więc (za tym właśnie trochę trudno było nadażyć) bezpieczną.

Mój pogląd streszczał się do tego, że przyznaję, iż (dość bezpiecznie) wykonałem manewr drogowy, niedozwolony w świetle angielskiego prawa, ale uważam, że nasza obecna sytuacja – parkowanie w niewidocznym zza zakrętu miejscu, przez które sunie strumień szybko się poruszających pojazdów – jest zagrożeniem dla życia z powodu obowiązujących we wszechświecie praw fizyki.

Kolejnym argumentem funkcjonariusza było to, że nie znajduję się we wszechświecie, a w Anglii, a ponieważ już się w życiu z takim zdaniem spotkałem, zrezygnowałem z próby wygrania sporu i godziłem się na wszystko – abyśmy tylko mogli stamtąd się wyrwać.

Tak się składa, że powodem, dlaczego przesadnie swobodnie wyprzedziłem po wewnętrznej, było to, że bardzo przywykłem do jazdy w Stanach Zjednoczonych, gdzie każdy korzysta ze swojego konstytucyjnego prawa do jazdy każdym cholernym pasem, jakim ma ochotę. Wedle prawa amerykańskiego, wyprzedzanie po wewnętrznej (tam, gdzie pozwalają na to warunki drogowe) jest w pełni dozwolone, całkowicie normalne, a więc stuprocentowo bezpieczne.

Powiem wam jednak, co nie jest.

Byłem kiedyś w San Francisco i zaparkowałem na jedynym dostępnym miejscu, które akurat przypadkiem znajdowało się po przeciwległej stronie ulicy. Prawo spadło na mnie jak jastrząb.

Czy zdaję sobie sprawę z tego, jak niebezpieczny był manewr, który właśnie wykonałem? Popatrzyłem na prawo nieco tępym wzrokiem. Co zrobiłem źle?

Prawo stwierdziło, że zaparkowałem odwrotnie do ruchu jadących pojazdów.

Zaskoczony, rozejrzałem się po ulicy. Jakich jadących pojazdów?

Pojazdów, które by tu były, gdyby coś poruszało się po ulicy, stwierdziło prawo.

Nawet dla mnie było to nieco metafizyczne, wyjaśniłem więc – choć nieco drętwo – że u nas w Anglii parkujemy wszędzie, gdzie znajdziemy miejsce do parkowania i nie jesteśmy drobiazgowi, po której jest to stronie ulicy. Policjant popatrzył na mnie przerażony, jakbym był szczęściarzem, że udało mi się ująć z życiem z kraju dzikich oraz szalonych przy parkowaniu kierowców i bez wahania dał mi mandat. Było oczywiste, że wolałby mnie deportować, zanim moje wywrotowe pomysły sprowadzą chaos i anarchię na ulice, które muszą sobie na co dzień radzić z czymś tak niewinnym jak kilka prostych karabinów. Jak wiadomo, są one w Stanach całkowicie legalne, a bez nich amerykańskie miasta zostałyby opanowane przez stada jeleni, władczych urzędników państwowych i łamiących prawo angielskich importerów herbaty.

Mój zmarły przyjaciel Graham Chapman, nawet w najlepszej formie „specyficzny” kierowca, zwykł wykorzystywać różnice między angielskimi a amerykańskimi zwyczajami w ruchu drogowym, nosząc przy sobie zarówno brytyjskie, jak i kalifornijskie prawo jazdy. Kiedy zatrzymywano go w Stanach, machał brytyjskim prawem jazdy i vice versa. Wspominał mimochodem, że jedzie właśnie na lotnisko, aby opuścić kraj, co zawsze okazywało się tak radosną informacją, iż policja oddychała z ulgą i machała mu, by jechał dalej.

Choć między Europejczykami i Amerykanami dochodzi do częstych nieporozumień, mamy dziesięciolecia tych samych filmów i programów telewizyjnych, które pomogły nam się do siebie przyzwyczajać. Poza sferą angloamerykańską niemal wszelkie założenia są nietrafne. Poeta James Fenton został na przykład kiedyś zatrzymany w Chinach za posiadanie na rowerze lampki. „Co by się stało – poważnie zapytał go policjant – gdyby wszyscy tak zrobili?”.

Najbardziej krańcowym przypadkiem czegoś, co w jednym kraju jest całkowicie zabronione, a w innym należy do normalnych zachowań, to niewiarygodne dla mnie zdarzenie – choć moja kuzynka przysięga, że jest prawdziwe. Mieszkała ona kiedyś przez kilka lat w Tokio i opowiadała o procesie, w którym kierowcy, sądzonemu za wjechanie na chodnik, wbiecie samochodu w okno sklepowe i zabicie dwóch przechodniów, pozwolono wskazać jako okoliczność łagodzącą fakt, że w chwili wypadku był w trupa pijany.

Jakie należy znać zasady, kiedy przeprowadzamy się do innego kraju? Co jest w jednym kraju obowiązkowe, a w innym zakazane? Zdrowy rozsądek nie poinformuje cię o tym. Musimy sobie o tym opowiadać.

„The Independent on Sunday”, styczeń 2000

\*

## Uwagi wstępne: Procol Harum w Barbican

Panie i Panowie!

Każdy, kto mnie zna, wie, jak bardzo emocjonująca jest dla mnie obecność w tym miejscu i zapowiadanie dzisiejszego wieczoru tego zespołu. Jestem wielkim fanem Gary'ego Brookera oraz Procol Harum od trzydziestu lat, kiedy nagle zaskoczyli świat, wyskakując znikąd z jedną z najbardziej przebojowych płyt, jaką ktokolwiek kiedykolwiek nagrał w jakichkolwiek okolicznościach. Potem zaskoczyli świat jeszcze bardziej – całkowitym niepowodzeniem wydania płyty długogrającej po upływie czterech miesięcy od wydania singla, ponieważ jeszcze nie napisali materiału do niej. Następnie, z nie mającą porównania przebiegłością i pomysłowością marketingową, nie umieścili na płycie *A Whither Shade of Pale*. Jak wie każdy, kto kiedykolwiek próbował naśladować akordy z *A Rum Tale*, nigdy nie zrobili niczego prostego.

Wywarli na moje życie szczególny wpływ. Dokonała tego ich piosenka, którą, wydaje mi się, zna część z was – *Grand Hotel*. Zawsze kiedy piszę, mam skłonność puszczać w tle muzykę, a przy owej szczególnej okazji położyłem na adapter *Grand Hotel*. Piosenka ta zawsze mnie interesowała, bo choć słowa Keitha Reida dotyczą pięknego hotelu – sreber, kandelabrow i tym podobnych rzeczy – w połowie piosenki nagle, znikąd, pojawia się potężna orkiestrowa kulminacja, która zdaje się niczego nie dotyczyć. Rozwazałem, dlaczego coś tak potężnego dzieje się w dalekim tle i w końcu pomyślałem sobie „Wygląda na to, że trwa kabaretowe variete. Coś wielkiego i niezwykłego, jakby... hmm... koniec wszechświata”. Stąd pomysł na *Restaurację na końcu wszechświata* – z *Grand Hotelu*.

Dość jednak o mnie. Zebraliśmy się tu, aby przeżyć wspaniały wieczór. Nie ma innego zespołu choć w części przypominającego tych chłopców. Z radością chcę powiedzieć, że dziś wieczór jest z nimi Londyńska Orkiestra Symfoniczna. Witam więc w waszym imieniu – oto Londyńska Orkiestra Symfoniczna, chór Chameleon Arts, Procol Harum, za pulpitem dyrygenckim wspaniały Nicholas Dodd oraz dżentelmen – nauczyciel – muzyk i obecnie chyba także kontradmirał Gary Brooker. Dziękuję bardzo.

Z koncertu Procol Harum i Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej,

8 lutego 1996

\*

Co będziemy wszyscy usiłovali realizować w przyszłą niedzielę? Raczej nie Zobowiązania Noworoczne – przynajmniej jeżeli jesteśmy jako tako zdrowi na umyśle. Wszystkie one są łamane tak zenująco szybko po rozpoczęciu nowego roku, że niewielu z nas zechce pogłębiać swoje poczucie daremności podejmowaniem Zobowiązań Na Nowe Millennium, które zostałyby złamane – mówiąc oględnie – tysiąc razy wcześniej niż zwykle.

Chciałbym zrobić małą dygresję (jeśli nie chcesz, abym odbiegał od tematu, może czytasz niewłaściwą kolumnę). Prawda jest taka, iż może istnieje uzasadniony powód, dlaczego nie udaje się nam dotrzymać Zobowiązań Noworocznych – inny niż skrajna słabość woli. Oto on – nie pamiętamy ich. Po prostu. Jeżeli je zapisaliśmy, nie możemy sobie przypomnieć, gdzie położyliśmy kartkę. Co dziwne, znane są przypadki, że kartka odnajdywała się dokładnie rok później – kiedy szukało się czegoś do zapisania poronionych pomysłów, jak choć po części uporządkować swe życie. Okazuje się, że to nie przypadek.

Nawiasem mówiąc – czy tylko ja uważam, że zwrot „okazuje się” jest niezwykle użyteczny? Pozwala na szybkie, zwarte i autorytatywne łączenie nie powiązanych ze sobą stwierdzeń, do tego bez kłopotania się wyjaśnianiem, co właściwie pozwala nam je łączyć. To wspaniałe. Znacznie lepsze od zwrotów: „czytałem gdzieś, że...”, czy tchórzliwego: „uważa się, że...”, nie tylko bowiem sugeruje, że niezależnie od tego, jak naciągany kawałek współczesnej legendy nawijasz, to twoje słowa opierają się na wynikach najnowocześniejszych, przełomowych badań, w których aktywnie uczestniczyłeś. Znowu bez konieczności przedstawiania faktycznego autorytetu. Tak poza tym, to na czym stanęliśmy?

Należy zakładać, że alkohol wpływa na mózg. Cóż, wiemy o tym, a ci, którzy jeszcze nie wiedzą, wkrótce się dowiedzą. Wpływ ten ma jednak różne stopnie nasilenia i tu jest pies pogrzebany. Mózg organizuje wspomnienia w postaci niby hologramu (okazuje się) i aby wydobyć z niego obraz, należy dokładnie odtworzyć warunki, w jakich został zarejestrowany. W przypadku hologramu jest to oświetlenie, w przypadku mózgu jest to albo może być (okazuje się) chlupocząca w nim ilość alkoholu. Rzeczy, które ci się przydarzają albo – już sama myśl o tym przeraża – które mówisz lub robisz, będąc pod wpływem alkoholu, powrócą do twojej pamięci, tylko jeżeli ponownie będziesz pod wpływem dokładnie takiej samej ilości alkoholu. Wspomnienia te są całkowicie poza zasięgiem zwykłego, trzeźwego umysłu. Z tego powodu, po jakimi nierozważnym wieczornym wyjściu, będziesz jedyną osobą, nie mającą zielonego pojęcia o kretyńsko głupiej uwadze, którą rzuciłeś komuś, na czyich uczuciach bardzo albo tylko trochę ci zależy. Minie kilka tygodni, miesięcy albo – w przypadku sylwestra – dokładnie rok, aż sytuacja z obrzydliwym łąpaniem nagle powróci do twojej świadomości. Zrozumiesz, dlaczego ludzie od tak dawna cię unikają albo patrzą ci w oczy szklistym spojrzeniem. Często skutkiem jest wyrzucenie z siebie głośnego „Jezus Maria!” i sięgnięcie po porządnego drinka, co prowadzi do następnego stadium upojenia alkoholowego, w którym na sprawienie ci przyjemności czekają nowe wstrząsy.

To samo dzieje się w drodze powrotnej. Istnieją określone wspomnienia, ponownie wyzwalone poprzez znalezienie się w tym samym stanie odwodnienia, w jakim miało miejsce oryginalne

wydarzenie. Stąd bierze się problem z Zobowiązaniami Noworocznymi. Nigdy tak naprawdę nie pamiętamy poczynionych zobowiązań (nawet jeżeli je zapisaliśmy) – aż do dokładnie tego samego momentu w następnym roku, i kiedy w straszliwy sposób jest nam przypominana nasza kompletna niezdolność trzymania się ich dłużej niż przez siedem minut.

Jakie jest więc rozwiązanie tego straszliwego, samozachowującego się problemu? No cóż, oczywiście rygorystyczna samodyscyplina. Klasztorne stosowanie reżimu obejmującego gotowane na parze warzywa, czystą wodę, długie spacery, regularne ćwiczenia gimnastyczne, wczesne wieczory, wczesne poranki i prawdopodobnie jakiś rodzaj olejków zapachowych lub coś podobnego. Poważnie jednak: to, czego najbardziej pożądamy w Nowy Rok i rozpaczliwie próbujemy sobie przypomnieć, to dobra kuracja przeciwkacowa – zwłaszcza taka, która nie wymaga przebicia się przez lód i zanurkowania w najbliższym stawie. Problem w tym, że gdy chcemy z niej skorzystać, nigdy żadnej nie pamiętamy, a nawet nie wiemy, gdzie szukać odpowiednich recept. Powodem niepamiętania recept antykacowych, kiedy chcemy z nich skorzystać, jest to, że słyszymy je wtedy, gdy właściwie ich nie potrzebujemy, co nic nie daje – z wymienionych powyżej powodów. Po głowie będą ci chlupotać mdlące obrazy, na których pojawiają się żółtka jajek i sos tabasco, ale nie jesteś w na tyle przyzwoitym stanie, by zebrać myśli. Dlatego istnieje pilna potrzeba zebrania ich teraz, kiedy jeszcze czas. Wznoszę apel o dostarczanie dobrych, skutecznych metod odświeżania mózgu w Nowy Rok, a nie wymagających chirurgii czaszki. Kuracje przeciwkacowe kierujemy na [www.h2g2.com](http://www.h2g2.com). Niech najbliższe tysiąc lat będzie szczególnie dobre dla was i waszych potomków.

Z: „The Independent on Sunday”,

grudzień 1999

\*



## Moje ulubione pitko

Uwielbiam whisky w każdej postaci. Uwielbiam jej wygląd w butelce, soczystą złotą barwę. Uwielbiam ustawione na półce etykiety – widok kiltów, claymore’ów i nieco nieostrych owiec\*. Uwielbiam poczucie, że jest to napój – w odróżnieniu od na przykład wódki z Warrington – grający znaczącą rolę w kulturze i historii miejsca, gdzie się go destyluje. Szczególnie uwielbiam dymne, brzoskwińowe aromaty single maków. Tak naprawdę jedyną rzeczą, jakiej nie lubię w whisky, jest to, że jeżeli wezmę najzwyczajniejszy łyk tego towaru, wysyła on impuls ostrego bólu z tyłu mojej lewej gałki ocznej do samego czubka prawego łokcia i zaczynam chodzić w bardzo szczególny sposób, wpadając na ludzi i warcząc na meble. Z tego względu nauczyłem się kierować uwagę na inne pitka.

Lubię margarity, ale sprawiają, że kupuję bardzo głupie rzeczy. Zawsze kiedy wypiję kilka margarit, budzę się rano ze strachem, cóż znajdę na dole. Najgorszy był prawie dwumetrowy ołówek i szeroka na pół metra kauczukowa gumka do wycierania, które sprowadziłem z Nowego Jorku w wyniku nieroztropnego pójścia w tango. Niezbyt zrozumiałe było to, że przybyły kilka tygodni po mnie, znalazłem je więc rano po wypiciu do wieczornej pizzy kieliszka chianti.

Z tego powodu kiedy jestem w Nowym Jorku, pijam stoliczną z martini, ponieważ to bardzo elegancki, wyszukany i nowojorski drink, a poza tym – co najważniejsze – czyni mnie niezdolnym do zrobienia czegokolwiek głupiego czy w ogóle czegokolwiek – choć zdarza mi się pod ich wpływem bardzo rozumnie konwersować o chromodynamice kwantowej lub hodowli świń.

Lubię krwawą mary, ale piję ją tylko na lotniskach. Nie mam na to wyjaśnienia. Nigdy nie przychodzi mi do głowy, aby napić się krwawej mary przy normalnym biegu spraw, posadź mnie jednak w lotniskowej poczekalni, a pognam po wódeczkę i sok pomidorowy jak szczur, zwiewający z tonącego statku, po czym kilka godzin później przybędę do miejsca przeznaczenia z głową pękającą od szybkiego pokonania dużej odległości.

W domu pijam zwykle to, co akurat stoi w lodówce, a zazwyczaj jest tego bardzo mało. Moja lodówka ma osobliwą cechę: wkłada się do niej butelkę dobrego szampana, a kiedy się po niego przyjdzie, zamienił się w butelkę obrzydliwego, taniego wina. Jeszcze nie rozpracowałem, jak to się dzieje, zwykle pocieszam się jednak szklaneczką najnudniejszego drinka świata, jedyne, którego mogę pić bez jakichkolwiek skutków chorobowych – ginu z tonikiem.

„The Independent on Sunday”,

grudzień 1990



## Wstęp do scenariuszy radiowych

Te krótkie pogaduszki na początku książek to dla mnie przyjemność. Jest to oczywiście wierutne kłamstwo. Tak naprawdę człowiek walczy, próbując skończyć lub przynajmniej zacząć książkę, którą obiecał oddać siedem miesięcy temu, a tu napływają fakсы z zapytaniem, czy nie mógłbym jeszcze napisać krótkiego wstępu do książki, o której dokładnie pamiętam, że mniej więcej w 1981 roku napisałem na jej zakończeniu KONIEC. Nie zajmie to – obiecuje faks – więcej niż dwie minuty. Jak cholera nie zajmie. Zajmuje mniej więcej trzynaście godzin, przez co nie idę na kolejne przyjęcie, żona przestaje się do mnie odzywać, a książka robi się już tak spóźniona, że trzeba będzie zrezygnować z wakacji pod namiotem w Pirenejach, żona przestanie całkiem ze mną rozmawiać, bowiem pomysł wakacji pod namiotem był mój, a nie jej; zgodziła się jechać tylko dlatego, bo chciałem, a teraz będzie musiała jechać sama, przy czym doskonale wiem, że nienawidzi campingu. (Tak się składa, że ja też. Trochę tu zmyślam).

Zaraz potem przychodzą dalsze fakсы z żądaniem kolejnych wstępów – tym razem do wydań okolicznościowych, gdzie w jednym tomie umieszcza się kilka książek, do każdej z których już pisałem osobny wstęp. Po jakimś czasie stwierdzam, że napisałem tyle wstępów, iż ktoś je chyba zbierze do kupy, zrobi z nich książkę i poprosi mnie o napisanie do niej wstępu. Nie idę na kolejne przyjęcie, nie jadę nurkować na Azory i odkrywam, że żona nie rozmawia ze mną, ponieważ jest już żoną kogo innego. (Tu też trochę zmyślam – o ile się orientuję).

W dniach, kiedy byłem w stanie chadzać na przyjęcia, innymi słowami – w dniach, kiedy napisałem jedynie kilka książek, a pisanie do nich wstępów dopiero miał się stać pełnoetatowym zajęciem, po odkryciu, że dwoje moich przyjaciół się nie zna, mnóstwo czasu oszczędzało mi proste powiedzenie: „To jest Peter, to jest Paula – może się poznać?”\*. Zazwyczaj fantastycznie to funkcjonowało i zanim człowiek zdążył się połapać, Peter i Paula byli szczęśliwą parą i jechali na wspólne wakacje narciarskie w Alpach Francuskich z moją żoną oraz jej drugim mężem.

A więc, drogi Czytelniku: oto rocznicowe wznowienie scenariuszy radiowych do *Autostopem przez Galaktykę*. Może zapoznasz się z nimi sam?

Ta krótka pogaduszka była dla mnie przyjemnością.

Wstęp do: *The Original Hitchhiker Scripts*,

Wydanie z okazji 10 rocznicy

(Harmony Books, maj 1995)

*Jak przyszły pisarz powinien się zabrać za zostanie autorem?*

Po pierwsze, należy zrozumieć, że to bardzo trudne, a pisanie jest wyczerpującym i samotniczym zajęciem oraz – o ile nie ma się niezwykłego szczęścia – także źle płatnym. Pomaga, jeżeli się tego bardzo, bardzo, bardzo chce. Po drugie, trzeba coś napisać. Jeżeli nie jest się wiernym wyłącznie pisaniu powieści, sugerowałbym, aby zacząć od pisania dla radia. Jest to ciągle jeszcze stosunkowo łatwy środek wyrazu dla pisarzy, ponieważ w wielkim stopniu polega na wyobraźni.

\*

## Niedokończona sprawa stulecia

Pozostało już tylko kilka dni. Moim zdaniem to ważne, aby nie zostawić stulecia, tym bardziej tysiąclecia, bez posprzątania po sobie, a istnieje pewna zdecydowana sprawa, którą należy się zająć. Proponuję, aby wspólnota internetowa spróbowała określić tę nie dokończoną sprawę i sprawdziła, czy moglibyśmy – razem – ją zakończyć, tak abyśmy wszyscy mogli cieszyć się obchodami Nowego Roku z poczuciem dobrze wypełnionego stulecia. Najpierw jednak słówko do pedantów.

Wiem, że wszyscy uważacie, iż tysiąclecie nie zmieni się, dopóki nie minie kolejny rok i jesteście bardzo w związku z tym nużący. Prawda jest taka, że tak bardzo zależy wam na posiadaniu czegoś, co pozwoli kiwać palcem na resztę świata, iż kompletnie mijacie się z sednem zagadnienia. **TO NIE MA JAKIEGOKOLWIEK ZNACZENIA!** To jedynie wymówka, aby w chwili, gdy zmieniają się wszystkie cyferki, móc krzyknąć: „Rany! Popatrzcie na to! Znikają!”.

Jakiegokolwiek inne znaczenie może to mieć? Dziesięć (wraz z jego wielokrotnościami) to arbitralna liczba. 1 stycznia to arbitralna data. Jeżeli tak się składa, że uważasz dzień narodzin Chrystusa za istotny moment, to jedynym, co można powiedzieć z jakąkolwiek pewnością, jest to, że nie zdarzyło się to w roku 1 A.D. Ani w roku 0 A.D., jeżeli poprzedni rok tak się nazywał (a wszyscy wiemy, ponieważ pedanci bez przerwy na ten temat dudnią, że się tak nie nazywał).

Poza tym, jak mówią historycy (znacznie ciekawsza banda od pedantów), tyle razy bawiono się od tamtego czasu kalendarzem, że cały spór jest tym bardziej bezprzedmiotowy.

Weźmy pod uwagę to – dopiero stosunkowo niedawno, za pomocą zegarów atomowych i tym podobnych urządzeń, dokładnie zdefiniowaliśmy i dokonaliśmy standaryzacji rachuby czasu oraz dat. 1 stycznia 2000 roku (jeżeli wierzyć czarnowidzom) wszystkie nasze systemy komputerowe oszaleją i cofną nas z powrotem do epoki kamienia łupanego (albo i nie, co też może się zdarzyć). Wydaje mi się, że północ 31 grudnia to jedyny stały i wiarygodny punkt odniesienia, jaki pozostanie nam w całym nieszczęsnym zamieszaniu, być może należałoby jakoś go uczcić. Zamiast gadać, że źle obliczyliśmy koniec tysiąclecia (a raczej dwutysiąclecia), powinniśmy uznać, że to nasi przodkowie źle obliczyli jego początek, a my tylko naprawiliśmy zamieszanie, by zacząć własne. Jakie to poza tym ma, do diabła, znaczenie? Przecież i tak chodzi jedynie o pretekst do zorganizowania przyjęcia.

Najpierw jednak wróćmy do nie dokończonej sprawy.

Parę dni temu, w trakcie śpiewania z moją pięcioletnią córką, dotarło do mnie, że jedną ze szczególnie dręczących Niedokończonych Spraw jest tekst piosenki *DO-RE-MI* z filmu *Dźwięki muzyki*. Nie ma on może rangi globalnego kryzysu, mimo to za każdym razem, gdy jej słucham, wściekam się, a naprawienie problemu nie powinno być aż tak trudne!

Niestety jest.

Przyjrzyjmy się.

Każda linijka piosenki zaczyna się od sylabowej nazwy dźwięku naturalnej skali dźwiękowej i nadaje im znaczenie:

*DO (doe), a deei; a female deer,*

*RE (ray), a drop of golden sun*

i tak dalej. Jak na razie nie ma w tym nic złego.

*MI (me), a name I call myself,*

*FA (far), a long, long way to run\*.*

Znakomicie. Nie powiem, że to Keats, ale frazy są dowcipne i wszystko jest spójne. Teraz przechodzimy do finiszu.

*SO (sew), a needle pulling thread.*

Niech będzie.

*LA, a note to follow SO...\**

Co?! Słucham? *LA – nuta, która następuje po SO...* Co to za pseudo-wers?

No cóż, jest rzeczą oczywistą, co to za wers. To zapchajdziura. Zapchajdziura to taki twór, który pisarz stosuje, kiedy w danej chwili nie przychodzi mu do głowy odpowiednia linijka albo odpowiedni pomysł. Wstawia więc byle co, by wrócić później do tego miejsca i poprawić niedociągnięcie. Moim zdaniem Oscar Hammerstein po prostu wstawił zdanie: „Nuta, która następuje po SO” i uznał, że rano rzuci okiem jeszcze raz na zwrotkę i ją poprawi.

Problem w tym, że kiedy rano jeszcze raz rzucił okiem na zwrotkę, nie przyszło mu do głowy nic lepszego. Następnego dnia też nie. Jasny gwint, musiał pomyśleć – to proste. Prawda? „LA... coś... coś... co?”.

Nietrudno sobie wyobrazić zbliżające się próby. Terminy nagrań. Może uda się poprawić wers w ciągu dnia. Może ktoś z obsady podsunie rozwiązanie. Niestety, nic z tego. Nikomu nie udało się wybrnąć z kłopotu, stopniowo nędzna zapchajdziura wypuściła korzenie i jest obecnie formalną częścią piosenki, filmu i tak dalej.

To nie mogło być trudne. Co sądzicie o takiej propozycji „LA... a... a...”, no cóż, akurat w tej chwili nic mi nie wpada do głowy, sądzę jednak, że jeżeli cały świat zbierze siły i się za to zabierze, rozgryziemy problem. Uważam, że nie powinniśmy pozwolić stuleciu zakończyć się przy tak żenującym stanie nieładu w tak popularnej piosence.

Co jeszcze? Jaka jest wasza opinia? Jakie mamy sprawy, których rozwiązanie w następnych miesiącach jesteśmy sobie winni – zanim cyfry się przesuną i będziemy mieć na głowie zestaw nowusieńkich, błyszczących problemów XXI wieku? Światowy głód? Lord Lucan\*? Jimmy Hoffa\*?

Gdzie schować stare ośmiościeżkowe taśmy magnetofonowe, aby nikt w XXI wieku nie musiał ich już nigdy więcej oglądać? Propozycje i odpowiedzi proszę zgłaszać na [www.h2g2.com](http://www.h2g2.com).

„The Independent on Sunday”

listopad 1999

\*

**OBSADA MARZEŃ – FILM:** Sean Connery jako Bóg, John Cleese jako Archanioł Gabriel, Goldie Hawn jako młodsza siostra Matki Teresy, Trusie. Gościnnie występ Boba Hoskinsa jako detektywa inspektora Phila Makepiece'a.

**ROCKOWY ZESPÓŁ MARZEŃ** – Mój stuprocentowo wymarzony zespół rockowy już nie istnieje, ponieważ gitarzysta rytmiczny został zastrzelony. Wziąłem jednak ich basistę, ponieważ jest bezdyskusyjnie najlepszy. Istnieją może gracze bardziej pirotechniczni, ale jeśli chodzi o czystą muzykalność, pomysłowość i werwę, nie ma nikogo lepszego od McCartneya. Wokal będzie wykonywał z Garym Brookerem, najwspanialszym soulowym głosem brytyjskiego rock and rolla i pianistą jak diabli. Dwóch gitarzystów prowadzących (mogą na zmianę grać rytm) – Dave Gilmour, o którym mi się zawsze marzyło, aby grał z Garym Brookerem, ponieważ obaj mają wielkie wyczucie dramatyizmu i rozbudowywania linii melodycznych oraz Robbie McIntosh, który jest zarówno wspaniały w blues – rocku, jak i znakomicie umie grać na gitarze akustycznej. Perkusja: Steve Gadd (pamiętacie *50 Ways\**? Mając zespół tej wielkości, mniej lub bardziej musi w nim grać na perkusji maestro Ray Cooper – choć bardzo nęcące byłoby także włączenie tej niesamowitej kobiety – perkusistki z zespołu Van Morrisona, którego nazwiska nie pamiętam. Smyczki? Sekcja dęta? Royal Philharmonic? Nowoorleański jazzband? Do tego wszystkiego potrzeba by magika syntetyzatora Paula „Wixa” Wickensa. I wielkiej ciężarówki.

**KOCHANKA MARZEŃ** – Dagenham Girl Pipers\*. Z całym niezbędnym szacunkiem i miłością wobec mojej drogiej żony, istnieje kilka rzeczy, które – niezależnie od tego, jak kochająca i czuła jest twoja żona – może ci dać jedynie duża grupa, nawykła grać na dudach.

**PROJEKT MARZEŃ** – Mając nieograniczone zasoby finansowe z największą przyjemnością sfinansowałbym duży projekt badawczy, dotyczący pochodzenia człowieka, przejścia od małpy do istoty ludzkiej. Kilka lat temu zafascynowała mnie hipoteza „małpy wodnej”, mówiąca, że w pewnej fazie ewolucji, po rozejściu się naszych dróg, nasz przodek prowadził wodny tryb życia. Słyszałem, że idea ta była wielokrotnie wyśmiewana, nie została jednak nigdy przekonująco obalona i chętnie poznałbym prawdę – niezależnie od tego, jaka by się okazała.

## INNE KARIERY MARZEŃ

Zoolog, muzyk rockowy, twórca programów komputerowych.



**WAKACJE MARZEŃ** – Poważne nurkowanie w Australii, wyjąwszy Wielką Rafę Koralową, w cudownie czystej wodzie Morza Koralowego – Cod Hole, nurkowanie z obserwowaniem rekinów, nurkowanie we wrakach, następnie przelot do Australii Zachodniej na nurkowanie w otoczeniu potężnych rekinów wielorybich, a na koniec przelot do Shark Bay na nurkowanie z delfinami. W drodze do domu zatrzymałbym się na kolację w Hongkongu.

**DOM MARZEŃ** – Coś wielkiego i chaotycznie zbudowanego na jakiejś plaży, prawdopodobnie daleko na północ od Queenslandu, gdzie wokół miałbym masę dzikich zwierząt i szerokopasmowe łącze komputerowe do łączenia się z resztą świata. No i łódź oraz półciężarówkę.

**KUCHNIA MARZEŃ** – Gdyby kazano mi wybrać kuchnię jednego kraju i jeść do końca życia potrawy pochodzące tylko z niej, zdecydowałbym się na japońską.

**WOLNY DZIEŃ MARZEŃ** – Prawda jest taka, że już go przeżyłem. W 1968 roku razem z przyjacielem wzięliśmy sobie w szkole dzień wolny, pojechaliśmy do Londynu i po południu obejrzelśmy w Cineramie *2001: Odyseję kosmiczną*, a wieczorem byliśmy w Albert Halli na koncercie Simona i Garfunkela.

„The Observer”

10 marca 1995

*Skąd czerpie pan inspirację do swoich książek?*

Mówię sobie, że nie wolno mi wypić kolejnej kawy, dopóki nie wpadnę na nowy pomysł.

Ludzie często mnie pytają, skąd biorę pomysły – czasami po osiemdziesiąt siedem dziennie. Jest to dobrze znany problem pisarza, a prawidłowa odpowiedź na pytanie brzmi, że najpierw należy wziąć głęboki wdech, uspokoić puls, wypełnić umysł spokojnymi, łagodnymi obrazami jaskrów na wiosennych łąkach oraz śpiewem ptaków, a następnie spróbować powiedzieć: „Cóż... to bardzo ciekawe pytanie...”, dopiero potem się załamać i zacząć w nieopanowany sposób łąkać.

Prawda jest taka, że nie wiem, skąd biorą się pomysły ani nawet, gdzie ich szukać. Żaden pisarz tego nie wie. No, choć to nie do końca tak. Gdyby pisało się książkę o zachowaniach godowych świń, prawdopodobnie dałoby się uzyskać kilka nie najgorszych pomysłów, posiedziawszy trochę w plastikowym płaszczu w oborze, jeśli jednak czyjaś materia jest fikcja literacka, jedyną radą, jaką można dać, to – pij za dużo kawy i kup sobie biurko, które się nie rozwali, kiedy będziesz tłukł głową w blat.

Oczywiście przesadzam. Na tym polega moja praca. Istnieje kilka konkretnych pomysłów, co do których dokładnie pamiętam, skąd się pojawiły. Przynajmniej mi się wydaje, że mógłbym to sobie przypomnieć – potrzebowałbym się jedynie trochę przygotować. To też część mojej pracy. Kiedy muszę napisać coś dużego, często wielokrotnie słucham tego samego utworu muzycznego. Oczywiście nie podczas pisania jako takiego – wtedy musi panować raczej spokój, ale wtedy, gdy idę po kolejną filiżankę kawy albo robię tosta, albo czyszczę okuli albo próbuję znaleźć toner do drukarki, albo zmieniam struny w gitarze, albo sprzątam z blatu biurka filiżanki po kawie i okruchy po toście, albo idę do łazienki, aby sobie usiąść i przez pół godziny pomyśleć – innymi słowami, przez większą część dnia. Efekt jest taki, że dużo moich pomysłów bierze się z piosenek. No cóż, przynajmniej stąd wziął się jeden lub dwa. Aby być dokładnym – tylko jeden pomysł wziął się z piosenki, zachowuję jednak zwyczaj na wypadek, gdyby miał znów zadziałać, co się nie stanie, ale to nieistotne.

Tak więc wiecie teraz, jak to się robi. Proste, prawda?

*Z: Autostopem przez Galaktykę (wydanie zebrane),*

DC Comics

maj 19971

*Jeżeli istnieje ktoś, kto powinien to czy owo wiedzieć o podróżowaniu, musi to być gość, który jadł hamburgery i frytki w restauracji na końcu wszechświata. Wyśledziliśmy pisarza Douglasa Adamsa w jego nowym domu w Stanach, gdzie sprowadził się niedawno na czas kręcenia „Autostopem przez Galaktykę”.*

### **Jakie jest pana najlepsze wspomnienie z dzieciństwa?**

W dzieciństwie moje wakacje bywały dość skromne – główną atrakcją były dwa tygodnie na Wyspie Wight, kiedy miałem sześć lat. Pamiętam, że złapałem coś, co choć miało wielkość znaczka pocztowego, moim zdaniem na pewno było płastugą i natychmiast zdechło, gdy próbowałem trzymać to jako zwierzątko domowe.

### **Wrócił pan tam kiedyś później?**

Byłem na Wyspie Wight chyba jeszcze raz. Zatrzymałem się w hotelu, w którym wieczornymi rozrywkami było gaszenie światła w restauracji i obserwowanie, jak na trawniku bawi się rodzina borsuków.

### **Dokąd pojechał pan na pierwsze wakacje bez rodziców?**

Kiedy miałem osiemnaście lat, jeździłem autostopem po Europie.

### **Dokąd pan dotarł?**

Byłem w Austrii, Włoszech, Jugosławii i Turcji. Mieszkałem w schroniskach młodzieżowych i na polach namiotowych, uzupełniałem dietę w trakcie darmowego zwiedzania browarów. Szczególnie piękny był Sztambuł, pobyt tam zakończył się jednak dla mnie straszliwym zatruciem pokarmowym i musiałem wracać do Anglii pociągiem, śpiąc na korytarzu tuż obok klozetu. Ech, magiczne czasy...

### **Był pan tam ponownie?**

Odwiedziłem Sztambuł jeszcze raz. Wracałem samolotem z Australii i postanowiłem zatrzymać się

w Stambule. Jazda taksówką z lotniska i pobyt w eleganckim hotelu zamiast jazdy na pace ciężarówki i spania na zapleczu taniego pensjonatu jakoś odarło sytuację z magii. Spacerowałem przez kilka dni, próbując uniknąć spotkania ze sprzedawcami dywanów, ale wkrótce zrezygnowałem.

### **Do jakiego najbardziej oddalonego od cywilizacji albo najdziwniejszego miejsca pan trafił?**

Najbardziej oddalonym od świata miejscem jest oczywiście Wyspa Wielkanocna – sławna z tego, że znajduje się dalej od wszystkiego, co gdziekolwiek się znajduje. Najdziwniejsze przy tym, że trafiłem tam całkiem przypadkowo i jedynie na jakąś godzinę. Była dla mnie bardzo ważna lekcja, a brzmi ona: „Czytaj, co masz napisane na bilecie”.

### **Kiedy pan się tam znalazł i dlaczego?**

Leciałem z Santiago do Sydney i byłem nieco zmęczony, bowiem dwa tygodnie spędziłem na szukaniu niedźwiedzi morskich i nie zorientowałem się, jaki jest cel lotu do chwili, aż pilot oznajmił, że podchodzimy do międzylądowania na Wyspie Wielkanocnej, na której spędzimy godzinę.

Pod lotniskiem stało sporo minibusów, wożących turystów do najbliższej kamiennej głowy, by mogli rzucić na nią szybkie spojrzenie w czasie tankowania samolotu. Było to bardzo frustrujące, ponieważ gdybym poprzedniego dnia zwrócił uwagę na bilet, bez trudu mógłbym go przepisać i zostać tam kilka dni.

### **Jakie jest pana ulubione miasto? Co najbardziej pana w nim fascynuje?**

W wyobraźni Florencja, ale tylko z powodu wspomnień z wyprawy w okresie studenckim i spędzaniu na słońcu kończących się objawieniami dni, przy tanim winie i w otoczeniu sztuki. Niedawne pobyty przysłoniły te wspomnienia korkami ulicznymi i smogiem.

Teraz powiedziałbym, że moim ulubionym miastem jest coś małego: Santa Fe w Nowym Meksyku. Uwielbiam powietrze wyżynnej pustyni, margaritę i guacamole, srebrne sprzączki przy paskach i poczucie, że siedzący obok w kawiarni ludzie są najprawdopodobniej laureatami nagrody Nobla.

### **Kiedy ostatni raz podróżował pan autostopem?**

Mniej więcej dziesięć lat temu, na wyspie Rodrigues na Oceanie Indyjskim. Autostop był jedyną metodą okrążenia wyspy. Publicznego transportu nie było, kilka osób posiadało jednak land-rovery, należało więc żywić się nadzieją, że akurat będą przejeżdżać. Skończyło się na tym, że o zmierzchu utknąłem w lesie bez płynu przeciwko komarom. Przeżyłem wtedy najstraszniejszą noc mego życia.

**Gdzie najbardziej się panu podobało podczas zbierania materiałów do *Ostatniej okazji, by ujrzeć*?**

Na Madagaskarze – choć tak naprawdę było to preludium do właściwego zbierania materiałów. Zakochałem się w lesie, lemurach i ciepłe ludzi.

**Co jest, pańskim zdaniem, najciekawszą w Galaktyce konstrukcją, wykonaną ludzką ręką?**

Zapora, budowana obecnie przy Przełomie Trzech Wąwozów na rzece Jangcy. Choć lepszym określeniem byłoby chyba „zdumiewająca”. Zapory niemal nigdy nie robią tego, co powinny – powodują niewiarygodne zniszczenia, mimo to w dalszym ciągu je budujemy i nie mogę się temu nadziwić. Jestem przekonany, że gdybyśmy cofnęli się wystarczająco daleko w historii gatunku ludzkiego, na pewno znaleźlibyśmy pełzające gdzieś w nas geny bobrów. To jedyne sensowne wyjaśnienie.

**Był pan tam kiedyś?**

Nie byłem nad Jangcy od chwili rozpoczęcia budowy. Nie mam ochoty oglądać tego urządzenia.

**A najciekawszy twór naturalny?**

Zgodnie z wiarygodnym doniesieniem w „Weekly World News”, gigantyczna, mierząca 3200 kilometrów długości ryba, orbitująca wokół Jowisza. Zdjęcie było bardzo przekonujące, jestem tylko zaskoczony tym, że więcej szczegółów nie dostarczyły bardziej renomowane media, takie jak „New Scientist” czy choćby „The Sun”. Powinno się nas informować.

**Gdyby miał pan wymienić miejsce, które „wygląda jakby właśnie spadło z kosmosu”, co przyszłoby panu na myśl?**

Fjordland na Wyspie Południowej w Nowej Zelandii. Niesamowita mieszanina gór, wodospadów, jezior i lodu – chyba najbardziej niezwykle miejsce, jakie widziałem.

**Gdyby mógł pan w tej chwili udać się w dowolne miejsce wszech świata, dokąd by się pan udał, w jaki sposób i kogo oraz co zabrał by pan ze sobą?**

Lokalnie, chyba na Europę, jeden z szesnastu księżyców Jowisza. Jest to jedno z najbardziej tajemniczych ciał niebieskich w układzie słonecznym, uwielbiane przez pisarzy science fiction, ponieważ należy do tych nielicznych, na których może istnieć jakaś forma życia, a jego struktura wykazuje pewne ciekawe cechy, które doprowadziły do dzikich spekulacji o nienaturalnym pochodzeniu. Na dodatek w te noce, kiedy istnieje odpowiedni układ warunków orbitalnych, musi oferować wspaniały widok na rybę.

Wywiad przeprowadzony przez Claire Smith,

Virgin.net, Ltd.,

22 września 1999

\*

## Jazda na grzbiecie diabła

Każdy kraj jest jak specyficzny typ człowieka. Ameryka przypomina wojowniczego nastolatka, Kanada inteligentną trzydziestopięcioletnią kobietę. Australia jest jak Jack Nicholson. Podchodzi tuż-tuż, po czym w bardzo groźny i niezwykle ujmujący sposób wybucha człowiekowi śmiechem prosto w twarz. Tak naprawdę nie chodzi o kraj jako taki – raczej o coś w rodzaju cienkiej skorupki na wpół oszalałej cywilizacji, oblepiającej krawędź rozległej, surowej dziczy, rozpalonej do czerwoności, pełnej kurzu oraz kicających stworów.

Jeżeli powiesz Australijczykom, że podoba ci się ich kraj, większość z nich ironicznie się zaśmieje i powie: „No cóż, w końcu to ostatnie miejsce, jakie jeszcze zostało, prawda?” i jest to typowy australijski, niepokojący tekst. Człowiek nie bardzo wie, co mają na myśli, ale martwi się, na wypadek gdyby mieli rację.

Już sama świadomość, że to miejsce tkwi przycupnięte z drugiej strony świata, gdzie nie można go dostrzec, jest niepokojąca i zawsze szukam pretekstu, aby tam pojechać – choćby po to, aby rzucić na Australię uważnie okiem. Przypadkiem tak się też składa, że uwielbiam ten kraj. Większości jeszcze nie widziałem, jest jednak tylko jedno miejsce, na ponowne odwiedzenie którego długo czekałem – miałem tam bowiem do załatwienia mogącą doprowadzić do rozpaczy, nie zamkniętą sprawę.

Kilka tygodni temu nieoczekiwanie znalazłem pretekst, którego szukałem.

Byłem w Anglii. Wiem o tym, ponieważ siedziałem na deszczu, pod mokrym kocem, na błotnistym polu, słuchając jakiejś pieprzonej orkiestry w czymś przypominającym czerwony namiot, w którym grano przeboje ze ścieżek dźwiękowych amerykańskich filmów. Czy istnieje jakiegokolwiek inne miejsce na świecie, gdzie ludzie robiliby coś takiego? Jakiegokolwiek? Robiliby coś podobnego we Włoszech? Robiliby to na Wyspie Baffina? Nie. Moim zdaniem nawet w Japonii, gdzie jednym z narodowych hobby jest wyszarpywanie sobie za pomocą noża własnych wnętrzności, postawiono by znak stop.

Między kolejnymi atakami deszczu i trąb nawiązałem konwersację z uroczym jegomościem, który okazał się najbliższym sąsiadem mojej siostry z Warwickshire, gdzie znajdowało się owo nasączone wodą pole. Nazywał się Martin Pemberton, a był wynalazcą i projektantem. Wśród rzeczy, które wymyślił lub zaprojektował, znajdowały się rozmaite istotne elementy pociągów metra, wspaniałe nowy myślący toster oraz Sub Bug.

– Co to jest – zapytałem grzecznie – Sub Bug?

– Sub Bug – wyjaśnił – to coś w rodzaju napędzanego odrzutowo pojazdu podwodnego. Przypomina nieco przednią część delfina. Trzymasz się z tyłu, a urządzenie ciągnie cię przez morze na głębokości do dziesięciu metrów. Pamiętasz scenę z *Operacji „Piorun”*? To trochę jak tam. Doskonałe do badania raf koralowych.

Nie jestem pewien, czy dokładnie tak powiedział. Mógł się wyrazić: „lazurowego morza” albo:

„przejrzystych głębin”. Prawdopodobnie nie mówił o rafach koralowych, ale kiedy siedziałem w zacinającym deszczu i obserwowałem, jak zbiegła parasolka zataczając się, mija estradę, w moim mózgu powstał taki właśnie obraz.

Musiałem wypróbować ten sprzęt. Powiedziałem to Martinowi. Być może nawet położyłem go siłą na łopatki i ukląknęłam mu na tchawicy – szczerze mówiąc, wszystko, co się wtedy działo, nieco się rozmazywało – w każdym razie stwierdził, że z przyjemnością pozwoli mi wypróbować egzemplarz swojego wynalazku. Pytanie brzmiało: „gdzie?”. Mogłem wypróbować urządzenie wszędzie – nawet w najbliższym miejskim basenie, ale nie! Sztuka polegała na tym, żeby jakoś doprowadzić do wypróbowania go w Australii, na Wielkiej Rafie Koralowej. Jeżeli miałem jakiemuś nieszczęsnemu czasopismu wydrzeć z gardła pieniądze na podróż, abym mógł wypróbować aparat – a wiercie mi, jest to jedyny sposób, aby podróżować – potrzebowiałem uzasadnienia.

W tym momencie przypomniałem sobie o nie załatwionej sprawie w Australii.

W Whitsundays, na południowym krańcu rafy jest wyspa, na której byłem krótko dziesięć lat temu. To miejsce, zwane Hayman, było wtedy dość okropne. Sama wyspa jest piękna – w odróżnieniu od zbudowanego na niej ośrodka turystycznego, gdzie trafiłem przez pomyłkę, wycieńczony trasą promocyjną, którą właśnie odbyłem. Znienawidziłem to miejsce od razu. Z broszury aż się wylewały takie określenia jak „międzynarodowe”, „znakomite” i „wyszukane”, a znaczyło to tyle, że spomiędzy liści palm walił muzak\*, a co wieczór odbywały się bale przebierańców. W ciągu dnia siedziałem przy stoliku niedaleko basenu, powoli nawalając się tequilą sunrise i słuchając rozmów prowadzonych przy pobliskich stolikach, których najczęstszym tematem zdawały się być wypadki drogowe z udziałem ciężarówek. Wieczorem oddalałem się zakręcony do pokoju, aby uniknąć widoku spitych do szaleństwa Australijczyków i Australijek, siejących po nocy zniszczenie w spódniczkach z trawy albo kowbojskich kapeluszach, albo w tym, co akurat było hasłem balu kostiumowego i oglądałem na hotelowym wideo filmy z Mad Maksem. Także w nich pokazywano liczne wypadki samochodowe, częściowo z udziałem ciężarówek. Nie byłem w stanie znaleźć czegokolwiek do czytania. W sklepie hotelowym były tylko dwie przyzwoite książki, a obie sam napisałem.

Pewnego razu rozmawiałem na plaży z parą Australijczyków. „Cześć, nazywam się Douglas, nie macie dość tego muzaka?”. Stwierdzili, że właściwie to nie. Ich zdaniem było to coś bardzo przyjemnego, międzynarodowego i wyszukanego. Mieszkali na owczej farmie jakieś dziewięćset kilometrów na zachód od Brisbane, gdzie jedyną rzeczą, jaką słysząc, to ich zdaniem: „nic”. Uznałem, że to musi być bardzo przyjemne, na co odparli, że po jakimś czasie robi się nudne, a cichy lekki muzak jest dla nich jak balsam. Nie chcieli się zgodzić z moją koncepcją, że raczej przypomina całodzienne zapychanie ludziom uszu spamem i wkrótce nasza konwersacja umarła śmiercią naturalną.

Uciekłem z wyspy Hayman i trafiłem na łódź nurkową przy Rafie Hooka, gdzie spędziłem najlepszy tydzień w życiu, badając korale, nurkując w towarzystwie ogromnej różnorodności ryb, delfinów, rekinów, a nawet jednego płetwala karłowatego.

Dopiero po wyjeździe z wyspy Hayman dowiedziałem się o czymś naprawdę ważnym, czego nie obejrzałem.



Po drugiej stronie wyspy była schowana zatoczka o nazwie Manta Ray Bay, pełna – jak należało się spodziewać po nazwie – diabłów morskich: olbrzymich, pełnych wdzięku, podwodnych latających dywanów, będących jednymi z najpiękniejszych zwierząt na świecie. Człowiek, który mi o tym opowiadał, twierdził, że to tak spokojne i łagodne stwory, że pozwoliłyby jeździć ludziom na grzbietach. A ja to przeoczyłem! Przez dziesięć lat się tym gryzłem. Dotarły do mnie jakiś czas temu informacje, że cała wyspa Hayman zmieniła się nie do poznania. Została wykupiona przez australijskie towarzystwo lotnicze Ansett, które wydało squalion dolarów na wyrwanie muzaka z palm i przerobienie miasteczka na coś, co było nie tylko międzynarodowe, znakomite, wyszukane i tak dalej, ale także przerażająco drogie i pod każdym względem naprawdę dobre.

Pomyślałem, że właśnie to jest uzasadnienie. Napiszę artykuł o ir porcie Sub Buga na wyspę Hayman, o znalezieniu przyjaznego di morskiego i przeprowadzeniu porównawczej jazdy testowej.’

Każdy zdrowy na umyśle i racjonalny człowiek powiedziałby, że to kompletnie idiotyczny pomysł i przyznam, że wielu tak zrobiło. Tak czy inaczej, oto artykuł: Opis porównawczej jazdy testowej podwodnego, napędzanego pędnikiem, niebiesko – żółtego, jednoosobowego Sub Buga i gigantycznego diabła morskiego.

Udała się?

Zgadnijcie.

Kiedy patrzyłem na przetaczany wózkiem po asfalcie pasa startowe go lotniska na wyspie Hamilton wielki czterdziestokilowy srebrny pojemnik z Sub Bugiem, z ogromną siłą dotarła do mnie ewidentnie niedorzeczna nierzeczywistość pomysłu. Doszło do mnie, że istnieje olbrzymia różnica między opowiadaniem ludziom w Anglii, że wybieram się do Australii, aby przeprowadzić porównawczą jazdę testową Sub Buga i diabła morskiego, a mówieniem ludziom w Australii, że przyjechałem przeprowadzić porównawczą jazdę testową itd. Nagle poczułem się jak kompletnie idiotyczny Anglik, którego każdy znienawidzi i obdarzy pogardą, którego wszyscy będą pokazywać palcami, z którego będą chichotać i się wyśmiewać.

Moja żona Jane spokojnie mi wyjaśniła, że kiedy po przelocie dużej odległości samolotem jestem z powodu zmiany czasu zmęczony i oszołomiony, zawsze zachowuję się paranooidalnie i spytała, czy nie chciałbym się czegoś napić oraz zrelaksować.

Wyspa Hamilton jest dość dobrym przykładem, czego nie należy robić z piękną subtropikalną wyspą, znajdującą się na skraju jednego z największych cudów natury – nie wolno pokrywać jej obrzydliwą, wysoką, śmieciową architekturą, sprzedawać piwa, bawełnianych podkoszulków oraz pocztówek ukazujących, jak była piękna, zanim pojawiły się sklepy z pocztówkami. W każdym razie mieliśmy tam przebywać jedynie przez kilka minut. Przy pirsie obok maleńkiego lotniska czekała na nas Sun Goddess – biały, lśniący jacht, podobny do tych, na jakich (biorąc pod uwagę, że podobno był urzędnikiem państwowym) zwykł nadmiernie dużo czasu spędzać James Bond. Jacht został przysłany po gości, wybierających się na wyspę Hayman i był pierwszym sygnałem, jak bardzo to miejsce się zmieniło.

Zostaliśmy elegancko wprowadzeni na pokład. Jeden służący zaoferował nam po kieliszku szampana, podczas gdy inny trzymał wartę przy przesuwanych szklanych drzwiach prowadzących do klimatyzowanego wnętrza.

Jego zadaniem było otwarcie ich przed nami. Wyjaśnił, że okazało się to konieczne, ponieważ niestety drzwi nie otwierają się automatycznie, kiedy się do nich podchodzi i niektórzy z japońskich gości stoją przed nimi przez kilka minut, coraz bardziej skonsternowani i spanikowani, do chwili, aż ktoś odsunie je ręcznie.

Podróż trwała mniej więcej godzinę, jacht lekko muskał ciemne i świecące morze oświetlane przez jaskrawe słońce. Mijaliśmy oddalone małe wysepki, porośnięte bujną roślinnością. Obserwowałem długi kilwater, rozwijający się na morzu za nami, popijałem szampana i rozmyślałem o starym moście w Sturminster Newton w hrabstwie Dorset. Do dziś przynitowana jest do niego metalowa tabliczka ostrzegająca, że ktokolwiek zechce uszkodzić most albo w jakikolwiek sposób go zbezczęścić, zostanie ukarany przewiezieniem. Do Australii. Sturminster Newton to przemiłe miasteczko, zadziwia mnie jednak, że most jeszcze stoi.

Jane, która znacznie lepiej umie czytać przewodniki ode mnie (zawsze czytam je w drodze powrotnej, by stwierdzić, czego nie widziałem, a często kończy się to szokiem), odkryła coś wspaniałego w książce, którą czytała. Czy wiedziałem, spytała, że Brisbane zostało założone jako kolonia karna dla skazańców, którzy popełnili nowe przestępstwa już po przybyciu do Australii?

Spędziłem dobre pół godziny, rozkoszując się tą informacją. Było to coś wspaniałego. A więc my, Brytyjczycy, nieszczęsne, szare, przemoknięte stwory, siedzieliśmy skuleni pod naszym szarym, północnym niebem, z którego kapie jak ze zaśmierdłego zmywaka i z zapalem posyłałiśmy tych, których chcieliśmy najsurowiej ukarać w miejsce, gdzie mogli sobie posiedzieć w jasnym słońcu na brzegu Morza Tasmana na południowym krańcu Wielkiej Rafy Koralowej i być mc nawet trochę posurfować. Nic dziwnego, że Australijczycy mają specyficzny rodzaj uśmiechu, który zachowują wyłącznie do użytku wobec Brytyjczyków.

Z morza wyspa Hayman wygląda na bezludną – jakby była jedynie dużym, dzikim wzgórzem, otoczonym bladymi plażami, wciskającym się w granatowe morze. Dopiero z bliska da się dostrzec długi, niski hotel, wtulony między palmy. Ponieważ jest praktycznie stłamszony pod czymś, co wygląda na posadzone w donicach, gigantyczne dzikie rośliny, nie ma w zasadzie miejsca, z którego można by mieć nań dobry widok. Wije się i przeciska między roślinnością – kolumny, fontanny, zacienione placyki, tarasy do opalania, dyskretne sklepiki, w których sprzedawane są małe zabaweczki z etykietkami projektantów i cenami, od widoku których może się zatrzymać akcja serca, a które trzeba ostrożnie rozwijać oraz niedyskretnie wielkie baseny.

Wyglądało dość bajecznie. Natychmiast się zachwyciliśmy. Dwadzieścia lat temu za przyjazd do dokładnie takiego miejsca zniechęciłbym każdego, kto by tu przyjechał. Jednym z wielkich plusów starzenia się i dostawania darmowych wakacji jest to, że wreszcie można robić wszystko, za co gardziło się ludźmi: można siedzieć na tarasie i w okularach słonecznych, które kosztują mniej więcej tyle, ile wynosi roczne stypendium studenta, zamawiać u obsługi pokoi groteskowe usługi, być rozpieszczanym i noszonym na rękach przez personel, i który – należy to wyraźnie podkreślić, bo jest to istotny element tego, co dzieje się na wyspie Hayman – nie mówi: „żaden problem”, kiedy

dziękujesz za dolanie szampana do kieliszka, ale: „absolutnie żaden problem”. Naprawdę i rzetelnie chcę, abyś to ty, właśnie ty, a nie jakiś tam stary, tłusty, leżący w kapeluszu słonecznym palant – abyś to dokładnie ty czuł, że nie ma na tym najlepszym ze wszystkich możliwych światów, do którego przybyłeś, żadnych problemów, którymi miałbyś się w jakimkolwiek zakresie przejmować. Naprawdę. Naprawdę. Nawet tobą nie pogardzamy. NAPRAWDĘ. Żaden problem.

Gdyby to tylko była prawda. Problem istniał – oczywiście Sub Bug. To olbrzymie, wspaniałe urządzenie, które przewiozłem dziesięć razy dalej, niż Mojżesz przewiółł za sobą dzieci Izraela, tylko po to, aby sprawdzić, jak wypada na tle diabła morskiego jako środek transportu podwodnego. W wielkim, srebrnym opakowaniu zniesiono go po cichu jachtu i dyskretnie zmagazynowano w centrum nurkowym, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć ani domyślić się jego przeznaczenia.

Zadzwoił telefon w naszym pokoju. Tak się przypadkiem składało, że pokój był bardzo przyjemny. Ponieważ przebywaliśmy w nim na wasz koszt, na pewno chcielibyście usłyszeć, jak wyglądał. Nie był przesadnie wielki, ale bardzo wygodny, słoneczny i gustownie ozdobiony pastelami przedstawiającymi Kalifornię. Naszym ulubionym miejscem był balkon z widokiem na morze, ponieważ miał sterowaną elektrycznie markizę. Klawisz do jej opuszczania i podnoszenia miał dwa ustawienia. Można go było ustawić na tryb AUTO – wtedy markiza opuszczała się sama, gdy wschodziło słońce, albo na tryb MANUEL [*sic!*], w którym to przypadku – jak przypuszczaliśmy – pojawiał się niski, niekompetentny latynoski służący, by zrobić to za nas\*. Bardzo nas to bawiło. Śmialiśmy się, śmialiśmy i śmialiśmy, wypiliśmy kolejny kieliszek szampana, potem jeszcze się trochę pośmialiśmy, a potem zadzwonił telefon.

– Mamy pańskiego Sub Buga – powiedział głos.

– Ach tak... – odparłem. – Oczywiście... eee... Sub Buga. Bardzo dziękuję. Wszystko w porządku?

– Żadnych problemów – odparował głos. – Absolutnie.

– Ach... świetnie.

– Jeśli ma pan ochotę, może pan przyjść rano do centrum nurkowego. Sprawdzimy sprzęt, zobaczymy, jak działa, ustalimy, czego pan potrzebuje, popływamy nim – co pan chce. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby panu pomóc.

– O! Dziękuję. Bardzo dziękuję.

– Proszę się nie przejmować. Absolutnie żaden problem.

Głos był bardzo przyjazny i uspokajający. Moja wywołana lotem paranoja zaczęła nieco ustępować. Poszliśmy na kolację.

W ośrodku były cztery restauracje i wybraliśmy lokal podający orientalne dania z owoców morza. W Australii owoce morza zazwyczaj składają się z ryby barramundy, „robaków” z zatoki Morton

i wszelkich możliwych innych składników.

– Robaki z zatoki Morton są jak homary, ale tylko takie duże – wyjaśniła uśmiechnięta chińska kelnerka, rozstawiając palce wskazujące na odległość mniej więcej ośmiu centymetrów. – Rozbijamy im łebki. Bardzo dobre. Będą państwu smakować.

Tak naprawdę nie bardzo nam smakowały. Restauracja była kunsztownie udekorowana w japońskim czarno – białym stylu, ale jedzenie wyglądało lepiej, niż smakowało, a na dodatek atakowano nas muzakiem. Przez chwilę czułem ducha starej, paskudnej wyspy Hayman, snującego się po nowym, gustownym domu. Pozostałymi trzema restauracjami były polinezyjska, włoska oraz lokal, który najbardziej reklamowano – La Fontaine, restauracja francuska, którą postanowiliśmy zachować sobie na ostatni z czterech wieczorów, choć dręczyły nas w związku z nią dość mocne wątpliwości. O ile nie jestem w Walii, staram się zaprzyjaźnić z miejscową kuchnią, a myśl o przeniesionej do miejsca, w którym się znajdowaliśmy, francuskiej sztuce kulinarnej, nie przepelniała mnie zaufaniem. Mimo wszystko starałem się zachować otwarty umysł, bowiem tak się składa, że jeden z najlepszych posiłków, jaki spożyłem w życiu, składał się z duszonego kraba i chateaubrianda z zebu, przygotowanego na południu Madagaskaru przez szkolonego u Francuzów kucharza. Z drugiej strony Francuzi rozpleniali się po Madagaskarze przez siedemdziesiąt pięć lat i zostawili tam w spadku bogatą spuściznę umiejętności kulinarnych i straszliwej biurokracji. Postanowiliśmy tego wieczoru, że przynajmniej rzucimy na i La Fontaine okiem. Przebijając się w kierunku lokalu, przetrawersowaliśmy akry przepięknie utrzymanych trawników, minęliśmy szereg fortepianów, liczne kandelabry i meble w stylu Ludwika XVI. Stwierdziłem, że przeczesuję rozpaczliwie pamięć w poszukiwaniu jakiegoś mogącego się w niej kołatać wspomnienia o pałacu, powiedzmy, schizmarycznej, osiemnastowiecznej francuskiej dynastii, który – choćby krótko – stał na Wielkiej Rafie Koralowej. Spytałem o to Jane, która jest historykiem – zapewniła mnie, że jestem bardzo głupiutki, po czym poszliśmy spać.

Następnego poranka – i każdego kolejnego – dokładnie o wpół do ósmej rano obudziła nas mewa, która przycupnęła na naszym balkonie i wykonywała mające nas obudzić wrzaski. Po śniadaniu poszliśmy do centrum nurkowego, które znajdowało się niecały kilometr od hotelu i spotkaliśmy się z Ianem Greenem.

To on dzwonił do mnie poprzedniego wieczoru. Odpowiadał za cały znajdujący się na wyspie Hayman sprzęt do nurkowania i trudno wyobrazić sobie osobę, która byłaby bardziej przyjazna i chętna do pomocy. Rozpakowaliśmy Sub Buga i sprawdziliśmy go w odbijających się od niego promieniach słońca.

Jak mówiłem, miał kształt przedniej połowy delfina. Korpus był niebieski, a w przedniej części umieszczono dwie małe, żółte płetwy – po jednej z każdej strony – które przekręcane o kilka stopni sprawiały, że pojazd opadał w dół lub wypływał ku powierzchni. Z tyłu znajdowały się dwa duże uchwyty, za które należało się trzymać podczas jazdy w przód. W zasięgu kciuków kierującego znajdowały się przyciski uruchamiające urządzenie oraz kontrolujące zanurzenie i wynurzenie. Wewnątrz Buga znajdował się zbiornik ze sprężonym powietrzem – zwykła butla, jakiej używa się do nurkowania – napędzająca dwie śruby pchające urządzenie do przodu oraz dostarczające za pomocą elastycznego węża powietrze do regulatora. Jest to urządzenie, które człowiek wkłada sobie do ust i przez które jest w trakcie nurkowania zaopatrywany w powietrze. Sens takiej konstrukcji polega na

tym, że płynąc Sub Bugiem, człowiek potrzebuje jedynie maski i płetw – ponieważ jest zaopatrywany w powietrze z kadłuba, nie musi mieć na plecach butli z powietrzem. Bug został skonstruowany tak, że pozwala z góry ustalić głębokość, której nie przekroczy. Maksymalne zanurzenie to dziesięć metrów.

Ian dostał od Martina Pembertona chmurę faksów dotyczących ustawienia urządzenia i był w tym względzie dość pewny siebie.

– Nie ma żadnych problemów – stwierdził i zapytał, jakie mam plany. Uznałem, że przez zabranie urządzenia na głęboką wodę, warto by je wypróbować na płytszej. – Nie będzie problemów. – Stwierdziłem, że w takim razie możemy wziąć aparat na właściwą wycieczkę, która zacznie się następnego poranka. – Żaden problem.

– Popływam więc sobie trochę, zapoznam się z urządzeniem i przyzwyczaję do niego, wypróbuję na różnych prędkościach wokół rafy.

– Żaden problem.

– Potem... eee... do artykułu, który mam napisać, a który ma być swego rodzaju porównawczą jazdą testową, chcę to samo zrobić na diable morskim.

– Nie ma mowy. Absolutnie nie ma mowy.

Chyba powinienem był to przewidzieć.

A może i dobrze, że tego nie przewidziałem? Gdybym przewidział, nie stałbym ubrany do połowy w skafander, patrząc na migoczące Morze Tasmana, myśląc: „O, jasna cholera...”. Siedziałbym w gabinecie w Islington, zastanawiając się, czy dość już „się napracowałem” i mogę z czystym sumieniem zjeść słodką bułeczkę.

Sprawa była bardzo prosta. Jako ktoś, kto ponad dwa lata spędził, pracując nad projektami ekologicznymi, pierwszą rzeczą, jaka powinna dotrzeć do mej świadomości, to fakt, że nie przeszkadza się zwierzętom. Próba wspięcia się na grzbiet diabła morskiego może byłaby w porządku dziesięć lat temu, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o zatoce, ale nie teraz. Mowy nie ma. Nie tyka się rafy. Nie zabiera się niczego. Żadnych muszli, żadnych koralii. Nie dotyka się ryb – może poza kilkoma, które wolno karmić. A na pewno nie rozrabia się, próbując przejechać się na diable morskim.

– Raczej nie będzie szansy, aby dostał się pan choćby w pobliże któregoś – wyjaśnił Ian. – To bardzo bojaźliwe stwory. Wydaje mi się, że w przeszłości udało się kilku osobom przejechać naparu z nich, ale wyobrażam sobie, że to bardzo trudne. Teraz nie możemy na to pozwolić.

– Oczywiście – odparłem dość zawstydzony. – Proszę mi uwierzyć, rozumiem to. Chyba nie przemyślałem odpowiednio sprawy.

– Ale możemy wypłynąć w morze i trochę się pobawić Sub Bugiem – stwierdził Ian. – Żaden problem. Możemy zrobić kilka zdjęć. Ma pan niesamowity aparat.

Dochodzimy teraz do kolejnej, dość zenującej części opowieści, o której jak na razie milczałem jak grób. Niektórzy bardzo mili ludzie w angielskim Nikonie pożyczili mi na tę wyprawę nowiusieńki aparat Nikonos AF SR z autofokusem, przeznaczony do zdjęć podwodnych – przy wartości mniej więcej piętnastu tysięcy funtów szterlingów najseksowniejszy, najbardziej pożądany i najwspanialszy aparat świata. Jest to bryła wspaniałej, błyskotliwej techniki. Naprawdę. Jeżeli chce się robić zdjęcia podwodne, nie ma lepszego sprzętu. To coś po prostu zadziwiającego. Dlaczego tak się nad tym rozwodzę? Cóż, spędzam dużo czasu przy komputerze, a ponieważ korzystam z macintosha, rzadko zwracam sobie głowę czytaniem instrukcji, tak więc zupełnie nie widziałem powodu, aby przeczytać instrukcję obsługi tego aparatu.

Dotarło to do mnie, kiedy dostałem zdjęcia.

Proszę – naprawdę nie chciałbym mówić więcej, z wyjątkiem: „Dziękuję ci bardzo, Nikon”. To naprawdę zdumiewający aparat i mam wielką nadzieję, że pewnego dnia pożyczycie mi go ponownie. Więcej nie wspomnę w tym artykule o aparacie.

Popłynęliśmy małym pontonem do oddalonej mniej więcej o dziesięć minut, małej, bezludnej wysepki. Spędziliśmy z Ianem szczęśliwą godzinę czy coś koło tego na baraszkowaniu Sub Bugiem. Mieliśmy kilka drobnych problemów – ziarno piasku w zaworze i tym podobne. Stwierdziliśmy, że Bug nie pracuje zbyt dobrze w bardzo płytkiej wodzie, przy przeciwnym prądzie. No cóż, następnego dnia zamierzaliśmy wziąć go na nieco głębszą. Jane leżała na słońcu na plaży i czytała książkę. Wkrótce wróciliśmy pontonem na wyspę i udaliśmy się do ośrodka. Nie jest to w sumie wielka historia, wspominam o tym jednak dlatego, ponieważ pamiętam wszystko bardzo wyraźnie i czasami mam wrażenie, że jednym z niedostatków takich miejsc jak na przykład Islington, jest brak szybko dostępnych małych wysepek, na których można spędzić popołudnie, baraszkując Sub Bugiem. Przyznam, że to nieco gorzka myśl. Nie mamy nawet porządnych mostów, które można bezcześcić.

Następnego poranka było nas może dziesięć osób w łodzi do nurkowania. Hotel jest tak rozległy i chaotycznie zbudowany, że nieczęsto widuje się większą liczbę innych gości, ciekawe było jednak powolne zauważanie, ilu z nich to Japończycy. Nie zwykli Japończycy, ale Japończycy trzymający się za ręce i patrzący sobie stale w oczy. Odkryliśmy, że Hayman jest głównym japońskim celem podróży poślubnych.

Sub Bug leżał w tyle łodzi, ja zaś siedziałem i w czasie godzinnej jazdy na rafę stale mu się przyglądałem. W zasadzie żadna z wysp Wielkiej Rafy – z wyjątkiem wyspy Heron – nie znajduje się na samej rafie. Trzeba się na nie dostawać łodziami. Byłem bardzo podniecony. Pomijając kilka nurkowań w basenach w celu odświeżenia umiejętności, miało to być moje pierwsze od lat prawdziwe nurkowanie. Uwielbiam nurkować. Należę do ludzi, których przez lata dręczyły marzenia o lataniu, a nurkowanie to najbardziej zbliżona do latania rzecz, jaką, znam. Dla kogoś, kto ma metr

dziewięćdziesiąt sześć wzrostu i jest nieco mniej gibki od – wybierzmy pierwszą lepszą osobę... – księżnej Walii, dla tego odczucie nieważkości jest ekstatyczne. Poza tym przy wypływaniu zazwyczaj wymiotuję, co jest doskonałym sposobem na zaostrenie apetytu.

Dotarliśmy do rafy, zacumowaliśmy, włożyliśmy mokre skafandry i przygotowaliśmy się do nurkowania. Przy odpływie rafa zazwyczaj przebija się przez powierzchnię wody. Można wręcz po niej chodzić, choć jest to odradzane z powodu ran, jakie może spowodować koral.

Nawet w trakcie przyływu nurkowanie na rafie nie jest sportem kładącym się głęboko zanurzać. Większość tego, co warto zobaczyć, znajduje się w górnych dziesięciu metrach i rzadko jest powód do schodzenia poniżej dwudziestu. Nurek sportowy może zejść na trzydzieści metrów, ale nieczęsto ma to sens. Na tych głębokościach ogląda się nie tyle koral, co nagie skały, a wyrażone w prawie Boyle'a zjawisko fizyczne sprawia, że na dole człowiek znacznie szybciej zużywa powietrze. Jeśli nie chce się dostać choroby kesonowej, trzeba też między nurkowaniami spędzać znacznie więcej czasu na powierzchni. Sub Bug utrzymuje człowieka na bezpiecznej głębokości maksimum dziesięciu metrów.

Aby ustalić, na czym stoję, chciałem najpierw zrobić zwykłe nurkowanie. Założyliśmy maski i włożyliśmy regulatory do ust, potem wykonaliśmy Wielki Krok z pokładu nurkowego na rufie i wpadliśmy do wody w eksplozji pęcherzyków powietrza. Zacumowana łódź zawsze wzbudza zainteresowanie mnóstwa ryb, które oczekują – zwykle mając rację – że zostaną nakarmione. Kto ma szczęście, ujrzy wargacza maoryskiego – niezwykle bladooliwkową rybę o wielkości mniej więcej walizki. Mają wielkie, wydatne wargi i grube, wystające brwi, ale powodem, dlaczego nazywa się tu „maoryskimi” – jak z przeproszającym uśmiechem zapewni każdy Australijczyk – są przypominające wymalowane farbą znaki na czole. Australijczyk nie są już rasistami.

Wokół łodzi było sporo wargaczy i popełniłem błąd, wpływając między nie a kawałki chleba, które ktoś rzucił z łodzi. Ryby beztrudno przemknęły obok mnie, by dotrzeć do pokarmu.

Opadałem ku rafie w wielkiej przestrzeni światła pod łodzią i przez chwilę swobodnie wokół niej dryfowałem, przyzwyczajając się ponownie do przebywania pod wodą, po czym wróciłem do łodzi, aby pozbyć się aparatu do oddychania i wziąć Sub Buga. Wciągnęliśmy go do wody razem z łańcem. Ustawiłem się w odpowiedniej pozycji za aparatem i uruchomiłem go. Jedną z dziwaczkich cech nurkowania jest to, że choć skafander i sprzęt są na powierzchni ciężkie, nieporęczne i niewygodne – jest to jedna z rzeczy, która przeraża początkujących – to ledwie człowiek zejdzie pod powierzchnię, wszystko zaczyna działać gładko i łatwo, a trzeba pamiętać jedynie o jak najmniejszym wysiłaniu się, aby oszczędzać tlen. Niemal z definicji jest to jeden z najmniej aerobowych sportów, jakie istnieją. Nie poprawia sprawności fizycznej.

Początkowo byłem rozczarowany, że Sub Bug nie przenosi mnie szybciej, niż byłbym w stanie płynąć bez jego pomocy. Sunęliśmy łagodnie w dół, kiedy jednak przyzwyczałem się do tempa, w jakim odbywa się wszystko pod wodą, zacząłem się rozkoszować długimi, powolnymi, baletowymi zakrętami, które zakreślał Sub Bug i zamiast płynąć w „normalnej” pozycji – z łokciami przy bokach albo dłońmi przy piersiach – wyciągnąłem ręce całkiem przed siebie. Podążanie za konturami rafy przypominało jazdę na nartach w skrajnie zwolnionym tempie – doświadczenie niemal rodem z praktyki zen. Doskonale się bawiłem, choć po kwadransie eksperymentowania zacząłem

odnosić wrażenie, że wyczerpałem repertuar możliwości Buga i nabrałem ochoty do pływania o własnych siłach. Podejrzewam, że ta maszyna prawdopodobnie najlepiej się nadaje dla ludzi, którzy chcieliby doświadczyć, czym jest nurkowanie, a nie chce im się zawracać głowy nauką używania kamizelki wypornościowej i tak dalej.

Wróciłem do łodzi i wyciągnęliśmy urządzenie z wody. No cóż – przetestowałem Sub Buga, przez cały lunch martwiłem się jednak całkowitym załamaniem się mojego absurdalnego planu przeprowadzenia jazdy porównawczej i zacząłem rozmawiać z Ianem i Jane o tym, co mi chodzi po głowie.

– Moim zdaniem musimy zastanowić się nad tą jazdą porównawczą na bazie konceptualnej – stwierdziłem. – Trzeba poprzyznawać punkty. Oczywiście, że Sub Bug zdobędzie kilka za to, że do pewnego stopnia jest przemożny. Można go zabrać do samolotu, czego nie da się zrobić z diabłem morskim – przynajmniej nie z diabłem morskim, którego się polubiło, a wydaje mi się, że prawdopodobnie lubimy wszystkie diabły morskie z zasady, prawda? Diabeł morski będzie na pewno szybszy i zwrotniejszy i nie trzeba mu co dwadzieścia minut zmieniać butli z powietrzem. Najważniejszym powodem wygranej Sub Buga jest fakt, że da się nim płynąć. Jeżeli pomyślimy o nim jako o środku transportu, należy moim zdaniem uznać to za jego wielki plus. Spójrzmy jednak na problem także z innej strony. Na diabła morskim nie da się jeździć wyłącznie z czysto ekologicznego powodu, a wedle dowolnego kryterium ekologicznego diabeł morski wygrywa w cuglach. Tak naprawdę to każdy środek transportu, którego nie da się używać, należy uznać za istotną korzyść dla środowiska naturalnego, prawda?

Ian ze zrozumieniem skinął głową.

– Mogę dalej czytać? – spytała Jane.

Ian powiedział, że na popołudniowe nurkowanie chciałby zabrać mnie w przeciwnym kierunku od łodzi. Gdy spytałem dlaczego, spojrzał wymijająco. Zszedłem za nim do wody i powoli poruszając płetwami, popłynęliśmy w kierunku nowej dla mnie części rafy. Kiedy tam dotarliśmy, płaski szczyt rafy znajdował się nieco ponad metr poniżej powierzchni wody, a słońce delikatnie nakrapiało jasnymi plamkami niezwykle kształty i połączenie kolorów koralu mózgowych, koralu rogowych, piórówek i ukwiałów. To, co widuje się pod wodą, często sprawia wrażenie zwariowanej parodii tego, co można ujrzeć nad wodą. Pamiętam, że kiedy wiele lat temu po raz pierwszy nurkowałem na Wielkiej Rafie, przyszło mi do głowy, że widzę to, co w latach pięćdziesiątych ludzie zwykli sobie stawiać na obramowaniu kominka. Chwilę zajęło mi uwolnienie się od poglądu, że rafa to zbiorowisko kiczu.

Nigdy nie nauczyłem się nazw mnóstwa rodzajów ryb. Zawsze starannie je oglądałem na łodzi, po czym zapomniałem o nich po tygodniu, jednak obserwowanie pod wodą zapierającej dech w piersiach różnorodności kształtów i ruchów hipnotyzuje mnie zawsze na długie godziny – a raczej robiłoby to, gdyby pozwalał na to zapas tlenu. Gdybym nie był ateistą, byłbym z pewnością katolikiem, ponieważ ryb nie stworzyły siły natury – musiał to zrobić jakiś Włoch.



Płynąłem powoli w płytkiej wodzie. Kilka metrów przede mną lico rafy stopniowo opadało w szeroką dolinę. Dno było szerokie, ciemne i płaskie, łan skierował na nie moją uwagę. Nie rozumiałem, dlaczego. Wyglądało na to, że wybrał sobie miejsce, w którym po prostu nie ma interesujących koralu. Nagle na moich oczach czarne dno doliny powoli się uniosło i zaczęło się łagodnym ruchem oddalać. Brzegi „dna” lekko falowały i stwierdziłem, że jest od spodu idealnie białe. Zamarłem, gdy dotarło do mnie, że patrzę na gigantycznego diabła morskiego o szerokości dwóch i pół metra.

Ryba odpływała na głębszą wodę szerokim, łagodnie zakręcającym łukiem. Zdawała się poruszać niezwykle wolno i miałem rozpaczliwą ochotę utrzymać się tuż za nią. Zanurzyłem się głębiej przy rafie, łan dał znak, abym nie niepokoił stwora, jedynie powoli za nim podążał. Szybko zrozumiałem, że wielkość ryby jest zwodnicza, a porusza się ona znacznie zwawiej, niż mi się początkowo wydawało. Diabeł morski ponownie skręcił za krzywizną rafy i jeszcze wyraźniej ujrziałem jego kontur. Z grubsza biorąc, ciało stwora miało kształt brylantu, bez długiego ogona jak u ogońcowatych. Najbardziej niezwykłą częścią diabła morskiego jest jego łeb. Tam gdzie należałoby się spodziewać łba, jest miejsce, które wygląda, jakby coś wygryzło dziurę. Z obu wystających najbardziej do przodu punktów korpusu – zewnętrznych krawędzi „ugryzienia”, jeżeli rozumiecie, co mam na myśli – wystają dwa zwinięte ku dołowi rogi. Na każdym znajduje się wielkie czarne oko.

Obserwując, jak migocząca, wykonująca falujące ruchy gigantycznych płetw ryba sunie przez wodę, stwierdziłem, że patrzę na najpiękniejszą i najbardziej nieziemską rzecz, jaką widziałem kiedykolwiek w życiu. Niektórzy ludzie uważają, że diabeł morski wygląda jak żywy bombowiec B-2, ale używanie tego skojarzenia w stosunku do czegoś równie majestatycznego, poruszającego się równie płynnie i równie łagodnego, jest wstrętne.

Popłynąłem za nim dookoła rafy. Nie płynąłem szybko ani dobrze, diabeł robił jednak tak szerokie zakola, że wystarczyło, bym pokonywał stosunkowo krótkie odcinki wokół rafy, aby go cały czas widzieć. Okrążył rafę dwa, może nawet trzy razy, po czym zniknął i wydawało mi się, że straciłem go na dobre. Stałem w miejscu i zacząłem się rozglądać.] Nic z tego. Zdecydowanie zniknął. Byłem zasmucony, ale równocześnie rozradowany tym, co udało mi się ujrzeć. Nagle uświadomiłem sobie, że na skraju mojego pola widzenia, po dnie morza sunie cień. Uniosłem wzrok, całkiem nie przygotowany na widok, który mnie czekał.

Diabeł morski unosił się nad znajdującym się powyżej mnie szczytem rafy, tyle tylko, że tym razem miał za sobą dwa następne. Trzy olbrzymie stwory, poruszające się falującymi, doskonałymi w swej harmonii torami, jakby sunęły po niewidzialnych szynach, odpływały szybko, aż w końcu zniknęły w ciemniejszej w oddali wodzie.

Kiedy po południu pakowaliśmy Sub Buga z powrotem do srebrnej skrzyni, byłem bardzo cichy. Podziękowałem łanowi za znalezienie diabłów morskich. Przyznałem, że rozumiem, dlaczego nie należy jeździć im aa grzbietach.

– Żaden problem, stary – odparł łan. – Absolutnie żaden problem.

1992

\*

*Jacy są pana ulubieni pisarze?*

Charles Dickens, Jane Austen, Kurt Vonnegut, P. G. Wodehouse, Ruth Rendell.

\*

Jest to ostatnia – i niedokończona – książka P. G. Wodehouse'a. Jest; niedokończona nie tylko w tym znaczeniu, że dla tych, którzy kochali tego; człowieka i jego dzieła, nagle, w łamiący serce sposób, urywa się w trak – ; cie opowieści, ale także w znaczeniu znacznie istotniejszym – nie skończony jest także istniejący tekst. Pierwsza wersja służyła zawsze Wodehouse'owi do zorganizowania zasadniczych składników historii – struktury fabuły, naszkicowania postaci, zaplanowania kolejności ich pojawiania się i znikania, przedstawienia gór, na które będą się wspinać i klifów, z których będą spadać. Dopiero następna faza pisania – bezlitosne korekty, doskonalenie i polerowanie – zmieniała jego dzieła w cuda języka, które znamy i uwielbiamy. Kiedy pisał książkę, przypinał kartki do ścian, tworząc z nich falujące wokół gabinetu linie. Strony, co do których miał przecucie, że się dobrze sprawdzą, wieszał wyżej, a te, które potrzebowały dalszej pracy, trafiały na niższe partie ścian. Celem było podniesienie całego manuskryptu przed oddaniem do poziomu szyny, na której wisiały obrazy. Większość *Zachodu słońca w Blandings* prawdopodobnie zostałaby zasłonięta przez oparcia krzesel. Jest dziełem w trakcie tworzenia. Wiele linijek to prowizorka, chwilowo zajmująca miejsce tego, co pojawiłoby się przy kolejnych korektach – olśniewających obrazów i zwrotów, które sprawiłyby, że kartki wystrzeliłyby w górę ścian.

Czy da się tu znaleźć wiele dowodów geniuszu Wodehouse'a? No cóż, szczerze mówiąc, nie. Nie tylko dlatego, że jest to niedokończone dzieło w trakcie tworzenia, ale także dlatego, że w czasie pisania był osobą, którą można opisać jedynie określeniem „dziewięćdziesięcioletni”. Uważam, że w tym wieku człowiek ma prawo mieć swoje najlepsze dzieła za sobą. Z powodu niezwyklej długowieczności (urodził się w roku śmierci Darwi – na, a pracował wiele lat po rozpadzie Beatlesów) Wodehouse był w pewnym sensie skazany na skończenie swojej książki jak Pierre Menard swojego Cervantesa. (Nie zamierzam tego wyjaśniać. Jeśli ktoś nie wie, o czym mówię, niech przeczyta opowiadanie *Pierre Menard, autor Don Kichota* Jorge Louisa Borgesa. Ma ono tylko sześć stron, a kiedy je przeczytasz, zechcesz wysłać mi pocztówkę z podziękowaniem, że zwróciłem na nie twoją uwagę). Powinieneś jednak także zechcieć przeczytać *Zachód słońca* – dla pełności i tego specyficznego wrażenia, jakie daje bardzo niedokończona forma, bycia nagle i w całkiem nieoczekiwany sposób blisko Mistrza przy pracy – nieco jakby się oglądało wiadra z farbą i rusztowania, wnoszone do Kaplicy Sykstyńskiej.

Mistrz? Wielki geniusz? Oczywiście. Jedną z najbardziej błogich radości języka angielskiego jest fakt, że jeden z jego najwspanialszych praktyków wszechczasów, osobnik z najwyższej półki, był żartownisiem. Choć może nie powinno to aż tak bardzo zaskakiwać. Kto jeszcze mógłby się znaleźć na samej górze? Oczywiście Austen, Dickens i Chaucer. Jedynym, kto nie byłby w stanie zażartować nawet, aby uratować życie, był Szekspir.

Kochani – bądźmy przez chwilę szczerzy i nieustraszeni. Nie ma nic gorszego od oglądania angielskiego aktora, mężnie próbującego zgrywać się jak Dogberry w *Wiele hałasu o nic*. Rozpacзлиwa sprawa. Spuśćmy zasłonę na wymuszone zaciskanie pośladków, określając środek komiczny, jaki stosuje w tym przypadku mianem „malapropizmu” – od postaci z *The Rivals* Sheridana, pani Malaprop, która robi dokładnie to samo, tyle że dowcipnie. Nie ma sensu twierdzić,

że ma to jakikolwiek związek z tym, iż Szekspir pisał w XVI wieku. Jaka to różnica? Chaucer nie miał kłopotu z byciem dowcipnym jak cholera w XIV wieku, kiedy pisownia była jeszcze gorsza.

Może właśnie dlatego, że nasz największy geniusz literacki nie był w stanie być dowcipny, postanowiliśmy, iż bycie śmiesznym się nie liczy. Jest to dla Wodehouse'a niepomysłne (jakby się tym choć trochę przejmował), cały jego geniusz bowiem skupiał się na byciu dowcipnym, do tego w tak wysublimowany sposób, że usuwał w cień poezję. Precyzja, z jaką bawi się równocześnie każdym aspektem słowa – jego znaczeniem, dźwiękiem, rytmem, paletą jego idiomatycznych związków oraz zapachów – zmusiłaby Keatsa do gwizdnięcia z zachwytu. Keats byłby dumny, gdyby napisał: „Uśmiech zniknął z jego twarzy jak para j oddechu z brzytwy” albo o śmiechu Honorii Glossop, że brzmiał jak „kawaleria na blaszanym moście”. Jeśli już o tym mowa, to na Szekspira, autorze słów: „Można śmiać się, śmiać się i być zbirzem”, mogłoby co nieco wyrzucić wrażenie zdanie: „Może i wielu ludzi wygląda przyzwoicie, a mimo to chowa się za krętymi schodami”\*.

To, co pisał Wodehouse, było czystą muzyką słów. Nie ma najmniejszego znaczenia, że wszystko co pisał, było kolejną wariacją tematu składającego się z porwania świętych, wyniosłych kamerdynerów i oszustw tak; absurdalnych, że aż śmiesznych. Był największym muzykiem angielskiego języka, a muzycy cały czas zajmują się poszukiwaniem wariacji znanego materiału. Prawdę mówiąc, to, o czym pisał, było cudownie nieistotne. Piękno nie musi być „o czymś”. O czym jest wazon? O czym są zachód słońca albo kwiat? O czym jest 23. *Koncert fortepianowy* Mozarta? Mówi się, że wszystkie rodzaje sztuki rozwijają się w kierunku stanu, w jakim znajduje się muzyka, a muzyka nie jest o niczym – z wyjątkiem sytuacji, kiedy nie jest to zbyt dobra muzyka. Muzyka filmowa jest o czymś. *The Dam Busters 'March* jest o czymś\*. Fuga Bacha to czysta forma, samo piękno i figlarność, nie wiem, czy istnieje od fugi Bacha coś lepszego z zakresu sztuki i osiągnięć, stworzonych przez człowieka. Może elektrodynamiczna kwantowa teoria światła. Może *Uncle Fred Flits By*\*. Nie wiem.

Chyba Evelyn Waugh porównał świat Wodehouse'a do Raju sprzed upadku pierwszych ludzi i to prawda, że Plum – jeżeli wolno mi go tak nazywać – wymyślając Blandings\*, stworzył i utrzymywał całkowicie niewinny i dobrotliwy Raj, co – jak być może niektórzy pamiętają – w bardzo sławny sposób przerosło siły Milтона, który prawdopodobnie za bardzo się starał. Podobnie jak Milton, aby zdobyć metafory, czyniące konstrukcję realną dla czytelników, Wodehouse sięga poza swój Eden. Tam jednak, gdzie Milton – w dość zagmatwany sposób – sięga po potrzebne mu obrazy w świat klasycznych bogów i bohaterów (jak autor programów telewizyjnych, który korzysta jedynie z tego, co oferują inne programy telewizyjne), Wodehouse jest niezwykle realny. „Stała i przypatrywała się sejfowi, puchnąc delikatnie jak walijska grzanka z serem, która właśnie ma dojść do stanu maksymalnego rozgrzania”, „Wąsy Duke'a unosiły się i opadały jak wodorosty na falach”. Kiedy dochodzi do tworzenia metafor (dobrze, niech będzie – porównań), nie należy majstrować przy Mistrzu. Oczywiście, że Wodehouse nigdy nie brał na swoje barki ciężaru uzasadniania Człowiekowi dróg, którymi chadza Bóg, a interesowało go jedynie doprowadzeniem Człowieka na kilka godzin do niczym nie zmąconej radości.

Wodehouse był lepszy od Milтона? Cóż, to oczywiście absurdalne porównanie, choć wiem, którego będę sobie trzymał w salonie – nie tylko dla towarzystwa, a także z powodu sztuki.

My, miłośnicy Wodehouse'a, bardzo lubimy dzwonić do siebie i przekazywać sobie nowe

odkrycia. Możemy jednak zrobić wielkiemu człowiekowi niedźwiedzią przysługę, wyciągając publicznie nasze ulubione cytaty, takie jak: „Na górnych zboczach lokaja powstawał lód” albo „...jak wielu solidnych Amerykanów, ożenił się młodo i nie przestawał się żenić, skacząc od blondynki do blondynki, jak alpejska kozica skacze z grani na grań”, albo (znów muszę się wtrącić) mój obecnie ulubiony: „Zawirował wokół własnej osi, robiąc przy tym wyrażający poczucie winy skok, niczym baletmistrz przyłapany na dolewaniu kotu wody do mleka”, ponieważ choć są przepiękne i nie da się z nich nic ująć, w izolacji są nieco jak stojące na gzymsie kominka wypchane ryby. Aby w pełni doświadczyć, jakie robią wrażenie, trzeba je widzieć w działaniu. W oderwanym wersie Freddiego Threepwooda: „Mam w tym worku kilka zwykłych szczurów” nie ma nic, co informuje o tym, że czytany w kontekście, stanowi szczyt jednego z najsubtelniejszych epizodów w całej angielskiej literaturze.

Szekspir? Milton? Keats? Jak mogę jednym ciągiem wspominać z tymi ludźmi autora *Pearls, Girls and Monty Bodkin* oraz *Pigs Have Wings!* On jest po prostu niepoważny!

Nie musi być poważny. Jest znacznie lepszy. Wzleciał do stratosfery, w której ludzki umysł wyniesiony ponad tragedię i wytężone myślenie tam, gdzie można znaleźć Bacha, Mozarta, Einsteina, Feynmana i Louisa Armstronga, może funkcjonować w sferze czystego, kreatywnego komizmu.

Ze wstępu do: *Sunset at Blandings*

(Penguin Books)

\*

## Herbata

Jeden lub dwóch Amerykanów pytało mnie kiedyś, dlaczego my Anglicy tak bardzo lubimy herbatę, która nie kojarzy im się ze zbyt dobrym napojem. Aby to zrozumieć, należy przygotowywać ją w odpowiedni sposób.

Zasada robienia herbaty jest bardzo prosta, a brzmi następująco: aby uzyskać odpowiedni aromat herbaty, gdy woda styka się z liśćmi, musi być wrząca, ale nie przegotowana. Jeżeli herbata będzie jedynie gorąca, stanie się mdła. Z tego właśnie powodu Anglicy mają różne przedziwne rytuały – takie na przykład, jak wstępne ogrzewanie dzbanka na herbatę, co sprawia, że wlewany do niego wrzątek nie ochładza się zbyt szybko. Z tego też powodu amerykański zwyczaj przynoszenia do stolika filiżanki, torebki z herbatą i dzbanuszka z gorącą wodą jest doskonałym sposobem na zrobienie słabej, bladej i wodnistej herbatki, której nikt przy zdrowych zmysłach nie miałby ochoty pić. Amerykanów zadziwia, dlaczego Anglicy robią sobie tyle z herbaty, ponieważ większość Amerykanów NIGDY NIE PIŁA FILIŻANKI DOBREJ HERBATY. Dlatego nic nie rozumieją. Prawda w tym zakresie jest taka, że i większość Anglików już nie wie, jak robić herbatę, więc zamiast tego pije tanią rozpuszczalną kawę, co jest wielką szkodą oraz wywiera na Amerykanach wrażenie, że Anglicy generalnie nie mają pojęcia w zakresie gorących napojów pobudzających.

Najlepsza rada, jaką mogę w związku z tym dać Amerykanom przybywającym do Anglii, jest taka – idź do Marksa i Spencera i kup paczkę herbaty Earl Grey. Idź tam, gdzie mieszkasz i zagotuj czajnik wody. Kiedy woda zacznie wrzeć, otwórz paczkę z herbatą i powąchaj. Ostrożnie – może ci się nieco zakręcić w głowie, ale nie robisz nic nielegalnego. Gdy woda zawrze, nalej nieco do dzbanka na herbatę, zakręć nim, aby woda opłukała ścianki i wylej ją. Włóż do dzbanka dwie (albo trzy, to zależy od wielkości) torebki herbaty. (Gdybym chciał próbować wprowadzić cię na ścieżką prawości, powiedziałbym, abyś zamiast herbaty w torebkach użył sypkiej, ale na łatwiejszy początek damy sobie z tym spokój). Doprowadź wodę ponownie do wrzenia i jak najszybciej wlej ją do dzbanka. Daj jej postać dwie albo trzy minuty, po czym wlej herbatę do filiżanki. Niektórzy ludzie powiedzą ci, że do Earl Greya nie należy wlewać mleka, a trzeba dodać plasterek cytryny. Chrząż ich. Ja lubię z mlekiem. Jeżeli wydaje ci się, że posmakuje ci z mlekiem, prawdopodobnie najlepszym rozwiązaniem będzie najpierw nalać nieco mleka na dno filiżanki, a dopiero potem wlać herbatę\*. Jeżeli wlejesz mleko do gorącej herbaty, zwarzysz je. Jeżeli zdaje ci się, że będziesz wolał herbatę z plasterkiem cytryny, wtedy, cóż – dodaj plasterk cytryny.

Pij. Po kilku chwilach zaczniesz dochodzić do wniosku, że miejsce, gdzie przybyłeś, może w sumie wcale nie jest aż tak dziwne i zwariowane.

12 maja 1999



Od asfaltu wałą we mnie potężne fale równikowego upału. W Kenii i jest akurat (krótka tutaj) pora deszczowa, ale słońce w ciągu kilku minut spaliło poranną wilgoć. Cały jestem w kremie chroniącym skórę, droga odchodzi hen, ginąc w dalekiej mgiełce drżącego z gorąca powietrza, a moje nogi przyzwyczajają się do nowego miejsca. Na drodze przede mną i za mną są porozrzucani, przypominający kolorowe plamki inni wędrowcy – jedni suną energicznie, inni zdają się jedynie wlec, w rzeczywistości wszyscy poruszają się tym samym tempem. Jeden z nich ma na sobie wielką, szarą, trójwymiarową konstrukcję, zrobioną z malowanej tkaniny ze sztucznego włókna, rozpiętej na metalowym rusztowaniu. Z przodu konstrukcji podskakuje wielki pojedynczy róg. Jest to groteskowa, acz dziwnie piękna karykatura nosorożca, poruszającego się szybkimi, energicznymi krokami. Słońce wali niemiłosiernie. Ze zgrzytem silników, niebezpiecznie blisko, mijają nas przechylone na bok ciężarówki. Kierowcy drą się i szczerzą ironicznie zęby na widok naszego nosorożca. Kiedy – co często się zdarza – wyprzedzamy kolejną ciężarówkę, która się przewróciła i wyzionęła ducha na poboczu, zastanawiamy się, czy miało to związek z nami.

Inni wędrowcy są już w drodze od kilku dni – wyruszyli z wybrzeża w okolicy Mombasy i dotarli główną szosą do parkingu ciężarówek w Voi, centrum tutejszego wszechświata. Dołączyłem do nich minionego wieczoru, po przeturlaniu się land-roverem z Nairobi wraz z moją siostrą Jane, która robiła co nieco dla Save the Rhino International, do wsparcia której wszyscy tu przybyliśmy. Podążymy stąd drogą, z której powoli znika asfalt, w kierunku granicy z Tanzanią.

Za granicą leży Kilimandżaro, najwyższa góra świata. Ekspedycja – grupka Anglików pokonujących w południowym słońcu dziesiątki kilometrów i zmieniających się przy noszeniu kostiumu nosorożca – zamierza się wspiąć na sam szczyt góry. Szalone psy już dawno rzuciły ręcznik\*.

Spodziewam się, że od razu zadaliście sobie pytanie, co to za gadka o „najwyższej górze świata”. W tej kategorii co najmniej na pełne szacunku wspomnienie zasługuje chyba Mount Everest? No cóż, to zależy od punktu widzenia. Oczywiście, że szczyt Everestu znajduje się dumnie 8848 metrów nad poziomem morza, co jest na swój sposób godne uwagi, kto jednak zamierza wspiąć się na Everest, to – korzystając z pomocy rzetelnego przewodnika – prawdopodobnie zacznie wyprawę gdzieś w Himalajach. Każde miejsce Himalajów jest jednak jak na punkt wyjściowy dość cholernie wysokie, niektórzy więc uważają wręcz, że pokonanie końcowego kawałeczka do szczytu jest drobną przebieżką. Aby nie było to w dzisiejszych czasach nudne, robi się to bez tlenu, w samych majtkach albo coś w tym stylu.

Kilimandżaro nie jest jednak częścią rozległego wyniesienia terenu, z czym mamy do czynienia w przypadku Everestu. Długo potrwało, zanim ludziom udało się ustalić, która część Himalajów jest najwyższa, a odkrycia dokonano – jeśli się nie mylę – zza londyńskiego biurka. Z Kilimandżaro nie było takiego problemu. Jest pochodzenia wulkanicznego i stoi samotnie, otoczone kilkoma nic nie znaczącymi, niziutkimi wzgórzami. Kiedy szukając między zasłaniającymi horyzont chmurami, człowiek wreszcie ujrzy Killy, krew nagle tężeje mu w żyłach. „Och... – wydusza z siebie w końcu – miałeś na myśli... nad chmurami...”. Gwałtownie unosi głowę w górę. „O mój Boże...”. Licząc od



podstawy do wierzchołka, Kilimandżaro jest najwyższą górą świata. Wspięcie się na nią w kostiumie nosorożca to ciężkie jak cholera zadanie. Ten szaleńczy pomysł przedstawili mi kilka miesięcy wcześniej założyciele Save the Rhino International, David Stirling i Johny Roberts, a początkowo nie dotarło do mnie, że mówią poważnie. Chwilę pozachwycali się tym, że udało im się zdobyć cały zestaw kostiumów nosorożców, które Ralph Steadman zaprojektował na użytek przedstawienia operowego i będą idealnie pasować do wspinaczki i Kilimandżaro. Aby mnie uspokoić, David dodał, że już zostały wykorzystane – w Maratonie Nowojorskim. „To zrobi ogromne wrażenie – zapewnili obaj. – Uwierz nam. Naprawdę”.

Prawda tego stwierdzenia zaczęła do mnie docierać, kiedy zbliżaliśmy się do pierwszej tego dnia wioski i być może jest teraz dobra okazja, aby wyjaśnić, jaki był cel ekspedycji. Nie chodziło o zdobycie pieniędzy, które miałyby zostać bezpośrednio przeznaczone na ochronę nosorożców. Nosorożce, których kiedyś było mnóstwo na wschodnioafrykańskich równinach, stanowią obecnie niezwykle rzadkość, ale w Kenii są tak dobrze zachowane, jak nigdzie indziej w Afryce. Kenia Wildlife Service Richarda Leakeya składa się z ośmiu tysięcy dobrze wyszkolonych, dobrze wyposażonych, dobrze uzbrojonych, zmotywowanych żołnierzy i stanowi znakomite wojsko. Niektórzy z jego oponentów uważają, że aż nazbyt znakomite. W Kenii kłusownictwo – jak się oficjalnie twierdzi – „nie jest już problemem”, ochrona przyrody jest jednak działaniem stale się przekształcającym. Dopiero niedawno zaczęliśmy rozumieć, że samo zjawienie się w Afryce, powiedzenie tamtejszym ludziom, że nie muszą robić żyjącym wokół nich zwierzętom tego, co myśmy zrobili naszym i że przybyliśmy, aby to zagwarantować, jest postawą, która – mówiąc łagodnie – wymaga drobnego udoskonalenia.

Spółeczności, mieszkające wzdłuż granic wielkich parków narodowych, przeżywają ciężki okres. Są biedne i niedożywione, tereny, jakimi dysponują, ograniczono przez parki, a kiedy od czasu do czasu z parku wyrwie się rozszalały słoń albo lew, to właśnie one cierpią. Argumenty o konieczności zachowania gatunkowej różnorodności planety mogą się wydawać dość abstrakcyjne dla kogoś, kto właśnie stracił plony potrzebne mu do wyżywienia rodziny albo, co gorsza, stracił członka rodziny. Na dłuższą metę ochrona przyrody nie może być jednak narzucana z zewnątrz, wbrew potrzebom mieszkających na danym terenie ludzi. Jeżeli ktoś ma dbać o dzikie zwierzęta, w końcowym rozrachunku muszą to być ludzie miejscowi – a ktoś musi zadbać o nich.

Nasza trasa wiodła wzdłuż, a czasami przez wielkie parki narodowe Tsavo East i Tsavo West; przybyliśmy odwiedzić żyjących na ich obrzeżach ludzi i im pomóc. Sto tysięcy funtów szterlingów, które mieliśmy nadzieję zebrać dzięki wędrówce, zostałyby przeznaczone na budowę klas szkolnych, uzupełnienie bibliotek oraz finansowanie innych projektów dla miejscowych społeczności. Chcieliśmy zachęcić tutejszych ludzi do konstatacji, że choć dzikie zwierzęta sprawiają problemy, przynoszą im także korzyści.

Kiedy zbliżaliśmy się do pierwszej tego dnia wioski, na przedzie kolumny szedł „nosorożec” z Toddem Jonesem w środku. Niosący „nosorożca” uczestnik marszu zmieniał się co godzinę i nie trzeba było wiele czasu, by na podstawie tego, jak się poruszał, móc powiedzieć, kto jest w środku. Jeżeli nosorożec szedł spokojnym spacerkiem, w środku był Giles. Był on podobny do Hugh'a Granta, skończył Gordonstoun\*, a kilka ostatnich lat spędził na leniwym jeźdźeniu z własnym spadochronem autostopem po Afryce. Jego technika polegała na pojawianiu się ze spadochronem na lotniskach,

znajdowaniu kogoś, kto zamierzał lecieć mniej więcej w tym kierunku, w którym Giles chciał się udać, zabranii się do maszyny, a potem – kiedy naszła go ochota – wyskakiwaniu z samolotu. Jego dziewczyną była podobno supermodelka, która co kilka miesięcy dowiadywała się, gdzie Giles akurat przebywa, leciała do tej miejscowości, po czym (jest to tylko moje podejrzenie) kazała go kapać i przysłać do niej do pokoju.

Jeżeli nosorożec w genialny sposób ledwie się poruszał, w środku szedł Tom. Był on wysokim mężczyzną rodem z powieści Wodehouse'a, z cerą kompletnie nie nadającą się na Afrykę. Roztaczał wokół siebie atmosferę uprzejmości, typową dla przedstawiciela szlachty ziemiańskiej a kiedy spytałem go, gdzie mieszka, odparł w nieokreślony bliżej sposób, że „w Shropshire”\*.

Jeżeli nosorożec żwawo dreptał, w środku miał Todda. Todd nie był szalonym Anglikiem, ponieważ był Walijczykiem. Rządził kostiumem nosorożca – nosił go w inscenizacjach opery, dla której zostały stworzone, a w których musiał nosić na plecach bardzo ciężkie sopranistki. Opowiedział mi, że kiedyś chciał zostać weterynarzem, ale skończył jako seria zwierząt. Kiedy oglądasz w telewizji jakiś program albo reklamę, w których pokazany jest ktoś przebrany za zwierzę, w środku jest najprawdopodobniej Todd. „Występowałem w *Lwie, czarownicy i garderobie* – powiedział mi. – Zgadnij, kim byłem?”. Pewnego wieczoru pokazał mi zdjęcia swojej rodziny. Była wśród nich przepiękna na fotografia jego żony, zdjęcie maleńkiej córki, słodkie zdjęcie maleńkiego synka i jego samego. Todd był bardzo przekonująco ucharakteryzowany na jasnoniebieskiego centaury.

Todd/nosorożec dreptał więc żwawo i nagle na ulicę przed nami wysypała się chmara dzieciaków, które ruszyły w naszym kierunku, śpiewa jąc, tańcząc i skandując: „No-so-ro-żec! No-so-ro-żec! No-so-ro-żec!”. Zostaliśmy błyskawicznie otoczeni i ostatnie kilkaset metrów eskortowano nas do miejsca, gdzie na wiejskim placu przygotowane zostało powitanie naszej grupy. Cała wioska zaczęła nas witać z niezwykłym; entuzjazmem. Usiedliśmy i patrzyliśmy – dysząc w upale i splukując; gardła butelkowaną wodą – na wiejskie dzieci, które demonstrowały, powiem szczerze, zachwycający zestaw tańców oraz chóralnych śpiewów. Mówiąc „dzieciaki”, mam na myśli nie tylko siedmio – ale także siedemnastolatki. To dziwne, że nie mamy obecnie dobrego słowa, określającego cały zakres wiekowy tej grupy. „Chłopcy i dziewczęta”? Protekcyjne. „Dzieciaki”? Nie. „Młodzieńcy”? Brzmi, jakby włamali się do domu towarowego i coś ukradli. A więc – dzieci. Dzieci napisały piosenkę o nosorożcach, którą dla nas zaśpiewały. Za naszymi plecami Giles po cichu przejął kostium nosorożca od Todda i po chwili dołączył do tańców, podskoków i korowodów, ganiając się z dziećmi i bawiąc się z nimi, po czym szybko czmychnął za drzewo na szybką fajkę. Potem – z nieco mniejszym entuzjazmem – przesiedzieliśmy serię przemówień, jakimi raczyli nas miejscowi dygnitarze, którzy się w tym celu zjawili. Gdziekolwiek szliśmy, miejscowi dygnitarze aż się palili, by uznano, że są z nami związani.

Powoli zaczął do mnie w pełni docierać sens kostiumu nosorożca. Przybycie nosorożca i zespołu Rhino Climb (Wspinaczka Nosorożcowa) było czymś, na co wioska czekała od miesięcy i na co się od miesięcy przygotowywała. Było to wydarzenie roku – karnawał, festiwal, święto. Odwiedziny nosorożca były wydarzeniem, które mieszkańcy wioski, a szczególnie dzieci, będą pamiętać przez lata, podczas gdy odwiedziny bandy Anglików z wyższych klas, wystrojonych w kapelusze, przeszłyby bez echa.

Zaprowadzono nas do tutejszej szkoły. Jak większość budynków we wsi, była zbudowana z pustaków, do tego nie została dokończona. Zamiast drzwi i okien miała dziury, umeblowanie składało się z kilku chybliwych ławek i stołów na kozłach, na których leżały dziesiątki wykonanych przez dzieci rysunków występujących w okolicy dzikich zwierząt, a które mieliśmy ocenić i ponagradzać. Nagrodami były czapki z daszkiem i logo Rhino Climb i niezależnie od tego, komu należała się nagroda za rysunek, musieliśmy zadbać, aby każdy mieszkaniec wioski dostał czapkę. Było też jasne, że kiedy tylko zbierzemy pieniądze od sponsorów, będziemy mogli sfinansować dokończenie budowy szkoły.

Kiedy opuszczaliśmy wioskę, dzieci pobiegły z nami i towarzyszyły nam tanecznym krokiem przez kilka kilometrów, śmiejąc się i śpiewając zaimprovizowane piosenki – któreś z dzieci zaczynało, a pozostałe szybko podejmowały melodię, tworząc chór.

Te słowa brzmią dziwnie staroświecko, prawda? Opowiadanie o śmiejących się, tańczących i śpiewających chórem dzieciach sprawia wrażenie czegoś naiwnego i sentymentalnego, wszyscy bowiem doskonale wiemy, że w prawdziwym życiu dzieci warczą i biorą narkotyki. Te jednak dzieci/dzieciaki/nastolatki i wszystkie pozostałe, na jakie natknęliśmy się podczas naszej podróży, były szczęśliwe w sposób wywołujący u nas, mieszkańców Zachodu, niemal zażenowanie.

Zostawiają nas ostatnie dzieci. Powoli przejeżdża nasz land-rover, rozdając colę i fantę. Na pace samochodu siedzi Jim, nasz fotograf i robi zdjęcia Canonem EOS 1, którego pożądam od chwili, gdy ujrzałem aparat. Keis, nasz holenderski operator kamery wideo, podnosi do ramienia lekki trzyprocesorowy sprzęt marki Sony, robiąc panoramę maszerującej kolumny. Zastanawiam się, czy gdziekolwiek na Zachodzie dałoby się znaleźć setkę dzieci, które umiałyby tak śpiewać i tańczyć.

Następnego dnia mam pierwszy występ w kostiumie nosorożca. Jestem na niego za duży i od dołu absurdalnie wystają mi nogi, przez co wyglądam jak gigantyczna krewetka w cieście. Nim człowiek się wciągnie w to, co robi, panujące w środku gorąco oraz odór stęchłego potu i starego środka dezynfekującego niemal zwalają z nóg. To idzie obok, z determinacją utrzymując ze mną konwersację. Po chwili dociera do mnie, że dba, abym nie zemdlał. Todd jest dobrym człowiekiem i bardzo go lubię. Dbą o ludzi, a jeszcze bardziej dba o swój kostium nosorożca.

Zatrzymuję się na chwilę, aby wlać nieco wody do ust oraz polać twarz i w tym momencie dostrzegam swoje odbicie w szybie land-rovera. Wyglądam niewyobrażalnie głupio i w głowie pojawia mi się myśl, że w całym tym sponsorowanym marszowym biznesie jest coś dziwnego. Cel, w jakim podejmuje się marsz, zawsze jest zbożny – badania raka, pomoc głodnym, ochrona przyrody i tak dalej, układ wydaje się być jednak taki: „W porządku, próbujecie zbierać pieniądze na bardzo wartościowy cel, dostrzegamy, że to sprawa ważna i pilna, chodzi o los całych gatunków i koniecznie trzeba coś zrobić, ale... no cóż... jak to powiedzieć... zróbcie coś naprawdę bezcelowego, głupiego i może nieco niebezpiecznego, wtedy damy wam nieco pieniędzy”.

Uczestniczyłem w marszu jedynie przez tydzień. Nie wspinałem się na Kilimandżaro, choć udało mi się zobaczyć górę. Bardzo mi było przykro, że się nie wspinałem, choć muszę powiedzieć, że po jej zobaczeniu nie było mi bardzo, bardzo przykro. Udało mi się na chwilę ujrzeć jednego nosorożca spośród tysięcy włóczących się po okolicy i zastanawiałem się, czy zdaje on sobie choć w najmniejszym stopniu sprawę z tego, że świat się wali. Ludzie istnieją na tej planecie od jakiegoś

miliona lat i w tym czasie aby przeżyć, musieliśmy (i musimy) sobie radzić z różnymi plagami: głodem, dżumą, wojnami, AIDS. Nosorożce istnieją na tej planecie od czterdziestu milionów lat i wystarczyło jedno wielkie zagrożenie – ludzkie istoty – aby stanęły na skraju wyginięcia. Nie jesteśmy jedynym gatunkiem, który doprowadził do dewastacji resztę świata, a na naszą korzyść należy powiedzieć, że jedynym, który uświadomił sobie konsekwencje swego działania i próbuje coś z tym zrobić. Kiedy zamieniłem wleczenie się pod ciężarem kostiumu na wygodną postawę marszową i znów zacząłem patrzeć do przodu ponad podskakującym plastikowym rogiem, doszedłem do wniosku, że zabieramy się za to czasami w przedziwne sposoby.

„Esquire”, marzec 1995

\*

Będziecie musiały poznać różnicę między piątkiem a pionkiem. Jest ona dość prosta, choć istotna. Piątek się zaczyna, kiedy tydzień dochodzi do końca, a pionek stawia się na szachownicy. Jak większość rzeczy, nie jest to jednak aż takie proste. Pionek nie jest pionkiem, zanim nie zostanie pomalowany i ustawiony na szachownicy. Jest to coś, czego nie da się zrobić piątkowi, choć można zrobić to w piątek. Jeśli ma się ochotę, pionki można malować także w czwartek – albo pędzelkiem. To wszystko jest dość skomplikowane, jeśli się jednak nad tym chwilę zastanowić, zaczniemy dostrzegać w tym sens.

Dobrze jest też znać różnicę między zadymką a rozdymką. Łatwo da się ją zapamiętać. Choć obie rzeczy brzmią bardzo podobnie, spotyka się je w tak różnych częściach świata, że rozróżnienie ich jest bardzo łatwe. Jeżeli jest się wewnątrz północnego kręgu podbiegunowego, to widzi się najprawdopodobniej zadymkę, a jeżeli jest się w ciepłym morzu, na obrzeżu rafy koralowej, to raczej będzie to rozdymką.

To zwierzę to lemur. Istnieje wiele najróżniejszych rodzajów lemurów, ale niemal wszystkie żyją na Madagaskarze. Madagaskar to wyspa – wielka wyspa, dużo, dużo większa od twojej czapki, ale nie tak duża jak Księżyc.

Księżyc jest znacznie większy, niż się wydaje. Warto o tym pamiętać, ponieważ kiedy będziesz następnym razem patrzył na Księżyc, będziesz mógł basowym i tajemniczym głosem powiedzieć: „Księżyc jest znaczczz.. nie większy, niż się wydaje”, a ludzie zrozumieją, że jesteś mądrą osobą, która dużo się nad tym zastanawiała.

Ten rodzaj lemura nazywa się lemurem katta\*. Nikt nie wie, dlaczego i wprawia to w zakłopotanie pokolenia naukowców. Pewnego dnia jakaś bardzo mądra osoba prawdopodobnie wymyśli, dlaczego tak jest. Jeżeli osoba ta będzie niezmiernie mądra, zdradzi tajemnicę jedynie kilku bardzo bliskim przyjaciołom, ponieważ w innym przypadku wszyscy by się tego dowiedzieli i nikt by nie dostrzegł, jak bardzo mądra była osoba, która rozwiązała zagadkę jako pierwsza.

\* \* \*

Są jeszcze dwie rzeczy, które powinniście rozróżniać – droga i toga. To pierwsze to coś, po czym się jedzie samochodem albo na rowerze, a drugie to ubranie zrobione z białego wełnianego materiału, jakie nosili starożytni Rzymianie. Zazwyczaj nietrudno odróżnić jedno od drugiego, kto jednak ma trudności z poprawną wymową, może spowodować spore zamieszanie. Wyobraź sobie jazdę na rowerze po maleńkim prostokącie białego materiału lub utkanie drogi, aby spotkać się z druidami.

Druidzi żyli wiele tysięcy lat temu. Zwykli nosić długie, białe szaty i mieli bardzo zdecydowane poglądy na temat tego, jak cudowną rzeczą jest Słońce. Wiesz, co to jest pogląd? Podejrzewam, że ktoś z twojej rodziny prawdopodobnie kiedyś miał coś takiego, więc poproś go, aby ci o tym opowiedział. Pytanie ludzi o poglądy do doskonały sposób zdobycia przyjaciół. Mówienie ludziom o swoich poglądach też czasami działa, ale nie zawsze tak dobrze.

W dzisiejszych czasach większość ludzi wie, jak wspaniałą rzeczą jest Słońce, nie ma więc wśród nas wielu druidów, kilku jednak pozostało – na wypadek, gdyby od czasu do czasu wypadło nam to na temat Słońca z głowy. Jeżeli spotkasz kogoś, kto ma długą białą szatę i dużo mówi o Słońcu, być może trafiłeś na druida. Jeżeli okaże się, że ma mniej więcej dwa tysiące lat, to pewny znak, że tak jest.

Jeżeli osoba, na którą się natknąłeś, ma białą szatę, ale nieco krótszą, do tego z guzikami z przodu, może być nie druidem, a astronomem. Jeżeli jest astronomem, jedną z rzeczy, o które możesz zapytać, jest jak daleko znajduje się Słońce. Odpowiedź prawdopodobnie cię zaskoczy. Jeżeli nie, powiedz mu ode mnie, że nie wyjaśnił sprawy dość dobrze. Po uzyskaniu odpowiedzi, jak daleko znajduje się Słońce, zapytaj, jak daleko znajdują się niektóre gwiazdy. To na pewno cię zaskoczy. Jeżeli samodzielnie nie uda ci się znaleźć astronoma, poproś o pomoc rodziców. Nie wszyscy astronomowie noszą białe kitle, przez co czasami niełatwo ich dostrzec. Niektórzy noszą dzinsy, a nawet garnitury. Ci lubią szpan.

Kiedy mówimy „szpan”, mamy na myśli, że coś jest napuszone. Kiedy mówimy „szpak”, mamy na myśli pewien gatunek migrującego ptaka. „Ptak” to słowo, które używamy dość często, dlatego bardzo łatwo je się wymawia. Większość słów, których używamy często, takich jak „dom”, „rower” czy „chleb”, wypowiada się łatwo. „Migrujący” to słowo, którego nie używamy aż tak często, a wypowiedzenie go może czasami sprawić wrażenie, jakby zęby skleiły się toffi. Gdyby ptaki nazywały się „migrującami”, a nie „ptakami”, prawdopodobnie nie mówilibyśmy o nich zbyt często. Wszyscy mówilibyśmy: „Patrz, pies!” albo „O, jaki ładny kot!”, ale gdyby właśnie przelatywał migrując, raczej byśmy stwierdzili: „Już czas na herbatę” i niezależnie od tego, jak fajnie by wyglądał, nawet byśmy o nim nie wspomnieli.

Bez względu jednak na to, jak bardzo „migrujący” brzmi niczym coś sklezione toffi, wcale tego nie oznacza. Oznacza to, że zwierzę spędza jedną część roku w jednym kraju, a drugą w innym.

\*

Do jakichkolwiek nowych krańców poznania albo odkrycia docieramy, zawsze znajdujemy tam ślady Bacha. Gdy widzimy obrazowania przedziwnych, matematycznych stworów, czyhających w sercu natury – fraktalne krajobrazy; rozwijający się bez końca paisleyowski – mi zwojami zbiór Mandelbrota; ciąg Fibonacciego, opisujący schemat rosnących na gałęzi drzewa liści; dziwne atraktory, demaskujące zmienne działające w rdzeniu chaosu – za każdym razem na myśl przychodzą przyprawiające o zawroty głowy, złożone spirale Bacha.

Niektórzy ludzie uważają, że matematyczna złożoność muzyki Bacha czyni ją bezduszną. Moim zdaniem jest wręcz przeciwnie. Słucham, jak w polifonicznym utworze Bacha współgrają ze sobą poszczególne elementy, każda linia melodyczna wiąże się z inną emocją, a utwór zabiera mnie w pełną wzlotów i lądowań podróż, wezbraną przeplatającymi się równocześnie uczuciami. Jeden element cichutko podśpiewuje pod nosem, drugi radośnie szaleje, trzeci pochlipuje w kącie, czwarty tańczy. Padają argumenty, wybucha śmiech, eksploduje wściekłość. Przywracany jest pokój. Poszczególne części mogą być krańcowo różne, a jednak wszystko jest ze sobą nierozzerwalnie połączone. Całość jest emocjonalnie tak złożona jak rodzina.

Obecnie, kiedy odkrywamy, że jednostkowy umysł to też rodzina złożona z najróżniejszych elementów, działających oddzielnie, ale równocześnie wspólnie w celu stworzenia ulotnych przebłysków, które określamy mianem świadomości, znów wygląda na to, że Bach wiedział to dawno temu.

Kiedy słucha się *Koncertu Brandenburskiego nr 5*, nie trzeba muzykologa, aby stwierdzić, że dzieje się coś nowego i wyjątkowego. Nawet prawie trzy stulecia po jego powstaniu słysząc wyraźnie pulsację energii mistrza, znajdującego się u szczytu możliwości twórczych, który z całkowitą pewnością siebie tworzy coś dzikiego i odważnego. Bach pisząc ten koncert, obsadził się przy klawesynie, a nie przy altówce, na rej częściej grywał w wykonaniach zespołowych. Miał wtedy szczęśliwy, produktywny okres, kiedy wreszcie otaczało go kilku dobrych muzyków. W tego rodzaju zespołach klawesyn odgrywał tradycyjnie rolę akompaniującą. Tym razem było inaczej – Bach dał czadu.

Przy pierwszych dźwiękach słysząc, jak rodzi się coś dziwnego, nowego i przerażającego. Możliwe, że to gigantyczny silnik lub wspaniała koń, otoczony chmurą krzątających się wokół pomocników, przygotowujących go do wykonania herkulesowego zadania (kiedy język próbuje dorównać muzyce, nieuchronnie kończy się to bezładnym mieszaniem metafor). Słysząc, jak pracuje na jałowym biegu, truchta, chwilę pokłusuje to w jedną, to w drugą stronę, nieco pobryka, po czym zachęcony przez koniuszych rzuca się do próbnego biegu, pędząc z zapartym tchem. Potem wraca do punktu wyjścia, robi kolejne szybkie kółko, po czym... pozostałe instrumenty milkną. Zostaje sam, wolny, drapie nogą o ziemię, głęboko oddycha, zbiera siły, truchta przed siebie...

Potem rusza – pędzi... mknie... leci... wspina się... wdrapuje się... pcha... dyszy... wije się...

tlucze... kopie ziemię... wali... bije... nagle wyrzywa się, rozpaczliwie mknie przed siebie, wreszcie z ostatnim maleńkim, niespodziewanym kroczkiem w basy, dociera do celu i zostaje uwolniony – główna melodia wdziera się triumfalnie i jest po wszystkim z wyjątkiem płaczu i tańca (tzn. drugiego i trzeciego ruchu).

Specyficzny charakter koncertów brandenburskich, powodujący, że odnosimy wrażenie kontaktu z czymś bardzo znajomym, nie powinien nas zaślepić. Naprawdę mamy w tym przypadku do czynienia z czymś wspaniałym. Jestem przekonany, że Bach to największy geniusz, jaki chodził między nami, a koncerty brandenburskie to dzieła, które komponował, będąc szczęśliwym.

Penguin Classics Vol. 27:

Bach – *Koncerty Brandenburskie 5 i 6,*

*Koncert skrzypcowy a-moll*

(Angielska Orkiestra Kameralna pod dyrekcją Beniamina Brittena)



## Frank Wandal

Macintosh wszedł do sprzedaży pięć lat temu, wygląda więc na to, że mam budowlańców w domu niewiele krócej. Ktoś spytał mnie kilka dni temu, co właściwie robią i wyjaśniłem, że od pewnego czasu próbuję zebrać się na odwagę i ich o to spytać.

Sprawę nieco komplikuje fakt, że jednym z robotników jest elektryk o imieniu Frank Wandal. Znaczący się, jego przyjaciele – jeżeli któryś akurat przebywa poza szpitalem – nazywają go Frank, ja jednak nazywam go Frank Wandal, ponieważ za każdym razem, kiedy chce się dostać do jakiegoś przewodu, przebija bezlitośnie wszystko, co zagraża mu drogę: tynk, boazerie, rury, przewody telefoniczne, meble, nawet inne przewody, które sam kładł w trakcie wcześniejszych ataków. Zapewniano mnie, że jest znakomitym elektrykiem, sądzę jednak, że nie jest najlepszy jako istota ludzka. Odbiegam jednak od tego, co zamierzałem powiedzieć i chyba straciłem wątek, ponieważ Frank właśnie odciął prąd i nie zdążyłem zapisać tekstu. O czym to mówiłem? Aha!

Kiedy kupiłem dom, stanowił kompletną ruinę. Nie był co prawda tak zniszczony jak po kolejnych wizytach Franka, był jednak mniej lub bardziej pustą skorupą, w którą należało wstawić ściany, podłogi, rury i tak dalej. Kiedy nadeszła kolej na stawianie ścian, zjawił się fachowiec (tak mi przynajmniej powiedziano – sam nie byłem o tym zbyt przekonany, ale generalnie biorąc tak, fachowiec) murarz i postawił je. Potrzebowałem następnie podłóg, schodów, szafek i innych rzeczy, więc zjawił się, pogwizdując wesołą stolarską piosenkę, stolarz i zabrał się za uprawianie swego rzemiosła. Potem zjawił się hydraulik i zrobił to samo. Następny był Frank Wandal, by umieścić przewody, więc zjawili się oczywiście ponownie stolarz, hydraulik i tak dalej, aby przeprowadzić poważniejsze naprawy. Będę musiał porzucić Franka jako temat, nie jest on bowiem częścią analogii, którą staram się elegancko powolnymi krokami, konstruować. Problem w tym, że sprawa krąży mi w tej właśnie chwili trochę po głowie i niełatwo siedzieć spokojnie, dopóki Frank przebywa w domu. Zapomnijmy jednak o Franku. Jesteś szczęściarzem. Możesz tego dokonać.

Sedno sprawy jest następujące: dom. Celem ćwiczenia jest budowa domu. Jeżeli chcę, aby coś w nim zrobiono, podnoszę słuchawkę i (zakładając, że Frank nie przeciął przewodu, by dostać się do wyłącznika światła) ktoś wkrótce się zjawia, by to zrobić.

Jeżeli chcę, aby zamontowano mi szafki, nie muszę robić, co następuje: rozbierać całego domu, wysłać go do Birmingham, gdzie mieszka stolarz, składać domu do kupy w sposób, w jaki chce stolarz, następnie dać mu zrobić to, co należy, po czym znów rozbierać domu, przetransportowywać go do Islington i ponownie go składać, aby funkcjonował jako dom, w którym mogę mieszkać.

Dlaczego więc muszę tak robić z moim komputerem? Sformułuję to inaczej – może wtedy idea stanie się zrozumiała. Dlaczego, jeżeli pracuję nad dokumentem w określonym edytorze tekstu, stale się dowiaduję, że aby coś jeszcze zrobić, muszę rozbić strukturę dokumentu i przesłać go do innego edytora tekstu, posiadającego funkcję, której potrzebuję, a której nie ma pierwszy? (Dlaczego nie pracuję od początku na drugim edytorze tekstu? Oczywiście dlatego, że nie ma pewnych funkcji, które

ma pierwszy). Albo dlaczego, jeżeli chcę wkleić ilustrację, muszę przejść do innego programu i w nim ją przygotować, po czym dokonać ogłupiającego odkrycia, że z jakiegoś powodu używany przez mnie edytor tekstu nie wie, jak się obchodzić z grafiką w tym formacie albo choć twierdzi, że wie, ekran czernieje, a komputer się dąsa, albo kiedy każę mu wkleić ilustrację, robi PING i się zawiesza? Kończy się to tym, że muszę wklejać poszczególne kawałki do PageMakera, z tym, że kiedy chcę wydrukować plik, z jakiegoś powodu jest to niemożliwe. Wiem, że MultiFinder nieco uprościł procedurę, ale jeżeli za mną nadążasz, jedynie w sposób będący ekwiwalentem uczynienia łatwiejszym dojazdu do Birmingham.

Nie chcę nic wiedzieć o plikach PICT. Nie chcę nic wiedzieć o plikach TIFF. (Naprawdę. Dostaję od nich drgawek). Nie chcę się martwić o to, w jakim formacie mam kazać MacWrite II zapisać pracę, aby Nisus mógł ją odczytać i użyć nie kończące się makro. Na Boga, jestem użytkownikiem maca! To ma być proste.

Mac zaczął istnienie jako realizacja wspaniale prostej i eleganckiej idei (daj im tak mało pamięci, że nie będą w stanie niczego zrobić) i najwyższy czas, aby ten stopień prostoty zastosować w znacznie, znacznie silniejszym i złożonym systemie, jakim mac się stał.

Chciałbym móc robić następujące rzeczy:

1. Włączyć komputer.

2. Pracować.

3. Po tym, jak wykonałem dość punktu 2. (co jest rzadkie, ale to zupełnie inna para kaloszy), trochę się zabawić.

Mówiąc „pracować”, mam na myśli pisanie tekstu, który będzie się pojawiał na ekranie, a gdy zechce mi się dołączyć do niego ilustrację, umieszczanie jej na ekranie. Obejmuje to także przenoszenie na ekran czegoś ze skanera albo wysyłanie komuś czegoś z mojego ekranu. Także zagranie przez komputer melodyjki, którą napisałem na wywołanym na ekranie syntetyzatorze. Dotyczy to też... no cóż, listę można by rozszerzać w nieskończoność. Gdybym potrzebował jakiegoś narzędzia, pozwalającego zrobić coś skomplikowanego, chciałbym móc po prostu o nie poprosić. Po prostu. Nigdy nie powinienem być zmuszany do odkładania tego, nad czym pracuję („marna szansa”, powiedzieliby moi wydawcy) ani nie powinienem nabierać ochoty na robienie czegoś całkiem innego.

Mówię o śmierci „aplikacji”. Nie mam na myśli sytuacji, kiedy „nieoczekiwanie” się zamyka, ale przypadki, kiedy się jej pozbywamy. Zdobycie narzędzi, których potrzebuję, powinno być tak proste, jak dodanie nowego przycisku do HyperCard. Ach! HyperCard!

Wiem, że to co mówię, jest niepopularne, ponieważ wiele osób ma wrażenie, że HyperCard nie

jest wystarczająco mocna, aby za jej pomocą coś użytecznego osiągnąć. W końcu jest to jednak pierwsza próba realizacji pomysłu, który znajduje się dopiero w fazie rozwoju. Lista rzeczy, których nie da się za jej pomocą zrobić, jest niemal tak samo długa jak lista makr w Nisusie. (Po co ich tyle jest? Samo przejrzenie ich menu powoduje przyciemnienie się światła w całym północnym Londynie). Jest to jednak sensacyjnie dobry pomysł i z przyjemnością a czekałbym czasów, kiedy coś w tym stylu stałoby się kompletnym środowiskiem pracy dla maca. Chcesz mocy Excela? Wklej go sobie. Potrzebujesz animacji? Wklej Directora. Nie podoba ci się sposób, w jaki Director działa? (Musisz być szalony. Jest znakomity). Wklej podobające ci się elementy wszelkich narzędzi animacyjnych, które znajdziesz wokół siebie.

Albo napisz program na nowo.

Jeżeli jest odpowiednio napisany kodem obiektowym, powinno to być tak proste, jak napisanie w HyperTalku. (Zgoda, nie umiesz pisać w HyperTalku. Powinno to być łatwiejsze niż pisanie w HyperTalku. Powinno polegać na wskazaniu elementów, które ci się podobają i kliknięciu). Nie możemy być tyranizowani przez autorów aplikacji, które nie mają zielonego pojęcia o tym, jak ludzie pracują – powinniśmy brać sobie elementy, które się nam podobają i je wklejać.

Zacząłem od elektryków, teraz chciałbym powiedzieć kilka słów o schowkach. O jednym konkretnym schowku. Stoi on w kącie mojego gabinetu i nie mam odwagi do niego zajrzeć, wiem bowiem, że jeżeli zajrzę, wejdę do wnętrza i nie wyjdę przed wieczorem, a wychodząc, będę smutnym i zgorzkniałym człowiekiem, który odbył walkę z wściekłym, czarnym wężem i przegrał. Tym wściekłym, czarnym wężem jest metrowej wysokości sterta kabli, która równocześnie ze mnie drwi, jak i mnie nęka. Drwi ze mnie, ponieważ wie, że nie da się. ] w jej spletanym wnętrzu znaleźć żadnego kabla, jakim chciałbym połączyć dowolne, skomplikowane urządzenie z innym skomplikowanym urządzeniem, a nęka mnie, ponieważ wie, że ma rację.

Nienawidzę kabli. One też mnie nienawidzą, wiedzą bowiem, że pewnego dnia znajdę w sobie siłę, by wejść do schowka z miotaczem ognia i pozbyć się całej wstrętnej bandy. Są jednak zdecydowane wydobywać ze mnie do tego momentu każdy gram przepełnionej frustracją rozpacz, jaki są w stanie dostrzec. Nie potrzebujemy drani. Nie powinniśmy potrzebować drani.

Weźmy jako przykład moją obecną sytuację. Aby zabezpieczyć się przed Frankiem Wandalem, przenieśliśmy ten artykuł na notebooka (wiem, wiem – jesteście na mnie wściekli, ale posłuchajcie – w końcu wszyscy będziemy mieć przenośnego maca. Zaufajcie mi – obniżą cenę. A raczej nie ufajcie mnie, lecz firmie Apple. Oczywiście, rozumiem, co macie na myśli, ale na czym to stanąłem?) i jako zabezpieczenie dodatkowe, zaniósłem go do domu przyjaciół, gdzie jest stuprocentowo bezpieczny przed wszystkim, do czego mógłby się posunąć Frank.

Kiedy wrócę do domu z gotowym artykułem, będę mógł go albo skopiować na dyskietkę (zakładając, że jakąś znajdę pod zwałami zawałających moje biurko niedokończonych artykułów), a następnie włożyć ją do mojego stacjonarnego maca i wydrukować artykuł (znów zakładając, że Frank nie kręcił się z piłą łańcuchową w pobliżu mojej sieci Ap – pleTalk). Mogę też podjąć próbę walki z wężem w schowku, aż gdzieś w jego wnętrzu znajdę inną złączkę AppleTalku. Mogę też wpełznąć pod biurko, odłączyć AppleTalka od Iix i podłączyć go do notebooka. Mogę też... rozumiecie, o co chodzi – to absurdalne. Dickens nie musiał pełzać pod biurkiem i dopasowywać

wtyczki do gniazdek. Wystarczy spojrzeć na metry stojącej na półce produkcji Dickensa, aby wiedzieć, że nigdy nie musiał dobierać wtyczek.

Chcę jednego: drukować z notebooka. (Biedactwo). No, tak naprawdę to chcę więcej. Chcę móc regularnie przenosić książkę adresową i pamiętnik między notebookiem a komputerem stacjonarnym. Także wszystkie niedokończone rozdziały. Także wszystko inne, z czym się borykam, a co sprawia, że nie dokończone rozdziały nie są dokończone. Innymi słowami: chcę, aby zawartość notebooka pojawiała się na ekranie komputera stacjonarnego. Nie chcę walczyć ze schowkowymi węzami, a następnie za każdym razem wygłupiać się z TOPS. Powiem dokładnie, co chcę robić, aby treść mojego notebooka pojawiała się na ekranie mojego Iix.

Chcę go wnieść do pokoju, gdzie stoi Iix.

BUM! Gotowe. Zawartość notebooka pojawia się na komputerze.

Rozmawiają ze sobą za pomocą podczerwieni albo mikrofal – nie chciałbym się tym interesować bardziej niż PICTami, TIFFami, RTFa-mi i SYLKami i wszystkimi innymi skrótami, które mówią w sumie tylko jedno: „Mamy bardzo skomplikowany problem, więc dostajesz bardzo skomplikowaną informację”.

Postawmy jasno sprawę – uwielbiam mojego macintosha, czy raczej rodzinę moich macintoshów o nieznanym mi liczbie członków, którą lekkomyślnie zebrałem przez lata. Uwielbiam macintoshe od 1983 roku, kiedy ujrzałem pierwszego w biurach Infocomu w Bostonie. Tym, co przez wszystkie lata utrzymywało moją fascynację i hipnotyzowało mnie, był przekaz niesiony wyglądem macintosha: „Żaden problem nie jest na tyle skomplikowany, aby nie dało się znaleźć prostego rozwiązania, jeżeli spojrzysz na sprawę pod odpowiednim kątem”. Można to wyrazić inaczej: „Przyszłość siły komputera to czysta prostota”. Tak więc na lata dziewięćdziesiąte mam dwa podstawowe życzenia – aby konstruktorzy systemów Macintosh powrócili do tej przyszłości i aby Frank Wandal opuścił mój dom.

„MacUser”, 1989

\*

Zbuduj, a przybędziemy

Pamiętam, kiedy po raz pierwszy ujrzałem komputer osobisty. Było to u Lasky'ego przy Tottenham Court Road, a urządzenie nazywało się Commodore PET. Miało kształt dużej piramidy, na szczycie której znajdował się ekran wielkości tabliczki czekolady. Przez jakiś czas krążyłem wokół. Byłem zafascynowany, ale sprzęt był nic nie wart. Nijak nie mogłem sobie wyobrazić, do czego komputer mógłby się przydać pisarzowi w życiu lub do pracy, poczułem jednak pierwsze zwiastuny uczucia, które miało się rozwinąć i nadać całkiem nowe znaczenie pojęciu „dochód netto”.

Nie mogłem sobie wyobrazić, do czego może mi być przydatny komputer, tylko dlatego że miałem jedynie blade pojęcie o tym, czym jest komputer – jak my wszyscy. Wydawało mi się, że to coś w rodzaju skomplikowanej maszyny liczącej, a dokładnie tak projektowano przez jakiś czas komputery „osobiste” (tak samo wprowadzające w błąd określenie, jak każde inne, które nadano prawie każdemu urządzeniu, jakie znamy) – jako doskonałe maszyny sumujące z długą listą innych funkcji.

Potem, kiedy możliwości manipulowania za pomocą tych urządzeń liczbami coraz bardziej się komplikowały, zaczęliśmy się zastanawiać, co by się stało, gdyby zastąpić cyfry czymś innym – na przykład literami alfabetu.

Bingo! Niezwykły, zmieniający świat przełom! Stwierdziliśmy, jak bardzo byliśmy krótkowzroczni, sądząc, iż te maszyny są jedynie urządzeniami do dodawania. Okazały się czymś znacznie bardziej podniecającym! Były maszynami do pisania!

Tak więc zaczęliśmy robić z nich coraz lepsze maszyny do pisania. Z długą i coraz bardziej niezrozumiałą listą funkcji. Użytkownicy Worda Microsoftu wiedzą, o czym mówię.

Następny przełom nastąpił, kiedy sprawiliśmy, że cyferki, latające już we wnętrzu tych maszyn z naprawdę niesamowitą prędkością, zaczęły reprezentować elementy obrazu graficznego. Piksele!

Aha!, pomyśleliśmy. Ta maszyna jest czymś znacznie bardziej podniecającym od maszyny do pisania. To telewizor! Z podłączoną z przodu maszyną do pisania!

Teraz mamy World Wide Web (jedyna rzecz, jaką znam, której skrót – www – wymawia się trzy razy dłużej niż to, czego jest skrótem) i mamy kolejny podniecający model\*. Wielka, śpiewająca, tańcząca, podskakująca, popiskująca, sflashowana broszura.

Oczywiście – komputer nie jest żadną z powyższych rzeczy. Po prostu znaleźliśmy te przedmioty z życia realnego i wmodelowaliśmy je w komputer, aby móc się posługiwać tym cholernym urządzeniem. Powinno nam to uświadomić coś ciekawego. Komputer jest urządzeniem modelującym.

Pojmując to, powinniśmy także pojąć, że możemy uczynić z niego model dowolnych rzeczy. Nie tylko takich, które zwykliśmy robić w życiu realnym, ale także tych, których robienie życie realne nam uniemożliwia. Zrobienie czego uniemożliwia nam broszura? No cóż, jej najważniejszym zadaniem

jest przekonać ludzi, aby kupili coś, co masz do sprzedania i zrobić to, będąc jak najbardziej błyszczącym oraz kuszącym i mówiąc ludziom tylko to, co chcesz powiedzieć. Nie da się przesłuchać broszury. Większość firmowych stron internetowych wygląda podobnie. Weźmy na przykład BMW. Ich strona internetowa jest wspaniała, genialna i nie odpowiada na pytania. Nie pozwoli się dowiedzieć, co dla innych ludzi znaczy posiadać BMW, jakie mieli doświadczenia z tym samochodem, jakie niedostatki i jakie plusy ma konkretny model, jak rzetelne są poszczególne modele, ile kosztuje ich utrzymanie, jak zachowują się na mokrej nawierzchni ani nic podobnego. Innymi słowami – człowiek nie dowie się niczego, co ewentualnie chciałby wiedzieć. Możesz wysłać do nich maila, ale ani twoje pytanie, ani ich odpowiedź – także czykolwiek inna odpowiedź – nie pojawi się na stronie. Oczywiście jest mnóstwo stron internetowych, na których ludzie i wymieniają się tego rodzaju informacjami, na stronie BMW nie znajdzie się jednak o nich najmniejszej wzmianki. Prawda jest taka, że jeżeli poszukuje się prawdziwych, dojrzałych informacji o BMW, ostatnim miejscem, gdzie się je znajdzie, jest [www.bmw.com](http://www.bmw.com). Ta strona jest prospektem.

To samo z British Airways. Ich strona internetowa powie wszystko o firmie – z wyjątkiem tego, kto jeszcze lata na tych samych trasach, co oni. Jeżeli ktoś chce się dowiedzieć, jaki ma wybór, zagląda na inną z mnóstwa stron, które to powiedzą. Jest to dla British Airways niedobra wiadomość, w ten bowiem sposób firma nigdy się nie dowie, czego właściwie ludzie szukają ani dlaczego to, co oferowali, przegrało z konkurencją. Ponieważ to bardzo istotna informacja, aby spróbować się tego dowiedzieć, BA będzie musiało wysłać w teren grupy ludzi z kwestionariuszami – pomijając fakt, że ludziom z kwestionariuszami każdy kłamie.

Tymi, którym jak na razie udaje się działać niezwykle dobrze, chłopcy z Amazonu. Odwiedza się ich serwis, ponieważ jest pełen dostępnych dla wszystkich informacji. Im więcej jest tam informacji, tym więcej ludzi odwiedza serwis; im więcej ludzi odwiedza serwis, tym więcej informacji jest generowanych i tym więcej książek sprzedaje Amazon. Oczywiście nie boją się oni otwartej dyskusji, ponieważ w odróżnieniu od BMW i British Airways nie są odpowiedzialni za produkty, które sprzedają. BMW i British Airways będą potrzebować dużo czasu, nim zrozumieją, że są częścią społeczności, której sprzedają produkty.

Nawet jednak Amazon dysponuje niepełnym obrazem. Tak samo jak rzeczywiste sklepy, może rejestrować tylko faktyczną sprzedaż. A co ze sprzedażą, której nie dokonali, a nie wiedzą, że jej nie dokonali, ponieważ jej nie dokonali? Kilka dni temu wszedłem na stronę Amazona, ponieważ chciałem zamówić na DVD *Romea i Julię* Zefirellego z 1968 roku. Okazało się, że coś takiego nie istnieje. Mógłbym kupić film na kasecie VHS, ale nie chcę go na kasecie. Tak więc transakcja wyniosła zero. Nie zarejestrowano w żaden sposób, że chciałem coś kupić ani faktu, że to, co chciałem kupić, nie było dostępne. Mogłem jedynie wybrać (albo nie wybrać) z tego, co akurat było dostępne, nie mogłem jednak powiedzieć, czego chcę. Napisałem do nich i przedstawiłem problem. Zgadnijcie, co się stało? Teraz jest to możliwe. Okazali się bardzo sprytni. Mogą obecnie dostarczać studiom informacje, na jakie produkty istnieje zapotrzebowanie. Po innej – nie całkiem bezinteresownej – mojej sugestii zamierzają wprowadzić ankietę, jakie książki ludzie najbardziej chcieliby obejrzeć w wersji zekranizowanej. Jest to informacja, jakiej przedtem nikt inny nie był w stanie zdobyć.

Pójdźmy jednak jeszcze stopień dalej. Jak często przeglądałeś prospekt albo katalog i myślałeś:

„Chciałbym, aby ktoś napisał książkę o...”, „Gdyby ktoś wyprodukował rower z...”, „Dlaczego nikt nie robi śrubokrętów, które...” albo „Dlaczego nie robią tego w niebieskim kolorze?”. Prospekt nie odpowie ci na to, ale Internet może.

Co naprawdę z chęcią byś posiadał, gdyby ktoś wpadł na pomysł to zrobić? Propozycje proszę przesyłać do [www.h2g2.com](http://www.h2g2.com).

„The Independent on Sunday”,

listopad 1999

\* \* \*

Stworzyłem zestaw zasad, opisujących nasze reakcje wobec osiągnięć technicznych:

1. Wszystko, co istnieje na świecie, kiedy się rodzimy, jest dla nas normalne i zwyczajne i stanowi naturalny element sposobu, w jaki funkcjonuje świat.
2. Wszystko, co zostało wynalezione między naszym piętnastym a trzydziestym piątym rokiem życia, jest nowe, podniecające i rewolucyjne, prawdopodobnie można zrobić w tym karierę.
3. Wszystko, co wynaleziono po naszym trzydziestym piątym i życia, jest niezgodne z naturalnym porządkiem rzeczy.

\*

**AMERICAN ATHEISTS: Panie Adams, określono Pana kiedyś jako „radykałnego ateistę”. Czy to trafne określenie?**

DNA: Tak. Stosuję określenie „radykałny” dość swobodnie, głównie jako podkreślenie. Jeżeli ktoś określa się mianem „ateisty”, często spotyka się z reakcją: „Nie masz na myśli, że jesteś agnastykiem?”. Muszę odpowiedzieć, że jak najbardziej chodzi mi o „ateistę”. Naprawdę nie wierzę, że istnieje Bóg – nie. Jestem jak najbardziej przekonany, że Boga nie ma (to dość subtelna różnica). Nie widzę najmniejszego strzępka dowodu, który by sugerował, że jakiś Bóg istnieje. Łatwiej powiedzieć, że jestem radykałnym ateistą – po to, aby zasygnalizować, iż naprawdę mam na myśli to, co mówię; gruntownie prze myślałem sprawę i przedstawiam pogląd, który naprawdę reprezentuję. Śmieszne, jak wiele osób naprawdę zaskakuje tak silnie wyrażony pogląd. Wygląda na to, że w Anglii oddryfowaliśmy od bliżej nieokreślonego, rozmytego anglikanizmu w stronę nieokreślonego, rozmytego agnostycyzmu – zarówno jedno, jak i drugie jest – moim zdaniem – sygnałem niechęci do nadmiernego myślenia o pewnych sprawach.

Ludzie często mówią: „Tak na wszelki wypadek chyba lepiej pozostać agnastykiem”. Podejście takie świadczy – według mnie – o takim głuptactwie i zamęcie w głowie, że zazwyczaj nie dają się wciągnąć w konwersację i cichcem się wymykam. (Jeżeli okaże się, że cały czas się myliłem i w rzeczywistości Bóg istnieje, a wrazenie robiło na nim to legalistyczne, clintonowskie dzielenie włosa na czworo, połączone ze stałym zaciskaniem kciuków za plecami, aby się udało, chyba i tak nie chciałbym go czcić).

Niektórzy ludzie pytają, jak mogę twierdzić, że wiem. Czy „wiara, że nie ma Boga” nie jest tak samo irracjonalna, arogancka itd. jak „wiara, że Bóg istnieje”? Nie zgadzam się z tym z kilku powodów. Po pierwsze, nie ma we mnie „wiary, że nie ma Boga”. Nie rozumiem, jaki związek z tym ma mieć wiara. Wierzę albo nie wierzę mojej czteroletniej córce, kiedy mówi, że to nie ona nabałaganiła na podłodze. Wierzę w sprawiedliwość i grę fair (choć nie bardzo wiem, jak to osiągnąć w inny sposób, niż poprzez nieustanne blokowanie szans na osiągnięcie sukcesu). Wierzę także w to, że dobrym pomysłem dla Anglii byłoby przystąpienie do Europejskiej Unii Monetarnej. Nie znam się na ekonomii na tyle, aby debatować na ten temat z ekonomistami, to jednak, co wiem – plus potężny impuls z trzewi – sugeruje mi bardzo mocno, że byłby to odpowiedni kurs. Zdaję sobie sprawę z tego, iż moje podejście może się okazać błędne, dlatego uważam, że jak najbardziej jest tu uzasadnione użycie słowa „wierzyć”. Jednak jako pancierz chroniący irracjonalne poglądy przed uzasadnionymi pytaniami, słowo to moim zdaniem odpowiada za sporo intryg. Tak więc nie wierzę, że nie ma Boga. Jestem przekonany, że Boga nie ma, a to całkowicie inna postawa. Stwierdzenie to pozwala mi przejść do drugiego argumentu.

Nie godzę się na modne obecnie twierdzenie, że każdy pogląd jest automatycznie wart takiego samego szacunku jak każdy inny równorzędny i przeciwny. Uważam, że Księżyc składa się ze skał. Jeżeli ktoś mi mówi: „Przecież nie byłeś tam. Nie widziałeś go na własne oczy, więc mój pogląd, że



jest zrobiony z norweskiego bobrzeżego sera jest tak samo uzasadniony”, nawet nie będę zamierzał się spierać. Istnieje coś, co nazywa się ciężarem dowodu, a zarówno w przypadku Boga, jak i składu księżycy, radykalnie się on zmienił. Bóg był najlepszym wyjaśnieniem, jakie posiadaliśmy, ale teraz mamy znacznie lepsze. Bóg przestał być wyjaśnieniem wszystkiego – sam stał się czymś, co wymaga niezwyklej dawki wyjaśnienia. Nie sądzę więc, aby przekonanie, iż Boga nie ma, było tak samo irracjonalnym i aroganckim punktem widzenia, jak wiara, że Bóg istnieje. Nie uważam, aby ta sprawa wymagała bezstronności.

## **AMERICAN ATHEISTS: Od kiedy jest Pan niewierzący i czym zostało to spowodowane?**

DNA: To dość banalna historia. Jako nastolatek byłem zaangażowanym chrześcijaninem. Wyniosłem to z domu. Pracowałem nawet na rzecz kaplicy szkolnej. Pewnego dnia, kiedy miałem mniej więcej osiemnaście lat, idąc przez miasto, natknąłem się na ulicznego kaznodzieję i w poczuciu obowiązku zatrzymałem się, aby go posłuchać. Słuchając go, powoli zaczęło mi świtać, że opowiada kompletne bzdury i dotarło do mnie, że najlepiej będzie nieco się nad tym wszystkim zastanowić.

Ująłem to tak, jakby nastąpiło bardzo gładko, ale mówiąc „dotarło do mnie”, mam na myśli dłuższy proces. Przez lata nauki historii, fizyki, łaciny i matematyki nauczyłem się (choć z trudem) co nieco o standardach argumentowania, standardach przeprowadzania dowodu, standardach logiki i tak dalej. Tak naprawdę nauczyliśmy się jedynie, jak dostrzegać różne rodzaje błędnej logiki, ale wtedy na ulicy nagle dotarło do mnie, że nie da się zastosować powyższych standardów do zagadnień religijnych. Na lekcjach religii proszono, abyśmy z szacunkiem słuchali argumentów, które – wysuwane na przykład na poparcie poglądu, dlaczego, powiedzmy, ustawy zbożowe\* zniesiono wtedy, kiedy je zniesiono – wyśmiano by jako głupie i dziecinne, a w kategoriach logiki i dowodu po prostu błędne. Dlaczego tak się działo?

No cóż, w historii – nawet jeśli rozumienie wydarzeń, przyczyn i skutków jest sprawą interpretacji; nawet jeśli interpretacja jest pod wieloma względami sprawą opinii – opinie i interpretacje są obiektem wywracającego na nice morderczego krzyżowego ognia argumentów i kontrargumentów, a te, które się utrzymują, stają się obiektem kolejnej rundy wyzwania faktograficznych i logicznych ze strony następnego pokolenia historyków – i tak dalej. Nie wszystkie poglądy są równe! Niektóre są znacznie bardziej krzepkie, złożone i wspierane przez logikę oraz argumenty niż pozostałe.

Byłem więc już zaznajomiony z ideą (obawiam się) akceptowałem pogląd, że nie da się zastosować logiki fizyki do religii – że obie te dziedziny zajmują się odmiennymi typami „prawdy”. (Obecnie sądzę, że to nonsens, ale aby kontynuować...). Zaskoczyło mnie, że argumenty na korzyść idei religijnych są tak słabe i niemądre w porównaniu do solidnych argumentów czegoś tak zależnego od interpretacji i opinii jak historia. W istocie były żenująco dziecinne. Religijne idee nigdy nie były przedmiotem otwartego kwestionowania, któremu podlegały wszelkie inne dziedziny intelektualne. Dlaczego? Ponieważ by go nie wytrzymały. W ten sposób stałem się agnostykiem. Myślałem, myślałem i myślałem, ponieważ jednak nie miałem dość materiału do przemyśleń, nie doszedłem do

żadnej konkluzji. Bardzo powątpiewałem w ideę istnienia Boga, ale wiedziałem za mało o wszystkim, aby zastąpić ją dobrym, działającym modelem albo innym wyjaśnieniem, no cóż, życia, wszechświata i całej reszty. Nie rezygnowałem jednak – czytałem i myślałem dalej. Tuż po trzydziestce natknąłem się na biologię ewolucyjną, szczególnie pod postacią książek Richarda Dawkinsa *Samolubny gen* i *Ślepy zegarmistrz, czyli jak ewolucja dowodzi, że świat nie został zaplanowany* i nagle (wydaje mi się, że w czasie drugiego czytania *Samolubnego genu*) wszystko wskoczyło na miejsce. Przedstawiona tam koncepcja jest zadziwiająco prosta, ale w naturalny sposób wyjaśnia powstanie nieskończonej i zdumiewającej złożoności życia. Respekt, jaki we mnie wzbudziła, sprawił, że respekt, o jakim mówią ludzie, opowiadając o doświadczeniu religijnym, wydał się niepoważny. Respekt wynikający ze zrozumienia stoi dla mnie zawsze ponad respektem biorącym się z ignorancji.

**AMERICAN ATHEISTS: Zrobił Pan aluzję do swego ateizmu w przemowie do wielbicieli („...był to jeden z niewielu przypadków, kiedy wierzyłem w Boga”). Czy Pański ateizm jest powszechnie znany Pańskim wielbicielom, przyjaciołom i współpracownikom? Czy wiele osób z kręgu Pańskich przyjaciół i współpracowników jest ateistami?**

DNA: Pytanie jest dla mnie nieco zaskakujące i sądzę, że mamy tu do czynienia z pewną różnicą kulturową. W Anglii bycie ateistą to nic wielkiego. Lekki dyskomfort wywołują za to ludzie, którzy wyraźnie wyrażają określony punkt widzenia tam, gdzie za nieco bardziej właściwe uważana jest obojętna nijakość – stąd się bierze przedkładanie agnostycyzmu nad ateizm. Przejście od agnostycyzmu do ateizmu wymaga – moim zdaniem – znacznie większego wysiłku intelektualnego, niż większość ludzi jest w stanie wykonać. Nie robi się jednak wokół tego wielkiej sprawy. Szereg moich znajomych, z którymi się spotykam, to naukowcy i w ich kręgach ateizm jest normą. Podejrzewam, że większość moich pozostałych znajomych to agnostycy, tylko niewielu spośród nich to ateści. Gdybym miał popatrzeć wśród przyjaciół, członków rodziny, kolegów i powiedziec, którzy z nich uważają, że Bóg istnieje, prawdopodobnie rozejrzałbym się wśród starszych oraz (jeżeli mam być całkiem szczerzy) mniej wykształconych. Jest kilka wyjątków. (Z nawyku niemal dodałem „zaszczytnych wyjątków”, w rzeczywistości tak nie uważam).

**AMERICAN ATHEISTS: Jak często Pańscy wielbiciele, przyjaciele lub współpracownicy próbowali „uratować” Pana od ateizmu?**

DNA: Nigdy. W Anglii nie mamy tego rodzaju fundamentalizmu. No, może to nie do końca prawda, podejrzewam jednak (będę tu straszliwie arogancki), że po prostu nie natykam się na takich ludzi – tak jak nie natykam się na ludzi oglądających nadawane w ciągu dnia opery mydlane czy czytających „National Enquirer”. Jak Pan zazwyczaj na to reaguje? Nie zawracałbym sobie tym głowy.

**AMERICAN ATHEISTS: Czy z powodu ateizmu miał Pan jakieś problemy w życiu zawodowym (bigoteria skierowana przeciwko ateistom) i jak Pan sobie z tym poradził? Jak często się to zdarzało?**

DNA: Nigdy najmniejszych. To coś nie do pomyślenia.

**AMERICAN ATHEISTS: W Pańskich książkach jest kilka niefrasobliwych odniesień do Boga i religii („...dwa tysiące lat po tym, jak pewien człowiek został przybity gwoździami do drzewa...”). Jak Pański ateizm wpłynął na Pańską twórczość? Które postacie albo sytuacje najdokładniej odzwierciedlają Pańskie poglądy religijne?**

DNA: Jestem zafascynowany religią. (To całkiem inna rzecz, niż w nią wierzyć!). Ma ona tak nieobliczalnie wielki wpływ na ludzkie sprawy. Czym właściwie jest? Co sobą reprezentuje? Dlaczego ją właściwie wymyśliliśmy? W jaki sposób ciągle funkcjonuje? Co się z nią stanie? Uwielbiam dźgać i szturchać religię. Przez minione lata tyle się nad nią zastanawiałem, że fascynacja religią w każdej chwili może przeniknąć do mojej twórczości.

**AMERICAN ATHEISTS: Co chciałby Pan przekazać swoim ateistycznym wielbicielom?**

DNA: Cześć! Co słychać?

Z: „The American Atheists” 37, No. 1

(wywiad przeprowadzony przez Davida Silvermana)

*Jakie są plusy komunikowania się z wielbicielami przez e-maila?*

Jest to szybsze, prostsze i wymaga mniej lizania.



## Przepowiadanie przyszłości

Przepowiadanie przyszłości to robota głupiego, j ednak w coraz większym stopniu jest to gra, w którą musimy grać wszyscy, ponieważ świat zmienia się w zawrotnym tempie i musimy mieć jakieś wyobrażenie, jak będzie wyglądać przyszłość – będziemy bowiem w niej żyć, być może w przyszłym tygodniu.

Dziwne przy tym, że główny motor tego niesamowitego tempa zmian – przemysł komputerowy – okazuje się dość kiepski w przewidywaniu przyszłości. Nie udało mu się przewidzieć zwłaszcza dwóch rzeczy: po pierwsze pojawienia się Internetu, co w niezwykle krótkim czasie stało się osią, wokół której kręci się cały przemysł komputerowy, po drugie tego, że stulecie się skończy.

Stoimy na krawędzi nowego tysiąclecia i niczym mały u Kubricka, stojące przed olbrzymim czarnym monolitem, spoglądamy w górę błyszczącego lica klifu czekających nas zmian. Na jakiej podstawie może my mieć nadzieję, że zgadniemy, co nadejdzie? Komputery molekularne, komputery kwantowe – co możemy się ośmielić o nich powiedzieć? Myliliśmy się co do pociągów, myliliśmy się co do samolotowy radia i telefonów, myliliśmy się co do... cóż, aby przedstawić obszerną listę rzeczy, co do których się myliliśmy, można zrobić znacznie gorsze rzeczy, niż wyciągnąć egzemplarz książki Christophera Cerfa i Victora Navasky'ego pod tytułem *The Experts Speak*.

Jest to kompendium dokonywanych w przeszłości autorytatywnych przepowiedni, które okazały się wspaniale błędne – zazwyczaj niemal natychmiast. Wiecie, o co chodzi. Irving Fisher, profesor ekonomii na Uniwersytecie Yale, powiedział 17 października 1929 roku, że „akcje osiągnęły poziom, który wygląda na permanentnie wysoki i wyrównany”. Dyrektor muzyczny firmy Decca powiedział w 1962 roku o Beatlesach: „Nie podoba się nam ich brzmienie. Grupy gitarowe się kończą” i tak dalej. Ach – jest jeszcze jedno – „Bill Clinton przegra z każdym republikaninem, który nie będzie się ślinił na scenie”. Napisano tak w 1995 roku w „The Wall Street Journal”. Książka jest bardzo gruba i można ją z radością czytać godzinami w toalecie.

Dziwne jest to, że wcale się nie poprawiamy w zakresie przewidywania. Uśmiechamy się pobłaźliwie, słysząc, że w 1897 roku lord Kelvin uznał, iż „radio nie ma przyszłości”, z zaskoczeniem odkrywamy jednak, że Ken Olsen, prezes Digital Equipment Corporation, powiedział w 1977 roku, że „nie istnieje ani jeden powód, który by uzasadniał sens posiadania przez prywatne osoby komputera w domu”. Nawet Bill Gates, który postawił sobie za punkt honoru całkowite mylenie się, wstawił się powiedzeniem, że nie jest w stanie wyobrazić sobie, by ktokolwiek potrzebował w swoim komputerze więcej niż 640 kB pamięci. Spróbuj używać Worda, mając dwadzieścia razy tyle.

Ciekawe byłoby prowadzenie księgi przepowiedni i sprawdzenie, czy jesteśmy w stanie dostrzec absolutne hity, kiedy są dopiero zawadiackimi małymi pączkami. Ostatnio zauważyłem coś takiego w lutym, w wypowiedzi pana Wayne'a Leucka, wiceprzewodniczącego działu wdrożeń USWest, amerykańskiego koncernu telefonicznego. Wypowiadając się przeciwko rozmieszczaniu szybkich łączy bezprzewodowych, powiedział: „Przyznaję, można by z nich korzystać, jadąc samochodem sto kilometrów na godzinę, ale nie sądzę, by wiele osób się na to zdecydowało”. Poczekajmy. To

oświadczenie jeszcze go będzie prześladować. Nawigacja satelitarna. Internet bezprzewodowy. Wkrótce po tym, jak zaczniemy wpisywać miejsce pobytu we wspólną przestrzeń informatyczną, wyzwolimy kolejny gwałtowny rozwój aplikacji internetowych.

Przynajmniej tak to przewiduję. Możliwe, że bardzo się pomylę. Stewart Brand zaproponował w swojej znakomitej książce *Długa teraźniejszość: czas, odpowiedzialność i najpowolniejszy komputer świata*. Zapisywanie przepowiedni dokonywanych przez społeczeństwa i używanych przez nie argumentacji w bibliotece liczącej dziesięć tysięcy lat; ciekawe byłoby jednak także przyjrzenie się, jak to działa na krótką metę. Na początku każdego roku media prześcigają się w przewidywaniach, co wydarzy się w nadchodzącym roku. Dwa dni później wszystko zostaje oczywiście zapomniane i nie mamy okazji zweryfikować dokonanych przepowiedni. Chciałbym zaprosić czytelników do formułowania własnych przepowiedni – i przekazywania wszelkich, na które się natkną w drukowanej formie – na temat tego, co się wydarzy w ciągu najbliższych pięciu lat i konkretnie kiedy. Wystrzelimy raketę załogową na Marsa? Osiągniemy pokój w Irlandii albo na Bliskim Wschodzie? Balon biznesu elektronicznego pęknie?

Umieścimy wszystko w Internecie, gdzie pozostanie przez całe pięć lat, byśmy mogli porównać przepowiednie z tym, co faktycznie będzie się działo. Przepowiadanie przyszłości to robota głupiego, ale każda gra robi się ciekawsza, kiedy można zapisywać wyniki.

„The Independent On Sunday”

listopad 1999

\* \* \*

Zaczyna się pojawiać nowa generacja inteligentnych krzeseł biurowych, których zaletą jest brak pokręteł i dźwigni. Wszystkie sprężyny i klamry, o których nas uczono, w dalszym ciągu istnieją, krzesło przystosowuje się jednak automatycznie do sylwetki siedzącego bez mówienia mu, jak ma to robić. Oto przepowiednia: kiedy będziemy mieli działające tak programy komputerowe, świat będzie lepszym i szczęśliwszym miejscem.

\*

## Komputerek, który mógłby

Moją ulubioną informacją jest ta, że Branwell Bronte, brat Emily i Charlotte, zmarł na stojąco, oparty o obramowanie kominka, aby udowodnić, że jest to wykonalne.

Nie jest to do końca prawdą. Moją najnajbardziej ulubioną informacją jest to, że młode leniwce są tak durne, że często zamiast gałęzi drzew chwytają własne łapy, w efekcie czego spadają na ziemię. Jednakże nie ma to zbyt wielkiego odniesienia do tego, co aktualnie chodzi mi po głowie, dotyczy bowiem leniwców, podczas gdy informacja o Branwellu Bronte dotyczy pisarzy, poczucia bycia martwym i robienia czegoś po to, aby udowodnić, że jest wykonalne, a wszystko to jest adekwatne do mojej obecnej sytuacji w stopniu, który – szczerze mówiąc – jest przerażający.

Jestem pisarzem i czuję się, jakbym był martwy, a czułbyś się tak samo, gdybyś właśnie przyleciał do Grand Rapids w stanie Michigan o nieprzyzwoicie wczesnej porze i dowiedział się, że przez trzy godziny nie możesz dostać się do pokoju w hotelu. Tak naprawdę wystarczyłoby samo przybycie do Grand Rapids w stanie Michigan. Jeżeli jesteś mieszkańcem Grand Rapids w stanie Michigan, uznaj, proszę, że żartuję. Pozostali dostrzegą, że nie kpię.

Nie mając dokąd pójść, stoję oparty o obramowanie kominka. No, o coś w tym rodzaju. Właściwie nie wiem, co to jest. Jest zrobione z mosiądzu i plastiku, a zostało przez architekta zaprojektowane prawdopodobnie po ciężkiej nocy na mieście. Przypomina mi to kolejną ulubioną informację: na trasie kolei transsyberyjskiej znajduje się jakby wielka mijanka – w pewnym miejscu tory odbijają w bok, po czym wracają na pierwotną linię trasy. Powodem jest to, że kiedy car (nie wiem, który car, ponieważ nie siedzę w domu w gabinecie, a opieram się o coś straszliwie paskudnego w stanie Michigan; nie ma tu książek) wydawał dekret o budowie kolei transsyberyjskiej, rysował jej trasę na mapie za pomocą linijki. Linijka miała w jednym miejscu zagłębienie.

Piszę ten artykuł, opierając się o bezimienną architektoniczną pomyłkę i nie posługuję się macintoshem. Chętnie bym to robił, ale mój PowerBook właśnie się rozładował (śmieszna rzecz – wykorzystać w nazwie urządzenia cechę, która jest jego jedynym poważnym niedostatkim; pod tym względem to raczej Grenlandia)\*. Mam ze sobą przewód zasilający, ale nie mogę go nigdzie włożyć. Choć kabel zasilający jest tak skonstruowany, że komputer może być zasilany prądem o różnym napięciu\*, nie ma uniwersalnej wtyczki. Jest zakończony wielką, toporną, brytyjską, trzybolcową wtyczką, co oznacza, że jeżeli przed odlotem z Heathrow zapomni się kupić przejściówkę, człowiek ma przechlapane. Poza Wielką Brytanią nie da się kupić przejściówek do brytyjskich wtyczek. Wiem o tym. Próbowałem tego, mając podobne problemy ze starym mac portablem. (Nie będę robić żadnych żartów o mac portablu. Apple dość ich narobiło i trudno wymyślić coś nowego. Cholera! Miałem tego nie robić!). W końcu musiałem kupić amerykański kabel zasilający. No, musiałem podjąć próbę kupna. Jest to niemożliwe – kable dostarcza się jedynie z nowymi mac portablami. Nosilem ze sobą martwego mac portabla przez dziesięć dni i od czasu do czasu rozkładałem na nim kanapki, był bowiem nieco lżejszy do noszenia niż stolik. (Cholera, następny dowcip...).

Z PowerBookiem nie mam tego problemu. Nie jestem kompletnym idiotą. Tym razem wziąłem przejściówkę. No, może jestem nieco przy – głupi – znajduje się w walizce, którą właśnie zabrał

chłopiec hotelowy, zostawiając mnie na trzy godziny, aż pokój będzie gotów.

Co więc robię? Piszę ręcznie? Chyba żartujesz. Po dziesięciu latach pisania na komputerze nie umiałbym nic napisać ręcznie. Wiem, że powinienem być w stanie to robić; pisanie ręczne podobno niczym się nie różni od jedzenia pałeczkami – kiedy człowiek raz je opanuje, tak naprawdę nigdy tego nie zapomina. Problem w tym, że w jedzeniu pałeczkami mam znacznie większą praktykę niż w pisaniu długopisem, więc nie – nie piszę ręcznie. Nie mówię także do okropnego małego dyktafonu, który nagrywa bezlitośnie także wtedy, gdy człowiek rozpaczliwie zastanawia się, co by tu powiedzieć. Wciśnięcie w takim aparacie klawisza STOP skutecznie przywraca pracę mózgu.

Nic z tego. Siedzę na jakimś krześle i piszę na nowym palmtopie Psion Series 3a. Kupiłem go w sklepie wolnoćlowym na Heathrow, – ot, dla czystej przyjemności – i muszę powiedzieć, że jest dobry Działa.

Mogę przed opowiedzeniem o Psionie powiedzieć słówko o sklepach wolnoćlowych? Nie chodzi o to, że rzeczy są w nich tańsze. Choć są. Odrobinę. Kupując w nich, oszczędza się minimalne sumy. Oczywiście można stracić sporą sumę, jeżeli nie będzie się pamiętać, że wracając do kraju, trzeba wszystko, co się kupiło w sklepie wolnoćlowym, zadeklarować podczas kontroli celnej. Zakupione dobra są bezcłowe tak naprawdę tylko wtedy, gdy zamierza się spędzić resztę życia w samolocie. Co więc się dzieje, gdy kupujesz coś w sklepie wolnoćlowym za cenę jedynie odrobinę niższą, niż byś kupił na głównej ulicy? Oto, co się dzieje – większość pieniędzy zaoszczędzonych na ciele zamiast iść na finansowanie służby zdrowia (albo atomowych okrętów podwodnych klasy Trident), idzie do sejfów sklepów wolnoćlowych. Dlaczego więc kupiłem Psiona w sklepie wolnoćlowym? Ponieważ jestem kompletnym idiotą.

Nieważne. Aktualizujemy sytuację. Znalezione mi pokój. Wypakowałem przejściówkę. PowerBook ładuje się. W dalszym ciągu go nie używam, ponieważ leżę w wannie. W dalszym ciągu korzystam z Psiona. Jeszcze nigdy nie napisałem niczego w łazience. Papier robi się wilgotny i lepki, odwrócone czubkiem do góry długopisy nie chcą pisać, maszyny do pisania cisną w brzuch, a jeżeli jesteś gotów używać w łazience PowerBooka, podejrzewam, że nie jest twoją własnością.

A więc da się to zrobić. Można pisać na palmtopie, a dotychczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Próbowałem robić to na Sharp Wizardzie, ale pojawiła się pewna przeszkoda – klawiatura była ułożona alfabetycznie i dawało to beznadziejne efekty. Zasada, kryjąca się za podjęciem decyzji o alfabetycznym ułożeniu klawiatury, opiera się na nieporozumieniu. Moim zdaniem jest następująca: nie każdy zna zasadę qwerty\* (pisanie słowa „qwerty” jest dziwne – spróbuj, a zrozumiesz, co mam na myśli), jednak każdy zna alfabet. Jest to prawdziwe, ale nieistotne. Ludzie znają alfabet jako jednowymiarowy ciąg znaków, nie jako układ dwuwymiarowy, więc – tak czy owak – muszą wyszukiwać poszczególne litery. Dlaczego więc nie użyć zasady qwerty i pozwolić ją wykorzystać ludziom, którzy ją znają?

Próbowałem także korzystać z większego Sharp Wizarda – modelu 8200, który ma klawiaturę qwerty, ale nie przenosi automatycznie tekstu po wypełnieniu linii do następnej. Uwierzyć w to? W dzisiejszych czasach nawet Etch-a-Sketch ma tę funkcję.

Inny problem ze wszystkimi palmtopami polega na tym, że ich klawiatury są za małe dla palców.



To spory kłopot. Sprawa jest beznadziejna. Jeżeli urządzenie jest wystarczająco małe, aby zmieścić się człowiekowi w kieszeni, ma za małą klawiaturę, aby dało się na niej pisać. Znalazłem na to rozwiązanie i wybac mi, jeżeli je znasz, bo prawdopodobnie jestem ostatnią osobą na świecie, która to odkryła. W każdym razie rozwiązanie jest następujące: chwyta się palmtopa obydwoma dłońmi i pisze kciukami. Poważnie. To działa. Z początku wrażenie jest dziwne i dłonie nieco boją od używania nie przyzwyczajonych do pracy mięśni, zaskakująco szybko człowiek się jednak do tego adaptuje. Zaliczyłem właśnie tysiąc słów.

Pojawia się w związku z tym kilka ciekawych pytań. (Ciekawych dla mnie. Ty zadowol się sam). Co z całym hałasem na temat możliwości wprowadzania danych różnego rodzaju? Oczywiście tak samo jak wszyscy inni szaleję z podniecenia w obliczu perspektywy wprowadzania do komputera języka mówionego i pisma ręcznego, ale zarówno ty jak i ja, jak i każdy, kto wygłupiał się z programem Caere Typist albo czymś podobnym, wiemy, że w praktyce wszystko rzadko działa tak gładko jak w teorii – a przynajmniej jeszcze nie teraz. Większość czasu spędzonego na zapasach z technologiami, które jeszcze nie całkiem działają, nie jest dla użytkownika końcowego warta wysiłku – niezależnie od tego, ile zabawy mają z tego tacy fanatycy jak my. Czasy, kiedy będzie można powiedzieć: „Otwórz właz, HAL” i być pewnym, że HAL zrozumie, iż chcesz być wyrzucony na peryferiach Jowisza, są jeszcze dość odległe\*. Podejrzewam także, że bardzo dużo czasu minie, nim będę w stanie podyktować taki artykuł jak ten – tak, aby efekt był możliwy do odczytania, nie mówiąc już o wiernym oddaniu myśli. Wszyscy znamy stary skecz, w którym sekretarka zapisuje wszystko, co mówi szef – włącznie z wtrętami typu „tego niech Pani nie zapisuje” czy „proszę skreślić ostatnie zdanie”. Obawiam się, że zanim sprawa zacznie gładko działać, będziemy musieli przecierpieć sporo błędów typowych dla pisaniny głupich sekretarek. Jeśli chodzi o czytanie przez komputer pisma ręcznego, to jak powiedziałem powyżej, dziesięć lat pracy na komputerze spowodowało taką degrengoladę mojego charakteru pisma, że sam ledwie jestem je w stanie przeczytać, nie wiem więc, jaką szansę na dokonanie tego ma komputer. Dałbym sobie zawracać głowę prośbą o wyduszenie z powyższego zawartej w tym ironii? Nie.

Tak więc pozostajemy przy wpisywaniu danych za pomocą klawiatury, a to – przynajmniej jak na razie – oznacza qwerty. Jak jednak wiemy, qwerty stworzono w celu spowolnienia pisania na maszynie, aby klawisze się wzajemnie nie blokowały. System jest bardzo nieskuteczny, jednak próby zastąpienia go czymś bardziej wydajnym – na przykład klawiaturą Dvoraka – jak na razie spaliły na panewce\*. Ludzie znają system qwerty i nie mają motywacji, by go zmieniać. System Dvoraka i inne może są lepsze, ale qwerty jest – a przynajmniej był jak na razie – wystarczająco dobry. „Co się nie zepsuło, nie wymaga naprawy” – to bardzo zdrowa zasada i pozostanie taką mimo faktu, że całe życie ją z przekonaniem ignorowałem.

Myślę jednak, że być może dotarliśmy do punktu, w którym bardzo wskazane jest opracowanie klawiatury na nowo. Dużo nowego dzieje się w zakresie palmtopów. Apple, Microsoft i wszyscy inni nagle zaczęli dostawać hopla na temat osobistych asystentów cyfrowych i tym podobnych rzeczy, po kilku godzinach używania Psiona Series 3a ja też go dostałem. To niesamowita technika, choć mamy przecież dopiero początek decydującego momentu, w którym coś przestaje być jedynie dającą rozrywkę nową zabawką, a zaczyna być czymś, co da się poważnie wykorzystać w łazience. Wszyscy wiemy od lat, że qwerty nie jest dobrym rozwiązaniem. Myślę, że dotarliśmy wręcz do istotnego punktu – stwierdzenia, iż nie jest wystarczający. Stwierdzenia, iż nie jest wystarczający. (Tak, to jest

dokładne przepisywanie!). Mam nadzieję, że projektantów systemów nie zniechęciło fiasko klawiatury Dvoraka. Mam nadzieję, że starannie studiują sposoby, w jakie ludzie trzymają palmtopy, obserwują, gdzie palce dotykają i pasują w naturalny sposób i w jaki sposób można by przemyśleć na nowo sposób działania klawiatury. Bardzo by mi się podobało, gdybym nie miał sztywnych i zbolałych stawów kciuków. Udowodniłem, że to wykonalne, ale – jak Branwell Bronte – nie zamierzam powtarzać tej samej sztuczki jutro.

\* \* \*

Zauważamy rzeczy, które nie działają. Nie zauważamy rzeczy, które działają. Zauważamy komputery, nie zauważamy pensów. Zauważamy czytelników książek elektronicznych, nie zauważamy książek.

\*

## Przetworniki

Moim zdaniem nadszedł czas wypowiedzieć wojnę przetwornikom. W porannej poczcie przybyło kilka następnych. W amerykańskiej firmie wysyłkowej zamówiłem napęd dysków optycznych; ponieważ mieszkam w dziwnym i dalekim miejscu zwanym „zagranicą”, a podróżuję jak gołąb, w chwili składania zamówienia bardzo zależało mi na informacji, czy ma międzynarodowy zasilacz.

Międzynarodowy zasilacz to urządzenie, dzięki któremu nieważne, w jakim kraju się jest, a nawet jeśli się wie, w jakim kraju się jest (to poważniejszy problem, niż mogłoby się wydawać) – podłącza się maca, który ustala to sobie sam. Nazywamy tę zasadę Plug and Play – przynajmniej Microsoft tak ją nazywa, ponieważ długo jej nie stosował. W świecie maca znamy ją od tak dawna, że nawet nie myślimy o nadaniu jej nazwy. W dzisiejszych czasach wiele urządzeń peryferyjnych jest dostarczanych z międzynarodowymi zasilaczami, niestety nie wszystkie. Z tego powodu zapytałem.

– Tak, jest w niego wyposażony – stwierdził Scott, asystent do spraw sprzedaży.

– Jest Pan pewien, że ma międzynarodowy zasilacz?

– Jak najbardziej – potwierdził Scott. – Ma międzynarodowy zasilacz.

– Na sto procent?

– Oczywiście.

Dziś rano dostałem napęd. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, był brak międzynarodowego zasilacza. Zamiast niego był mały przetwornik. Mam kilka pokoiów zawałonych przetwornikami i nie potrzeba mi ich więcej. Nie mam zielonego pojęcia, do jakich wynalazków przyporządkowana jest połowa przetworników, które mam. Co ważniejsze – nie mam pojęcia, gdzie znajdują się przetworniki do połowy wynalazków, których jestem właścicielem. Szczególnie irytujące jest to, że masa przetworników – w tym ten, który pojawił się dziś rano – działa na prąd zmienny 120 woltów, czyli amerykański prąd, co oznacza, że nie mogę go używać tutaj, „za granicą” (kod kraju ZG), ale muszę go przechowywać na wypadek, gdybym kiedyś brał do USA wynalazek, do którego pasuje – zakładając, że zapamiętam, do którego wynalazku pasuje.

Być może zadajesz sobie pytanie, o czym ten facet, do cholery, gada?

Przetworniki, o których mówię (a nie są to jedyne przetworniki, którymi skażony jest świat mikroelektroniki), to zewnętrzne adaptory zasilające, których potrzebują laptopy, palmtopy, napędy zewnętrzne, magnetofony kasetowe, automatyczne sekretarki, zasilane głośniki i inne niezwykle potrzebne wynalazki do tego, aby zamienić prąd zmienny o napięciu 120 lub 240 woltów na prąd stały 6 woltów. Albo prąd stały 4,5 woltów. Albo prąd stały 9 woltów. Albo prąd stały 12 woltów. O natężeniu 500 miliamperów. Albo 300 miliamperów. Albo 1200 miliamperów. Ich wtyczki mają pozytywne bolce i negatywne obudowy – poza tymi, które mają negatywne bolce i pozytywne obudowy. Mnożąc wszystkie te zmienne, uzyskuje się obraz potęgi przemysłu istniejącego po to, aby

zapełniać moje szafki przetwornikami, których nie jestem w stanie jednoznacznie zidentyfikować bez grania w Memory. Zwykłą metodą na znalezienie przetwornika pasującego do wynalazku, którego chcę użyć, jest kupno nowego przetwornika – zazwyczaj za cenę, której widok jest w stanie wyssać człowiekowi z organizmu całe powietrze.

Dlaczego tak się dzieje? Istnieje pewna teoria, która mówi, że tak jak Xerox w istocie zajmuje się sprzedażą tonera, tak samo Sony w rzeczywistości zajmuje się produkcją przetworników prądu.

Innym powodem może być zwykły ślepy idiotyzm. Ale przecież nie może tak być, prawda? Nie może? Trudno sobie wyobrazić, aby najpotężniejsze mózgi na planecie, pracujące na najlepszej pizzy, jaką można dostać za pieniądze, nie pomyślały w którymś momencie: „Czy nie byłoby łatwiej, gdybyśmy wszyscy przeszli na jeden standard zasilania prądem stałym?”. Nie jestem inżynierem – elektrykiem, więc może proszę o coś niemożliwego. Może niezbędnym warunkiem działania określonego napędu optycznego czy przenośnego odtwarzacza płyt CD jest prąd 600 miliamperów, a nie 500 miliamperów albo to, aby miał negatywny biegun na bolcu wtyczki zamiast na jej korpusie i gdyby poczęstować go czymkolwiek choć odrobinę odmiennym, zaczęłyby wyc albo by się usmażył, podejrzewam jednak bardzo poważnie, że gdyby na kilka dni zamknąć specjalistę od projektowania sprzętu pod kluczem i nęcić go zapachem pepperoni, prawdopodobnie byłby w stanie wymyślić sposób, aby wynalazek, nad którym właśnie pracuje (może nawet nowy Wynalazek Pro, o którym słyszałem tyle dobrego), pracował na standardowym zasilaniu prądem stałym niskiego napięcia.

Prawdę mówiąc, istnieje już coś w rodzaju standardu, jest on jednak dość dziwaczny. W dzisiejszych czasach niewiele osób pali w samochodach, więc gniazdo w desce rozdzielczej, w którym zwykle trzymano zapalniczkę, ze znacznie większym prawdopodobieństwem zasila telefon komórkowy, odtwarzacz płyt CD, faks albo – jeśli wierzyć niedawnej i bardzo mało prawdopodobnej reklamie telewizyjnej – gadżet do robienia kawy. Ponieważ gniazdo miało pierwotnie inne przeznaczenie, jest nieodpowiedniej wielkości i znajduje się w złym miejscu do spełniania większości zadań, do których chcielibyśmy je wykorzystać. Może nadszedł czas, aby zacząć przystosowywać je do nowych zadań?

Najważniejszą rzeczą, jaką oferuje nam ten element przypadkowej preadaptacji, to ewentualny standard zasilania prądem stałym niskiego napięcia. Jest oczywiście arbitralny, może powinniśmy być jednak wdzięczni, że został wymyślony przez mechanika samochodowego w ciągu popołudnia, a nie przez komisję standardów przemysłu komputerowego w ciągu kilkudziesięciu lat. Zachowajmy woltaż, zaprojektujmy nową, małą wtyczkę i mamy nowy standard.

Natychmiastowy zysk z przyjęcia tego rozwiązania byłby taki, że potrzebowalibyśmy tylko jednej końcówki do zasilania prądem stałym! Pomyślcie o tym! No, może nie do końca jednej – moglibyśmy potrzebować kilkanaście – ale wszystkie byłyby takie same! Wystarczyłoby kupić pudełko takich samych końcówek! Stałyby się towarem powszechnego użytku jak... eee... chciałem powiedzieć „żarówki”, ale żarówki mają różną moc i kilka rodzajów gwintu. Najwspanialsze w standardzie zasilania prądem stałym okazałoby się to, że byłyby znacznie lepszy od żarówek!

Pomijając koniec nieustannej dezorientacji i niewygody, pojawienie się nowego standardu byłoby impulsem do pojawienia się szeregu nowych funkcji. Samochodowych gniazd zasilających w wygodnych miejscach. Gniazd prądu stałego w domach i biurach, a przede wszystkim – gniazd

prądu stałego w podłokietnikach foteli samolotowych...

Muszę przyznać, że choć uwielbiam mojego PowerBooka, który wykonuje mniej więcej 97,8% tego, do czego wykorzystywałem rupieciowaty stary dinozaurowaty komputer stolikowy, zrezygnowałem z prób używania go w samolotach. Tak, wiem, że istnieją różne strategie pozwalające wydłużyć żywotność akumulatora – przyciemnianie ekranu, dyski RAM, wprowadzanie procesora w stan spoczynku i tak dalej – sedno jednak w tym, że nie chce mi się tym zawracać głowy. Jeżeli chcę się zirytować, wystarczy mi czytanie rozłożonych na pokładzie czasopism.

Gdybym jednak miał w podłokietniku gniazdo zasilające, mógłbym pracować, a przynajmniej się tym i owym pozajmować. Wiem, towarzystwa lotnicze stwierdzą prawdopodobnie: „Jeżeli to zrobimy, nasze samoloty zaczną spadać z nieba”, ale one zawsze tak mówią. Zgoda – czasami ich samoloty faktycznie spadają z nieba, ale – i w tym sedno – nie tak często, jak towarzystwa lotnicze zapowiadają. Jeżeli o mnie chodzi, byłbym gotów zaryzykować. Moim zdaniem w wielkiej wojnie z przekaźnikami żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie.

„MacUser”,

wrzesień 1996

\* \* \*

Choć chcemy jedynie rzeczy, które działają, jesteśmy skazani na technikę. Po czym poznać, że coś jest wytworem techniki? Dobrą wskazówką jest to, że ma instrukcję obsługi.

\*

## Co mamy do stracenia?

Niektóre z najbardziej rewolucyjnych pomysłów biorą się nie tyle z wymyślenia czegoś nowego do dodania, ale z zauważenia czegoś starego, z czego można by zrezygnować. Walkman Sony na przykład nie był dodaniem niczego istotnie nowego do magnetofonu kasetowego, a odrzuceniem wzmacniacza i głośników, przez co powstały całkiem nowy sposób słuchania muzyki i całkiem nowa gałąź przemysłu. Nowa kamera Handycam Sony dość błyskotliwie odrzuca funkcję zoom z tego powodu, że kosztuje ona mnóstwo pieniędzy, znacznie zwiększa gabaryty kamery i sprawia, że każdy amatorski film wideo jest nie do oglądania. (Kontynuując taki sposób myślenia, mogliby zacząć rozpatrywać produkcję odtwarzaczy wideo mających wyłącznie funkcję nagrywania, a firmy produkujące filmy na kasetach mogłyby zacząć rozpatrywać dystrybucję filmów nagranych w tempie szybkiego przewijania). Procesor RISC wykorzystuje błyskotliwą, poprawiającą jakość życia zasadę zajmowania się łatwymi danymi i zostawiania trudnych innym, by się nimi zajęli. (Wiem, że to nieco bardziej skomplikowane, ale musicie przyznać, że idea jest niezwykle atrakcyjna). Dobrze zrobiony koktajl martini dry wykorzystuje błyskotliwą, poprawiającą jakość życia zasadę niedolewania martini.

Drastyczny postęp można także osiągnąć, dostrzegając, że da się pominąć część problemu. Algebra na przykład (a wraz z nią całe programowanie komputerów) jest wynikiem stwierdzenia, że można pominąć wszystkie niechlujne, trudne do opanowania liczby. Mamy przykład nowe, udoskonalone biuro numerów. Kilka lat temu nastąpiła radykalna zmiana – po wykręceniu 192 otrzymywało się uprzejmą, pomocną odpowiedź, zazwyczaj – i w tym krył się klucz do sprawy – udzielaną ze szkockim akcentem. Zebrano całą firmę do kupy i przeniesiono ją do Aberdeen, gdzie mogła korzystać z usług licznej grupy uprzejmych, chętnych pomagać innym ludzi, którym nie trzeba było płacić rekompensat za mieszkanie w Londynie. Ktoś bystry w British Telecom dostrzegł, że lokalizacja jest niematerialna – w nowym modelu można było odrzucić problem odległości (będą musieli jakoś sobie z tym poradzić przy tworzeniu systemu cen). Moim zdaniem po położeniu kilku kabli można by tak samo dobrze przenieść brytyjskie biuro numerów na Świętą Helenę albo na Falklandy, co dałoby całkiem nowe możliwości zatrudnienia w miejscach, które dotychczas oferowały jedynie specjalności związane z owcami. Falklandy – jeśli już się za to zabiorą – mogłyby złożyć ofertę na prowadzenie argentyńskiej informacji o numerach, co dałoby ministerstwu spraw zagranicznych obuj krajów nieco do myślenia.

Niemal wszystko, co jest związane z Internetem, ma związek z dostrzeganiem wątków, które da się pominąć jako nieistotne składniki problemu oraz lokalizacją (albo odległością). Wędrowanie po Sieci przypomina życie w świecie, w którym każde drzwi to urządzenie z powieści science fiction, które po przejściu przez nie przenosi człowieka do całkiem innej części świata. Tak naprawdę to nie „przypomina” takiego życia, a jest nim. Określenie wszelkich wynikających z tego implikacji jest tak trudne, jak dla pierwszych filmowców trudne było określenie wszystkich implikacji wynikających z możliwości poruszania kamerą. Co jeszcze wypadnie z modelu?

Przez kilka ostatnich lat byłem zapędzany do narożnika przez nerwowych wydawców, nadawców, dziennikarzy albo filmowców, pytających mnie o to, jaki moim zdaniem wpływ wywrą komputery na

ich dziedziny działalności. Przez długi czas większość z nich miała rozpaczliwą nadzieję na uzyskanie odpowiedzi, którą dałoby się najogólniej streścić słowem „niewielki”. (Ludzie lubią zapach książek, lubią prażoną kukurydzę, lubią oglądać programy w tym samym czasie, co ich sąsiedzi, lubią przynajmniej mieć artykuły, których rozumieniem nie są zainteresowani itd.). Trudno jest na to pytanie odpowiedzieć, ponieważ opiera się ono na wadliwym modelu. Tak jakby podjąć próbę wyjaśnienia Amazonce, Mississippi, Kongo i Nilowi, w jaki sposób wpłynie na nie nadejście Oceanu Atlantyckiego. W pierwszym rzędzie trzeba zrozumieć, że przestaną obowiązywać zasady rzeki.

Zastanówmy się nad tym, co może się stać, kiedy wydawanie czasopism przestanie być rzeką kierującą się własnymi prawami, a będzie jedynie strumieniem w cyfrowym oceanie. Czasopisma zaczną się ukazywać w Internecie, ponieważ jednak będą jedynie pewną liczbą powiązanych ze sobą stron w świecie powiązanych ze sobą stron, granice między „czasopismem” a „nie – czasopismem”, a raczej między „czasopismem A” a „czasopismem B” będą – z punktu widzenia przeglądarki internetowej – dość niewyraźne. Co nam pozostanie, gdy odrzucimy z modelu ideę pojedynczo spinanych i sprzedawanych plików kartek z błyszcząco wykończoną pulpy drzewnej? Czy w ogóle pozostaje cokolwiek użytecznego?

Z punktu widzenia czytelników jest to użyteczne tak samo jak czasopismo papierowe: interesujący ich materiał jest zebrany w jednym miejscu, w łatwej do zlokalizowania formie, przy czym dodatkową wartością jest to, że może się dowolnie łączyć z każdym innym pokrewnym materiałem – na co nie pozwala czasopismo papierowe. Wszystko pięknie i ładnie.

Co jednak z wydawcami czasopism? Co będą mieli do sprzedania? Co mają robić, straciwszy pliki błyszczącego papieru, za których otrzymanie ludzie są gotowi przekazywać im zwitki mamony? No cóż, wszystko zależy od tego, jak zdefiniujemy ich zajęcie. Masa ludzi wcale nie robi tego, co się sądzi. Xerox na przykład tak naprawdę zajmuje się sprzedażą tonera. Całe gadanie o tym, że konstruują nowoczesne kopiarki i drukarki, to jedynie przykrywką dla faktu, że tworzą rynek na toner, który jest źródłem ich rzeczywistego zarobku. Kompanie telewizyjne nie zajmują się dostarczaniem widzom programów telewizyjnych, a dostarczaniem widzów reklamodawcom. (Dlatego BBC ma schizofreniczny okres – prowadzi całkiem inną działalność od reszty konkurentów). Z czasopismami ma się podobnie: każda sprzedaż w kiosku to po części próba zwrotu śmiechu wartych kosztów wyprodukowania tego cholerstwa, równocześnie jednak – a jest to znacznie ważniejsze – to bardzo ważny wskaźnik. Pełny zestaw danych reprezentuje wielkość grupy czytelniczej, jaką wydawca może dostarczyć reklamodawcy.

Uważam reklamę prasową za poważny problem. Tak naprawdę nienawidzę jej. Przekracza ona objętościowo ilość publikowanego tekstu, zazwyczaj zredukowanego do nudnego, szarego strumyczka, przebijającego się przez olbrzymie, jarzące się, przypominające billboardy strony, starające się skupić uwagę człowieka na czymś, czego wcale nie potrzebuje. Pierwszą rzeczą, jaką trzeba zrobić po kupieniu czasopisma, jest wytrząśnięcie go nad koszem na śmieci, aby wyrzucić wszystkie kupony, saszetki, paczuszki, płyty CD i darmowe szczeniaki labradory, które sprawiają, że czasopismo jest grube i nieporęczne jak album babci, w którym umieszcza od lat wszelkie możliwe wycinki. Kiedy i człowiek jest zainteresowany kupieniem czegoś, nie może znaleźć na ten temat żadnej informacji, była bowiem umieszczona w wydaniu zeszłego miesiąca, które poszło do kosza. W zeszłym miesiącu

kupiłem; nowy aparat fotograficzny i sterę czasopism fotograficznych, aby znaleźć reklamy i omówienia modeli, którymi byłem zainteresowany. Mam pretensje do 99 procent reklam, które widzę, czasami jednak potrzebuję ich w dostatecznej liczbie, aby coś kupić. To zasadniczej wagi niezgodność – dojrzała do tego, aby wypaść z modelu.

Przeglądając czasopisma internetowe (do głowy przychodzi natychmiast na przykład HotWired), tu i ówdzie człowiek znajduje dyskretnej ikony sponsorów, na które może kliknąć, jeżeli tak postanowi. Oglądamy odpowiednią reklamę tylko wtedy, jeśli jesteśmy nią zainteresowani, a prowadzi nas bezpośrednio do solidnej, przydatnej informacji o produkcie. Dla reklamodawcy jest oczywiście znacznie bardziej wartościowe dotrzeć do jednego zainteresowanego, potencjalnego klienta, niż doprowadzać do szwajcarskiej pasji dziewięćdziesięciu dziewięciu innych. Poza tym reklamodawcy uzyskują w ten sposób zadziwiająco dokładną informację zwrotną. Dowiadują się dokładnie, ile osób zdecydowało się obejrzeć ich reklamę i jak długo ją oglądało, w efekcie czego niemiłe widziana, nikogo nie interesująca reklama szybciej zniknie, podczas gdy taka, która ściąga uwagę ludzi, będzie się utrzymywać. Reklamodawcy płacą czasopismom za możliwość umieszczenia linków do ich reklam na popularnych stronach czasopism i – no cóż, widzicie, jak to działa. Ludzie z poważnie uniesionymi brwiami mówili mi, że to zadziwiająco skuteczne. Elementem, który wypada z problemu, jest stwierdzenie, że reklama musi być irytująca i niepożądana.

To jeden z modeli, wedle których funkcjonują czasopisma internetowe i jest on oczywiście całkowicie darmowy dla czytelników. Istnieje inny model, pojawi się on prawdopodobnie zaraz po tym, jak można będzie przenosić w Internecie wirtualne pieniądze, a będzie polegał na płaceniu przez czytelników niewielkich sum za możliwość czytania popularnych stron internetowych. Sumy te będą znacznie mniejsze, niż regularnie wydajemy na zwykłe gazety i czasopisma, ponieważ nie trzeba będzie płacić za przerobione na pulpę drzewa, tankowane furgonetki i za pensje dla ludzi z działu marketingu, których zadaniem jest przekonywać nas, jacy są błyskotliwi. Pieniądze czytelnika będą szły bezpośrednio do autorów, określony ich odsetek do tego, kto opublikował stronę internetową; drzewa będą mogły zostać w lesie, ropa naftowa w ziemi, a marketingowcy na zewnątrz Groucho Club\*, aby przyzwoici ludzie mogli się dostać do baru.

Już słyszę pytanie (sam je zadaję), dlaczego autorzy nie dostaną wszystkich pieniędzy. No, może któryś dostanie – taki, którego zadowoli wrzucanie słów do cyfrowego oceanu w nadziei, że ktoś je znajdzie. Tak jednak jak każdy ocean, także ten cyfrowy ma prądy, wiry i strumienie, a rolę wydawców szybko stanie się znajdowanie dobrych materiałów do wprowadzenia ich w strumienie, w których czytelnicy w naturalny sposób będą krążyć, poszukując materiału. Mniej więcej to robią obecnie wydawcy. Różnica będzie polegała głównie na innej szybkości reakcji rynku, większym tempie zmian i narastania prądów oraz sposobie przesuwania się władzy oraz kontroli w kierunku tych, którzy dostarczają coś pożytecznego, zamiast jeść obiad.

Tym, co wypadnie z tego modelu, jest zasadniczo biorąc, jedynie mnóstwo martwego drewna.

„Wired”

wydanie angielskie; nr 1, 1995





## Podróże w czasie

Podróże w czasie? Uważam, że ludzie regularnie wracają z przyszłości i bez przerwy wpływają na nasze życie. Dowody są widoczne wokół nas. Mówię o tym, że za każdym razem, kiedy wysuwamy roszczenie odszkodowawcze, odkrywamy, iż jakimś tajemniczym sposobem dokładnie to, za co chcemy uzyskać odszkodowanie, jest słowo w słowo wykluczone z zakresu, jaki obejmuje polisa.

\*

Często się mnie pyta, czy nie jestem trochę renegatem. Dwadzieścia lat temu (ratunku!), w *Autostopem przez Galaktykę*, wsławiłem się żartowaniem z nauki i techniki: z depresyjnych robotów, wind, które nie chcą współpracować, drzwi z idiotycznie nadfunkcyjnymi interfejsami użytkownika (co złego w zwykłym ich popychaniu?) i tak dalej. Teraz, jak widać na podstawie mojego niedawnego cyklicznego programu w Radiu 4 pod tytułem „Autostopem do przyszłości”, najwyraźniej stałem się jednym z głównych zwolenników nowych technologii. (Wolałbym, abyśmy nie wymyślili tego tytułu, czasem jednak wydarzenia mają własną energię).

Dwie sprawy:

Przede wszystkim zastanawiam się, czy nie mamy w dzisiejszych czasach za dużo komedii. Kiedy byłem dzieckiem, chowałem się pod kołdrą ze starym radiem, które kupiłem w sklepie ze starociami i słuchałem zachwycony *Beyond Our Ken*, *Hancocka*, *The Navy Larka*, nawet *Clitheroe Kida* – wszystkiego, co doprowadzało mnie do śmiechu. Te programy były jak przelotne deszcze i tęcze na pustyni. Potem pojawiło się *I'm Sorry I'll Read That Again*, a kilka lat później wspaniałości Monty Pythona. Tym, co trafiło mnie w Pythonie jak piorun – i nie interesuje mnie, czy zostanie to umieszczone w kąciku pseudointelektualnych myśli – był fakt, iż komedia może być środkiem wyrazu, w którym niezwykle inteligentni ludzie wyrażają rzeczy niemożliwe do wyrażenia w żaden inny sposób. Z perspektywy szkoły z internatem w głębinach hrabstwa Essex, był to ekscytujący promień światła. Zastanawia mnie, że Pythoni pojawili się akurat wtedy, gdy znikali inni wielcy pobudzacze młodych wyobraźni – Beatlesi. Było w tym coś z przekazywania pałeczki. Chyba George Harrison stwierdził kiedyś coś podobnego.

Dziś każdy jest komikiem – nawet dziewczyny zapowiadające pogodę i prezenterzy telewizyjni. Śmiejemy się ze wszystkiego. Nie inteligentnie, nie z nagłego zaskoczenia, zdziwienia czy objawienia, jedynie nieustępliwie i bezsensownie. Nie ma już przelotnych deszczy na pustyni, jedynie wszechobecne błoto i mżawka, od czasu do czasu rozjaśniane błyskiem flesza paparazzi.

Kreatywne pobudzenie odeszło gdzie indziej – do nauki i techniki, by tworzyć nowe sposoby patrzenia na sprawy, rozumieć w nowy sposób wszechświat, nieustannie objawiać nowe fakty dotyczące funkcjonowania życia, naszego myślenia, sposobu postrzegania przez nas świata, naszej komunikacji. Oto mój drugi punkt.

Tam, gdzie trzydzieści lat temu zakładaliśmy zespoły rockowe, teraz zakładamy nowe inicjatywy i eksperymentujemy z nowymi sposobami komunikacji międzyludzkiej oraz bawimy się informacjami, którymi się wymieniamy. Jeżeli jeden pomysł nie wypali, wychyla się zza niego natychmiast następny, lepszy, potem kolejny i jeszcze jeden – wylewając się kaskadami z prędkością, z jaką pojawiały się w latach sześćdziesiątych albumy rockowe.

Zawsze jest taki moment, kiedy człowiek przestaje być zakochany – w osobie, idei albo sprawie, nawet jeżeli rekapitulujemy sprawę po latach, dostrzegamy drobne zdarzenie, nieodpowiednie słowo, fałszywą nutę, wszystko to, co oznacza, że sprawy już nigdy nie będą takie same. Dla mnie była to

kwestia komika w varietes, który stwierdził: „Ech ci naukowcy... są tacy głupi! Słyszeliście o tych czarnych skrzynkach, które umieszczają w samolotach, prawda? Wiecie też pewnie o tym,; mają być niezniszczalne. Czarna skrzynka to ta część samolotu, która nigdy nie zostaje zniszczona, tak? Dlaczego więc nie zrobią z tego samego materiału całego samolotu?”.

Widownia ryczała ze śmiechu z głupoty naukowców, tkwiła w zaklętym kręgu, ja jednak czułem się bardzo nieswojo. Czy nadmierną pedanterią z mojej strony było uznanie, że żart nie pasuje, ponieważ „czarne skrzynki” są zrobione z tytanu, a gdyby zrobić samolot z aluminium, lecz z tytanu, byłby za ciężki, aby unieść się nad ziemię? I Zacząłem rozmontowywać ten dowcip. Co by było, gdyby mówił go Eric Morecambe? Byłby wtedy śmieszny? Chyba nie bardzo, a zależałoby to od tego, czy widownia widziałaby, że Eric jest głupi – innymi słowami ludzie z widowni musieliby w ramach wiedzy ogólnej znać ciężar właściwy aluminium i tytanu. Nie było sposobu na dekonstrukcję tego żartu (jeżeli uważacie, że to obsesyjne zachowanie, spróbujcie z tym żyć), innego niż bazujący na pełnym samozadowolenia spisku – opowiadającego dowcip z widownią, a służący wyszydzeniu kogoś, kto wie więcej od nich. Spowodowało to, że po kręgosłupie przeszedł mi zimny dreszcz, który do dziś nie minął. Poczuję się zdradzony przez komedię tak samo, jak gangsta rap sprawia, że czuję się zdradzony przez muzykę rockową. Zacząłem się także zastanawiać, ile dowcipów, robiłem, było po prostu, no cóż... ignoranckich.

Zwróciłem się ku nauce pewnego dnia 1985 roku, wędrując przez las na Madagaskarze. Szedł ze mną zoolog Mark Cawardine (z którym później współpracowałem przy tworzeniu książki *Ostatnia okazja, by ujrzeć*) i zadałem mu pytanie: „Powiedz mi, co jest niezwykłego w lesie deszczowym, że powinniśmy tak bardzo o niego dbać?”.

Opowiedział mi. Zajęło to mniej więcej dwie minuty. Wyjaśnił, jaka jest różnica między lasem umiarkowanym a deszczowym i jak doszło do tego, że ten drugi wytwarza tak niesamowitą różnorodność form życia, pozostając równocześnie czymś niezwykle kruchym i delikatnym. Zamilkłem na kilka chwil i zaczęło do mnie docierać, że porcja prostej, nowej wiedzy właśnie zmieniła sposób, w jaki postrzegam świat. Dano mi oto do ręki nić, za którą będę mógł podążyć do wnętrza splątanego kłębowiska nieprawdopodobnie skomplikowanego świata. Przez następne kilka lat pożerałem wszystko, co dostałem w ręce na temat nauk ewolucyjnych i zrozumiałem, że nic, co kiedykolwiek zrozumiałem na ten temat w szkole, nie przygotowało mnie do ogromu tego, co zaczynało teraz wpływać w moje pole widzenia. Z ewolucją jest tak, że jeżeli nie wywróciła ci mózgu na nice, nie zrozumiałeś jej.

Potem ku swemu zaskoczeniu odkryłem, że zbiega się to z moim rosnącym zainteresowaniem komputerami. W tym entuzjazmie nie było nic głębokiego – jedynie bezwstydnie uwielbiam bawić się gadżetami. Chodzi o niezgodną z intuicją obserwację, że złożone efekty wynikają z prostych przyczyn, wielokrotnie powtarzanych. Niezwykle łatwo dostrzec to na przykładzie komputera. Niezależnie od tego, jak złożone efekty tworzy – modeluje turbulencje wiatru, gospodarkę albo sposób przechodzenia światła przez oko wyimaginowanego dinozaura – wszystko jest wynikiem prostych linijek kodu, zaczynającego się od dodania jeden plus jeden, sprawdzenia wyniku, a następnie powtórzenia operacji. Możliwość obserwowania złożoności rozkwitającej z tej prymitywnej prostoty jest jednym z największych cudów naszej epoki – większym nawet od widoku człowieka

spacerującego po Księżycu.

Znacznie trudniej dostrzec to w przypadku ewolucji życia. Skala czasu jest niezwykle długa, a nasza perspektywa skomplikowana, bo patrzymy na samych siebie, jednak wynalezienie komputera po raz pierwszy dało nam rzeczywiste poczucie, jak to działa – tak samo jak dopiero wynalezienie pompy hydraulicznej pozwoliło nam zrozumieć, jak funkcjonuje serce i jak pracuje krwiobieg.

Dlatego nie da się oddzielić czystej nauki od techniki – karmią się i stymulują nawzajem. Tak więc jeżeli zajrzysz do wnętrza najnowszego gadżetu do przenoszenia plików dźwiękowych mp3 z jednego komputera na drugi, znajdujący się kilka kontynentów dalej, oraz przyjrzysz się infrastrukturze, która spowodowała jego powstanie i której, zwrotnie, stał się częścią, okaże się on w swoim rodzaju tak samo interesujący jak sposób, w jaki replikuje się komórka, w jaki w mózgu powstaje myśl albo w jaki owad z głębin amazońskiego lasu deszczowego trawi swoją zdobycz. Wszystko jest częścią tego samego podstawowego procesu, którego sami jesteśmy częścią, to do niego trafia cała nasza kreatywna energia i w każdej chwili będę się nim zajmował z większą przyjemnością niż komedianami, telewizją albo piłką nożną.

październik 20

\* \* \*

Stań przed kimś z kwestionariuszem dowolnej ankiety w rękę, a będzie kłamał. Mój przyjaciel miał kiedyś przygotować kwestionariusz, który wypełnianoby przez Internet. Stwierdził, że informacje, jakie uzyskał o stanie świata, niezwykle podnoszą na duchu. Wiedzieliście na przykład, że niemal 90 procent populacji to dyrektorzy we własnych firmach, zarabiający rocznie ponad milion dolarów?

\*

## Czy istnieje sztuczny Bóg?

Zostało to zaprogramowane jako dyskusja, ponieważ nieco się obawiałem przybycia tutaj. Nie sądziłem, że będę miał czas cokolwiek przygotować, więc pomyślałem sobie: „Cóż będziesz miał do powiedzenia *j* jako amator?”, zwłaszcza na sali pełnej takich luminarzy. Uznałem więc, że zadowolę się debatą. Po kilku dniach pobytu tutaj stwierdziłem jednak, że jesteście bandą normalnych facetów! Te dni były pełne pomysłów, dzięki rozmowom z ludźmi i słuchaniu miałem ich tak wiele, że po prostu wstanę i podebatuję sam ze sobą. Będę przez chwilę mówił i mam nadzieję, że uda mi się na tyle prowokować i rozpalać poglądy, że na końcu dojdzie do gwałtownego rzucania krzesłami.

Zanim wezmę kurs na to, z czym chcę podjąć walkę, pragnę ostrzec, że od czasu do czasu wątki mogą się nieco gubić, mnóstwo materiału jest bowiem wynikiem tego, co słyszeliśmy dzisiaj, jeżeli więc chwilami będę odchodził od tematu... w ciągu dnia mówiłem komuś, że mam czteroletnią córkę i w pierwszych dwóch czy trzech tygodniach jej życia z wielkim zainteresowaniem obserwowałem jej twarz – całkiem nieoczekiwanie zauważyłem coś, czego nie zauważył nikt w dotychczasowych epokach”, moja córka restartowała!

Chciałbym wspomnieć o jednej rzeczy, która nie ma najmniejszego znaczenia, ale z której jestem strasznie dumny: urodziłem się w Cambridge w 1952 roku, a moje inicjały to DNA!

Temat, który chcę przedstawić dziś wieczór, temat debaty, której najwyraźniej nie będziemy mieli, jest lekko frywolny (zaskoczy was, ale zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi): „Czy istnieje sztuczny Bóg?”. Jestem pewien, że większość osób na tej sali podziela ten sam pogląd, nawet jednak całkowity ateista musi zauważyć, że rola boga wywierała niezwykle głęboki wpływ na historię ludzkości przez wiele, wiele stuleci. Bardzo ciekawe, skąd to się wzięło i co właściwie znaczy (w świecie współczesnej nauki bywa, iż żywi się nadzieję przeciw nadziei).

Zastanawiałem się nad tym dziś, kiedy Larry Yaeger mówił o tym „Czym jest życie?” i wspominał na koniec o czymś, o czym dotychczas nie wiedziałem, czyli o specyficznej dziedzinie, jaką jest rozpoznawanie pisma ręcznego. Przeszła mi przez głowę dziwna myśl, że próba określenia, czym jest życie, a czym nie jest i gdzie znajduje się granica, ma ciekawy związek ze sposobem, w jaki rozpoznaje się pismo ręczne. Wszyscy wiemy, że kiedy pokaże się nam jakiś twór – czy to będzie kupka pleśni z lodówki czy coś innego – instynktownie wiemy, kiedy mamy do czynienia z organizmem żywym, a kiedy nie. Okazuje się to jednak niezwykle trudne do precyzyjnego zdefiniowania. Pamiętam, jak kiedyś, dawno temu, potrzebowałem definicji życia do mowy, którą miałem wygłosić. Zakładając, że istnieje coś prostego, zacząłem się rozglądać po Internecie i ze zdumieniem stwierdziłem, jak wielka jest ich różnorodność oraz jak szczegółowe, bardzo szczegółowe muszą być, aby zawierać „to”, a nie zawrzeć „tamtego”. Jeżeli się nad tym zastanowić, zbiór zawierający muszkę owocówkę, Richarda Dawkinsa i Wielką Rafę Koralową stanowi zestaw obiektów, które dość trudno porównać. Kiedy zaczniemy rozmyślać, jakich szukamy zasad, by spróbować znaleźć zasadę, która jest oczywiście prawdziwa, sprawa okazuje się bardzo, bardzo trudna.

Porównajmy to z rozpoznawaniem, czy coś jest A, B albo C. Jest to proces podobnego rodzaju,

ale równocześnie proces bardzo odmienny, bowiem można o czymś powiedzieć, że „nie jestem całkiem pewien, czy to żywe, czy nieżywe, tu na krawędzi jakby jest, prawda, prawdopodobnie jest to bardzo niskiej jakości przykład czegoś, co można by nazwać życiem, może być ledwo żywe, a nawet wcale”. O czymś, będącym przykładem życia cyfrowego, można powiedzieć: „Czy da się to zaliczyć do obiektów żywych?”. Używając czyjś stwierdzenia, które tu usłyszałem, można spytać, czy jest to coś, co po postawieniu na tym stopy, się rozgniecie? Pomyślmy o kontrowersyjnej hipotezie Gaia; ludzie mówią: „Czy planeta żyje?”, „Czy ekosfera żyje?”. W końcu zależy to od tego, jak się wszystko zdefiniuje.

Porównajmy to z rozpoznawaniem pisma ręcznego. Próbuje się stwierdzić, czy jest to A czy B. Ludzie piszą A i B na różne sposoby: kwiecień ście, skośnie, jeszcze inaczej. Nie można powiedzieć: „Cóż, jest w coś z A, ale też trochę z B”, nie da się bowiem czymś takim napisać słowa „arbuż”. Albo jest to A, albo B. Jak o tym decydujemy? Jeżeli rozpoznajemy pismo ręczne, nie oceniamy stopnia A-owości i B-owości litery, ale próbujemy określić intencje osoby, która ją napisała. W końcu sprawa jest bardzo jednoznaczna: „Jest to A czy B? – aha! To A!”, ponieważ piszący pisał „arbuż” i wyraźnie to miał na myśli. Tak więc, przy braku działającego celowo twórcy nie da się powiedzieć, czym jest życie, zależy to bowiem od zestawu definicji, jakie włączymy w definicję nadrzędną. Bez Boga życie jest jedynie sprawą poglądu.

Chciałbym nawiązać do jeszcze kilku spraw, które się dziś pojawiły. Byłem (znów) zafascynowany Lanym mówiącym o tautologii, – ‘: pamiętam bowiem pewien spór, który tak całkowicie zbił mnie z tropu, że nie byłem w stanie replikować, wyzwanie bardzo mnie bowiem i zmieszało i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Ktoś powiedział mi kiedyś: „Tak, ale cała teoria ewolucji opiera się na tautologii: kto przeżywa, przeżywa”. Jest to tautologia, więc nic nie znaczy. Zastanawiałem się nad tym przez jakiś czas i w końcu uznałem, że tautologia to coś, co nic nie znaczy nie tylko dlatego, że nie wprowadzono do tego żadnej informacji, ale także dlatego, że nie wyniknęły z tego żadne konsekwencje. Być może natknęliśmy się przypadkiem na ostateczną odpowiedź; to jedyna rzecz, jedyna siła, prawdopodobnie najpotężniejsza, którą sobie uświadomiamy, a która nie potrzebuje innego wkładu, żadnego wsparcia z żadnego innego miejsca, jest oczywista, a więc tautologiczna, mimo to efekt jej działania jest niezwykle potężny. Trudno znaleźć cokolwiek, co jej odpowiada, dlatego umieściłem ją na początku jednej z moich książek. Zredukowałem to do treści, która wydała mi się czystą esencją, a jest bardzo podobna do tego, o czym mówiono przede mną, czyli: „Wszystko, co się wydarza, wydarza się; wszystko, co wydarzając się, powoduje wydarzenie się czegoś innego, powoduje wydarzenie się czegoś innego, a wszystko, co wydarzając się, powoduje ponowne wydarzenie się samego siebie, wydarza się ponownie”. W rzeczywistości nie potrzeba nawet drugiego i trzeciego stwierdzenia, bowiem wypływają one z pierwszego, które jest oczywiste i nie trzeba nic do niego dodawać – wszystko stąd wypływa. Wydaje mi się więc, że uchwyciliśmy tu fundamentalną, ostateczną prawdę, z którą nie ma co polemizować. Dostrzegł to gość stwierdzający, że to tautologia. Tak, to jest tautologia, ale tautologia wyjątkowa pod tym względem, że – choć nie wymaga wprowadzania informacji – wypływa z niej nieskończona liczba informacji. Sądzę więc, że jest to prawdopodobnie pierwotna przyczyna wszystkiego we wszechświecie. Poważne twierdzenie, ale przemawiam chyba do przychylnych słuchaczy.

Skąd bierze się idea Boga? Sądzę, że na mnóstwo rzeczy mamy bardzo wypaczone spojrzenie,

spróbujmy jednak zbadać, skąd akurat ten pogląd się wziął. Wyobraźmy sobie wczesnego człowieka. Wczesny człowiek jest – jak wszystko inne – rozwiniętym stworem i znajduje się w świecie, którym zaczął się trochę zajmować – zaczął wytwarzać narzędzia i stał się za ich pomocą zmieniać środowiska, a teraz, kiedy robi narzędzia, robi je po to, aby zmieniać środowisko. Aby dać przykład, jak działa człowiek w porównaniu do innych zwierząt, rozważmy specjację, która, jak wiadomo, ma skłonność następować, kiedy niewielka grupa zwierząt zostanie odseparowana od reszty stada z powodu zmiany geologicznej, presji populacyjnej, niedoboru pożywienia czy innego czynnika i znajdzie się w środowisku, w którym panują inne warunki. Weźmy bardzo prosty przykład: grupa zwierząt nagle znajduje się w otoczeniu, gdzie jest znacząco zimniej. Wiadomo, że po kilku pokoleniach geny wspierające tworzenie się grubszego futra wysuną się na czoło i kiedy przyjdziemy popatrzeć na zwierzęta, od razu dostrzeżemy, że mają gęściejsze futra. Wczesny człowiek będący wytwórcą narzędzi nie musi tego robić: może zamieszkać w ogromnym wachlarzu środowisk ziemskich – od tundry do pustyni Gobi. Udaje mu się nawet mieszkać z Nowym Jorku, a powodem jest to, że zjawiając się w nowym otoczeniu, nie musi czekać kilka pokoleń – jeżeli przybędzie do zimnej okolicy i zobaczy zwierzę z genami pomagającymi rosnać grubemu futru, mówi: „Ściągnę je z niego”. Narzędzia pozwoliły nam myśleć celowo – wytwarzać przedmioty i robić rzeczy służące tworzeniu świata, który bardziej nam odpowiada. Wyobraźmy teraz sobie wczesnego człowieka rozglądającego się wokół po dniu radosnego wytwarzania narzędzi. Rozgląda się i widzi świat, który sprawia mu wielką przyjemność: za plecami ma góry pełne jaskiń – wspaniałe góry, ponieważ w jaskiniach można się chować przed deszczem i niedźwiedziami, przed sobą ma las – pełen orzechów, jagód i pysznego jedzenia, w pobliżu płynie strumień pełen pysznej wody, którym można też pływać łódkami i robić w nim różne rzeczy, niedaleko siedzi kuzyn Ug, który upolował mamuta – mamuty są wspaniałe, ponieważ można je jeść, można nosić ich futra, można z ich kości robić broń do polowania na następne mamuty. Naprawdę wspaniały świat, wszystko jest fantastyczne, nasz wczesny człowiek ma jednak chwilę na zastanowienie i myśli sobie: „Świat, w którym żyję, jest ciekawy”, potem jednak zadaje sobie bardzo zdradliwe pytanie, całkowicie bezsensowne i błędne, ale nieuniknione z powodu typu istoty, jaką się stał, istoty, jaką uczyniła go ewolucja, istoty, która rozkwitła, ponieważ myśli w ten właśnie szczególny sposób. Człowiek i producent narzędzi przygląda się światu i myśli „Kto więc go zrobił?”. Kto go zrobił? – widzicie zdradliwość tego pytania. Wczesny człowiek myśli: „No cóż, ponieważ znam tylko jeden rodzaj istoty wytwarzającej rzeczy, więc ten, kto zrobił to wszystko, musi być znacznie większy, znacznie potężniejszy i zdecydowanie niewidzialny, podobny do nas, a ponieważ to ja jestem silny i wszystko robię, jest prawdopodobnie mężczyzną”. W ten sposób powstała idea boga. Potem, ponieważ wytwarzając coś, działamy z zamiarem użycia tego w określonym celu, wczesny człowiek zadał sobie pytanie: „Jeżeli to wszystko zrobił, to po co?”. Teraz zatrząskuje się pułapka, ponieważ wczesny człowiek myśli: „Ten świat bardzo mi pasuje. Jest w nim wszystko, co mi pomaga, co mnie karmi i o mnie dba, o tak, ten świat pięknie do mnie pasuje” i dochodzi do nieuniknionego wniosku, że ktokolwiek go stworzył, stworzył go dla niego.

Trochę to przypomina kałużę, która budzi się pewnego dnia i myśli: „Świat, w którym żyję, jest ciekawy – jestem w bardzo interesującej dziurze – świetnie do mnie pasuje, nie? Tak naprawdę znakomicie do mnie pasuje, że musiała zostać zrobiona po to, aby mnie w sobie mieć!”. Pomysł jest tak doskonały, że choć słońce wznosi się wyżej i wyżej, powietrze coraz bardziej się rozgrzewa, a kałuża robi się coraz mniejsza, trwa ona rozpaczliwie przy tym, że wszystko będzie dobrze, ponieważ świat miał ją zawierać, został stworzony tak, aby w nim była; a chwila, w której znika,



raczej ją zaskakuje. Myślę, że powinniśmy uważać na coś podobnego. Wszyscy wiemy, że w którymś momencie w przyszłości wszechświat się skończy, a w innym momencie – znacznie wcześniej, choć nie w bezpośredniej przyszłości – Słońce wybuchnie. Uważamy, że zostało nam jeszcze na tyle dużo czasu, że nie ma się czym martwić, choć z drugiej strony jest to bardzo niebezpieczne podejście. Spójrzmy, co ma się wydarzyć 1 stycznia 2000 roku i nie udawajmy, że nie ostrzegano nas, iż stulecie się skończy! Moim zdaniem, jeżeli chcemy długoterminowo przeżyć, potrzebujemy szerszej perspektywy w sprawie tego, kim jesteśmy i co tu robimy.

Jest szereg dziwactw w perspektywie, z jakiej spoglądamy na świat. To, że żyjemy na dnie głębokiej studni grawitacyjnej, na powierzchni pokrytej gazem planety krążącej wokół kuli ognia w odległości 145 milionów kilometrów i uważamy to za normalne, jest oczywistą wskazówką, jak skrzywioną mamy perspektywę. Na szczęście w ciągu naszej myślącej historii dokonaliśmy różnych rzeczy, aby powoli naprawić część naszych błędnych mniemań. Dość to dziwne, ale sporo ich wynikało z piasku, pomówmy więc o czterech epokach piasku.

Z piasku robimy szkło, ze szkła robimy soczewki, a z soczewek teleskopy. Kiedy wspaniali wcześnie astronomowie, Kopernik, Galileusz i inni, skierowali swe teleskopy na niebo i odkryli, że wszechświat jest całkowicie inny, niż się spodziewano, świat wcale nie jest główną częścią wszechświata, a wokół nas jest tylko kilka maleńkich światłek i – a pojęcie tego trwało bardzo, bardzo długo – jesteśmy jedynie maleńką plamką wirującą wokół maleńkiej kuli nuklearnego ognia, będącą jedną z milionów milionów podobnych, tworzących naszą galaktykę, a nasza Galaktyka jest jedną z milionów albo miliardów tworzących wszechświat, więc rodzi się możliwość, że istnieją miliardy wszechświatów, co zmusiło nas do drobnej korekty spojrzenia że wszechświat należy do nas.

Podejście takie bardzo mi się podoba i – co powiedziałem w dyskusji, którą prowadziłem dziś z kimś na ten temat – ostatnio bardzo spodobała mi się książka Davida Deutscha, rzecznika istnienia wszech światów wielokrotnych, pod tytułem *The Fabric of Reality* (Struktura rzeczywistości), w której przedstawia wszechświat jako kwantowe wszechświaty wielokrotne. Bierze się to ze sławnej falowo/cząsteczkowej dychotomii dotyczącej zachowania się światła – nie można go mierzyć jako fali, kiedy zachowuje się jak fala ani jako cząsteczki, kiedy zachowuje się jak cząsteczka. Jak to możliwe? David Deutsch wskazuje na to, że jeżeli wyobrazimy sobie, iż nasz wszechświat jest jednowarstwowy, a po obu jego stronach rozchodzą się nieskończone mnogości wszechświatów, to nie tylko rozwiąże to problem, ale sprawi, że problem po prostu zniknie. Dokładnie takiego zachowania oczekuje się od światła w tych warunkach. Mechanika kwantowa ma twierdzenia, które mogą zostać potwierdzone przy założeniu, że wszechświat zachowuje się tak, jakby istniała wielorakość wszechświatów, ale myślenie, że tak jest, raczej nadweręża naszą łatwowierność.

Prowadzi nas to prosto do Galileusza i Watykanu. Watykan tak naprawdę powiedział Galileuszowi, co następuje: „Nie kwestionujemy twoich odczytów, lecz jedynie wyjaśnienia, które w nich umieściłeś. Nie ma nic złego w mówieniu, że planety zachowują się: „tak jakby” krążyły po orbitach i że „jest tak, jak byśmy” byli planetą, a wszystkie planety „jakby” okręgały Słońce; nie ma nic złego w mówieniu, że jest tak, „jakby” to wszystko się działo, nie wolno ci jednak mówić, że tak faktycznie się dzieje, mamy bowiem absolutną wyłączność na uniwersalne prawdy i poza tym

nadweręza to naszą łatwowierność”. Myślę sobie, że idea wszechświatów wielokrotnych obecnie rzeczywiście nadweręza naszą łatwowierność, może być jednak tak, że jest to kolejne nadwerężenie, z którym będziemy musieli nauczyć się żyć – tak jak w przeszłości musieliśmy się nauczyć żyć z masą innych.

Inną rzeczą, jaka wynika z takiej wizji wszechświata, jest to, że okazuje się złożony niemal całkowicie – a może to martwić – z niczego. Gdziekolwiek spojrzeć, jest nicość, z rzadkimi punkcikami skały albo światła. Obserwowanie sposobu, w jaki te punkciki się zachowują w ogromnej nicości, pozwala jednak zacząć zgadywać określone zasady, prawa – takie jak grawitacja i tym podobne. Taki był – jeśli podoba wam się to określenie – makroskopowy obraz wszechświata, powstały w trakcie pierwszej epoki piasku.

Druga epoka piasku jest mikroskopowa. Wstawiliśmy do mikroskopów szklane soczewki i zaczęliśmy przyglądać się mikroskopowemu obrazowi wszechświata. Zaczęliśmy wkrótce rozumieć, że po zejściu do poziomu subatomowego, składający się z ciał stałych świat, w którym żyjemy – a znów może to martwić – też składa się niemal z niczego i gdziekolwiek coś znajdujemy, okazuje się to nie „czymś”, a jedynie prawdopodobieństwem, że w tym miejscu coś może się znajdować.

Tak czy inaczej, jest to wszechświat poważnie wprowadzający w błąd. Gdziekolwiek spojrzymy, zaczyna być bardzo niepokojąco i niezwykle denerwująco dla naszego poczucia, kim jesteśmy – okazuje się, że wcale nie jesteśmy wspaniałymi, roslymi, fizycznymi ludźmi żyjącymi we wszechświecie, który istnieje niemal wyłącznie dla nas. W dalszym ciągu odkrywamy wszelkie rodzaje fundamentalnych zasad – poznajemy sposób działania grawitacji, sposób działania silnych i słabych oddziaływań jądrowych, poznajemy istotę materii, cząsteczek i tak dalej. Poznawszy jednak podstawy, w dalszym ciągu nie bardzo umiemy sobie wyobrazić, jak wszystko działa, dość trudno bowiem to przedstawić matematycznie. Ponieważ nasza matematyka lepiej nie może sobie poradzić, skłaniamy się do opisywania funkcjonowania świata mniej więcej na sposób przypominający działanie mechanizmu zegara. Nie chcę w żaden sposób odnosić się lekceważąco do Newtona, chyba on bowiem jako pierwszy dostrzegł, że w naszym świecie działają zasady odmienne od wszystkiego, co widzimy wokół. Jego pierwsze prawo dynamiki – to, że obiekt pozostanie w spoczynku albo ruchu, dopóki nie zadziała nań nowa siła – to coś, czego nikt z nas, istot żyjących w studni grawitacyjnej i otoczeniu gazowym, nigdy nie widział, ponieważ wszystko, co poruszamy, kiedyś się zatrzymuje. Jedynie poprzez bardzo, bardzo staranne przyglądanie się, obserwowanie, mierzenie i odgadywanie zasad leżących u podstawy tego, co wszyscy widzą, udało mu się sformułować znane teraz wszystkim reguły i dostrzec w nich prawa dynamiki – mimo to w kategoriach nowoczesnych, jest to podejście do wszechświata nieco jak do mechanizmu zegara. Jak powiedziałem – nie chcę, aby zabrzmiało to lekceważąco, ponieważ wszyscy wiemy, że osiągnięcia Newtona były monumentalne, jakoś jednak nie ma to większego sensu.

Istnieją różne rodzaje bytów, z których istnienia zdajemy sobie sprawę, jak również cząsteczki, siły, stoły, krzesła, skały i tak dalej, niemal niewidoczne dla nauki – niemal niewidoczne, ponieważ nauka nie ma na ich temat niemal nic do powiedzenia. Mówię o psach, kotach, krowach i wszystkich innych. Jako żyjące istoty jesteśmy daleko poza obszarem, w zakresie którego jakakolwiek nauka ma coś do powiedzenia – prawie jesteśmy nawet poza uważaniem nas za obiekty, na temat których nauka

powinna mieć coś do powiedzenia.

Mogę sobie wyobrazić Newtona – siedzi i pracuje nad swoimi prawami dynamiki, wyobraża sobie, w jaki sposób funkcjonuje wszechświat, a obok przechadza się kot. Nie mieliśmy pojęcia, jak funkcjonują koty, dlatego że od czasów Newtona działamy, opierając się na prostej zasadzie, iż aby się dowiedzieć, jak coś funkcjonuje, należy to rozłożyć na elementy składowe. Jeżeli do zbadania sposobu funkcjonowania kota rozłoży się go na kawałki, uzyska się natychmiast nie działającego kota. Życie to taki poziom złożoności, który znajduje się niemal poza naszym polem widzenia; tak bardzo wykracza poza wszystko, na co mamy metody zrozumienia, że uważamy je za odmienną klasę obiektów, odmienną klasę materii; „życie”, coś co ma w sobie tajemniczą istotę, zostało dane przez Boga – i to jedyne wyjaśnienie, j jakie mieliśmy. Bomba wybucha w 1859 roku, wraz z opublikowaniem przez Darwina *O powstawaniu gatunków*. Minęło dużo czasu, zanim dotarło do nas, co się stało i zaczęliśmy rozumieć, co napisał – nie tylko bowiem wydawało się nam to niepojęte i poniżające, ale kolejnym wstrząsem dla naszego systemu było odkrycie, że nie tylko nie jesteśmy ośrodkiem wszechświata i nie zostaliśmy stworzeni z niczego, ale zaczęliśmy się jako lepki śluz i dotarliśmy do miejsca, w którym się znajdujemy poprzez stadium małpy. Nie czytało się to dobrze, na dodatek także w tym przypadku nie mamy możliwości obserwacji działania tego, o czym mowa. W pewnym sensie Darwin był jak Newton – także jako pierwszy, na podstawie obserwacji świata, w którym żyjemy, dostrzegł wcale nie tak oczywiste, właściwe przyczyny. Musieliśmy się bardzo głowić, aby zrozumieć naturę tego, co dzieje się wokół nas i nie mieliśmy wyraźnych, oczywistych, powszechnych przykładów ewolucji, które dałoby się wskazać. Stan ten do dziś się utrzymuje: jeżeli chcemy przekonać kogoś, kto nie wierzy w ewolucję i chcemy mu zademonstrować jakiś przykład, jest to nieco skomplikowane – trudno znaleźć przypadki ewolucji, widoczne w zwykłej, codziennej obserwacji.

Dochodzimy do trzeciej epoki piasku. W trzeciej epoce piasku odkrywamy coś nowego, co da się zrobić z piasku – silikon. Robimy silikonowy procesor – i nagle otwiera się przed nami wszechświat złożony nie z cząstek i sił elementarnych, ale z tego, czego brakowało w obrazie mówiącym nam, jak działają: procesor silikonowy ukazuje nam proces. Silikonowy procesor pozwala nam bardzo szybko wykonywać obliczenia matematyczne i modelować – jak się okazało – bardzo, bardzo proste procesy analogiczne w swej prostocie do procesów życiowych: iterację, zapętlenie, rozgałęzianie, sprzężenie zwrotne będące sednem wszystkiego, co się robi na komputerze i wszystkiego, co odbywa się w trakcie ewolucji – to znaczy sytuację, w której stan wyjściowy jednego pokolenia jest stanem wejściowym następnego. Nagle mamy działający model – choć nie od razu, bowiem pierwsze maszyny były straszliwie powolne i toporne – stopniowo jednak budujemy funkcjonalny model tego, co dotychczas mogliśmy jedynie zgadywać albo wydedukować – a trzeba było naprawdę bystro i jasno myśleć już w celu samego dostrzeżenia, że się to dzieje, co nie było wcale oczywiste i tak naprawdę niezgodne z intuicją – zwłaszcza dla tak dumnego gatunku jak my.

Komputer tworzy trzecią epokę perspektywy, ponieważ nagle umożliwia nam dostrzeżenie, w jaki sposób działa życie. Jest to niezwykle istotna kwestia, bowiem oczywiste staje się, że życie, wszystkie postacie złożoności, nie płyną w dół, a w górę. Istnieje także cała gramatyka, znana każdemu, kto posługuje się biegle komputerami, oznaczająca, że ewolucja nie jest już czymś szczególnym, każdy bowiem, kto przyglądał się sposobowi pracy komputera wie, iż bardzo, bardzo proste iteratywne cząstki kodu, każda linijka czegoś, co jest bardzo proste, powoduje powstanie

w komputerze czegoś niezwykle skomplikowanego – a pod pojęciem czegoś niezwykle skomplikowanego mam na myśli zarówno edytor tekstu, jak i programy Tierra czy Creatures.

Pamiętam, jak wiele lat temu po raz pierwszy czytałem podręcznik programowania. Zetknąłem się z komputerami około 1983 roku i ponieważ chciałem o nich więcej wiedzieć, postanowiłem trochę się nauczyć programowania. Kupiłem podręcznik języka C i przeczytałem dwa albo trzy pierwsze rozdziały, co zajęło mniej więcej tydzień. Tekst kończył się stwierdzeniem: „Gratulacje, napisałeś teraz na ekranie literę a!”. Pomyślałem sobie, że musiałem czegoś nie zrozumieć, zrobienie tego wymagało olbrzymiego nakładu pracy, więc co będzie, jeżeli ze chcę napisać „b”? Proces programowania, prędkość oraz sposób, w jaki niezwykle prostota początkuje niezwykle złożone wyniki, nie były wtedy częścią mej umysłowej gramatyki. Jest nią obecnie – w coraz większym stopniu jest to element umysłowej gramatyki nas wszystkich przywykliśmy bowiem do sposobu, w jaki działają komputery.

Nagle znika problem niemożności uchwycenia ewolucji. Staje się coś przypominającego następujący scenariusz: pewnego wtorku na londyńskiej ulicy ujrzano kogoś w trakcie kryminalnego czynu. Sprawę bada dwóch detektywów. Jeden z nich pochodzi z XX wieku, a drugi – za pomocą cudu science fiction – z XIX wieku. Problem jest następujący: osoba, którą na pewno widziano i jednoznacznie zidentyfikowano we wtorek na londyńskiej ulicy, była widziana przez kogoś innego – tak samo rzetelnego świadka – tego samego wtorku na ulicy w Santa Fe. Jak to możliwe? Dziewiętnastowieczny detektyw ma tylko jedno wyjaśnienie – nastąpiło to w wyniku magicznej interwencji. Dwudziestowieczny detektyw może nie jest w stanie stwierdzić dokładnie: „Wziął ten lot BA, a potem tamten lot United”, może nie jest w stanie wyobrazić sobie, w jaki dokładnie sposób podejrzany to zrobił ani jaką dokładnie trasą się przemieszczał, ale to nie problem. Nie przejmuje się tym, mówi po prostu: „Facet poleciał samolotem. Nie wiem, jakim i dowiedzenie się tego może się okazać trudne, ale nie ma w sprawie nic tajemniczego”. Przywykliśmy do idei podróżowania. Nie wiemy, czy kryminalista leciał lotem BA 178 czy UA 270, mniej więcej wiemy jednak, jak doszło do tego, do czego doszło. Podejrzewam, że im bardziej będziemy obcykami z rolą, jaką odgrywa komputer i sposobem, w jaki komputer modeluje proces powstawania niezwykle skomplikowanych bytów na bazie bardzo prostych elementów, tym łatwiej będzie nam przełknąć ideę życia jako zjawiska wyłaniającego się. Może nigdy dokładnie nie dowiemy się, jakie etapy przechodziło życie w bardzo wczesnych stadiach istnienia naszej planety, ale to nie tajemnica.

Dotarliśmy tu więc do sprawy – choć pierwsza fala uderzeniowa dotarcia do tego pytania nastąpiła w 1859 roku, to jednoznacznie fakt ten demonstruje dopiero pojawienie się komputera – którą sformułuję następująco: „Czy naprawdę jest to wszechświat nie stworzony z góry na dół, a od dołu do góry? Czy złożoność może powstać z niższych poziomów prostoty?”. Zawsze dziwne wydawało mi się, że istnienie Boga jako Stwórcy jest uważane za wystarczające wyjaśnienie istnienia złożoności, jaką obserwujemy wokół nas, bowiem po prostu nie wyjaśnia to, skąd on sam się wziął. Jeżeli zakładamy istnienie Stwórcy, co implikuje automatycznie istnienie aktu stworzenia i ponieważ wszystko, co tworzy albo czego stworzenie powoduje, jest poziom prostsze niż On czy Ona, musimy zapytać: „Jak wygląda poziom nad twórcą?”. Istnieje osobliwy model wszechświata, w którym opiera się on na żółwiu, który stoi na większym żółwiu i tak dalej w dół – tu jednak mamy coraz wyżej umieszczonych bogów. Nie jest to zbyt dobra odpowiedź, ale z drugiej strony rozwiązanie „z dołu do góry”, opierające się na niezwykle mocnej tautologii, że „wszystko, co się

wydarza, wydarza się”, daje wyraźnie bardzo prostą i mocną odpowiedź, która nie potrzebuje żadnego innego wyjaśnienia.

Teraz o najciekawszym. Powiedziałem, że chcę zadać pytanie: „Czy istnieje sztuczny Bóg?” i teraz właśnie pragnę się zająć zagadnieniem, dlaczego idea Boga jest tak przekonująca. Wyjaśniłem już, skąd moim zdaniem wzięła się ta iluzja – z naszej błędnej perspektywy, nie uwzględniamy bowiem, że jesteśmy istotami wyewoluowanymi, wyewoluowanymi tak, aby pasować do określonego krajobrazu, do określonego środowiska i mamy specyficzny zestaw umiejętności oraz poglądów na świat – takich, które pozwoliły nam przeżyć i dość skutecznie się rozwinąć. Wygląda jednak na to, że istnieje jeszcze coś mocniejszego i chciałbym to zaproponować: miejsce na szczycie piramidy, które przedtem określiliśmy jako punkt, z którego wszystko wypływa, być może wcale nie jest wolne, tylko dlatego że twierdzimy, iż przepływ nie tak się odbywa.

Wyjaśnię, co mam na myśli. W świecie, w którym żyjemy, stworzyliśmy najróżniejsze rodzaje rzeczy, zmieniliśmy nasz świat na wszelkie możliwe sposoby. To jasne. Zbudowaliśmy pomieszczenie, w którym się znajdujemy i zbudowaliśmy różne rodzaje złożonych urządzeń – takich jak komputery i inne – skonstruowaliśmy jednak także najróżniejsze fikcyjne byty, które mają potężną moc. Czy mówimy: „To zły pomysł, jest głupi – powinniśmy go porzucić”? Istnieje fikcyjny” byt – pieniądze. Jest to byt całkowicie fikcyjny, ale w naszym świecie ma wielką władzę. Wszyscy mamy portfele, w których nosimy banknoty, ale co te banknoty mogą? Nie da się ich hodować, nie da się ich usmażyć, nie można w nich mieszkać, nie da się z nimi zrobić absolutnie nic użytecznego poza wymianianiem się nimi – ale w chwili, gdy zaczynamy się nimi wymieniać, dzieje się mnóstwo znaczących rzeczy, są bowiem fikcją, którą wszyscy wyznajemy. Nie uważamy jej za złą czy dobrą, gdyby jednak pieniądze zniknęły, doszłoby do implozji całej struktury współpracy, jaką stworzyliśmy – i tak samo, gdybyśmy my zniknęli, pieniądze też by zniknęły. Pieniądze nie mają znaczenia poza granicami naszych głów; są naszym tworem o potężnym oddziaływaniu kształtującym świat, ponieważ wszyscy się pod tym podpisujemy.

Chciałbym, aby ktoś napisał ewolucyjną historię religii, bowiem sposób, w jaki się rozwijała, ukazuje moim zdaniem wszelkie możliwe rodzaje strategii ewolucyjnych. Pomyślmy o wyścigu zbrojeń, odbywającym się między dwoma gatunkami, żyjącymi w tym samym środowisku – na przykład o wyścigu zbrojeń między amazońskim manatem a trzcina, którą zjada. Im więcej trzciny je manat, tym więcej trzcina wytwarza w swoich komórkach tlenku krzemu, mającego zaatakować zęby manata, a im więcej w trzcinie jest tlenku krzemu, tym zęby manata robią się większe i mocniejsze. Jedna strona robi coś, a druga kontruje. Jak wiemy, w trakcie ewolucji i historii wyścig zbrojeń jest tym, co najbardziej napędza ewolucję. Podobną rzecz obserwuje się w świecie idei.

Stworzenie metody naukowej i nauki – jestem pewien, że wszyscy się z tym zgadzamy – to najpotężniejsza idea intelektualna, najpotężniejsze ramy dla myślenia, badania, rozumienia otaczającego nas świata oraz rzucania mu wyzwania, jakie istnieją. Opiera się na założeniu, że każdy pomysł powstaje po to, aby go zaatakować, a jeśli wytrzyma atak, obowiązuje do następnego dnia, kiedy to znów zostanie zaatakowany – jeżeli wtedy go nie wytrzyma, zostaje odrzucony. Religia nie działa w ten sposób – ma w swoim centrum idee, które nazywamy świętymi, uświęconymi albo podobnie. Bez względu na to, czy się z tym zgadzamy, czy nie, znamy dobrze założenie, że dość dziwne jest zastanawiać się, co tak naprawdę oznacza religia, bowiem tak naprawdę oznacza ona:

„Oto idea albo pogląd, o którym nie wolno ci mówić nic złego; po prostu nie wolno. Dlaczego? Bo nie!“. Jeżeli ktoś głosuje na partię, której jesteś przeciwny, możesz kłócić się z nim, ile chcesz; wszyscy mogą się kłócić, ale nikt nie poczuje się dotknięty. Jeżeli ktoś uważa, że należy podnieść albo zmniejszyć podatki, wolno się na ten temat spierać, jeśli jednak ktoś powie: „Nie wolno mi w niedzielę nawet włączyć światła“, mówisz: „Świetnie, respektuję to“. Co dziwne – nawet mówiąc to, zastanawiam się, czy na sali jest jakiś ortodoksyjny Żyd, który może poczuć się obrażony moimi słowami, a podczas wysuwania innych argumentów nie wpadło mi do głowy zastanawiać się, czy jest ktoś z lewego skrzydła albo prawego skrzydła, albo ktoś, kto podpisuje się pod tym czy innym poglądem ekonomicznym. Pomyślałem sobie: „Cóż, mamy odmienne poglądy“. W chwili gdy mówimy coś związanego z czyimiś (narażę się i powiem „nieracjonalnymi“) wierzeniami, nagle robimy się strasznie chroniący i defensywni oraz natychmiast dodajemy: „Nie, nie atakuję tego, to co prawda nieracjonalny pogląd, ale oczywiście respektuję go“.

Jeżeli wrócimy do aparatu pojęciowego ewolucji zwierzęcej, przypomina to trochę zwierzę, które wytworzyło wokół siebie potężną skorupę – wspinała strategia przetrwania, nic się bowiem przez nią nie przebiję; podobnie działa trująca ryba, do której nic się nie chce zbliżyć, dzięki czemu trwa, trzymając z dala wszelkie wyzwania. Co w przypadku idei znaczy myślenie: „Oto idea chroniona świętością“? Dlaczego całkiem uzasadnione jest popieranie albo Partii Pracy, albo Partii Konserwatywnej, Republikanów albo Demokratów, wyznawanie tego czy innego modelu gospodarki, wiara w macintosha zamiast w Windowsa, a posiadanie opinii o tym, jak zaczął się świat, kto stworzył wszechświat nie – bo to święte? Co to oznacza? Jaki jest inny powód otaczania tego płótem poza tym, że się przyzwyczailiśmy? Nie ma ku temu innego powodu – jakoś cichcem się stało, a kiedy koło zaczęło się raz za razem zamykać, sprawa stała się trwała. Przyzwyczailiśmy się nie kwestionować idei religijnych, bardzo jednak interesujące, ile wrzawy Richard narobi, kiedy tego jednak spróbuje! Wszyscy dostaną szału, ponieważ nie wolno podobnych rzeczy mówić. Jeśli jednak spojrzeć racjonalnie, nie ma żadnego powodu, dlaczego idee religijne nie powinny być tak samo dostępne do dyskusji jak wszelkie inne – poza tym, że umówiliśmy się robić coś, co nie powinno mieć miejsca.

Istnieje bardzo interesująca książka – nie wiem, czy ktoś z obecnych ją czytał – pod tytułem *Man on Earth*, napisana przez antropologa z Cambridge, Johna Readera, w której opisuje sposób, w jaki... trochę rozwinę i opowiem wam o całej książce. Zawiera ona szereg artykułów opisujących badania różnych kultur, które rozwinęły się w nieco izolowanych warunkach – na wyspach, w dolinach górskich i tak dalej, można je więc w pewnym stopniu traktować jako przypadki „z próbówki“. Dzięki temu da się dokładnie określić stopień, w jakim bezpośrednio warunki i środowisko wpłynęły na sposób rozwoju danej kultury. To fascynujące badania. W tej chwili myślę o kulturze i gospodarce Bali – małej, gęsto zaludnionej wyspy, której mieszkańcy utrzymują się przy życiu dzięki ryżowi. Ryż jest bardzo wydajnym pokarmem i można go dużo uprawiać na stosunkowo małym obszarze, wymaga jednak dużych nakładów pracy i bardzo, bardzo precyzyjnej współpracy ludzi – zwłaszcza jeśli zbiorów chce dokonać duża populacja mieszkająca na małej wyspie. Ci, którzy obserwują rolnictwo ryżu na Bali są dość zdziwieni, jest ono bowiem ściśle religijne. Społeczeństwo Bali, jest tak zorganizowane, że religia przenika każdy aspekt jego życia, a każdy członek społeczności jest dokładnie określony – pod kątem statusu i roli w życiu. Wszystko definiuje Kościół, mają specyficzny kalendarz i specyficzny zestaw bardzo ściśle zdefiniowanych zwyczajów oraz rytuałów, a także – co najciekawsze – tamtejsi ludzie są fantastycznie skuteczni przy zbiorach

ryżu. W latach siedemdziesiątych przybyli na wyspę obcy i stwierdzili, że zbiory ryżu są wyznaczone przez kościelny kalendarz. Ponieważ wydawało się to całkowicie pozbawione sensu, zaczęli namawiać miejscowych: „Porzućcie tradycyjne metody, pomożemy wam znacznie zwiększyć zbiory, używajcie pestycydów, stosujcie inny kalendarz, róbcie to, róbcie tanto”. Posłuchano ich i przez dwa albo trzy lata produkcja ryżu ogromnie wzrosła, kompletnie zaburzono jednak równowagę między drapieżnikami/ofiarami/szkodnikami. Bardzo szybko plony poszły w dół, Balijszczyk stwierdził, że wracają do kościelnego kalendarza, wrócono do tego, co robiono poprzednio i wszystko znów zaczęło doskonale funkcjonować. Bardzo łatwo powiedzieć, że opieranie zbiorów ryżu na czymś tak nieracjonalnym i bezsensownym jak religia to głupota – powinni być w stanie opracować jakąś bardziej logiczną metodę, ale Balijszczyk mogliby tak samo dobrze powiedzieć nam: „Wasza kultura i społeczeństwo funkcjonuje na bazie pieniędzy, a to fikcja, dlaczego więc nie zrezygnujecie z tego i nie zaczniecie ze sobą współpracować?”. Wiemy, że to by nie wyszło!

W pewnym sensie budujemy nad nami samymi metasystemy mające wypełnić przestrzeń, którą uprzednio zasiedlaliśmy bytem, będącym ponoć działającym celowo projektantem, stwórcą (nawet choć ktoś taki nie istnieje), a ponieważ projektujemy i tworzymy coś takiego (niekoniecznie mam na myśli tu obecnych, ale nas jak gatunek), następnie pozwalając sobie zachowywać się, jakby coś takiego istniało, zaczynają się wydarzać najróżniejsze rzeczy, które w innym przypadku by się nie wydarzyły.

Pozwólcie, że spróbuję zilustrować, co mam na myśli. Będzie to bardzo spekulacyjne i wiem, że idę na ryzyko, bowiem nic na ten temat nie wiem; będzie to więc nie tyle wyjaśnienie czegośkolwiek, co raczej eksperyment myślowy. Chcę mówić o feng shui, a wiem o tym naprawdę bardzo mało, ostatnio jednak mnóstwo na ten temat mówiono w aspekcie odpowiednich sposobów projektowania budynków, ich budowy, usytuowania, dekoracji i tak dalej. Należy podobno myśleć o budynku jako o miejscu zamieszkania smoków i patrzenia nań pod kątem tego, jak by się w jego wnętrzu poruszał smok. I tak, jeżeli smok nie byłby w danym budynku szczęśliwy, należy w odpowiednim miejscu postawić czerwoną misę z rybami albo przebić okno. Brzmi to jak kompletny nonsens, ponieważ wszystko, co ma związek ze smokami, musi być nonsensem – smoków nie ma, więc każda teoria oparta na zachowaniach smoków jest bzdurą. Co właściwie wyprawiają ci niemądrzy ludzie, wyobrażając sobie, że smoki mogą dać im wskazówki na temat budowy domów? Mimo wszystko wydaje mi się, że jeżeli na chwilę pozostawimy na boku teorię mającą wyjaśniać sens sprawy, dostrzeżemy coś ciekawego. Każdy z nas wie z własnego doświadczenia, że niektóre budynki, w których mieszkaliśmy, pracowaliśmy, kiedyś odwiedziliśmy albo w których przebywaliśmy, były wygodniejsze, przyjemniejsze i lepsze do życia od innych. Nie mieliśmy metod, aby to ilościowo sklasyfikować, w obecnym stuleciu była jednak masa architektów, którym się wydawało, że wiedzą, jak to zrobić, mieliśmy więc straszliwą ideę domu jako maszyny do mieszkania. Mies van der Rohe i inni wstawiali szklane kikuty i dziwnie uformowane przedmioty, które miały tworzyć taką czy inną teorię. Wszystko jest starannie zbudowane, ale w ich budynkach nie mieszka się zbyt przyjemnie. Zastosowano mnóstwo teorii, kiedy jednak siedzi się i pracuje z architektem (jak z pewnością wiele innych osób, przechodziłem ten stresowy okres), to chcąc określić, jak ma funkcjonować pomieszczenie, próbuje się zintegrować wszystkie możliwe dane dotyczące oświetlenia, kątów, tego, jak ludzie się poruszają i jak żyją – przy czym mnóstwo innych, z których człowiek nie zdaje sobie sprawy, jest pomijanych. Nie bardzo wiadomo, jaką wagę należy przywiązywać do tego czy owego, człowiek próbuje, bardzo świadomie, coś sobie wyobrazić, choć tak naprawdę nie ma o tym pojęcia,

styka się to zjedną, to z drugą teorią, to z jednym kawałkiem praktyki inżynierskiej, to z innym architektonicznej i tak naprawdę nie wiadomo, co z tym wszystkim począć. Porównajmy to z sytuacją, kiedy ktoś rzuca w nas piłką. Możemy siedzieć i patrzeć oraz stwierdzić: „Leci pod kątem siedemnastu stopni”, zacząć to obliczać na papierze, trochę pocałkować i tak dalej; mniej więcej po tygodniu, kiedy piłka dawno przemknęła obok, obliczyć, dokąd poleci i jak ją złapać. Można też wyciągnąć po prostu rękę i złapać piłkę, mamy bowiem wbudowane w nasze ciała różne mechanizmy, nieświadome umiejętności zdolne wykonywać wszelkiego rodzaju złożone połączenia najróżniejszych skomplikowanych zjawisk, co pozwala nam stwierdzić: „Patrz, leci piłka – złap ją!”.

Chcę zasugerować, że feng shui i mnóstwo innych rzeczy dokładnie tak wygląda. Jest wiele rzeczy, które wiemy, jak zrobić, choć niekoniecznie wiemy, co robimy – po prostu je robimy. Wracając do sprawy wyobrażania sobie, jak powinny być zaprojektowane pomieszczenie albo dom, to zamiast określania kątów i przetrawiania, jakie prawdziwe architektoniczne zasady możesz wydobyć z tego, co jest pewnie jedynie przemijającą architektoniczną modą, można sobie zadać pytanie: „Jak żyłoby się tu smokowi?”. Mamy nawyk myślenia w kategoriach istot organicznych – istota taka może być tak niezwykle skomplikowaną kompozycją wszelkich możliwych zmiennych, że wykroczy to poza naszą zdolność pojmowania, ale wiemy, jak takie istoty żyją. Nigdy nie widzieliśmy smoka, lecz mamy wyobrażenie, jak smok wygląda, możemy więc powiedzieć: „No cóż, gdyby tędy przelatywał smok, to tu by utknął, a tam by się troszkę przebił przez ścianę, ponieważ miałby zasłonięty widok, potem machnąłby ogonem i zrzucił tamten wazon”. Wystarczy wyobrazić sobie, jak sprawić, aby w danym domu smok był szczęśliwy i proszę bardzo – nagle mamy miejsce, w którym sensownie mogą żyć inne organiczne istoty, takie na przykład jak my.

Mój argument jest następujący: stajemy się coraz bardziej naukowcy, ale zamiast wylewać dziecko z kąpielą, warto może pamiętać o tym, że fikcje, którymi dotychczas zaludnialiśmy nasz świat, mogą mieć jakąś funkcję, którą warto spróbować zrozumieć i której zasadnicze składniki warto zachować, bo nawet jeśli nie chcemy zaakceptować ich istnienia, może być tak, że ich istnienie albo istnienie czegoś podobnego do nich, ma uzasadnione przyczyny. Podejrzewam, że im dalej się posuniemy w sferę życia sztucznego, cyfrowego, stwierdzimy, że z tego, co się dzieje, wynika coraz więcej niespodziewanych rekwizytów i są dokładną paralełą bytów, które tworzymy wokół siebie w celu informowania i kształtowania naszych żywotów oraz umożliwiania nam wspólnej pracy oraz wspólnego życia. Z tego powodu chciałbym twierdzić, że nie ma rzeczywistego Boga, ale istnieje Bóg sztuczny i powinniśmy o tym pamiętać. Oto moje stanowisko i możecie teraz Państwo zacząć rzucać krzesłami!



# Pytanie: Co to jest czwarta epoka piasku?

Aby na to odpowiedzieć, pozwolę sobie przez chwilę pomówić o tym, jak się komunikujemy. Tradycyjnie mamy mnóstwo różnych sposobów komunikacyjnych. Istnieje komunikacja jeden-na-jeden – rozmawiamy we dwoje, konwersujemy. Innym sposobem jest komunikacja jeden-na-wielu – coś takiego, co właśnie robię, może to być także śpiewanie piosenki dla większego audytorium albo ogłoszenie, że idziemy na wojnę. Mamy następnie komunikację wielu-do-jednego – zarówno w niejednorodnej, nieporadnej, nie bardzo funkcjonującej wersji, którą nazywamy demokracją, jak i w prymitywniejszym wydaniu, w którym mógłbym wstać i krzyknąć: „Idziemy na wojnę”, na co ktoś by odkrzyknął: „Nie idziemy!”. Mamy także komunikację wielu-do-wielu – jej przykładem byłaby kłótnia, która wybuchła w efekcie ostatniej wymiany słów.

W tym (a także w poprzednim) wieku wymodelowaliśmy komunikację jeden-do-jednego w wynalazku telefonu, który chyba wszystkim jest znany. Mamy komunikację jeden-do-wielu – rany, ile jej mamy – poprzez radio, działalność wydawniczą, dziennikarstwo. Informacji leje się na nas zewsząd i nie wybiera miejsca, do którego chce dotrzeć.

Zadziwiające, ale nie trzeba sięgać daleko w przeszłość, aby sięgnąć i do czasów, kiedy każda docierająca do nas informacja miała dla nas znaczenie i dlatego wszystko, co się wydarzało, każda wiadomość, czy o tym, co działo się z nami samymi, w sąsiednim domu, w sąsiedniej wsi, wewnątrz naszych granic albo w obrębie naszego horyzontu, wydarzało się w naszym świecie i reagowaliśmy na to, a świat reagował zwrotnie. Wszystko miało do nas odniesienie, więc jeżeli ktoś miał na przykład straszliwy wypadek, mogliśmy udać się na miejsce zdarzenia i pomóc. Teraz, z powodu natłoku komunikacji jeden-do-wielu, jeżeli w Indiach rozbije się samolot, możemy się tym bardzo przejąć, ale nie ma to żadnego oddziaływania. Nie bardzo umiemy rozróżnić między straszliwym wypadkiem, jaki przydarzył się komuś na drugim końcu świata, a komuś za rogiem. Tracimy zdolność rozróżniania między wydarzeniami, dlatego niezwykle się denerwujemy nieszczęścia – mi bohaterów hollywoodzkiej opery mydlanej, a mniej martwimy się i tym, co się dzieje z naszą siostrą. Stajemy się wszyscy pokręceni oraz chaotyczni i nie powinno z tego powodu zaskakiwać, dlaczego czujemy się tak zestresowani i wyobcowani – dlatego, że świat wywiera na nas wpływ, a my nie wywieramy wpływu na świat. Istnieje co prawda komunikacja wielu – do – jednego, ale nie jest jeszcze bardzo powszechna i nie funkcjonuje należycie. Zasadniczo biorąc, jej modelem są systemy demokratyczne i choć nie są jeszcze bardzo dobre, na pewno gwałtownie się poprawią.

Czwartego rodzaju komunikacji – wielu-do-wielu – wcale nie mieliśmy przed pojawieniem się Internetu, który oczywiście pracuje na światłowodach. Czwartą epokę piasku tworzy komunikacja międzyludzka. Wróćmy do tego, co powiedziałem o świecie nie reagującym na nas, kiedy my reagujemy na niego. Pamiętam, jak kilka lat temu, po raz pierwszy zacząłem brać Internet na poważnie. Powód był bardzo prozaiczny. W Carnegie Mellon był student informatyki, który lubił pić dr. peppera light. Kilka pięter od niego był automat z napojami, do którego regularnie chadzał po swojego dr. peppera, niestety automat często bywał pusty, więc sporo wypraw student podejmował na darmo. W końcu stwierdził, że w automacie jest procesor, on sam siedzi przy komputerze, budynek oplata sieć, wystarczy więc włączyć automat z napojami do sieci i będzie mógł

ze swego komputera sprawdzić, czy wyprawa okaże się zmarnowana, czy nie. Podłączył więc automat do sieci lokalnej, ale ponieważ była ona częścią Internetu, nagle każdy człowiek na świecie mógł obserwować, co dzieje się z tym właśnie automatem do napojów. Nie była to może szczególnie istotna informacja, sprawa okazała się jednak fascynująca – wszyscy chcieli nagle wiedzieć, jaki jest stan urządzenia. Sprawa zaczęła się rozwijać, bowiem umieszczony w automacie procesor nie tylko udzielał informacji: „Przegródka z dr. pepperem jest pusta”, ale był w stanie dodać: „W środku jest siedem puszek coli i trzy coli dietetycznej, napoje są przechowywane w takiej to a takiej temperaturze, a zapas uzupełniano ostatni raz tego i tego dnia”. Można było uzyskać masę informacji, a jedna rzecz była szczególnie niesamowita: jeżeli ktoś wrzucił 50 centów i nie wcisnął klawisza, to znaczy maszyna była „w ciąży”, można było z komputera w dowolnym miejscu świata załogować się do automatu i wyrzucić puszkę! Kto to powodował? Cóż, najwyraźniej ktoś siedzący w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów! Historia choć głupawa, była fascynująca, a dla mnie jest dowodem na to, że po raz pierwszy mogliśmy wtedy zaingerować w działanie świata. Być może sięgnięcie do uniwersyteckiego korytarza w celu wyrzucenia z automatu puszki coli nie jest czymś szczególnie istotnym, był to jednak pierwszy strzał w wojnie o wprowadzenie całkowicie nowego sposobu komunikacji. I to jest, moim zdaniem, czwarta epoka piasku.

Improwizowana przemowa na Digital Biota 2,

Cambridge, wrzesień 1998

\*

## Herbatniki

Wydarzyło się to faktycznej osobie, a jestem nią ja. Chciałem złapać pociąg. Było to w kwietniu 1976 roku, w Cambridge w Wielkiej Brytanii. Zostało jeszcze trochę czasu do odjazdu pociągu. Poszedłem po gazetę, by porozmawiać krzyżówkę, po kawę i paczkę herbatników. Usiadłem przy stoliku. Opiszę wam scenerię – jest niezwykle ważne, abyście bardzo wyraźnie ją ujrzeli. A więc tu mamy stolik, tu gazetę, filiżankę z kawą, herbatniki. Naprzeciwko mnie siedzi mężczyzna, całkiem przeciętny gość w biznesowym garniturze, z teczką. Nic nie wskazywało na to, aby miał zrobić cokolwiek dziwnego. A jednak zrobił: nagle pochylił się do przodu, wziął do ręki herbatniki, rozerwał opakowanie, wyjął jednego i zjadł.

Muszę powiedzieć, że z takiego typu rzeczami my Brytyjczycy bardzo źle sobie radzimy. W naszej historii, naszym wychowaniu, naszej edukacji szkolnej nie ma nic, co uczyłoby nas, jak zachować się w stosunku do kogoś, kto w biały dzień kradnie nam herbatniki. Wiadomo, co by się stało, gdyby rzecz miała miejsce na dworcu South Central w Los Angeles. Natychmiast rozpoczęłyby się strzelanina, zjawilyby się helikoptery, CNN, rozumiecie... w końcu zrobiłem to, co zrobiłby każdy czerwonokrwisty Brytyjczyk: zignorowałem wydarzenie. Gapiłem się w gazetę, wziąłem łyk kawy, próbowałem zrozumieć artykuł w tekst którego się wpatrywałem, nie byłem jednak w stanie nic podjąć, z wyjątkiem powtarzania w myśli: „Co mam robić?”.

W końcu uznałem: „Trudno, muszę to zrobić”. Próbując z całych sił nie zauważać, że w tajemniczy sposób paczka została otwarta, wyjąłem herbatnik. Pomyślałem sobie: „To go uspokoi”. Nie uspokoiło, bowiem po chwili powtórzył to, co przedtem. Wziął następny herbatnik. Ponieważ za pierwszym razem nic nie powiedziałem, za drugim jakby trudniej było podnieść temat: „Przepraszam bardzo, trudno tego nie zauważyć, ale...”. Nic by to nie dało.

Zjedliśmy całą paczkę. Było w niej co prawda tylko osiem herbatników, ale sprawa zdawała się trwać wiecznie. On brał herbatnik, ja brałem herbatnik, on brał herbatnik. Kiedy skończył, wstał i odszedł. Wymieniliśmy pełne znaczenia spojrzenia, po czym poszedł sobie, ja zaś głęboko odetchnąłem i opadłem ciężko na oparcie krzesła.

Wkrótce podstawiono pociąg, dopiłem kawę, wstałem i podniosłem gazetę, pod którą leżały moje herbatniki. Tym, co szczególnie lubię w tej opowieści, jest wrażenie, że gdzieś po Anglii przez ostatnie ćwierć wieku krąży całkowicie przeciętny facet, który ma do opowiedzenia identyczną historię – tyle tylko, że brakuje jej puenty.

Z przemowy do pracowników Embedded Systems, 2001

I cała reszta

*Uważam, że zamiar robienia sztuki zabija kreatywność.*

*D.N.A.*

**THE ONION: Robi Pan mnóstwo rzeczy. O czym chce Pan opowiedzieć najpierw?**

DOUGLAS ADAMS: Chyba dwie rzeczy są najważniejsze. Pierwszą jest to, że jesteśmy blisko zakończenia czegoś, nad czym męczę się już chyba od dwóch lat, a co nazywa się *Starship Titanic* i jest na płycie CD. Zostanie wydane za kilka miesięcy. Druga rzecz to moja niedawna zgoda na sprzedanie *Autostopem przez Galaktykę* Disneyowi. Przez najbliższe kilka lat będę się zajmował właśnie tym. Będę robił film.

**O: Niech Pan opowie o *Starship Titanic*.**

DA: To płyta CD, a najważniejsze w całym projekcie jest, że zaczęła się jako płyta CD. Ludzie chcieli, żebym zrobił *Autostopem* na płycie, po głowie chodziło mi jednak ciągle „nie... nie...”. Nie chciałem adaptować kolejnej rzeczy z książki, którą napisałem, przerabiając to od końca. Uważam, że media elektroniczne są wystarczająco interesujące, aby były warte wymyślenia czegoś w specyficznym dla nich języku przekazu. Kiedy ma się pomysł, człowiek natychmiast się zastanawia: „Co to jest? Książka, film, to czy tamto, opowiadanie, a może płatki owsiane?”. Naprawdę – od takiej chwili decyzja, co to właściwie jest, określa sposób, w jaki temat się rozwija. Coś, co będzie tworzone jako płyta CD, będzie zupełnie inne, niż gdyby było tworzone jako książka. No, trochę kłamię, ponieważ pomysł jako taki, w formie pojedynczego akapitu, pojawił się w jednym z tomów *Autostopem* – chyba w *Życiu, wszechświecie i całej reszcie*. Za każdym razem, kiedy utykałem w miejscu z akcją *Autostopem*, wymyślałem kilka szybkich wersji i włączałem je do *Przewodnika*, aby je przedstawił. Pojawił się tam pewien pomysł i szereg osób zaczęło mi powtarzać: „Powinieneś rozwinąć to w powieść”. Pomysł wyglądał na zbyt dobry i opierałem mu się, jednak tak naprawdę stwierdziłem, że powodem niechęci z mojej strony do przerobienia *Starship Titanic* na książkę jest to, iż zasadniczo jest opowieścią o przedmiocie. Skorzystałem z pomysłu, jaki wpadł mi do głowy i nie dodałem do wątku ludzi, a opowiedzieć można jedynie historię, która dotyczy ludzi. Później więc, kiedy myślałem sobie: „W porządku, chcesz zrobić płytę CD, bo chcesz jakoś uzasadnić, że cały czas spędzasz, majstrując przy komputerach”, nabrałem ochoty na przerobienie sprawy i w odpowiednio wyrośniętą pracę. Zastanawiałem się, czy wyjdzie] z tego coś dobrego, w którymś momencie dotarło do mnie jednak, że; problem z przerobieniem

*Starship Titanic* na książkę – to, że dotyczy rzeczy, miejsca, okrętu kosmicznego – jest ogromnie korzystny. Kiedy przygotowuje się płytę CD, tym, co trzeba tak naprawdę stworzyć, jest miejsce, środowisko.

### **O: A postacią staje się użytkownik.**

DA: Właśnie. Kiedy miejsce akcji zacznie się rozwijać, wprowadza się do niego postacie, gra nie jest jednak o postaciach, ale o statku. Potem chciałem zrobić coś... no cóż, w zależności jak na to spojrzeć, można to określić mianem czegoś staromodnego albo bardzo radykalnego: chciałem wbudować w grę maszynę konwersacyjną. Wiele lat temu zrobiłem z firmą Infocom, która była wspaniałą firmą, grę opartą na *Autostopem*. Robili dowcipne, inteligentne, językowo dobre gry, oparte na tekstach. Kilka tysięcy lat ludzkiej kultury wyraźnie informuje o tym, że z tekstem da się sporo zrobić, a dodanie elementu interaktywnego powinno jedynie rozszerzyć wachlarz możliwości. Zamienia to komputer w opowiadacza historii, a gracza w widownię – tak, jak w dawnych czasach, kiedy opowiadacz historii reagował na zachowanie widowni, nie zaś jak jest obecnie powszechne, kiedy widownia reaguje na opowiadacza historii. Praca nad tym przyniosła mi mnóstwo przyjemności. Uwielbiałem tworzenie wirtualnych rozmów między graczem a maszyną, pomyślałem więc, że będzie wspaniale to rozwinąć i zrobić coś więcej we współczesnej grze graficznej. Bardzo mnie interesowało sprawdzenie, czy da się wykorzystać starą technikę rozmowy i sprawić, aby postacie rzeczywiście mówiły. Umieszczenie ich w środowisku i przyjrzenie się, dokąd to doprowadzi. Zaczęliśmy przymierzać się do umożliwienia przemawiania do postaci. Oczywiście wszystko, co się robi z językiem, jedynie rozdyma problem. Na początek chcieliśmy to zrobić za pomocą procesora zamiany tekstu na mowę, co ma tę przewagę, że pozwala elastyczniej tworzyć zdania na bieżąco. Z drugiej strony powoduje jednak, że wszystkie postacie brzmią jak półprzytomni Norwegowie, co moim zdaniem było pewnym minusem. Stwierdziliśmy w końcu, że będziemy musieli mieć z góry nagraną mowę, co przywiodło mi na myśl jedno: „To straszne, daje przecież ograniczoną liczbę odpowiedzi. To będzie... no nie wiem...”. Sprawę rozwiązaliśmy – po części rozwiązaliśmy – tak, że liczba nagranych kwestii rosła, rosła, rosła i rosła. Dziś rano odbyliśmy kolejną dwugodziną sesję nagraniową. Mamy teraz mniej więcej szesnaście godzin strzępków rozmów: zwrotów, zdań, półzdań i wszystkiego innego, co maszyna może złożyć na bieżąco w odpowiedzi na to, co wpisze się na klawiaturze. Przez długi czas nienajlepiej to działało, teraz jednak – naprawdę od dwóch, trzech tygodni – wszystko zaczęło się układać w całość i wtedy zaczęło się robić dość upiornie. Przychodzą ludzie i mówią: „Tak tak, oczywiście, nie widzę, jak to ma działać. Co będzie, jak spytam o to?”. Pytają i szczęki im opadają. Coś wspaniałego. Ludzie spędzają godziny, siedząc i nie mogąc się oderwać od rozmowy z naszymi postaciami. Spieszę dodać, że te szesnaście godzin dialogów pisał mały zespół. Ja napisałem część, część napisali inni ludzie, a razem złożyliśmy wszystko do kupy. Kiedy gra działa, efekt jest naprawdę godny uwagi. Nagle ma się przed sobą zaludniony świat – wokół pełzają przedziwne, zniszczone roboty, mają bardzo różne poglądy, postawy i pomysły, przedziwną przeszłość, wiedzą o różnych, niekiedy całkowicie nieoczekiwanych rzeczach. Każdego robota można wciągnąć w rozmowę.

**O: Nie martwi się Pan, że po tak wielkiej pracy, jaka została włożona, ludzie nie będą chcieli traktować tej gry z powagą należną, powiedzmy, filmowi albo książce? Że nie potraktują jej jako formy sztuki?**

DA: Mam nadzieję, że tak się stanie. Pojęcie sztuki bardzo mnie martwi. Jako absolwent literatury angielskiej, od końca studiów próbuję unikać zakładania, że stworzę sztukę. Uważam, że zamiar robienia sztuki zabija kreatywność. Był to jeden z powodów, dlaczego chciałem zrobić płytę CD – nikt nie weźmie jej poważnie, dzięki czemu można przemycić masę fajnych rzeczy. Zabawne, jak często to się zdarza. Wydaje mi się, że kiedy zaczęto pisać powieści, wiele wczesnych było swego rodzaju pornografią – wszystko wskazuje na to, że większość środków przekazu zaczynała od bycia pornografią, po czym z tego wyrastało. Spieszę oczywiście dodać, że to nie jest płyta pornograficzna. Przed 1962 rokiem wszyscy sądzili, że muzyka pop to coś w rodzaju... nikt nie nazwałby jej sztuką, po czym zjawia się ktoś, kto jest w tym środku przekazu niezwykle kreatywny, bo kocha go do szpiku kości i uważa, że niczym nie można się lepiej bawić. W ciągu kilku lat pojawiają się *Orkiestra samotnych serc sierżanta Peppera* i tak dalej, a wszyscy mówią: „To sztuka!”. Moim zdaniem środek przekazu jest najciekawszy, zanim ktoś wpadnie na pomysł, by określić go mianem sztuki, kiedy ludzie sądzą, że to jedynie sterta szmelcu.

**O: Czy za, powiedzmy, dwadzieścia lat, chciałby Pan być uważany ; za jednego z pierwszych twórców płyt CD jako sztuki?**

DA: Cóż, chciałbym, aby wielu ludzi ją kupiło. Po pierwsze z bardzo oczywistego powodu, ale także dlatego, że jeżeli płyta stanie się popularna, spodoba się ludziom i sprawi im dużo frajdy, będę miał poczucie, że zrobiłem dobrą robotę. Jeśli ktoś zechce stwierdzić: „Ojej – to sztuka. ..”, niech mu będzie. Nie zależy mi na tym tak bardzo, zdecydować muszą po fakcie ludzie. Nie należy tego sobie stawiać za cel. Nie ma nic gorszego niż pisanie powieści z założeniem: „Okej, zrobię coś o wielkiej wartości artystycznej”. Śmieszna sprawa. Kilka dni temu czytałem coś z czystego zaciekawienia – czytałem *Thunderballa*, jedną z książek z Jamesem Bondem, którą z przyjemnością bym przeczytał, kiedy miałem, ja wiem... czternaście lat, choć w zasadzie tylko kartkowałem w poszukiwaniu miejsc, w których kładzie na jej piersi lewą dłoń i mówi: „O mój Boże, ale podniecające”. Pomyślałem sobie jednak, że James Bond w ciągu minionych czterdziestu lat stał się taką ikoną naszej kultury masowej, że ciekawe byłoby sprawdzić, co to sprawiło. Bodźcem, by to zrobić – pomijając oczywiście fakt, że znalazłem leżący gdzieś egzemplarz książki, był artykuł, który przeczytałem, w którym ktoś twierdził, że celem Iana Fleminga nie była literackość, a dobre napisanie tekstu. To wielka i zasadnicza różnica. Pomyślałem więc, że sprawdzę, czy mu się udało ten cel osiągnąć. Sprawa jest ciekawa, ponieważ z rzemieślniczego punktu widzenia to, co pisał, było dobre. Wiedział, jak używać języka, wiedział, jak sprawić, aby oddziaływał na czytelnika i dobrze pisał, ale nikt nie nazwałby tego literaturą. Myślę jednak, że większość najciekawszych prac jest dokonywana w dziedzinach, w których wykonawcy nie uważają, że tworzą sztukę, ale wykonują rzemiosło, pracują jako rzetelni rzemieślnicy. Dobre napisanie tekstu przez pisarza to porządne

rzemiosło, wynik znajomości tego, co się robi, wiedzy, jak prawidłowo używać narzędzi i nie niszczyć ich w trakcie pracy. Kiedy czytam powieści literackie – takie przez duże L – mam wrażenie, że wiele z nich jest stekiem bzdur. Jeżeli chcę dowiedzieć się czegoś ciekawego o tym, w jaki sposób funkcjonują ludzkie istoty, w jakich są ze sobą stosunkach i jak się zachowują, sięgam po jedną z wielu kobiet piszących kryminały, które doskonale coś takiego przedstawiają – na przykład Ruth Rendell. Jeżeli chcę przeczytać coś, co da mi materiał do poważnego i fundamentalnego myślenia – na przykład o kondycji człowieka, o tym, co tu wszyscy robimy albo co się właściwie wokół nas dzieje – najchętniej czytam coś autorstwa naukowca zajmującego się jakąś nauką życia, na przykład Richarda Dawkinsa. Moim zdaniem pisanie o najważniejszych życiowych sprawach przeszło z pisarzy na naukowców, bo wiedzą więcej. Mam skłonność do ogromnej podejrzliwości względem wszystkiego, co w trakcie tworzenia uważa się za sztukę. Jeśli chodzi o płytę CD, chciałem jedynie zrobić coś najlepiej, jak umiem i mieć z tego maksimum przyjemności. Moim zdaniem wyszła całkiem dobrze. Zawsze są jakieś fragmenty, których niedoskonałością człowiek się trapi, są rzeczy, którymi można się ciągle martwić. Ta płyta jest naprawdę dobra.

**O: Ma Pan też film. Słyszałem pogłoski że film *Autostopem* snuje się jak duch od dziesięcioleci.**

DA: No tak... choć to coś w rodzaju niepotwierdzonych pogłosek, dotychczas były dwa źródła plotek. Pierwsza ich fala pojawiła się, kiedy mniej więcej piętnaście lat temu sprzedałem prawa Ivanowi Reitmanowi, który nie był jeszcze tak bardzo znany jak dziś. Nic z tego nie wynikło, ponieważ kiedy zabraliśmy się do pracy, nie widywaliśmy się z Ivanem w cztery oczy. Okazało się, że przed zakupem praw nie czytał książki, a jedynie liczby o wielkości sprzedaży. Moim zdaniem materiał mu nie leżał i w końcu postanowił zrobić coś całkiem innego. Uzgodniliśmy, że się rozchodzimy i każdy idzie własną drogą, a własność praw przeszła z niego na Columbię\*! Ivan zabrał się za film *Pogromcy duchów* i możecie sobie wyobrazić, jak byłem tym zirytowany. Przez lata byłem własnością Columbi. Wydaje mi się, że Ivan Reitman znalazł potem kogoś do napisania opartego na mojej książce scenariusza i jest to najgorszy scenariusz, jaki kiedykolwiek czytałem. Niestety jest pod nim zarówno moje nazwisko, jak i nazwisko tego drugiego autora, choć nie napisałem ani przecinka. Dopiero niedawno odkryłem, że ten scenariusz przez długi czas tkwił w mieście scenariuszy, czy gdzie tam i każdy zakłada, że jestem straszliwym scenarzystą. Jest to dla mnie dość stresujące. Kilka lat temu przedstawiono mnie komuś, z kim bardzo i się zaprzyjaźniłem – Michaelowi Nesmithowi, który w swoim życiu robił różne rzeczy. Poza produkowaniem filmów był członkiem The Monkees. Kiedy człowiek go pozna i dowie się o tym, wydaje się to niezwykle, jest on bowiem poważnym, myślącym, spokojnym facetem, choć z ukrytymi pokładami złośliwego dowcipu. Zaproponował, żebyśmy stworzyli spółkę, która zajmie się realizacją filmu. On będzie producentem, ja napiszę scenariusz i tak dalej. Przez jakiś czas świetnie się nam pracowało, ale w którymś momencie Hollywood uznało chyba, że materiał jest przestarzały. Rozniosło się to i choć mnóstwo mi na ten temat powiedziano, można to streścić do dwóch zdań: „Komedia science fiction nie wypali jako film. Dlaczego? Gdyby mogła wypalić, ktoś by już coś takiego zrealizował”.



**O: Ta logika wydaje się mieć pewne słabości.**

DA: No więc stało się, że w zeszłym roku weszli do kin *Faceci w czerni*, więc nagle ktoś już coś takiego zrealizował. *Faceci w czerni* to... jak mam delikatnie powiedzieć? Może powiedzmy, że były tam elementy, które wydały mi się dość znajome. Nagle okazuje się, że komedia science fiction, zrobiona w podobnym tonie co *Autostopem* staje się jednym z najbardziej kasowych filmów w historii. Zmieniło to nieco krajobraz. Nagle ludzie jakby chcieli oglądać coś w tym stylu. Projekt z Michaeliem... skończyło się na tym, że nie dano nam kręcić, rozeszliśmy się więc w zgodzie i do dziś jesteśmy przyjaciółmi. Mam nadzieję, że w przyszłości pojawią się inne projekty, nad którymi będziemy mogli wspólnie popracować, bardzo go bowiem lubię i świetnie nam razem szło. Poza tym im więcej czasu będę musiał spędzić w Santa Fe, tym lepiej. Teraz film jest w rękach Disneya, choć dokładniej biorąc, firmy Caravan – jednej z największych niezależnych firm produkcyjnych, ale jakoś powiązanych z Disneyem. Niemożność zrobienia filmu przez ostatnie piętnaście lat była mocno frustrująca, mimo to bardzo mnie podnosi na duchu fakt, że teraz można z tego samego materiału zrobić znacznie, znacznie, znacznie lepszy film niż piętnaście lat temu. Chodzi o stronę techniczną – poziom zdjęć, scenografii i oddziaływania na widza. Prawdziwa wartość filmu zależy oczywiście od scenariusza, gry aktorskiej, reżyserii i tak dalej, a umiejętności te w ostatnich latach ani się nie poprawiły, ani nie pogorszyły, ale znacznie poprawił się przynajmniej jeden istotny zakres – możliwość takiego wykonania, aby film lepiej wyglądał.

**O: Reżyserować ma Jay Roach [twórca *Austina Powersa*]?**

DA: Zgadza się. Bardzo ciekawy gość. Spędziliśmy masę czasu na rozmowach. Kluczem do całej sprawy jest pod wieloma względami to, że kiedy się poznaliśmy, świetnie się od razu porozumieliśmy i stwierdziłem, że to bystry, inteligentny człowiek. Nie tylko sędzę, że jest bystry i inteligentny, ale dowiódł tego: chce, abym ściśle współpracował przy tworzeniu filmu. Coś takiego zawsze bardzo czule nastawia pisarza do reżysera. Kiedy powstawał pierwotny serial radiowy, to co zrobiłem, było niesłychane. Przecież jedynie napisałem tekst, ale potem na swój sposób włączyłem się w cały proces realizacji. Realizator/reżyser był tym nieco zaskoczony, lecz w końcu przyjął sytuację z wielką gracją. W związku z tym miałem wielki wpływ na to, jak program się rozwijał i Jay chce, abym dokładnie to samo powtórzył w przypadku filmu. Od razu miałem wrażenie: „Wspaniale, oto ktoś, z kim chcę pracować”. Mówię to, zdając sobie sprawę z tego, że proces może potrwać dwa lata, więc kto wie, co się wydarzy. Mogę jednak stwierdzić, że na tym etapie gry sprawy mają się maksymalnie ucziwie, jestem więc nastawiony bardzo optymistycznie i bardzo podniecony.

**O: Od serialu radiowego minęło niemal dwadzieścia lat, prawda?!**

DA: No tak, niemal dokładnie dwadzieścia. W przyszłym miesiącu minie dwadzieścia.

**O: Na czym polega utrzymywanie się uroku *Autostopem przez Galaktykę*?**

DA: Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że ciężko pracowałem nad materiałem i bardzo się nim martwiłem, a pisząc go, bardzo utrudniałem sobie życie. Gdyby istniał jakikolwiek prosty sposób realizowania spraw, na pewno znalazłbym trudniejszy. Podejrzewam, że liczba ludzi, którym *Autostopem* się spodobało, nie jest niezależna od ilości pracy, jaką włożyłem w książki. To bardzo upraszczające, ale nie wpada mi do głowy lepsze wyjaśnienie.

**O: Czy film ma obejmować wydarzenia pierwszego tomu?**

DA: Tak. Zabawne, ale rozglądałem się po Internecie i sprawdzałem, co ludzie mówią. Spotkałem się ze zdaniem: „Zamierza wsadzić w film wszystkie pięć tomów”. Ludzie po prostu nie rozumieją, jak książka zamienia się w film. Ktoś powiedział – moim zdaniem dość trafnie – że najlepszym materiałem źródłowym na film jest opowiadanie. Oznacza to, że sfilmowany ma być pierwszy tom. Muszę jednak przyznać, że za każdym razem, kiedy siadam i robię kolejną wersję *Autostopem*, w znacznym stopniu neguję wszelkie wersje poprzednie, więc najlepsze, co mogę powiedzieć o filmie, to że będzie szczególnie w sprzeczności z pierwszym tomem.

**O: Która wersja *Autostopem* najbardziej się Panu podoba?**

DA: Nie telewizyjna – to na pewno. W zależności od nastroju radiowa albo książkowa, a ponieważ są to dwie, jakie w ogóle pozostały, musi być jedna z nich, prawda? Mam wobec każdej inne odczucia. Z jednej strony od serialu radiowego wszystko się rozpoczęło, w nim wszystko wyrosło, był glebą, w której wzrastały nasiona. Przy serialu radiowym miałem wrażenie, że zarówno ja sam, jak i inni ludzie nad czymś pracują – realizator, inżynierowie dźwięku i tak dalej, no i oczywiście aktorzy – wszyscy tworzyli coś, co w owych czasach było całkowicie nowatorskie. Choć raczej wtedy sprawiało wrażenie, że kompletnie powariowaliśmy. Pamiętam, jak siedzieliśmy w podziemnym studiu, słuchając odgłosu wieloryba uderzającego w ziemię z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę i szukaliśmy sposobów, jak przeciągnąć dźwięk. Po wielu godzinach takiej roboty, do tego dzień w dzień, człowiek zaczyna powątpiewać w swą normalność. Oczywiście nie

mieliśmy pojęcia, czy ktokolwiek będzie tego słuchał, było w tym jednak naprawdę poczucie, że jeszcze nikt czegoś takiego nie robił. I to było wspaniałe – wraz z takim odczuciem pojawia się wielkie zobowiązanie. Z drugiej strony urokiem książek jest dla mnie to, że są tylko moje. Dla pisarza największy urok książki polega na tym, że jest wyłącznie jego. Koniec, kropka. Nikt inny nie miał z nią do czynienia. Oczywiście to nie do końca prawda, ponieważ książki wyewoluowały z serialu radiowego i czuję oddech wszystkich ludzi, którzy w ten czy inny sposób wnieśli swój wkład w powstanie serialu. Mimo wszystko w przypadku książki mam odczucie, że to wyłącznie moja praca. Jestem zadowolony ze sposobu, w jaki sieje czyta. Uważam, że są płynne. Sprawiają wrażenie, jakby łatwo sieje pisało, ale wiem, jak trudno było osiągnąć ten efekt.

**O: Czy odczuł Pan kiedyś zmęczenie *Autostopem przez Galaktykę*?**

DA: Był taki okres, kiedy miałem go serdecznie dość, naprawdę nie miałem ochoty więcej o nim słyszeć i niemal krzychałem na każdego, kto w mojej obecności użył tych słów. Potem jednak oderwałem się i zacząłem robić inne rzeczy. Napisałem powieści z Dirkiem Gentlym. Moją ulubioną rzecz zrobiłem mniej więcej dziesięć lat temu: objechałem świat z zaprzyjaźnionym zoologiem, szukając rzadkich i zagrożonych gatunków zwierząt, po czym napisałem książkę *Ostatnią okazja, by ujrzeć*, która jest moją ulubioną. *Autostopem* jest obecnie czymś z przeszłości, co bardzo lubię, było wspaniałe, było niesamowite i było bardzo dobre dla mnie. Jakiś czas temu rozmawiałem z Pete'em Townsendem z The Who i stwierdziłem wtedy coś w tym stylu: „Boże, mam nadzieję, że nie będzie się mnie pamiętać jedynie jako tego, kto napisał *Autostopem przez Galaktykę*. Trochę mnie skarcił. Odparł: „Wiesz, miałem to samo z *Tommym* i przez jakiś czas myślałem podobnie. Sprawa w tym, że jeśli masz w swojej historii coś podobnego, otwiera to mnóstwo drzwi. Pozwala ci robić dużo innych rzeczy. Ludzie to pamiętają. Należy być za to wdzięcznym”. Pomyślałem, że ma dużo racji.

**O: Odłożył Pan na bok Dirka Gently'ego?**

DA: Zacząłem pisać kolejną książkę z nim, ale przestałem. Z jakiegoś powodu nie posuwała się do przodu i musiałem przerwać pisanie. Nie wiem, co z tym fantem zrobić. Mniej więcej po roku obejrzałem ponownie materiał i nagle przyszło mi do głowy: „W zasadzie powodem jest to, że pomysły i postać do siebie nie pasują. Próbowałem rozwijać nieodpowiedni rodzaj pomysłów, znacznie lepiej pasowałyby do książki z *Autostopem*, ale nie chcę w tej chwili pisać kolejnej jej części”. Więc jak gdyby odłożyłem ją na bok. Może któregoś dnia napiszę kolejną część *Autostopem*, bowiem siedzi wokół mnie straszne mnóstwo materiału i czeka na umieszczenie w niej. Dwa albo trzy miesiące temu w Oksfordzie studenci wystawiali sztukę pod tytułem *Dirk Gently, holistyczny detektyw*, więc poszedłem obejrzeć. To strasznie skomplikowana fabuła... co po części wynika z tego, że trzeba ukryć, iż jest raczej niespójna... Oglądanie tego na scenie było zabawne, bowiem nagle znów zacząłem się nad sprawą zastanawiać i pomyślałem: „Hm, nieźle wszystko zrobili, ale

tak naprawdę powinni byli zrobić to, a z tamtego zrezygnować”. Coś takiego powoduje, że kulka w głowie znów zaczyna się toczyć. Ciekawe i zaskakujące było dla mnie też, że choć sam byłem dość krytycznie nastawiony do przedstawienia, widownia świetnie się bawiła. Sytuacja była osobliwa. Nagle pomyślałem sobie: „Chętnie zobaczyłbym to jako film, widzę bowiem teraz, przemyślawszy wszystko w nowym kontekście, co za film by z tego mógł wyjść, a mógłby być naprawdę świetny”. Może więc kiedy film *Autostopem* dojdzie do fazy, w której będę mógł skierować uwagę na coś innego, zabiorę się za kolejny. Poza tym mam nadzieję, że wejście filmu do produkcji otworzy więcej drzwi związanych z robieniem filmów. Uwielbiałbym robić filmy, mówi to jednak z niewinnością człowiek, który nigdy żadnego nie zrobił.

Wywiad przeprowadzony przez

Keitha Phippsa, 1998

\*

*14 kwietnia 1999*

*David Vogel Walt Disney Pictures*

*Drogi Davidzie!*

*Próbowałem kilka razy złapać Cię przez telefon. Pewnie pomoże, jeżeli wyjaśnią, dlaczego dzwoniłem: byłem przez kilka dni w Stanach i pomyślałem sobie, że może by coś dało, gdybym wpadł do L.A., abyśmy mogli się spotkać. Nie miałem od Ciebie żadnej wiadomości, siedzę więc w samolocie do Anglii, gdzie piszę te słowa.*

*Wygląda na to, że dotarliśmy do punktu, w którym problemy zaczynają przesłaniać możliwości. Nie wiem, czy się w tym zakresie nie mylę, ale panuje u mnie stale głucha cisza, co jest kiepskim źródłem informacji.*

*Mam wrażenie, że możemy albo wejść w tradycyjny stereotyp – ty będziesz dyrektorem studia, który musi się głowić nad milionem prawdziwych problemów, a ja pisarzem martwiącym się jedynie doprowadzeniem do realizacji swojej wizji bez względu na koszty i konsekwencje – albo możemy uznać, że mamy ten sam cel, czyli zrobienie najbardziej udanego filmu, jaki się da. Fakt,*

że być może mamy odmienne spojrzenia, jak do tego najlepiej doprowadzić, powinien być życzliwym źródłem dyskusji i iteracyjnego rozwiązywania problemów. Nie dociera do mnie, że dobrym tego zastępstwem jest jednostronny ruch pisemnych „notatek”, przeplatany okresami długiego, okropnego milczenia.

Masz wielkie doświadczenie w sprawianiu, aby doszło do powstania filmu długometrażowego. Ja mam wielkie doświadczenie w sprawianiu, aby „Autostopem przez Galaktykę „ powstało we wszelkich środkach przekazu poza filmowym. Na pewno musi być dla Ciebie frustrujące, że najwyraźniej nie rozumiem skali problemów, z którymi musisz sobie radzić – tak samo, jak ja czuję się sfrustrowany tym, że jak na razie nie miałem z Disneyem żadnej kreatywnej rozmowy na temat tego projektu. Chciałbym coś zasugerować: może się spotkamy i pogadamy?

Mógłbym być w L.A. w następny poniedziałek (19.04.) albo na początku następnego tygodnia. Prosiłbym Disneya o poniesienie kosztów tej dodatkowej podróży. Załączyłem listę telefonów, pod którymi można mnie łapać. Jeżeli nie uda Ci się do mnie dodzwonić, będę wiedział, że bardzo, bardzo się o to starasz.

Pozdrawiam

Douglas Adams

E-mail: [dna@tdv.com](mailto:dna@tdv.com)

Asystentka (Sophie Astin) (i poczta głosowa): 555 171 555 1700 (między 10:00 a 18:00 brytyjskiego czasu letniego)

Faks biurowy: 555 171 555 1701 Dom (bez poczty głosowej): 555 171 555 3632

Faks domowy: 555 171 555 5601

Telefon komórkowy WB (i poczta głosowa): 555 410 555 098

Telefon komórkowy USA (i poczta głosowa): (310) 555 555 6769

Drugi dom (Francja): 555 4 90 72 39 23

Jane Belson (żona) (biuro): 555 171 555 4715

Agent filmowy (USA) Bob Bookman: (310) 555 4545

Agent literacki (WB) Ed Victor (biuro): 555 171 555 4100 (brytyjskie godziny urzędowania)

Agent literacki (WB) Ed Victor (biuro): 555 171 555 4112

*Agent literacki (WB) Ed Victor (dom): 555 171 555 3030*

*Producent: Roger Birnbaum: (818) 555 2637*

*Reżyser: Jay Roach (Everyman Pictures): (323) 555 3585*

*Jay Roach (dom): 555 5903*

*Shauna Robertson (Everyman Pictures): (323) 555 3585*

*Shauna Robertson, dom: (310) 555 7352*

*Shauna Robertson, telefon komórkowy: (310) 555 8357*

*Robbie Stamp, producent wykonawczy (WB) (biuro): 555 171 555 1707*

*Robbie Stamp, producent wykonawczy (WB) (dom): 555 181 555 1672*

*Robbie Stamp, producent wykonawczy (WB) (telefon komórkowy): 555 7885 55 8397*

*Janet Thift (matka) (WB): 555 19555 62527*

*Jane Garnier (siostra) (WB) (praca): 555 1300 555 684*

*Jane Garnier (siostra) (WB) (dom): 555 1305 555 034*

*Jakki Kelloway (niania córki) (WB): 555 171 555 5602*

*Angus Deayton & Lise Meyer (sąsiedzi, którzy mogą przekazać wiadomość) (WB): praca: 555 (145) 555 0464, dom: 555 (171) 555 0855*

*Restauracje, w których mogę być uchwytny:*

*The Ivy (WB): 555 171 555 4751*

*The Groucho Club (WB): 555 171 555 4685*

*Granita (WB): 555 171 555 3222*

*Sainsbury 's (supermarket, w którym robię zakupy; zawsze mogą mnie wywołać): 555 171 555 1789*

*Forum internetowe [www.douglasadams.com/forum](http://www.douglasadams.com/forum)*

*\* \* \**

[Uwaga od wydawcy: powyższy list osiągnął pożądany efekt. David Vogel zareagował, czego efektem było produktywne spotkanie, które pchnęło do przodu sprawę filmu.]

\*

Ostatni jeździec zniknął w dymie, a tętent podków koni ucichł w szarej dali.

Dym wisiał nad ziemią. Przesuwał się powoli przez tarczę zachodzącego słońca ciężącego na zachodnim niebie jak otwarta rana.

W dzwoniącej ciszy, jaka zapadła po bitwie, z krwawych, posplatanych ze sobą szczątków dolatywały jedynie nieliczne, pojedyncza, bezlitośnie rzadkie krzyki.

Spomiędzy drzew wychynęły przepełnione przerażeniem, przypominające duchy postaci, zatrzymały się z wahaniem, po czym runęły biegiem do przodu – płaczące kobiety szukające mężów, braci, ojców, kochanków, najpierw między umierającymi, a potem wśród zabitych. Źródłem migoczącego światła, które pozwalało cokolwiek dostrzec,; były ognie szalejące w płonącej wiosce, która tego wieczoru stała się oficjalną częścią Mongolskiego Imperium.

### Mongołowie.

Przybyli z dalekich pustkowi Azji Środkowej – dzika siła, na którą świat zupełnie nie był przygotowany. Sunęli jak wściekle machająca na boki kosa – rąbiąc, tnąc, równając z ziemią wszystko, co stało na drodze i nazywając to podbojem.

W krainach, które już czuły przed nimi strach oraz tych, które dopiero go miały poczuć, żadne imię nie wywoływało większego prze – 5 rażenia od imienia ich wodza – Czyngis-chana. Czczony przez żołnierzy jak bóg, największy z azjatyckich wojowników był kimś wyjątkowym, a wyróżniało go zimne światło bijące z szarzielonych oczu, wściekle marszczenie czoła i fakt, że każdemu ze swoich ludzi mógł skopać dupsko. ;;

W nocy wzeszedł księżyc, a w jego świetle z mongolskiego obozu, 4 rozłożonego na pobliskim wzgórzu, cicho wyjechała grupka jeźdźców z pochodniami. Przypadkowy obserwator nie dostrzegłby niczego niezwykłego w jadącym pośrodku mężczyźnie – owiniętym grubą szatą, napiętym, pochylonym na koniu, jakby przygniatał go wielki ciężar – bowiem przypadkowy obserwator dawno by nie żył.

Oddział przejechał kilka kilometrów przez oświetlony światłem księżyca las, starannie trzymając się wydeptanych ścieżek, dotarł do niewielkiej polany, po czym żołnierze ściągnęli koniom cugle i czekali na to, co zrobi przywódca.

Powoli wysunął się do przodu, obserwując grupkę wiejskich chat, skupionych pośrodku polany i bardzo starających się wyglądać na opuszczone.

Z prymitywnych kominów nie unosił się dym, w oknach nie było ani jednego światła, z żadnej chaty nie dolatywał najmniejszy odgłos – z wyjątkiem głosu dziecka, które zrobiło:



– Ciiiiiii...

Przez chwilę z oczu mongolskiego dowódcy zdawał się wypływać dziwny zielony ogień. Jego rzadką, strąkową brodę zniekształciło ponure, śmiertelnie groźne skrzywienie twarzy, które trudno by nazwać uśmiechem. Każdemu, kto byłby na tyle głupi, aby patrzeć, dziwaczny uśmieszek dałby do zrozumienia (na krótko), że mongolski wódz po dniu rąbania ludzi na kawałki niczego bardziej nie lubi od nocnych rozrywek.

Drzwi gwałtownie się otwarły. Do chaty wpadł niczym groźny wichur mongolski wojownik. Dwójka dzieci podbiegła z wrzaskiem do matki, która z szeroko wybałuszonymi oczami kulila się w kącie maleńkiego pomieszczenia. Zawył pies.

Wojownik cisnął trzymaną w rękę pochodnię na jeszcze nie wygasłe palenisko, po czym rzucił na nie psa. Nauczy to go być psem. Odważnie, z błyskiem w oku, wyszedł naprzód ostatni w tej rodzinie mężczyzna – siwy i stary dziadek. Jednym, szybkim jak błysk, ciosem miecza, Mongoł ściał staremu głowę, która spadła z ramion i poturlała się po podłodze, by uderzyć w nogę stołu i zamrzeć przechylona na bok. Ciało starca przez chwilę stało naprężone, nie wiedząc, co myśleć. Kiedy zaczęło się powoli, majestatycznie przewracać do przodu, chan podszedł i szorstko odepchnął je na bok. Rozejrzał się po promieniującej szczęściem rodzinnej scenerii i obdarzył ją ponurym niby – uśmiechem. Potem podszedł do dużego krzesła i usiadł na nim, badając, czy jest wygodne. Kiedy sprawdzanie go zadowoliło, ciężko westchnął i oparł się, patrząc na ogień, na którym wesoło smażył się pies.

Wojownik chwycił przerażoną kobietę, brutalnie odepchnął dzieci na bok i roztrzęsioną ze strachu zaprowadził przed oblicze potężnego chana.

Kobieta była młoda i ładna, miała długie, poczochrane włosy. Piersi ciężko jej się unosiły, a twarz skamieniała przerażeniem. Chan spojrział na nią powoli, pogardliwie.

– Czy... ona... wie... – powiedział powoli, niskim, głuchym głosem – kim... jestem?

– Jesteś... jesteś, Panie, potężnym chanem! – zawyła kobieta.

– Czy... wie... – wysyczał – czego od niej... chcę?

– Zrobię... zzz...robię dla ciebie www...szystko, chanie – wyjąkała kobieta. – Ale oszczędź moje dzieci...

– Więc zaczynaj – cicho powiedział chan. Na chwilę spuścił wzrok, po czym wbił nic nie widzące spojrzenie w ogień.

Nerwowo, drżąc ze strachu, kobieta podeszła i niepewnie położyła mu bladą dłoń na ramieniu.

Stojący przy chanie żołnierz potężnym uderzeniem odtrącił jej dłoń.:

– Nie to! – warknął.

Kobietą nerwowo szarpnęło i zrobiła krok do tyłu. Pojęła, że musi się bardziej postarać. Cały czas drżąc, uklękła na podłodze i zaczęła delikatnie rozsuwać chanowi kolana.

– Przestań! – ryknął żołnierz i brutalnie pchnął ją do tyłu. W oczach kobiety, która natychmiast skuliła się na podłodze, do przerażenia dołączyło zdziwienie. – Szybko! – rzucił żołnierz. – Spytaj go, jaki miał dzień.

– Ccco? – wyjęczała kobieta. – Nie... nie rozumiem, co mam...

Żołnierz złapał kobietę, zacisnął wokół jej szyi coś na kształt pół-nelsona i czubek miecza przytknął do gardła nieszczęsnej. !

– Powiedziałem, że... masz go... zapytać... – wysyczał – jaki miał dzień! – Kobieta jęknęła z bólu. Nic nie rozumiała. Miecz znów dźgnął ją w szyję. – Pytaj!

– Ee... jaki... miałeś... eee... jaki miałeś... – powiedziała z wahaniem, wydając z siebie wymęczony skrzek – dzień? ?

– „Mój drogi”! – wysyczał żołnierz. – Powiedz: „mój drogi”!

Nacisk miecza sprawiał, że z przerażenia kobiecie omal nie wypadły oczy.

– Jaki miałeś dzień... mój drogi? – spytała płaczkliwie. Chan, jakby był bardzo zmęczony, na chwilę podniósł głowę.

– Och, jak zwykle – odparł. – Pełen przemocy.

Ponownie wbił wzrok w ogień.

– Dobrze – powiedział do kobiety żołnierz. – Dalej! – Kobieta odrobinę się rozluźniła. Wyglądało na to, że zdała swego rodzaju egzamin. Być może od tej chwili reszta pójdzie gładko i jakoś sobie poradzi. Zrobiła nerwowo krok naprzód i dotknęła chana, aby go pogłaskać. Żołnierz z całą gwałtownością odepchnął ją, aż poleciała na ścianę, potem ją kopnął, a na koniec poderwał na nogi. – Powiedziałem, że masz tego nie robić! – wyszczał.

Przyciągnął jej głowę tuż do siebie, chuchnął odorem taniego wina i spleśniałego od tygodnia koziego tłuszczu, co niezbyt ją rozweseliło, przypomniało jej bowiem dopiero co zabitego męża, który robił to samo co noc. Chlipnęła.

– Bądź dla niego miła! – warknął i splunął na nią jednym z niepotrzebnych zębów. – Spytaj go, co w pracy! – Wbiła w swego oprawcę zdumiony wzrok. Koszmar trwał. Na jej policzku wylądował piekący cios. – Po prostu spytaj... – powoził warczeniem żołnierz. – „Co w pracy, mój drogi?”. – Pchnął ją w kierunku chana.

– Co... co w pracy... mój drogi? – zapiszczała mizernie.

Żołnierz potrząsnął nią.

– Włóż w to nieco uczucia! – ryknął.

Kobieta znów chlipnęła.

– Co... co w pracy... mój drogi? – powtórzyła nie mniej mizernie, tym razem jednak zakończyła żalonym wydęciem warg.

Potężny chan westchnął.

– Nie najgorzej... – odparł tonem świadczącym, że świat go męczy. – Poszaleliśmy trochę po Mandzurii i rozlaliśmy tam masę krwi. To było rano, po południu głównie grabiliśmy, choć jakieś wpół do czwartej doszło do krwawej jatki. A ty jaki miałaś dzień?

Powiedziawszy to, wyciągnął zza poły kożucha zwój map i zaczął je oglądać w świetle dopalającego się psa.

Mongolski żołnierz wyjął z paleniska rozżarzony pogrzebacz i pomachał nim kobiecie przed nosem.

– Powiedz mu! Szybko! – Odskoczyła z piskiem. – Powiedz mu!

– Eee... zabito mi męża i ojca!

– Naprawdę, moja droga? – powiedział nieobecny duchem chan, nie podnosząc wzroku znad map.

– Spalono mi psa!

– Czyżby?

– No tak... chodzi o to, że... eee... – Żołnierz znów pomachał pogrzebaczem. – I trochę mnie torturowano! – zawyła kobieta.

Chan spojrzał na nią.

– Słucham? – powiedział, jakby nie dosłyszał. – Przepraszam moja droga, ale studiowałem te mapy i...

– Świetnie – powiedział żołnierz. – Zrządź!

– Co?

– Powiedz: „Posłuchaj, Czyngis, odłóż to, kiedy do ciebie mówię,! Siedzę w domu, cały dzień spędzam nad rozpalonym...”.

– Zabije mnie!

– Ja cię zabiję, jeśli tego nie powiesz.

– Nie wytrzymam tego! – zawyła kobieta i padła na podłogę: Chwyciła potężnego chana za nogi. – Nie dręcz mnie... – wyjęczała. – Jeżeli chcesz mnie zgwałcić, to gwałć, ale nie...

Wielki chan wstał i wbił wzrok w kobietę.

– Nie... – mruknął ostro. – Tylko byś się bawiła – jesteś taka sama jak wszystkie inne.

Wypadł z chaty i odjechał w noc – tak rozwścieczony, że o mało nie zapomniał spalić wioski.

\* \* \*

Po kolejnym szczególnie brutalnym dniu ostatni z jeźdźców zniknął w kłębach dymu, a tętent podków koni ucichł w szarej dali.

Dym wisiał nad ziemią. Przesuwał się powoli przez tarczę zachodzącego słońca ciężącego na zachodnim niebie jak otwarta rana.

W dzwoniącej ciszy, jaka zapadła po bitwie, z krwawych, posplatanych ze sobą szczątków dolatywały jedynie nieliczne, pojedyncze, bezlitośnie rzadkie krzyki.

Spomiędzy drzew wychynęły przepelnione przerażeniem, przypominające duchy postacie, zatrzymały się z wahaniem, po czym runęły biegiem do przodu – płaczące kobiety, szukające mężów, braci, ojców, kochanków, najpierw między umierającymi, a potem wśród zabitych.

Daleko, za zasłoną dymu, do rozległego obozu dotarły tysiące jeźdźców, wojsko zsiadło, robiąc mnóstwo klekotu, wrzeszcząc i wymieniając się zadawanymi grzbietem ręki razami, po czym natychmiast zabrało się za tanie wino i spleśniały kozi tłuszcz.

Przed wspaniale udrapowanym, królewskim namiotem, zsiadł z konia pokryty krwią i zmęczony bitwą chan.

– Co to była za bitwa? – spytał syna Ögödeja, który przyjechał wraz z nim. Ögödej był młodym i ambitnym generałem, bardzo interesującym się wszelkiego rodzaju przemocą. Miał nadzieję poprawić rekord Znanego Świata w ilości wieśniaków nabitych na miecz za jednym pchnięciem i zamierzał w nocy trochę poćwiczyć.

Podszedł wolnym krokiem do ojca.

– To była bitwa o Samarkandę, chanie! – oznajmił i w straszliwie efektowny sposób potrząsnął mieczem.

Chan splótł ramiona, oparł się o konia i zaczął oglądać skutki okropnej jatki, jaką zrobili w dolinie.

– Nie jestem już w stanie ich od siebie odróżnić – stwierdził z westchnieniem. – Zwyciężyliśmy?

– O tak! Tak! Tak! – wyrzucił z siebie Ögödej z dziką dumą. – To było ogromne zwycięstwo! W samej rzeczy! – dodał i ponownie potrząsnął mieczem. Z podnieceniem wyszarpnął go z pochwy i zrobił kilka ćwiczebnych pchnięć. „O tak” – pomyślał. „Dziś w nocy dojdzie do sześciu!”.

Chan skrzywił się w gęstniejącym mroku.

– O rany... – westchnął. – Wiesz, po dwudziestu latach tych dwugodzinnych bitew zaczynam mieć wrażenie, że w życiu musi istnieć coś jeszcze. – Odwrócił się, podniósł przód porwanej, zakrwawionej, haftowanej złotem szaty i popatrzył na owłosione brzuszko. – No tak.. .popatrz na to. Nie sądzisz, że tyję?

Ögödej wbił wzrok w brzuch wielkiego chana z mieszanką zachwytu i niecierpliwości.

– Eee... nie – odparł. – Wcale nie. – Pstryknięciem palców kazał służącemu podać mapy, przebił go mieczem, a kiedy służący padał, wyjął mu z pozbawionych czucia, ale nie całkiem zaskoczonych palców plany wielkiej kampanii. – Teraz, chanie – powiedział, rozkładając mapy na plecach kolejnego służącego, który specjalnie w tym celu się pochylił – musimy podążać na Persję, a potem powinniśmy się przygotować do opanowania całego świata!

– No nie, popatrz na to, pomacaj... – powiedział chan, ściskając między palcami fałd skóry. – Nie sądzisz...

– Chanie! – natarczywie przerwał Ögödej. – Jesteśmy u wrót podboju świata! – Dźgnął mapę nożem, paskudnie nadcinając znajdującemu się pod nią służącemu lewe płuco.

– Kiedy? – spytał chan, marszcząc czoło.

Ögödej w rozpaczy wyrzucił w górę rękę.

– Jutro! Zaczynamy jutro!

– Eee... jutro może być pewien problem – odparł chan. Wydał policzki i chwilę się zastanawiał. – W przyszłym tygodniu mam w Bucharze wykład o metodach prowadzenia rzezi i pomyślałem sobie, że wykorzystam jutrzejszy dzień na przygotowanie.

Ögödej wbił w ojca zdumiony wzrok. Podpierający mapy służący powoli opadł mu na nogę.

– Nie możesz tego przenieść?

– No wiesz, sporo mi zapłacili i mam nieco związane ręce.

– To co, w środę?

Chan wyjął z szaty zwój i przejrzawszy go, powoli pokręcił głową.

– Nie wiem, czy będę mógł w środę...

– Czwartek?

– Nie, czwartek odpada. W czwartek przychodzi do nas na kolację Ögödej z żoną i w zasadzie obiecałem...

– Ale Ögödej to ja!

– A, więc tu jesteś... Więc też nie będziesz miał w czwartek czasu.

Milczenie Ögödeja zakłócało było jedynie odgłosami, wydawanymi przez tysiące zarośniętych Mongołów – wrzeszczących, bijących się ze sobą i coraz bardziej wkurzonych.

– Posłuchaj mnie... – powiedział cicho. – Byłbyś gotów podbić świat... w piątek?

Chan westchnął.

– W piątki rano przychodzi sekretarka.

– Przychodzi.

– Trzeba odpowiedzieć na tyle listów... nie uwierzyłbyś, czego ludzie ode mnie wymagają. – Zmarkotniał, jakby oklapł. – Czy mógłbym podpisać to, pojawić się tam? Czy mógłbym dokonać sponsorowanej masakry na cele dobroczynne? Zazwyczaj trwa to przynajmniej do trzeciej, a miałem nadzieję wyjechać wcześniej na długi weekend. Ale w poniedziałek... w poniedziałek... – Znów zajrzał do zwoju. – Obawiam się, że poniedziałek odpada, odpoczynek i powrót do zdrowia, przy tym będę się upierał. Sprawdźmy, co z wtorkiem.

Dziwaczny przenikliwy odgłos, który dolatywał z oddali, brzmiał jak zwykły codzienny szloch kobiet i dzieci nad zwłokami zaszlachtowanych mężczyzn i chan nie zwracał na niego uwagi. Na horyzoncie skakało światełko.

– Wtorek... rano jestem wolny, nie, sekundę, właściwie to się umówiłem z tym niezwykle ciekawym gościem, który wie naprawdę wszystko o tym, jak rozumieć różne rzeczy, a jestem w tym strasznie mizerny. Wielka szkoda, bo to mój jedyny wolny dzień w przyszłym tygodniu. Nad następnym wtorkiem moglibyśmy się konkretnie zastanowić, ale... czy to nie dzień, w którym... – Przenikliwy odgłos cały czas trwał, tak naprawdę narastał, wieczorny wiatr niósł go jednak tak słabo, że nie przebił się jeszcze do zmysłów chana. Zbliżające się światełko lśniło tak blado, że było prawie nie do odróżnienia od światła księżyca, który tej nocy świecił szczególnie jasno. – ...więc mniej lub bardziej zamykałoby to marzec – stwierdził chan. – Niestety.

– Kwiecień? – spytał Ögödej słabo. Mimochodem wyciął przechodzącemu wieśniakowi wątrobę, ale zwykła w takich razach satysfakcja gdzieś odeszła. Apatycznie odrzucił ochłap w ciemność. Skoczył nań pies, który w ciągu kilku ostatnich lat niezwykle się roztył, ciągle bowiem przebywał w pobliżu Ögödeja. Czasy nie były przyjemne.

– Nie, kwiecień odpada – stwierdził chan. – W kwietniu jadę do Afryki, od dawna już to sobie obiecuję.

Zbliżające się przez nocne niebo światełko wreszcie ściągnęło uwagę znajdujących się w pobliżu dwóch wysokiej rangi Mongołów, którzy cudownym sposobem przestali się okładać i dźgać, co popadnie. Podeszli.

– ojciec... – powiedział Ögödej, ciągle jeszcze nieświadom, co się szykuje – moglibyśmy ustalić, że w takim razie podbijemy świat w maju?

Potężny chan kilka razy cmoknął.

– Hm, nie chciałbym zobowiązywać się z tak dużym wyprzedzeniem. Jeżeli życie jest z góry zaplanowane, człowiek czuje się jak spętany. Na boga, powinienem więcej czytać, ale skąd mam wziąć na i czas? No, ale... – Westchnął i zaczął pisać w zwoju. „Maj... ewentualne podbicie świata”. – Wpisałem ołówkiem, więc nie traktuj tego jako ostatecznej decyzji – przypomnij mi jednak o sprawie i zobaczmy, jak wyjdzie. Hej, a to co?

Powoli, z gracją wchodzącej do wanny pięknej kobiety, na ziemi delikatnie osiadł długi, smukły, srebrny pojazd. Wypłynęło z niego łagodne światło. Z otwartego luku wyszła wysoka, elegancka istota o przedziwnie delikatnej, szarzielonej karnacji. Podeszła powoli.

Na jej drodze leżała ciemna postać wieśniaka, który popłakiwał pod nosem od chwili, gdy ujrzał, że pies Ögödeja zjada jego wątrobę, zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że nie ma sposobu na jej odzyskanie i zastanawiał się, jak poradzi sobie teraz jego biedna żona. Wybrał tę chwilę na ostateczne przejście do lepszego świata.

Wysoki Obcy przeszedł nad nim z niesmakiem i – choć, aby stwierdzić, trzeba by bardzo blisko przyjrzeć się jego twarzy – z niejaką zazdrością. Krótko skinął głową każdemu z zebranych wokół mongolskich przywódców i spod ciężkiej metalowej tuniki wyciągnął niewielki notatnik.

– Dobry wieczór – powiedział słabym, uniżonym głosem. – Nazywam się Wowbagger, zwany jestem także Nieskończenie Przedłużonym, nie będę jednak kłopotał panów wyjaśnianiem, dlaczego. Pozdrawiam.

– Odwrócił się do potężnego chana stojącego z wywalonymi na wierzch gałami. – Jesteś Czyngischan? Czyngis Temüdzin chan, syn Jesugeja?

– Zwój, który chan trzymał, wyslizgnął mu się z palców i spadł na ziemię. Błada luminescencja ze statku Wowbaggera otaczała jego przepełnione zdumieniem, ogłupieniem i niepokojem żółte rysy. Jakby we śnie, wielki imperator zrobił potwierdzający krok do przodu. – Mogę sprawdzić, czy pisownia jest prawidłowa? – spytał Obcy i podsunął mu notes.

– Naprawdę bardzo bym nie chciał w tej fazie się pomylić i zaczynać wszystko od nowa. – Chan resztką sił skinął głową. – Wszystko się zgadza? – spytał Obcy. Przemieniony do niepoznaki imperator znów pochylił głowę. Wytrzeszcz oczu nie osłabł mu na sekundę. – To dobrze – uznał

Wowbagger i postawił w notesie ptaszka. Podniósł wzrok. – Czyngis-chanie, jesteś onanistą, jesteś pijaczną, jesteś drobnym kawałkiem gówna. Dziękuję.

Powiedziawszy to, wrócił do swojego statku i odleciał.

Zapadła paskudna cisza.

Kilka miesięcy później Czyngis-chan wpadł do Europy – tak rozwścieczony, że o mało nie zapomniał spalić Azji.

Oparte w części na oryginalnym skeczu Grahama Chapmana

i napisane przez Grahama Chapmana oraz Douglasa Adamsa

do show telewizyjnego Grahama Chapmana *Out of the Trees*, 1975.

Z: *The Utterly Utterly Merry Comic*,

Relief Christmas Book, 1986

\*



Nad powierzchnią zadziwiająco pięknego oceanu łagodnie unosił się wielki latający statek. Od wczesnego przedpołudnia zataczał szerokie zakola i w końcu ściągnął na siebie uwagę wyspiarzy – pokojowo nastawionych, uwielbiających owoce morza istot, które zebrały się na plaży i zezowały w oślepiające słońce, usiłując zobaczyć, co też im lata nad głowami.

Każda co inteligentniejsza wykształcona osoba, która objała się tu i tam oraz to i owo widziała, zwróciłaby zapewne uwagę na fakt, że statek bardzo przypomina szafę na akta – wielką, dopiero co okradzioną szafę na akta: przewróconą, z powysuwanymi szufladami, szybującą w powietrzu.

Wyspiarze, mający doświadczenie w nieco innych sprawach, byli zaskoczeni tym, iż rzecz unosząca się w górze wcale nie przypomina homara.

Szczebiotali podnieceni o całkowitym braku szczypic, prostych i sztywnych plecach oraz fackie, że latające coś najwyraźniej nie umie stać na twardym gruncie. Szczególnie zabawne wydało im się to ostatnie. Podskakiwali więc w miejscu raz za razem, by zademonstrować głupiemu tworowi, że stanie na ziemi to najłatwiejsza rzecz na świecie:

Wkrótce przedstawienie zaczęło ich nudzić. Stało się absolut jasne, iż twór nie jest homarem, a że ich świat został hojnie obdarzony homarami (dobre pół tuzina właśnie zwawo maszerowało ku nim plażą), zatem nie widzieli powodu, by dalej marnować czas i postanowili udać się czym prędzej na późny homarowy obiad.

W tym momencie statek nagle zawisł w powietrzu, ustawił się w pionie i z wielkim pluskiem, wzbijając potężną fontannę, zanurkował do oceanu. Wyspiarze rzucili się z krzykiem do lasu, poganiani strugami wody.

Kiedy kilka minut później wyszli rozdygotani spomiędzy drzew, widać było jedynie rozchodzące się łagodnie kręgi na wodzie i nieliczne bulgoczące bąbelki.

Między jednym a drugim kęsem najlepszego w zachodniej części Galaktyki homara kiwali do siebie nawzajem głowami, mówiąc: „Jakie to dziwne, jakie to bardzo dziwne, że coś takiego zdarza się drugi raz w roku”.

Nie będący homarem statek zanurzył się na głębokość sześćdziesięciu metrów i zamarł w bezruchu, otoczony soczystym turkusem koszących się nad nim potężnych mas wody. Daleko w górze, gdzie woda była czarownie przezroczysta, rozpięchła się na boki chmura błyszczących ryb. Poniżej, dokąd światło dochodziło z trudnością, barwa wody przechodziła w ciemny i nieokiełznany granat.

Tu, na głębokość sześćdziesięciu metrów, docierały jedynie resztki słonecznych promieni.

Leniwie przepłynął obok wielki morski ssak o jedwabistej skórze, zlustrował statek z odrobiną zainteresowania – jakby po trosze spodziewał się coś podobnego ujrzeć – i odpłynął w górę ku migoczącym jaśniejszym plamkom.

Minutę lub dwie statek wisiał w bezruchu, analizując wskazania; przyrządów, potem opadł kolejne trzydzieści metrów. Na tej głębokości panował niezwykle dostojny mrok. Po chwili wewnętrzne światła statku zgasły i przez sekundę lub dwie, nim gwałtownie wystrzeliły promienie skierowanych na zewnątrz reflektorów, jedyną jaśniejszą plamą był niewielki (słabo oświetlony), różowy emblemat z napisem: SPÓŁKA RATOWNICTWA I ZAPRAWDĘ PORONIONYCH POMYSŁÓW BEEBLEBROXA.

Potężne snopy światła pomknęły w dół, płosząc olbrzymią ławicę srebrnych ryb, które w niemym przerażeniu rozprysnęły się na wszystkie strony.

W mrocznej centrali dowodzenia, opasującej szerokim łukiem tępy przód pojazdu, cztery głowy niemal się stuknęły nad monitorem komputera, analizującego bardzo słabe i zanikające sygnały, dochodzące z leżącego w otchłani dna.

– Mamy go – odezwał się właściciel jednej z głów.

– Na pewno? – spytał właściciel drugiej głowy.

– Na tysiąc procent – odparł właściciel pierwszej.

– Jesteście pewni na tysiąc procent, że rozbity statek spoczywający na dnie tego oceanu, to ten sam statek, o którym twierdziliście, iż jesteście na tysiąc procent pewni, że na tysiąc procent się nigdy nie rozbije? – spytał właściciel obu pozostałych głów. – Momencik... – Podniósł dwie ze swych rąk w obronnym geście. – Tylko pytam.

Obaj urzędnicy Wydziału Ubezpieczeń i Reasekuracji zareagowali na to wrogimi spojrzeniami, istota z dziwną – czy raczej należałoby powiedzieć – parzystą liczbą głów nie zwróciła jednak na to uwagi. Rozwaliła się w fotelu kapitańskim, otworzyła dwie puszki piwa – jedną dla siebie, drugą też dla siebie – położyła nogi na pulpicie sterowniczym i rzuciła przez iluminator do przepływającej ryby:

– Cześć, mała!

– Panie Beeblebrox... – zaczął cicho urzędnik, niższy zarówno wzrostem, jak i umiejętnościami w zakresie reasekuracji.

– Tak?! – wrzasnął Zaphod, waląc puszką, która nieoczekiwanie okazała się pusta, w któryś z wrażliwszych instrumentów pokładowych. – Gotowi do nurkowania? No to jazda!

– Panie Beeblebrox, wyjaśnijmy sobie na początek jedną sprawę...

– Jasne, że wyjaśnijmy – odparł Zaphod. – Mam na początek propozycję. Może powiecie mi, co jest naprawdę na pokładzie tamtego statku.

– Już mówiliśmy – powiedział urzędnik. – Produkty uboczne. Głowy Zaphoda spojrzały po sobie ze znużeniem.

– Produkty uboczne... Produkty uboczne czego?

– Procesów produkcyjnych.

– Jakich?

– Całkowicie bezpiecznych procesów produkcyjnych.

– Święty Zarkwonie! – wyrzuciły z siebie chórem obie głowy Zaphoda. – Tak bezpiecznych, że musieliście zbudować zarkwolerną fortecę, by przewieźć ich produkty uboczne do najbliższej czarnej dziury i je tam wrzucać. Tyle tylko, że dostały się tutaj, ponieważ pilot zboczył nieco z drogi – zgadza się? – bo chciał kupić trochę homarów! W porządku, ten facet to zupełny luzak, ale... cóż, przyznaję otwarcie, każdy ma prawo do rozłupania kilku skorup, potem do wielkiego obiadu, następnie do zbliżającego się do masy krytycznej stolca, ale to... to... to przerasta wszelkie wyobrażenia!!

– Zamknij się! – wrzasnęła prawa głowa na lewą. – Nosem nam to wychodzi!

Na szczęście dotyk drugiej puszki z piwem nieco uspokoił Zaphoda.

– Słuchajcie, chłopaki – zaczął po chwili ciszy i kontemplacji!

Obaj urzędnicy nie wypowiedzieli nawet słowa, nie czuli się bowiem na siłach, by brać udział w konwersacji na takim poziomie abstrakcji.

– Chciałbym jedynie wiedzieć, w co mnie pakujecie – zażądał Zaphod, dźgając palcem ekran komputera, na którym pojawiały się i znikwały strumienie danych. Nic mu nie mówiły, ale nie podobał mu się sam ich widok – zawierały mnóstwo długich liczb i pokrętnych symboli! – Statek się rozpada, prawda?! – wrzasnął. – Znajduje się na nim pełno epsilonicznieaktywnych prętów czy czegoś podobnego, co może; skazać ten sektor na biliony lat, i właśnie się rozpada! Taka jest prawda? Czegoś takiego idziemy szukać? Wyjdę z wraku z jeszcze większą ilością głów?

– Niemożliwe, by statek był wrakiem, panie Beeblebrox – zapewnił urzędnik. – Ma gwarancję pełnego bezpieczeństwa. Nie ma możliwości, by się rozpadł.

– W takim razie dlaczego tak wam zależy, by go obejrzyć?

– Lubimy rzucać okiem na w pełni bezpieczne rzeczy.

– Juhhhuuu!

– Panie Beeblebrox – spokojnie mówił urzędnik – czy mogę przypomnieć, że ma pan do wykonania robotę?

– Tjaaa, ale może nagle poczułem, iż nie zależy mi aż tak bardzo, by rwać się do jej wykonania.

Naprawdę uważacie, że jestem całkowicie pozbawiony tych moralnych jakimtam... no, jak się nazywają te moralne dyngsy?

– Skrupuły?

– Skrupuły, dziękuję. Pozbawiony skrupułów?

Obaj urzędnicy spokojnie czekali. Dyskretnie odkaszlnęli, by pomóc mijać czasowi. Zaphod westchnął w stylu: „JDo czego to doszło na tym świecie”, by rozgrzeszyć się z wszelkiej winy i obrócił fotel.

– Statek! – zawołał.

– Hę? – odpowiedział statek.

– Rób to, co ja bym zrobił.

Statek przez kilka milisekund analizował rozkaz, dwa razy sprawdził szczelność swych wzmacnianych luków i iluminatorów i powoli, acz nieubłaganie, podążając za oślepiającym światłem reflektorów, zaczął opadać.

Sto pięćdziesiąt metrów.

Trzysta.

Sześćset metrów.

Tu, gdzie ciśnienie wynosi prawie siedemdziesiąt atmosfer, w przerażających głębiach, do których nie dociera najmniejszy promień światła, natura ukrywa popełnione przez siebie w amoku prototypy. W krąg światła wpadły dwa półmetrowe koszmory, ziewnęły i zniknęły w czerni.

Siedemset pięćdziesiąt metrów.

Na granicy oświetlonej przestrzeni przemykały, machając ślepiami na szypułkach, grzeszne tajemnice.

Stopniowo na ekranach komputerów zarysowywały się coraz wyraźniej dalekie kontury dna, wkrótce też odciął się od nich nie pasujący do otoczenia kształt. Przechylony obiekt przypominał gigantyczny statek – fortecę. Z jednego końca był cylindryczny, w połowie długości rozszerzał się w obłożony płytkami ultrawzmacnianego tworzywa stożek. To właśnie tam znajdowały się rewolucyjnej konstrukcji ładownie i budowniczoje pojazdu uważali, że jeszcze nigdy nie stworzono czegoś tak bezpiecznego i niedostępnego. Przed wystrzeleniem statku w kosmos sekcję tę bombardowano, poddawano próbom zderzeniowym, ostrzeliwano z miotaczy i wystawiano na działanie wszelkich możliwych agresywnych czynników, jakie wedle wiedzy konstruktorów mogła wytrzymać – dla zademonstrowania, że jest w stanie wytrzymać ich działanie.

Kiedy stało się jasne, że właśnie ta część statku pękła na pół, cisza w kokpicie poważnie się zagęściła.

– W rzeczywistości statek jest w pełni bezpieczny – odezwał się jeden z urzędników. – Został tak zbudowany, że nawet jeśli popęka, ładownie pozostaną nienaruszone.

Tysiąc sto sześćdziesiąt pięć metrów.

Z luku statku ratowniczego wyszły powoli cztery wysokociśnienioodporne superkombinezony i zaczęły brnąć przez ścianę światła w kierunku monstrualnego kształtu, mającego ciemno w jeszcze ciemniejszej wodzie. Kombinezony poruszały się z niezdatną gracją, a choć przyciskane były milionami ton, sprawiały wrażenie nieważkich.

Zaphod wbił wzrok prawej głowy w czarną nieskończoność w górze i jego umysł wydał z siebie niemy okrzyk przerażenia. Spojrzał w lewo i z ulgą stwierdził, że druga głowa zajęta jest śledzeniem odbieranej na ekranie wewnątrz hełmu transmisji z meczu brokiańskiego ultrakrykieta i nie zwraca uwagi na to, co dzieje się wokół. Nieco z tyłu, po lewej, szli urzędnicy Wydziału Ubezpieczeń i Reasekuracji, nieco z przodu i z prawej maszerował pusty kombinezon, niosąc sprzęt i badając drogę.

Dotarli do potężnego pęknięcia w kadłubie przewróconego pancernika międzygwiazdowego o niezwyklej nazwie: „Wytrzyma wszystko bilion lat” i zaświecili do środka szperaczami. Między poszarpanymi i poskręcanyimi resztkami ponadpółmetrowej grubości przegród majaczyły kontury strzaskanych maszyn. Mieszkała tu teraz rodzina olbrzymich przezroczystych węgorzy i najwyraźniej im się tutaj podobało.

Pusty kombinezon szedł przodem wzdłuż gigantycznego kadłuba i sprawdzał śluzy powietrzne. Dopiero luk trzeciej otworzył się bez trudu. Wcisnęli się do środka i przeczekali długie minuty, w czasie których pompy mozolnie walczyły z ogromnym ciśnieniem wody i zastępowały ją mieszanką tlenu oraz odpowiednio dobranych gazów o tak samo ogromnym ciśnieniu. W końcu odsunął się wewnętrzny luk i przybysze zostali wpuszczeni do wypełnionej mrokiem strefy zewnętrznych ładowni pancernika międzygwiazdowego „Wytrzyma wszystko bilion lat”.

Musieli przejść szereg superbezpiecznych tytanowytrzymałych włazów – każdy z nich urzędnicy Wydziału otwierali skomplikowanym zestawem kluczy kwarkowych. Wkrótce zeszli tak daleko w głąb hiperzabezpieczonych stref, że zaczęła zanikać transmisja brokiańskiego ultrakrykieta i Zaphod musiał przełączyć się na odbiór którejś ze stacji nadającej wideoklipy rockowe – nigdzie we wszechświecie nie można przed nimi uciec.

W końcu rozwarły się ostatnie drzwi i wkroczyli do wielkiej sali przypominającej grobową kryptę. Zaphod skierował szperacz na ścianę przed sobą, a wtedy pojawił się na niej obraz przeraźliwie krzyczącej twarzy o wypełnionych szaleństwem oczach. Zaphod wrzasnął, w chwilę później jego ryk przeszedł w zakończony kwintą pisk, po czym opuścił reflektor i ciężko usiadł na podłodze, a dokładniej mówiąc, na leżącym tam w spokoju od pół roku cieple, które zareagowało

gwałtownym wybuchem. Zaphod nie bardzo wiedział, jak się zachować, więc po krótkiej, acz gwałtownej dyskusji z samym sobą postanowił, że najlepszym wyjściem będzie udawać trupa.

Przyszedł do siebie kilka minut później, usiłując przekonać pozostałych członków misji, że nie wie, kim jest, gdzie jest ani jak się tu dostał – nie był jednak wystarczająco wiarygodny. Udał więc, że nagle wróciła mu pamięć, a wywołany tym szok spowodował kolejną utratę przytomności. Kiedy ponownie zamierzał upaść, podtrzymał go pusty kombinezon, który zaczynał mieć tego wszystkiego dość i postanowił wreszcie zorientować się w sytuacji.

Sytuacja zaś przedstawiała się następująco: było ciemno i z wielu względów nieprzyjemnie, przy czym najbardziej rzucające się w oczy ohydztwo stanowiła kolorowa mozaika z fragmentów gwałtownie rozsadzonego nawigatora, poprzyklejanych do podłogi, ścian i sufitu, szczególnie zaś do dolnej części kombinezonu Zaphoda. Sprawiało to tak paskudne wrażenie, że nie będziemy więcej do tego wracać i jedynie nadmienimy, iż na sam widok Zaphod zwymiotował do kombinezonu. Musiał go zdjąć i – oczywiście po stosownych dopasowaniach hełmu – założyć kombinezon dotychczas pusty. Niestety feter zużytego powietrza i widok własnego kombinezonu upačkanego gnijącymi wnętrznościami nawigatora wystarczyły, by zwymiotował także do nowego kombinezonu; ale to już problem, z którym Zaphod i jego nowy kombinezon musieli sami się uporać.

Koniec. Wystarczy. Żadnych obrzydliwości więcej.

Przynajmniej tego typu.

Właściciel przeraźliwie krzyczącej twarzy odrobinę się uspokoił i bełkotał teraz bez ładu i składu – znajdował się nie w ścianie, a w wielkim, wypełnionym żółtym płynem pojemniku, czyli napełnionym gęstą zawiesiną zbiorniku ratunkowym.

– To było szaleństwo – bełkotał. – Kompletnie szaleństwo! Powiedziałem mu, że możemy wpaść po homary w drodze powrotnej,; on oszalał. Opętało go! Byliście kiedyś opętani żądzą homara? Ja nie. Mają za dużo pancerza i gumowatych części, by warto je jeść, w dodatku mięso – co to za smak? Znacznie bardziej wolę przegrzebki, i mu to powiedziałem. Na Zarkwona – dokładnie tak powiedziałem!

Zaphod wpatrywał się w niezwykłą istotę w zbiorniku, machając ramionami jak wiatrak. Była podłączona do wszelkich możliwych systemów utrzymywania życia, jej głos dobiegał z głośników, rozchodził się echem po statku i wracał z odległych korytarzy niby pojękiwania potępieńca.

– I tu właśnie popełniłem błąd! – był szaleniec. – Powtarzałem, że wolę małże, na co odparł, że to dlatego, iż nigdy nie jadłem prawdziwego homara, pochodzącego z miejsca, skąd pochodzą jego przodkowie, czyli stąd, i mi to zaraz udowodni. Twierdził, że to żaden problem, tutejsze homary są wręcz warte osobnej wycieczki, nie ma wiec; co robić rabanu z powodu niewielkiego zboczenia z kursu i przysiągł, że poradzi sobie ze sterowaniem w tutejszej atmosferze, ale to było szaleństwo! Szaleństwo! – wykrzyknął, i przewrócił oczami, jakby słowo to wywołało w nim jakieś skojarzenia. – Oczywiście stracił kontrolę nad statkiem! Nie mogłem uwierzyć, co wyprawiamy, tylko po to, by sprawdzić jakiś drobiazg związany z przecenianymi jako danie homarami – przepraszam, że tyle gadam o homarach, zaraz wezmę się; w garść i spróbuję przestać, ale nie mogę o nich zapomnieć,

odkąd trafiłem do tego zbiornika, i nawet nie wiecie, jak to jest siedzieć miesiącami z tymi samymi gębami, jeść mrożonki i puszki, podczas gdy ktoś gada bez przerwy o homarach, a potem pływać pół roku w zbiorniku i myśleć o homarach. Obiecuję, że zaraz wezmę się w garść i przestanę gadać o homarach! Naprawdę! Homary, homary, homary – dość o homarach! Chyba jestem jedynym, który przeżył. Jedynym, któremu udało się dostać do zbiornika ratunkowego przed uderzeniem w planetę. Wysłałem SOS i zaraz potem walnęliśmy. Niezła katastrofa, co? Totalna katastrofa, a to tylko dlatego, że gość lubił homara. Czy to, co mówię, ma sens? Samemu trudno mi ocenić...

Wbijał w nich błagalnie wzrok, a poziom jego inteligencji zdawał się powoli opadać – niczym liść z drzewa. Zamrugał, a po chwili gapił się już tylko zdziwiony niby zapatrzona w cudaczną rybę małpa. Podrapał palcami wewnętrzną stronę szklanej ścianki zbiornika. Z ust i nosa wyleciała mu chmura drobnych żółtych bąbli, które wpłynęły między splątane włosy, chwilę tam się zatrzymały, a potem uniosły się w górę.

– Święty Zarkwonie... O nieba! – mruknął patetycznie pod nosem. – Zostałem odnaleziony. Jestem uratowany...

– Cóż – dziarsko rzucił jeden z urzędników. – Odnaleziony na pewno. – Podeszedł do konsoli głównego komputera i zaczął przeglądać dane o zniszczeniach statku. – Komory z epsilonicznieaktywnymi prętami są całe – powiedział.

– Niech mnie jasna ciasna... – parsknął Zaphod. – A więc na pokładzie są pręty!

Pręty epsilonicznieaktywnego materiału służyły do uzyskiwania energii w sposób, którego na szczęście już zaprzestano. Kiedy pogoń za nowymi źródłami energii zrobiła się całkiem szalona, pewien młody bystry gość wpadł na pomysł, że miejscem, gdzie nigdy nie wykorzystywano całej energii, była przeszłość. Ponieważ tego typu pomysły powodują zwykle potężny dopływ krwi do mózgu, tej samej nocy odkrył sposoby praktycznej eksploatacji złóż, i w ciągu roku olbrzymie połacie przeszłości zostały poddane rabunkowej eksploatacji i wyjałowione. Ci, którzy upierali się, że nie wolno ingerować w przeszłość, zostali oskarżeni o poddawanie się szczególnie nieekonomicznej formie sentymentalizmu. Przeszłość okazała się tanim, obfitym i czystym źródłem energii; jeżeli ktoś chciał płacić za to, by nie została wyeksploatowana, mógł w każdej chwili utworzyć Byłe Rezerwy Naturalne, jeśli zaś chodzi o twierdzenie, że rabunkowa eksploatacja przeszłości zubaża teraźniejszość, może i coś w tym było, tyle że tak nieistotnego, iż niemierzalnego, a przecież zawsze należy pamiętać o zachowaniu odpowiednich proporcji.

Dopiero kiedy zauważono, że teraźniejszość jest rzeczywiście zubożana i to dlatego, że egoistyczne niszczycielskie łobuzy z dalekiej przyszłości też korzystają z energii swej przeszłości, wszyscy doszli do wniosku, że natychmiast i na zawsze powinny zostać zniszczone co do jednego wszystkie epsilonicznieaktywne pręty oraz tajemnica ich wyrobu. Zapewniano, że celem jest zapewnienie bezpieczeństwa dziadów i wnuków, choć oczywiście, że celem było zapewnienie bezpieczeństwa wnuków własnych dziadów oraz dziadów własnych wnuków. Urzędnik z Wydziału Ubezpieczeń i Reasekuracji wzruszył ramionami.

– Są absolutnie bezpieczne – stwierdził. Popatrzył na Zaphoda i dodał z nietypową dla siebie szczerością: – Na pokładzie znajduje się coś znacznie gorszego. Przynajmniej – postukał w jeden

z ekranów – mam nadzieję, że tu jeszcze jest...

Drugi urzędnik gwałtownie się ku niemu odwrócił.

– Co ty, do diabła, gadasz? – rzucił ostro.

Pierwszy ponownie wzruszył ramionami.

– To i tak bez znaczenia. Będzie mógł gadać, co chce i tak nikt mu nie uwierzy. Przecież dlatego go wybraliśmy, nie? Im bardziej niezwykłą opowie historię, tym bardziej będzie brzmiał jak snujący niestworzone bujdy hipisowaty awanturник. Powtórzy słowo w słowo, to co właśnie mówię i wyjdzie na paranoika. – Obdarzył przemiłym uśmiechem Zaphoda, który właśnie się gotował w splugawionym kombinezonie. – Możesz z nami iść... jeśli sobie życzysz...

– Widzisz? – powiedział urzędnik, sprawdzając ultratytanowe plomby na komorach z epsilonicznieaktywnymi prętami. – Idealnie pewne, absolutnie bezpieczne.

To samo powiedział, gdy mijali komory z bronią chemiczną o tak wielkiej mocy, że zawartość łyżeczki do herbaty mogłaby zarazić planetę.

To samo powiedział, gdy mijali komory z zetaaktywnymi materiałami o tak wielkiej mocy, że zawartość łyżeczki do herbaty mogłaby wysadzić planetę.

To samo powiedział, gdy mijali komory z tetaaktywnymi materiałami o tak wielkiej mocy, że zawartość łyżeczki do herbaty mogłaby napromieniować planetę.

– Co za szczęście, że nie jestem planetą – mruknął pod nosem Zaphod.

– Nie masz się czego obawiać – zapewnił urzędnik – planety to bardzo bezpieczne twory. Pod warunkiem, że... – Zbliżali się do komory, która znajdowała się najbliżej miejsca, gdzie pękł tył pancernika międzygwiazdowego „Wytrzyma wszystko bilion lat”. Korytarz poskręcał się i zdeformował, a podłoga była miejscami spryskana czymś kleistym i lepkiem.

– Hom hum! – wyhumkał urzędnik – Hom niech to hum!

– Co jest w tej komorze?

– Produkty uboczne – zdawkowo odparł urzędnik.

– Produkty uboczne... – nie zamierzał zrezygnować Zaphod – ...czego?

Ani jeden, ani drugi urzędnik nie odpowiedzieli. Zamiast tego zaczęli dokładnie sprawdzać komorę i stwierdzili, że siła, która zdeformowała korytarz, równocześnie zerwała umieszczone na niej plomby. Jeden z nich dotknął lekko włazu i ten się otworzył. Wewnątrz było ciemno, w głębi świeciły ledwo widoczne dwa czerwone światła.



– Czego... – syknął Zaphod.

Ważniejszy z urzędników spojrział na kolegę.

– Powinna tu być gdzieś kapsuła ratunkowa – zaczął – z której miała skorzystać załoga przed wrzuceniem statku w czarną dziurę. Dobrze byłoby się dowiedzieć, czy jest na pokładzie. – Jego towarzysz skinął głową i bez słowa odszedł. Urzędnik gestem ręki zaprosił Zaphoda do środka. Czerwone światła żarzyły się słabo jakieś sześć metrów od nich. – Tajemnica, dlaczego wszystko na tym statku jest, jak wspominałem, bezpieczne – kontynuował cichym głosem – polega na tym, że nikt nie jest dość szalony, by skorzystać z tego ładunku. Nikt. A nawet gdyby znalazł się ktoś wystarczająco szalony, nie dotarłby nawet w pobliże statku – sama obecność wystarczająco szalonej albo niebezpiecznej istoty zaalarmowałaby załogę. Ludzie może są i głupi, ale nie aż tak.

– Produkty uboczne... – syknął Zaphod, który musiał syczeć, ponieważ inaczej niczego by nie zrozumiano, tak drżał mu głos. – Czego?

– Eee... produkcji Zaprojektowanych Ludzi.

– Czego?

– Cybernetyczna Korporacja Syriusza otrzymała olbrzymie subwencje, by opracować i wprowadzić do produkcji syntetyczne osobowości na zamówienie. Wyniki były katastrofalne. Wszystkie stworzone ludzkie istoty i osobowości okazały się zlepkami cech nie mogących współistnieć wśród naturalnie powstałych form życia. Większość okazała się chimerycznymi rozrzucającymi nedoróbkami, niektóre były jednak niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne. Ich groza polegała na tym, że nie wyzwały u ludzi reakcji alarmowej. W efekcie mogły uczestniczyć w dowolnych wydarzeniach jak duchy – nie widziano w nich zagrożenia, więc nikt ich nie zauważał. Najniebezpieczniejsze okazały się trzy i umieszczono je w tej właśnie komorze, by wraz ze statkiem wyleciały poza wszechświat. Nie zachowują się agresywnie, są wręcz prostolinijne i rozbijające, co nie zmienia faktu, że są najniebezpieczniejszymi twórcami, jakie kiedykolwiek i gdziekolwiek istniały. Dlaczego? Ponieważ nie istnieje nic, czego nie zrobią, jeśli jest dozwolone, a nie ma niczego, co jest dla nich niedozwolone...

Zaphod spojrział na ledwie widoczne czerwone światła, dwa ledwie widoczne czerwone światła. Kiedy jego oczy przystosowały się do ciemności, zobaczył, że światła znajdują się obok czegoś zniszczonego i odbijają się od lepkich matowych plam na podłodze.

Kiedy Zaphod i urzędnik podchodzili ostrożnie do światełek, w słuchawkach ich hełmów rozległy się wypowiedziane przez drugiego urzędnika dwa trzeszczące słowa.

– Kapsuła zniknęła.

– Prześledź trajektorię! – warknął towarzysz Zaphoda. – Sprawdź dokładnie, dokąd poleciała. Musimy się tego dowiedzieć!

Zaphod podszedł do dwóch pozostałych zbiorników przetrwalnikowych. Wystarczyło jedno

spojrzenie, by stwierdzić, że w każdym znajdowało się takie samo ciało. Przyjrzał się uważnie pierwszemu z nich. W gęstym żółtym płynie unosił się starszy mężczyzna. Wyglądał sympatycznie, twarz znaczyły mu liczne zmarszczki: pewnie często się uśmiechał. Jak na kogoś w tym wieku miał niezwykle gęste i ciemne włosy; jego prawa ręka nieustannie machała w przód i tył, w górę i w dół, jakby ścisnął dłonie nie kończącemu się strumieniowi niewidocznych duchów. Uśmiechał się z rozkoszą, gaworzył i wypuszczał bąbelki jak zasypiające dziecko i od czasu do czasu zdawał się nim delikatnie wstrząsać śmiech – jakby właśnie opowiedział sobie dowcip, którego nigdy nie słyszał albo który niezbyt dobrze pamiętał. Delikatnie poruszany falami płynu, uśmiechający się i chichoczący, z uczepionymi warg żółtymi pęcherzykami, zdawał się zamieszkiwać odległy świat prostych snów.

W słuchawkach hełmu Zaphoda rozległa się kolejna zwięzła informacja. Zidentyfikowano planetę, ku której poleciała kapsuła ratunkowa. Znajdowała się ona w sektorze ZZ9 Plural Z Alfa.

Zaphod zauważył przy zbiorniku mały głośnik i włączył go. Mężczyzna w żółtym płynie bełkotał o oświetlanym słońcem miasteczku na wzgórzu.

Równocześnie Zaphod usłyszał, jak urzędnik z Wydziału Ubezpieczeń i Reasekuracji wydaje polecenie: na pokładzie brakującej kapsuły znajduje się „Reagan” i zarówno ona, jak i planeta z sektora ZZ9 Plural Z Alfa muszą zostać całkowicie zabezpieczone.

*Z: The Utterly Utterly Merry Comic,*

Relief Christmas Book, 1986

\*

D.N.A.: Problem z Dirkiem Gentlym polegał na tym, że zacząłem odnosić wrażenie, iż straciłem kontakt z postacią, nie byłem w stanie uczynić tej książki realną, dlatego powiedziałem sobie: „W porządku, daj sobie spokój i spróbuj czegoś innego”. Patrząc na pomysły zawarte w *Łososiu zwątpienia*, mniej więcej po roku obejrzałem ponownie materiał i nagle zrozumiałem, co robiłem źle, mianowicie zasadniczo biorąc, pomysły były bardziej rodem z *Autostopem* niż z Dirka Gently'ego.

Podejrzewam, że kiedyś w przyszłości nastąpi taki moment, że napiszę szóstą część *Autostopem*. Chcę to w pewnym sensie zrobić dlatego, ponieważ ludzie – całkiem zasadnie – twierdzili, że *W zasadzie niegroźna* to bardzo blada powieść. Zgadza się. Powód jest bardzo prosty: miałem beznadziejny rok, z najróżniejszych powodów osobistych, o których nie chcę się rozwodzić, miałem po prostu nieszczęsny rok i próbowałem napisać książkę wbrew temu, co działo się w moim życiu. No i co – okazała się dość blada!

Z przyjemnością skończyłbym *Autostopem* w nieco lepszym stylu więc pięć wydaje się złą liczbą – sześć jest znacznie lepszą. Sądzę,; mnóstwo materiału, które znalazło się pierwotnie w *Łososiu zwątpienia* było zaplanowane do *Łososa zwątpienia* i tak naprawdę się nie sprawdzało, mogłoby zostać usunięte i zastąpione nowymi myślami.

**M.N.: Z pewnością, ponieważ część ludzi słyszała podobno, że *Łosoś zwątpienia* ma być nową częścią *Autostopem*.**

D.N.A.: Tak, w pewnym sensie, będę bowiem ratował niektóre pomysły, których nie byłem w stanie ożywić w szkielecie „dirkowym” i umieszczał je w szkielecie „autostopowym”, przeprowadzając po drodze konieczne zmiany. I być może, ku czci dawnych czasów, nazwę książkę *Łosdś zwątpienia* – kto wie, być może tak ją nazwę!

## Łosoś zwątpienia

[Od wydawcy: Przedstawiona tutaj wersja *Łososa zwątpienia* została skompilowana z różnych wersji tego będącego w trakcie tworzenia dzieła. Szczegółowy opis, jak materiał został skomponowany, znajduje się w notce od wydawcy, umieszczonej na początku niniejszego tomu. Na następnej stronie umieściłem faks Douglasa do jego wieloletniej londyńskiej redaktorki, w którym przedstawia ogólny schemat powieści, dając nam niejakię pojęcie, do czego fabuła mogłaby dążyć.]

Faks

*Do: Sue Freeston*

*Od: Douglas Adan*

Dot.: opis „Łososa zwątpienia!

*Dirk Gently, zatrudniony przez kogoś, kogo nigdy nie spotkał; wykonując pracę, która nie została określona, zaczyna przypadkowo, śledzić ludzi. Śledztwo prowadzi go do Los Angeles, przez błony nosowe nosorożca do odległej przeszłości rządzonej przez agentów nieruchomości i ciężko uzbrojone kangury. Tło najbardziej zaskakującej i chaotycznej sprawy Dirka Gently 'ego stanowią dowcipy, lekko blanszowana ryba i nowo powstałe właściwości złożonych systemów.*

## Rozdział 1

We wczesnych godzinach większości poranków Dave wspinał się do tego odludnego miejsca na wzgórzu i przynosił drobne dary, które zostawiał w kaplicy świętego Clive'a, patrona agentów nieruchomości. To co przyniósł dziś, było – o ile mógł określić – częścią urządzenia do czyszczenia basenów, dużym, plastikowym, ssącym homaropodobnym tworem.

Starannie położył przedmiot i cofnął się, by sprawdzić efekt.

Tak naprawdę kaplica była jedynie małym stosikiem kamieni, obłożonym niewielkim zbiorem rzeczy, które udawało się od czasu do czasu wykopać. Był tu pilot do garażu, coś, co najprawdopodobniej kiedyś stanowiło element sokowirówki i mały, oświetlany Kermit Żaba. Homaropodobny element do czyszczenia basenów stanowił dość dobry dość datek, a ułożył go tak, że ponad pół metra połamanej karbowanej plastikowej rury zwisało nad Kermitem niby trąba słońca.

Te poranne wyprawy służyły po części osobistej rozrywce, były jednak także okazją do samotności i zastanowienia. Okolica na początku nie wyglądała poważnie, szybko jednak zamieniła się w coś ważniejszego niż zamierzał, potrzebował miejsca, dokąd mógł od wszystkiego go uciec i pozastanawiać się nad różnymi sprawami. Czasami wręcz się martwił. Kiedy był zmartwiony, zaczynał cicho chichotać, a kiedy był naprawdę zaniepokojony, mruzczał stare melodie Carpentersów, aż troski mijały.

Dziś jednak nie zamierzał się martwić. Dziś zamierzał się zabawić. Zdjął z pleców płócienną torbę i położył ją na ziemi.

Widok z tego miejsca był zdumiewająco rozległy. DaveLand ze wszystkich stron otaczały bujne lasy, lasy o niezwykłym bogactwie i różnorodności, kipiące życiem i barwami. Wiła się przez nie rzeka Dave, która przeciskała się następnie zakolami przez wzgórze, aby w końcu, po prawie tysiącu kilometrów, dotrzeć do ogromnego oceanu, który do niedawna nazywał Oceanem Dave'a, ale który w napadzie skromnego skrępowania przemienił na Ocean Karen. Zawsze uważał, że „Pacyfik” to dość debilna nazwa. Płynął po nim. Ocean wcale nie był spokojny. Naprawił to.

DaveLand był teraz imprezą, która mogła robić wrażenie. Kiedy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że tak naprawdę było w tym coś zadziwiającego. Przeciągnął palce przez strąkowane włosy i zapatrzył się w dal, powstrzymując cichy, cichuteńki chichot.

DaveLand lekko przykrywał jakieś czterdzieści hektarów zbocza wzgórze, nowe pączki wychodziły z ziemi na sąsiednich wzgórzach. Piękne domy. Znacznie piękniejsze, niż którykolwiek z tych, jakie mógłby sprzedać, a nawet zrozumieć jego wyimaginowany święty Clive. W niczym niepodobne do wielopoziomowego, przypominającego rancho szmelcu z tak idiotycznymi boksami do rozmów, że ktokolwiek mający nieco oleju w głowie wolałby się zabić, niż w nich rozmawiać. Domy Dave'a były całkiem w odmiennym stylu.

Pomijając wszystko inne, były sprytnymi domami. Oczywiście, choćby przez to, że stały zwrócone w odpowiednim kierunku. Miały szkło w odpowiednich miejscach, kamień w odpowiednich miejscach, wodę w odpowiednich miejscach, rośliny w odpowiednich miejscach, więc powietrze odpowiednio przez nie przepływało, było w nich ciepło, kiedy się tego chciało i chłodno, kiedy się tego chciało. Fizyka. Uznał, że większość architektów nie zna się na fizyce. Znają się tylko na głupotach. W domach Dave'a pryzmaty i światłowody sprowadzały światło słoneczne wszędzie, gdzie się chciało. Wymienniki ciepła odbierały ciepło jedzeniu w lodówce i przekazywały je jedzeniu w piecu. Proste. Ludzie wchodzili do domów Dave'a i mówili: „Hej! To naprawdę zgrabne! Dlaczego inni ludzie nie budują takich domów?”. Odpowiedź? Bo są głupi.

No i telefony. Dave dał ludziom znacznie zgrabniejsze, inteligentniejsze, w sumie fantastyczniejsze telefony, niż mieli kiedykolwiek. Teraz chcieli telewizję, co Dave uważał po pierwsze za ogólnie dość głupie, a w istniejących okolicznościach za monumentalnie głupie, był to jednak dla niego dość interesujący problem i oczywiście go rozwiązał. Dave rozwikłał jednak tyle problemów, że w nieunikniony sposób powstał nowy. DaveLand było obecnie społecznością składającą się z niemal tysiąca osób, co czyniło go w pewnym sensie odpowiedzialnym. Nie liczył się z odpowiedzialnością.

Wyrwał kępę długiej trawy i pomachał nią, co spowodowało płaczliwe świśnięcia. Poranne słońce odbijało się migotliwie od Rezydencji Dave'a. Rezydencja Dave'a była największym i najelegantszym ze wszystkich domów na... cóż – świecie. Otaczała wierzchołek przeciwległego wzgórza elegancko falującymi kamiennymi murami i setkami metrów kwadratowych szkła. Sam wierzchołek był stylizowany na japoński ogród. Spływające zeń strumyki przepływały przez cały dom.

Tuż pod Rezydencją Dave'a, na tym samym zboczach, w obrębie tego samego, chronionego terenu (nie mógł uwierzyć, że potrzebne mu są teraz chronione obszary; czterdziestu – czterdziestu z ponad dziewięciuset mieszkańców DaveLandu było obecnie prawnikami) znajdowała się Droga Nozdrza.

Droga Nozdrza była prawdopodobnie najinteligentniejszą rzeczą, I jaką Dave wymyślił. Nawet on, dla którego większość rzeczy, które prawie wszyscy ludzie uważali za dość inteligentne, była dość głupawa, uważał, że to dość inteligentne. Właśnie ona sprawiła, że to wszystko istniało i stała się tym, co najczęściej sprawiło, że Dave nucił melodie Carpenters – no, może poza prawnikami.

Słońce świeciło jaskrawo na DaveLand. Dave musiał przyznać, że jest tu klawo, musiał jednak także przyznać, że też lubił DaveLand, kiedy był jedynie zabawnym głupiutkim miejscem, do którego tylko on przychodził, bowiem tylko on był wystarczająco inteligentny, aby tu się dostać. Jedno pociągnęło jednak za sobą drugie i było teraz, jak: było. Tkwiał tu, miał jedynie dwadzieścia pięć lat, zaczynał się już jednak czuć, jakby miał niemal trzydzieści.

Pieprzyć to. Dziś się zabawi. Podniósł wielką płócienną torbę i ponownie zarzucił ją sobie na plecy. Sam dostanie ataku. Prawnicy powariują. Świetnie. Odwrócił się i wspinał się jeszcze wyżej na wzgórze. Nazywano je Szczytem Świata – od tytułu piosenki Carpenters. Jednym z wielkich plusów posiadania własnego świata była możliwość pójścia na całość i lubienia w nim The Carpenters.

Wyżej wzgórze robiło się skaliste i poszarpane, a żeby dostać się na miejsce, Dave musiał trochę popęztać po skałach.

W ciągu dwudziestu minut nieźle się zgrzał i trochę spocił, dotarł jednak na szczyt, a przynajmniej do ostatniego znacząco płaskiego miejsca – solidnego kawała głęboko pożłobionej skały, na której usiadł. Rzucił torbę na ziemię, przez kilka chwil łapał oddech, po czym zaczął wypakowywać torbę. Wyjął aluminiowe rurki, wyjął pomarańczowe sznurki, wyjął małe, fioletowe arkusze kevlaru.

Po mniej więcej dziesięciu minutach urządzenie zostało zmontowane – wielki, mechaniczny owad o ażurowych skrzydłach. Rozciągnięte między rozporkami kawałki kevlaru były zaskakująco małe i miały dziwaczne kształty. Dave ustalił, że większość materiału stosowanego w konwencjonalnych paralotniach jest zbędna, więc usunął, co się dało.

Metodycznie sprawdził konstrukcję i upewnił się, że wszystko jest jak należy, jest dave'o-godne.

Rozejrzał się nerwowo, tylko jednak przez chwilę. Tak czy owak robi, co zamierzał, denerwowanie się było więc głupotą. Ostrożnie podniósł paralotnię, zaniósł ją na skraj skały, aż stanął na półeczce z widokiem na DaveLand w pełnej krasie. Z zadowoleniem zauważył, że choć

jego parolotnia wygląda jak krucha ramka do suszenia bikini, jest bardzo sztywna i aby nią latać, trzeba mocno ciąć powietrze.

Z tego miejsca do Rezydencji Dave'a było w poziomie mniej więcej półtora kilometra, a w pionie niecałe sto metrów. Widział połyskujący w słońcu wielki błękitny basen, zgrabnie ukryty w japońskim ogrodzie na szczycie Wzgórza Dave'a. Odległość i kierunek, z jakiego świeciło słońce, sprawiały, że z trudem rozpoznawało się szczegóły, był jednak przekonany, że Sam będzie na niego czekać przy basenie. Uważał, że jest w stanie zgrabnie wlecieć prosto do wody. Spojrzał na zegarek. Było tuż po ósmej, a umówił się na ósmą. Sam będzie czekała.

Sam uważała, że wiele planów i działań Dave'a jest lekkomyślnych, szalonych, nieodpowiedzialnych, czasami graniczących ze zwykłą głupotą. Wpadnięcie do basenu to coś lepszego, niż są w stanie zrobić głupi chłopcy. Jak byś to ocenił, będąc na miejscu Dave'a?

Sprawdził kierunek wiatru, założył leciutką uprząż, zaciągnął pas, przypiął uprząż do lotni, przełożył dłonie przez dwie pętle, złapał główne poprzeczki i był gotów.

Jedynę co pozostało, to rzucić się w przestrzeń. Hej! Tak jest! Lecimy!

Bez paniki, bez wygłupów. Czując lekkość w sercu, skoczył naprzód i pożegłował w pustkę. Powietrze natychmiast go podparło, jedynie odrobinę nim szarpnęło. Usztywnił ciało, by stopić się z konstrukcją, potem spróbował się nieco rozluźnić, potem jeszcze bardziej, próbując znaleźć taką równowagę, by ciało miało swobodę, ale musiało reagować na ruchy lotni. Po chwili ją złapał. Był w powietrzu. Leciał. Stał się ptakiem.

Było świetnie. Puste powietrze porażało, ale w przyjemny sposób – jak poranna woda w basenie. Miało się wrażenie spadania na gigantyczne niewidzialne poduszki z palcami, które się wysuwały, pociągały i popychały, mierzwiły włosy, szarpały koszulkę. Kiedy mózg ogarnął olbrzymią pustkę wokół, Dave poczuł się niczym zabaweczka zwisająca z ogromnego pojazdu, powoli krążącego nad Światem Dave'a. Zakreślał wielkie, łagodne zakole, najpierw w prawo, potem, kiedy nieco przesunął ciężar ciała, w lewo, ciągle jednak wydawało się, że zatacza łuk wewnątrz łuku, okrąg w środku okręgu. W dole powoli obracał się świat, jego świat – zielony, bogaty, bujny i jaskrawy.

Minęło mniej więcej 1,2 miliona lat, odkąd ludzkość nagle wyginęła, a od tego czasu świat wyraźnie się ożywił. W kategoriach geologicznych było to oczywiście jedynie mrugnięcie okiem, siły ewolucji nagle jednak dostały mnóstwo przestrzeni, w której mogły zacząć działać, wielkie wyrwy do zapelnienia i wszystko zaczęło rozkwitać jak oszalałe. Wszyscy mówili o ratowaniu świata, ale... Dave tego dokonał. Teraz było wspaniale. Cała okolica była naprawdę zgrabnie skomponowana. Świat Dave'a. Hej!

Płynął elegancko, nie walczył z powietrzem, sunął po nim. Powoli jednak, zaczynało mu świtać, że trafienie do własnego basenu może się okazać nieco trudniejsze, niż sądził. To jednak lubił – aby było nieco trudniej, niż sądził.

Zaczął do niego docierać, że może się to okazać znacznie trudniejsze. Swobodne unoszenie się, podążanie za prądami powietrza, powolne opadanie to całkiem inna para kaloszy niż sterowanie

w określonym kierunku. Kiedy zbyt ostro spróbował skrócić, delikatna konstrukcja wokół niego zaczęła szczełkać i trzaskać w dość niepokojący sposób.

## Rozdział 2

– Nie zajmuję się kotami – stwierdził Dirk Gently.

Jego ton był ostry. Miał wrażenie, że wrócił na ten padół. Nie było dowodu na poparcie tej tezy, ale czuł, że czas już nadszedł. Czuł także niestrawność, ale nie miało to nic do rzeczy.

Kobieta – jak ona się nazywała? Melinda jakaś – tam. Zapisał to na kawałku papieru, ale gdzieś go zgubił, prawdopodobnie pod stosem nie otwartych wyciągów z konta, leżących w rogu biurka – stała przed jego biurkiem z podniesioną w oburzeniu lewą brwią.

– Ale z pańskiej reklamy wynika...

– Reklama jest nieaktualna – rzucił Dirk. – Nie zajmuję się kotami. – Machnął ręką, aby sobie poszła i zaczął udawać, że jest zajęty jakimiś papierami.

– A czym się pan zajmuje?

Dirk szorstko na nią spojrział. Poczł do tej kobiety antypatię już w chwili, kiedy weszła. Nie tylko całkowicie go zaskoczyła, ale na dodatek była irytująco piękna. Nie lubił pięknych kobiet. Denerwowały go swą gracją i urokiem, swą skończoną cudownością i stuprocentową niechęcią pójścia z nim na kolację. Natychmiast gdy pani Melinda weszła do jego gabinetu, mógłby się założyć, że nie poszłaby z nim na kolację, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na Ziemi i miał różowy kabriolet cadillaca, postanowił więc podjąć działania prewencyjne. Jeżeli nie zamierzała iść z nim na kolację, to nie pójdzie z nim na kolację na jego warunkach.

– Nie pani interes – mruknął. Boleśnie zaburczało mu w brzuchu.

Uniosła drugą brew.

– Czy spotkanie, na które się umówiliśmy, wypadło w złym momencie?

„Tak” – pomyślał Dirk, ale nie powiedział tego. To był jeden z najgorszych miesięcy, jakie pamiętał. Interesy szły słabo, choć to za mało powiedziane. To, co zwykle było strużką, zamieniło się w kapanie, po czym całkowicie wyschło. Nic. Nikt. Zero pracy, o ile nie liczyć zwariowanej staruchy. Zjawiała się z psem, którego imienia nie pamiętała. Twierdziła, że dostała lekko w głowę, przez co zapomniała, jak pies się nazywa, więc nie przychodzi na jej wołanie. Czy mógłby się dowiedzieć, jak jej pies ma na imię? W normalnym przypadku zapytałaby męża, tyle tylko, że niedawno zginął, skacząc na bungee, czego nie powinien był robić w tym wieku, tyle tylko, że akurat miał siedemdziesiąte urodziny i uznał, że zrobi dokładnie to, na co ma ochotę, nawet jeżeli go to



zabije, co się oczywiście stało, i choć próbowała skontaktować się z nim za pośrednictwem medium, jedyną wiadomością, jaką otrzymała, było to, że nie wierzy w ten idiotyczny spirytualistyczny nonsens, a wszystko jest jednym wielkim oszustwem, co było jej zdaniem bardzo niegrzeczne i oczywiście dość żenujące dla medium. I tak dalej.

Wziął tę robotę. Do tego doszło.

Oczywiście nic z tego nie ujawnił, obdarzył jedynie panią Melindę zimnym spojrzeniem.

– To jest szacowna agencja detektywistyczna i... – stwierdził.

– Szacowna czy szanowana?

– Co ma pani na myśli? – Dirk zazwyczaj odpowiadał ostrzej, ale jak już kobieta zauważyła, trafiła na jego nie najlepszy moment. Po tygodniu walki o identyfikację psa, wczoraj nie wydarzyło się absolutnie nic – pomijając pewną rzecz, która paskudnie nim wstrząsnęła i sprawiła, że zaczął się zastanawiać, czy nie wariuje.

– To duża różnica – powiedziała pani Melinda. – Tak jak między czymś, co ma być podobno nadmuchiwane a czymś, co zostało nadmuchane. Między czymś, co ma być niezniszczalne a czymś, co wytrzymało porządny rzut o ścianę.

– Że jak?

– Chcę powiedzieć, że bez względu na to, jak szacowne jest pańskie przedsiębiorstwo, to gdyby było szanowane, prawdopodobnie byłby pan w stanie kupić sobie dywan, trochę farby do pomalowania ścian, a może nawet drugie krzesło, by mieć na czym posadzić gościa.

Dirk nie miał pojęcia, co się stało z jego drugim biurowym krzesłem, nie zamierzał jednak się do tego przyznawać.

– Nie potrzebuje pani krzesła – stwierdził. – Obawiam się, że jest pani tutaj z powodu nieporozumienia. Nie mamy o czym rozmawiać. Życzę miłego dnia, droga pani, nie zamierzam szukać pani zaginionego kota.

– Nie mówiłam, że się zgubił.

– Przepraszam bardzo... sugerowała pani...

– Powiedziałam, że jak gdyby zaginął. Zgubił się w połowie.

Dirk popatrzył na nią oczami bez wyrazu. Pomijając, że wyglądała znakomicie, w taki blondynkowaty, smukłogiętki sposób, to jeszcze była świetnie ubrana w sposób: „Nie dbam o to, co na siebie zakładam, to takie starocie, które się walały po mieszkaniu”, którego skuteczność zależy od niezwyklej staranności w rozrzucaniu rzeczy po mieszkaniu. Była ewidentnie bardzo inteligentna, prawdopodobnie miała dobrą pracę, coś w rodzaju kierowania dużą firmą tekstylną albo telekomunikacyjną, choć bez dwóch zdań miała dopiero trzydzieści jeden lat. Innymi słowami, była

dokładnie osobą z rodzaju tych, którym nie zdarza się zapodziać kota, a tym bardziej biegać do mizernych prywatnych agencji detektywistycznych, jeżeli już się to zdarzy. Poczł mdłości.

– Proszę mówić z sensem – stwierdził ostro. – Mój czas jest cenny.

– Tak? Jak cenny?

Rozejrzała się pogardliwie po jego biurze. Musiał przyznać, że wyglądało obskurnie, niech go jednak cholera weźmie, jeżeli będzie beczynnie siedział i tego słuchał. Tylko dlatego że potrzebował pracy, potrzebował pieniędzy, nie miał nic lepszego do zabicia czasu, nie było powodu, aby ktokolwiek sobie myślał, że jest na zawołanie pierwszej lepszej, dobrze wyglądającej kobiety, która wejdzie do jego biura i zaproponuje zapłatę. Czł się upokorzony.

– Nie mówię o moich stawkach, choć zapewniam, że są wygórowane. Miałem na myśli mijanie czasu. Czasu, który już nigdy nie przeminie w taki sposób. – Pochylił się do przodu w znaczący sposób. – Musi pani wiedzieć, że czas to skończony byt. Pozostały jeszcze cztery miliardy lat do wybuchu Słońca. Wiem, wydaje się to sporo, ale szybko minie, jeżeli roztrwonimy go na błaostki i rozmówki o niczym.

– O niczym?! Mówimy o połowie mojego kota!

– Madame, nie wiem, kogo ma pani na myśli, mówiąc „my”, ale...

– Proszę pana – kiedy pozna pan szczegóły tej sprawy, może pan się zdecydować jej nie przyjmować, bo jest, przyznam, nieco dziwna,; umówiliśmy się na podstawie tego, co przeczytałam w pańskiej reklam w której dokładnie było napisane, że znajduje pan zaginione koty. Jeżeli odrzuca pan moją ofertę jedynie dlatego, że nie znajduje pan zaginionych kotów, to muszę panu przypomnieć, że istnieje coś, co nazywa się Ustawą o Zawodach. Nie pamiętam słowo w słowo, jak brzmi, ale założę się o pięć funtów, że nie zezwala panu robić tego, co pan właśnie robi.

Dirk westchnął. Wziął ołówek i przyciągnął bliżej kawałek papieru.

– No dobrze – stwierdził. – Spiszę szczegóły sprawy.

– Dziękuję.

– A potem jej nie przyjmę.

– Pańska sprawa.

– Staram się cały czas podkreślać, że to nie moja sprawa. No dobrze. Jak brzmi imię kota?

– Poryw.

– Poryw?

– Tak jest. Skrót od Porywistego Wiatru.

Dirk popatrzył na nią.

– Nie pytałem.

– Będzie pan żałował.

– Sam to osądzę. – Wzruszyła ramionami. – Samiec? Samica?

– Samiec.

– Wiek?

– Cztery lata.

– Opis?

– Hm... to dość skomplikowane.

– W czym tu problem? Jak wygląda? Jest czarny? Biały? Żółto-brązowy? Pręgowany?

– O! Syjamski.

– Rozumiem – stwierdził Dirk i napisał „SYJAMSKI”. – Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– Mniej więcej trzy minuty temu. – Dirk odłożył ołówek i popatrzył na gościa. – Tak naprawdę to może cztery – dodała pani zwana Melindą.

– Chciałbym sprawdzić, czy dobrze zrozumiałem. Chce pani powiedzieć, że zgubiła kota imieniem Poryw, rozmawiając ze mną?

– Nie. Zgubiłam go – to znaczy w połowie zgubiłam – dwa tygodnie temu, ostatni raz widziałam go jednak, a o to pan pytał, tuż przed wejściem do pańskiego biura. Sprawdziłam, czy wszystko z nim w porządku. Było w porządku. No, tak jakby. Jeżeli można to określić słowami „w porządku”.

– A... ee... gdzie dokładnie był, kiedy sprawdzała pani, czy wszystko w porządku?

– W swoim koszyku. Wnieść go? Jest tuż za drzwiami.

Wyszła z biura i po chwili wróciła ze średniej wielkości wiklinowym koszykiem dla kotów. Postawiła go na biurku Dirka. Zawartość cicho miauknęła. Melinda zamknęła za sobą drzwi.

Dirk zmarszczył czoło.

– Proszę mi wybaczyć, jeżeli zabrzmieć nieco debilnie – powiedział, patrząc nad koszykiem na Melindę – ale proszę mi wyjaśnić, czy się mylę. Mam wrażenie, że prosi mnie pani o użycie moich zawodowych umiejętności w celu poszukiwania i ewentualnego odnalezienia kota...

– Zgadza się.

– ...którego ma pani w kocim koszyku.

– To jest tylko w pewnym stopniu zgodne z prawdą.

– W jakim?

– Proszę rzucić okiem.

Wyciągnęła drut mocujący wieko koszyka, włożyła ręce do środka, wyjęła kota i położyła go na biurku Dirka, tuż obok koszyka.

Dirk popatrzył na zwierzaka.

Zwierzak – Poryw – popatrzył na Dirka.

Koty syjamskie traktują ludzi ze szczególnego rodzaju pogardą. Każdy, kto przypadkiem natknął się na czyszczącą zęby Królową, zna to uczucie.

Poryw patrzył na Dirka i w zdecydowany sposób uważał go za istotę naganną. Odwrócił się, ziewnął, przeciągnął się, polizał zmierzwione miejsce na futerku, potem zeskoczył lekko z biurka i zaczął badać pęknięcie w podłodze, które uważał za znacznie bardziej interesujące od Dirka.

Dirk bez słowa wbijał wzrok w Porywa.

Do pewnego stopnia kot wyglądał jak normalny kot syjamski. Do pewnego miejsca. Miejscem, do którego Poryw wyglądał jak normalny kot syjamski, był brzuch, zaznaczony wąską, mętnoszarą opaską.

– Przednia połowa wygląda dość dobrze – powiedziała Melinda Jak-jej-tam cichym głosem. – Jest dość szczupła i zdrowa.

– A tylna?

– Właśnie chciałabym, aby pan ją odszukał.

Za wąską, mętnoszarą opaską nie było nic. Ciało kota kończyło się w powietrzu. Wszystko poniżej mniej więcej dziewiątego żebra było nieobecne.

Najdziwniejsze jednak, że najwyraźniej wcale nie wpływało to na kota. Nie chcę sugerować, że nauczył się żyć ze swoją smutną przypadłością czy mężnie próbował najlepiej jak się da wykorzystać sytuację. Nie – po prostu wcale to na niego nie wpływało. Zdawał się nie zauważać sytuacji. Nie zadowolając się ignorowaniem powszechnych wymogów biologii, kot był także w wyraźnym rozdzwieku z prawami fizyki. Poruszał się, skakał, paradował, siadał – dokładnie tak, jakby jego tylna część była obecna.

– Nie jest niewidzialna – powiedziała Melinda, dziwacznie podnosząc kota. – Nie ma jej. – Przeciągnęła dłonią przez powietrze w miejscu, gdzie powinien się znajdować zadni fragment kota.

Kot wił się i kręcił w jej ręku, poirytowany miauczał, po czym zwinnie zeskoczył na podłogę i odmaszerował oburzony.

– No, no, no – stwierdził Dirk, podpierając palcami podbródek. – Dziwne.

– Bierze pan sprawę?

– Nie. – Odsunął od siebie kartkę. – Przykro mi, ale nie mogę robić takich rzeczy. Jeżeli istnieje cokolwiek, czego bardziej nie chciałbym robić od szukania kota, to szukanie połowy kota. Załóżmy, że miałbym pecha i znalazł brakującą połówkę. Co wtedy? Jak miałbym ją podczepić? Przykro mi, ale skończyłem z kotami i zdecydowanie skończyłem z wszystkim, co choćby trąci nadnaturalnością albo paranormalnością. Jestem istotą racjonalną i... przepraszam.

Dzwonił telefon. Dirk podniósł słuchawkę. Westchnął. Był to Thor, prastary nordycki bóg piorunów. Dirk od razu poznał, że to on po długim, złowieszczym milczeniu i basowych, pełnych irytacji pomrukiwaniach, po których następowały odległe porykiwania. Thor nie bardzo rozumiał, do czego służy telefon. Zazwyczaj stawał trzy metry od słuchawki i wyrzaskiwał do niej boskie komendy. Sprawdzało się to w zakresie dokonywania połączenia, ale czyniło rozmowę niemal niemożliwą.

Thor zamieszkał z amerykańską dziewczyną, która знаła Dirka i na podstawie przedziwnych islandzkich oświadczeń dudniących na linie, Dirk zrozumiał, że jest spodziewany tego popołudnia na herbacie.

Przyznał, że oczywiście, pamięta, będzie około piątej, cieszy się ze spotkania i na pewno się zobaczą. Z miejsca, gdzie stał, Thor oczywiście nic nie usłyszał, zaczął się więc złościć i wrzeszczeć.

Dirkowi nie pozostało nic innego, jak zrezygnować i ostrożnie odłożył słuchawkę, w nadziei, że Thor nie za wiele poniszczy w maleńkim mieszkaniu Kate. Wiedział, że udało jej się przekonać wielkiego boga, aby w napadach wściekłości zamiast kanap i motocykli miażdżył paczki chipsów, czasami jednak, kiedy nie kumał, o co chodzi, sprawa bywała na ostrzu noża.

Dirk miał wrażenie, że jest gnębiony. Podniósł wzrok. O nie...

– Nie – stwierdził. – Proszę odejść. Nie mogę się już zajmować takimi rzeczami.

– Ale, panie Gently, słyszałam, że ma pan w tej dziedzinie niejaką reputację...

– I dokładnie jej chcę się pozbyć. Proszę więc wyjść i zabrać ze sobą swego przepołowionego kota.

– Jeżeli pan tak uważa...

Wzięła koszyk i wyszła wolnym krokiem. Pół-kot też miał nie najgorsze wyjście.

Dirk siedział za biurkiem i przez minutę albo dwie kipiał na wolnym ogniu, zastanawiając się,

dłaczego był dziś w tak kiepskiej formie. Wyjrzawszy przez okno, dostrzegł niezwykle atrakcyjną i intrygującą klientkę, którą wyrzucił niegrzecznie z czystej potrzeby pozzrzedzenia. Szła szybkim krokiem przez ulicę w kierunku czarnej londyńskiej taksówki, a wyglądała przy tym niesamowicie wspaniale i ponętnie.

Podbiegł do okna i otworzył je. Wychylił się.

– Kolacja nie wchodzi w rachubę, prawda? – wrzasnął.

### Rozdział 3

– Thor właśnie wyszedł – powiedziała Kate Schechter. – Nagle wybiegł w ataku nordyckiego przygnębienia związanego z tym albo tamtym. – Machnęła rękaw kierunku ziejącej, poszarpanej dziury w oknie z widokiem na Primrose Hill. – Prawdopodobnie poszedł do zoo, popatrzeć na łosie. Zjawi się za kilka godzin, pełen piwa i wyrzutowi sumienia, przyniesie wielką taflę szkła, która do niczego nie będzie pasować. Wścieknie się tym i zniszczy coś kolejnego.

– Obawiam się, że doszło do małego nieporozumienia przez telefon – powiedział Dirk. – Nie mam pojęcia, jak ich unikać.

– Nie unikniesz ich. Nie jest szczęśliwym bogiem. To nie jego świat. Nigdy nim nie będzie.

– Co więc zamierzasz robić?

– Jest dużo do zrobienia. Same naprawy zajmują wiele czasu.

Dirk nie to miał na myśli, pojął jednak, że Kate wie i nie sprawdzał. Poza tym i tak poszła do kuchni po herbatę. Opadł na dość stary fotel i rozejrzał się po niedużym mieszkanku. Zauważył, że na biurku Kate leży spora sterta książek o mitologii nordyckiej, z których wystają liczne karteczki i kartoniki do zapisków. Najwyraźniej robiła, co mogła, aby poradzić sobie z sytuacją, ale jedna z książek, wbita na mniej więcej dziesięć centymetrów w ścianę, najwyraźniej rzucona z nieludzką siłą, dawała jako taki pogląd o gatunku problemów, którym musiała stawić czoło.

– Nawet nie pytaj – powiedziała, wróciwszy z herbatą. – Lepiej opowiedz, co u ciebie.

– Dziś po południu coś zrobiłem – odparł, mieszając bladą, mdłą herbatę i nagle przypomniał sobie, że przecież Amerykanie nie mają pojęcia, jak ją parzyć. – Coś straszliwie głupiego.

– Zdawało mi się, że wyglądasz dość ponuro.

– To raczej przyczyna, nie skutek. Miałem koszmary tydzień, do tego dostałem niestrawności, przez co stałem się chyba dość...

– Nic nie mów. Poznałeś bardzo atrakcyjną, godną pożądaną kobietę, a okazałeś się wobec niej niezwykle nadęty i niegrzeczny.

Dirk wbił wzrok w Kate.

– Skąd... wiesz...?

– Ciągłe tak robisz. Ze mną byłeś taki sam.

– Nie byłem!

– Oczywiście, że byłeś!

– Nie, nie i jeszcze raz nie!

– Zapewniam cię, że...

– Przestań – powiedział Dirk. – Przypominam sobie. Hmmm... ciekawe. Mówisz, że ciągle tak się zachowuję?

– Może nie bez przerwy. Podejrzewam, że czasami musisz się przespać.

– Ale twierdzisz, że typowym moim zachowaniem jest bycie niegrzecznym i nadętym w stosunku do atrakcyjnych kobiet?

Z trudem wstał z fotela i zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu notesu.

– Nie chciałam, żebyś wziął to tak bardzo poważnie, nie jest to coś aż tak bardzo ważnego... wiesz, kiedy się nad tym zastanowię, zaczynam podejrzewać, że to jest istotna wada charakteru... Co robisz?

– Notuję. To taki dziwny nawyk prywatnych detektywów – spędzasz masę czasu na dowiadywaniu się o ludziach drobiazgów, o których nikt poza nimi nie wie, nagle jednak odkrywasz, że są najróżniejsze rzeczy, które wszyscy wiedzą o tobie, a o których samemu nie ma się pojęcia. Wiedziałaś na przykład, że dziwnie chadzam? Ktoś opisał to jako „dumne człapanie”.

– Oczywiście, że wiedziałam. Każdy, kto cię zna, wie o tym.

– Widzisz – poza mną. Kiedy się dowiedziałem, zacząłem próbować się na tym przyłapać, przechodząc obok okien wystawowych. Nic to oczywiście nie dało. Udało mi się jedynie zauważyć, jak stoję nieruchomo w pół kroku, z jedną nogą w powietrzu i gapię się niczym ryba. W każdym razie sporządzam listę, do której właśnie dodałem „zawsze niegrzeczny i nadęty w stosunku do atrakcyjnych kobiet”. – Dirk wstał i przez chwilę przyjrzał się notatce. – Wiesz co? – powiedział zamyślony. – To może wyjaśnić zadziwiająco wiele spraw.

– Daj spokój – odparła Kate. – Bierzesz to zbyt dosłownie. Miałam jedynie na myśli, że zauważyłam, iż kiedy nie czujesz się najlepiej albo jesteś z jakiegoś powodu w kropce, masz

skłonność zachowywać się defensywnie i wtedy... to też zapisujesz?

– Oczywiście. Bardzo użyteczny materiał. Może się zakończyć pełnozakresowym śledztwem o mnie samym. I tak nie mam nic innego do roboty.

– Nie masz pracy?

– Nie mam – odparł ponuro Dirk.

Kate próbowała rzucić mu przebiegłe spojrzenie, ale właśnie wyglądał przez okno.

– Czy to, że nie masz pracy, jest jakkolwiek związane z bardzo i grzecznym zachowaniem wobec atrakcyjnej kobiety?

– Wtrącaj się, wtrącaj... – mruknął Dirk po części pod nosem.

– Nic mi nie mów. Chciała, żebyś poszukał jej kota.

– O nie! Nawet nie tyle. Minęły dni, kiedy miałem do odnalezienia całe koty.

– Co masz na myśli?

Dirk opisał kota.

– Rozumiesz, z czym muszę się borykać?

Kate wbiła w niego zdumiony wzrok.

– Nie mówisz poważnie.

– Mówię poważnie.

– Pół kota?

– Tak. Tylko tylną połowę.

– Zdawało mi się, że mówiłeś, iż tylko przednia połowa...

– Nie, tę miała. Przód był, gdzie trzeba. Chciała, żebym poszukał tyłu.

Z zamyśleniem patrzył nad brzegiem porcelanowej filiżanki na Londyn.

Kate podejrzliwie mu się przyglądała.

– Ale czyż to nie jest... bardzo, bardzo, bardzo dziwne?

Dirk odwrócił się do niej.



– Powiedziałbym, że to najdziwniejsze i najniezwyklejsze zjawisko, jakie widziałem na własne oczy w życiu przepelnionym oglądaniem dziwnych i niezwykłych zjawisk. Niestety nie byłem w nastroju; – zakończył i znów się odwrócił.

– Co masz na myśli?

– Miałem niestrawność. Zawsze, kiedy mam niestrawność, ogarnia mnie zły nastrój.

– I tylko dlatego...

– Nie tylko. Zgubiłem też kartkę.

– Jaką kartkę?

– Tę, na której zapisałem godzinę jej wizyty. Leżała pod plikiem wyciągów z konta.

– Których nigdy nie otwierasz i na które nie patrzysz.

Dirk zmarszczył czoło i znów otworzył notes.

– „Nigdy... nie... otwiera... wyciągów... konta” – zapisał starannie. – Kiedy więc przyszła – kontynuował, schowawszy notes do kieszeni – nie spodziewałem się jej, więc nie panowałem nad sytuacją. Co oznaczało, że...

Wyjął notes i znów coś zapisał.

– Co zapisujesz?

– „Maniak kontroli” – odparł Dirk. – W pierwszym odruchu chciałem kazać jej usiąść, potem udać, że coś robię i w tym czasie odzyskać równowagę.

– No i?

– Rozejrzałem się i zauważyłem, że nie ma krzesła. Bóg wie, gdzie się podziało. Oznaczało to, że będzie stała nade mną. Czego nienawidzę. Wtedy zrobiłem się dość nerwowy. – Znów spojrzął do notesu i przerzucił kilka kartek. – Nie sądzisz, że to dziwna zbieżność drobnych wydarzeń?

– Co masz na myśli?

– No, mam sprawę niezwykłego rodzaju. Zjawia się piękna, inteligentna i najwyraźniej zamożna kobieta, proponuje mi zapłatę za dochodzenie w sprawie zjawiska, które kwestionuje fundamenty wszystkiego, co wiemy o fizyce i biologii... odmawiam. Zdumiewające. Normalnie trzeba by mnie przybić do podłogi, aby utrzymać mnie od czegoś takiego z daleka. Chyba że... – dodał z namysłem i powoli pomachał notesem w powietrzu – chyba że się mnie bardzo dobrze zna...

– Co sugerujesz?

- Nie wiem. Łańcuch drobnych przeszkód byłby nie do zauważenia, gdyby nie jedno. Kiedy w końcu znalazłem kartkę, na której zapisałem jej szczegóły, okazało się, że brakuje numeru telefonu. Dół kartki został oderwany. Niełatwo więc będzie mi ją teraz odnaleźć.
- Możesz zadzwonić do biura numerów. Jak ma na nazwisko?
- Smith. Beznadziejna sprawa. Nie sądzisz, że ten oderwany fragment to dziwne?
- Jeżeli chcesz uczciwej odpowiedzi, to nie. Ludzie ciągle odrywają kawałki papieru. Widzę, że jesteś w nastroju do stworzenia gigantycznej teorii spiskowej o zagięciu czasu i przestrzeni, podejrzewam jednak,; oderwałeś z kartki pasek, aby podłubać sobie w uszach.
- Gdybyś widziała tego kota, też zaniepokoiłabyś się stanem czasu i przestrzeni.
- Może powinieneś po prostu wyczyścić sobie soczewki kontaktowe.
- Nie mam soczewek kontaktowych.
- Może czas, abyś sobie sprawił.
- Zgoda, są chwile, kiedy moja wyobraźnia nieco przesadza. – Dirk westchnął. – Miałem ostatnio niewiele pracy. Interesy szły tak słabo, że sprawdzałem w książce branżowej, czy dobrze wydrukowali mój numer i dzwoniłem do siebie samego tylko po to, aby to sprawdzić. Kate?
- Tak?
- Gdybyś uznała, że wariuję, czy coś w tym stylu, powiedziałaśbyś mi o tym, prawda?
- Po to ma się przyjaciół.
- Naprawdę? Po to? Wiesz, często się nad tym zastanawiałem. Zapytałem dlatego, że kiedy dzwoniłem sam do siebie, to...
- Co?
- Odbierałem.
- Dirk, przyjacielu... potrzebujesz odpoczynku.
- Nic innego nie robię, tylko odpoczywam.
- Powinieneś więc popracować.
- Na pewno. Ale nad czym?
- Tego ci nie powiem. – Kate westchnęła. – Nikt nie jest w stanie ci niczego narzucić. W nic nigdy nie wierzysz, o ile sam do tego nie dojdiesz.

– Hmm... – mruknął Dirk i kolejny raz otworzył notes. – To naprawdę ciekawe...

## Rozdział 4

– Josh... – powiedział głos ze szwedzko – irlandzkim akcentem. Dirk zignorował go. Wypakowywał niewielką torbę z zakupami, chowając je po różnych kątach swej paskudnie oszpeconej kuchni. Głównie była to mrożona pizza, więc poszedł do maleńkiej zamrażarki wypełnionej głównie starymi, białymi, pokurczonymi obiektami, które zbyt się bał identyfikować.

– Jude – powiedział szwedzko-irlandzki głos.

– Nie pogarszaj sprawy – mruknął Dirk pod nosem. Włączył radio, by posłuchać wiadomości o szóstej. Mówiono w nich głównie o ponurych rzeczach. O zanieczyszczeniu środowiska, katastrofach, wojnach domowych, klęskach głodu itp., a jako premię dodano spekulacje, czy Ziemia zostanie uderzona przez wielką kometę, czy nie.

– Julian – powiedział blaszany szwedzko-irlandzki głos. Dirk pokręcił głową. Na pewno nie.

Temat komety rozszerzono: pojawiły się przeróżne opinie na temat tego, co właściwie ma się wydarzyć. Niektóre autorytety twierdziły, że siedemnastego czerwca uderzy w miasto Sheridan w stanie Wyoming. Naukowcy NASA twierdzili, że spali się w górnych warstwach atmosfery i nie dotrze do powierzchni Ziemi. Zespół hinduskich astronomów twierdził, że w ogóle minie Ziemię o kilka milionów kilometrów, po czym wpadnie w Słońce. Brytyjskie władze stwierdziły, że kometa zrobi to, co przewidzą Amerykanie.

– Julio – powiedział głos. Nie było odpowiedzi.

Dirk nie dosłyszał następnej rzeczy, jaką powiedziano w radiu, ponieważ zaczęła łopotać jego frontowa ściana. Ściana frontowa jego domu była obecnie zrobiona z wielkich, grubych płacht polietylenu, co miało związek z incydem sprzed kilku tygodni, kiedy to w radykalnym odstępstwie od zachowań, jakich świadkiem lubili być sąsiedzi Dirka, z frontowej ściany domu Dirka wyprysnął myśliwiec Tornado, po czym z rykiem spadł na Finsbury.

Istniało, oczywiście, stuprocentowo logiczne wyjaśnienie tego faktu, ale Dirk nie miał już ochoty go udzielać. To, że Dirk miał w korytarzu myśliwiec Tornado, wynikało z jego niewiedzy, iż jest to myśliwiec Tornado. Oczywiście, że tego nie wiedział. Jeśli chodziło o jego opinię, był to wielki i rozzłoszczony orzeł, którego zamknął w korytarzu tak samo, jak zrobiłby każdy, aby powstrzymać jego nieustanne ataki na siebie. To, że wielki myśliwiec Tornado na chwilę przybrał postać orła, wynikało z nieszczęśliwego spotkania w powietrzu z bogiem piorunów Thorem, legendarnym...

W tym momencie opowieści Dirk musiał nieco walczyć o zachowanie uwagi słuchaczy, którą miał – jeżeli pierwsze zadanie się udało – dalej nadwerężyć wyjaśnieniem, że bóg piorunów Thor

postanowił następnie opanować napad złości i naprawić szkody, przywracając Tornado do pierwotnego kształtu. Niestety, będąc bogiem, Thor myślał o wyższych, a przynajmniej innych sprawach i w odróżnieniu od zwykłego śmiertelnika, nie sprawdził, czy to odpowiedni moment. Zarządził, by coś nastąpiło i BUM – nastąpiło.

Dewastacja.

No i był problem ubezpieczeniowy jak cholera. Firmy asekuracyjne, które miały ze sprawą do czynienia, stwierdziły, że z wszelkich uzasadnionych powodów można stwierdzić, iż doszło do działania siły wyższej, boskiej. Dirk wysunął argument, że należy ustalić, o siłę jakiego boga chodzi. Wielka Brytania jest zgodnie z konstytucją chrześcijańskim państwem monoteistycznym, więc jakiegokolwiek „działanie boga”, zdefiniowane w dokumencie prawnym, musi dotyczyć anglikańskiego jegomościa z matowanego szkła, a nie może dotyczyć politeistycznego draba z Norwegii. I tak dalej.

Na razie dom Dirka – i tak nieszczęśliwie wspaniałe miejsce – został obstawiony rusztowaniami i obłożony polietylenem, a Dirk nie miał; pojęcia, czy kiedykolwiek będzie w stanie go naprawić. Jeżeli firma ubezpieczeniowa nie zapłaci – co wydawało się coraz prawdopodobniejsze w świetle strategii przyjętej w ostatnich latach przez firmy asekuracyjne, czyli jedynie reklamowania określonych usług zamiast ich świadczenia – Dirk będzie musiał... hm, nie bardzo wiedział co. Nie miał pieniędzy. Przynajmniej własnych. Miał trochę pieniędzy w banku, ale nie umiał powiedzieć, ile.

– Justin – zagał cichy głosik. Nie było odpowiedzi.

Dirk rzucił zamknięte wyciągi na kuchenny stół i popatrzył na nie z pogardą. Przez chwilę miał wrażenie, że koperty lekko drżą, a cała struktura czasu i przestrzeni zaczyna powoli wirować wokół niego, po czym jest wsysana w swój horyzont wydarzeń, prawdopodobnie jednak tylko to sobie wyobrażał.

– Karl. – Nic. – Karel. Keir. – Nic. Nic.

Dirk zrobił kawę, obszedł kuchnię najdłuższą drogą, aby nie znaleźć się zbyt blisko wyciągów z kont, które na razie udało mu się stłamsić. Patrząc pod pewnym kątem, można by strukturę całego jego dorosłego życia postrzegać jako działania służące unikaniu otwierania wyciągów z konta. Wyciągi z kont innych ludzi – to coś całkiem innego. Rzadko bywał bardziej szczęśliwy, niż mając okazję posiedzieć nad czyimiś wyciągami z kont: zawsze uważał je za barwne i treściwe – zwłaszcza jeżeli musiał otwierać koperty nad parą. Perspektywa otwarcia koperty z wyciągiem z własnego konta doprowadzała go jednak do białej gorączki.

– Keith – powiedział głos nosowo, z nadzieją. Nic.

– Kelvin. – Nic.

Dirk nalewał kawę najwolniej, jak umiał, dotarło bowiem do niego, że czas wreszcie nadszedł. Musi otworzyć wyciągi i dowiedzieć się najgorszego. Wybrał największy nóż i ruszył groźnie w kierunku kopert.

– Kendall. – Cisza.

W końcu zrobił to niemal nonszalancko, drobnym, sadystycznym ciach-ciach ruchem. Prawdę powiedziawszy, nawet mu się to spodobało, poczuł się modnie zły. W ciągu kilku sekund cztery koperty – jego historia finansowa z ostatnich czterech miesięcy – zostały otwarte. Dirk rozłożył zawartość przed sobą.

– Kendrick. – Nic.

– Kennedy. – Metaliczny głosik zaczynał mu działać na nerwy. Dirk popatrzył w róg pokoju. Wpatrywały się w niego zasmucone, przepelnione brakiem zrozumienia, oczy.

Kiedy Dirk wreszcie spojrział na liczby na dole ostatniej kartki, poczuł, jakby ciało zaczęło mu pływać. Gwałtownie wciągnął powietrze. Stół zaczął się giąć i falować. Dirk miał wrażenie, że dłonie losu uciskają mu barki. Wyobrażał sobie, że jest źle, przez ostatnie tygodnie tak naprawdę rzadko wyobrażał sobie co innego niż to, jak źle może być, nawet jednak w najgorszych myślach nie sądził, że może być aż tak źle.

W gardle działały mu się lepkie rzeczy. Niemożliwe, żeby miał 22000 funtów debetu. Odsunął krzesło i przez kilka chwil siedział bez ruchu, czując pulsowanie w środku. 22000 funtów...

Przez kuchnię szyderczo przepłynęło słowo „Kenneth”.

Zaczął szybko rekapitulować wszystkie wydatki, jakie pamiętał z ostatnich tygodni – złą koszulę, lekkomyślną balangę, dziki week-end na Wyspie Wight – i szybko doszedł do wniosku, że nie może się mylić. Nie mógł narobić 22000 debetu.

Wziął głęboki wdech i ponownie popatrzył na cyfry.

Nie zniknęły. 22347 funtów i 43 pency.

Musiał to być jakiś błąd. Straszny, okropny błąd. Istniało oczywiście prawdopodobieństwo, że to on go popełnił i po kolejnej chwili drżącego wpatrywania się w dokument nagle dotarło do niego, że faktycznie popełnił błąd.

Szukał liczby ujemnej, dlatego uznał, że na nią patrzy. W rzeczywistości miał na koncie 22347 funtów i 43 pency. Po stronie aktywów.

Aktywa...

Nigdy o czymś takim nie słyszał. Nawet nie wiedział, jak wyglądają. Nie rozpoznał stanu faktycznego. Powoli, starannie, jakby cyferki mogły spaść z kartki i zagubić się na podłodze, zaczął przeglądać kartki po kolei, by ustalić, skąd pieniądze się wzięły.

„Kenny”, „Kentigern” i „Kermit” przemknęły mu mimo uszu.

Natychmiast było jasne, że sumy wpływały regularnie – raz w tygodniu. Jak na razie siedem

wpłat. Ostatnia została zaksięgowana w miniony piątek, z tego dnia pochodził też ostatni wyciąg. Najdziwniejsze, że choć sumy pojawiały się regularnie, były za każdym razem inne. Zbliżone do siebie, ale nie takie same. W zeszły piątek wpłacono 3267 funtów 34 pensy. W czwartek przed tym (wszystkie wpłaty dokonywano pod koniec tygodnia, trzy w czwartki, cztery w piątki) 3232 funty 57 pensów. Tydzień wcześniej było 3319 funtów 14 pensów i tak dalej.

Dirk wstał i wziął głęboki wdech. Co się, do pioruna, działo? Miał wrażenie, że świat kręci się bardzo powoli w – o ile mógł to ocenić – kierunku przeciwnym do kierunku ruchu wskazówek zegara. Niejasno mu się przypominało, że kiedy ostatni raz pił tequilę, świat zaczął się powoli obracać w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek. Jeżeli miał być w stanie jasno myśleć, potrzebował więc tequili. Zaczął nerwowo szperać w szafce zastawionej zakurzonymi, wypitymi w dziewięćdziesięciu procentach butelkami rumu i whisky, w końcu jednak znalazł, czego szukał. Pół butelki meskalu. Nalał do filiżanki do herbaty płynu na palec i szybko powrócił do wyciągów, nagle ogarnięty paniką, że w czasie, kiedy nie patrzył, cyfry zniknęły.

Były w tym samym miejscu. Nieregularne, duże sumy, regularnie wpłacane. Znow zaczęło mu falować we wnętrzu głowy. Co to było? Odsetki, błędnie zaksięgowane na jego konto? Odsetki wyjaśniałyby wahania sum, w dalszym ciągu nie miało to jednak sensu, ponieważ tygodniowe odsetki w wysokości ponad 3000 funtów oznaczałyby sumę główną dwa albo trzy miliony funtów, a właściciele takich pieniędzy nie pozwalają na zawieruszanie się należnych im sum – zwłaszcza siedem tygodni z rzędu. Łyknął meskalu. Wódka przemaszerowała wokół jego ust, wymachując pięściami, zaczęła chwilę, po czym zaczęła mu rozwalać mózg.

Nie myślał racjonalnie. Problem polegał na tym, że to było jego konto, a zazwyczaj analizował konta innych ludzi. Ponieważ konto należało do niego, mógł zadzwonić do banku i zapytać. Pomijając, że w tej chwili bank był zamknięty. No i nachodziła go przerażająca wizja, że jeżeli zadzwoni do banku, odpowiedź będzie prosta: „Uppps, przepraszamy, pomyłka w numerze konta. Dziękujemy, że zwrócił nam pan uwagę. Jakie to głupie z naszej strony, uznać, że pieniądze należą do pana”. Zanim zapyta w banku, będzie musiał sam się dowiedzieć, co ma za pieniądze. Tak naprawdę, zanim zapyta, będzie musiał wyjąć te pieniądze z banku. Zanim zapyta, prawdopodobnie będzie musiał pojechać na Fidżi albo w podobne miejsce. Chyba że... a jeżeli pieniądze będą dalej przychodzić?

Kierując uwagę ponownie na dokumenty, zauważył coś, co byłoby oczywiste od razu, gdyby się tak nie denerwował. Przy każdym zapisie był kod. Celem kodu było informowanie, co oznacza wpis. Sprawdził kod. Proste. Każda wpłata docierała na jego konto przez przekaz zagraniczny.

Hmmm.

To by wyjaśniało wahania sum. Kursy wymiany walut. Jeżeli ta sama suma waluty zagranicznej był transferowana co tydzień, zmiany kursu sprawiały, że za każdym razem docierały nieco inne sumy w funtach. Mogłoby to też wyjaśniać, dlaczego pieniądze wpływały na konto w różne dni tygodnia. Choć międzynarodowy komputerowy przekaz pieniężny trwa sekundę, banki lubią grzebać się, ile wlezie, aby mamona przez chwilę krążyła po ich systemie, przynosząc im godny zysk.

Z jakiego kraju spływały pieniądze? I dlaczego?

– Kevin – powiedział szwedzko-irlandzki głosik. – Kieran.

– Zamknij się! – wrzasnął Dirk.

Sporokowało to reakcję. Leżący w koszyku w kącie pokoju, nieco zdezorientowany mały border terrier, z podnieceniem podniósł łebek i szczeknął z radości. Nie zareagował na żadne z imion, które z pliku zawierającego imiona dzieci recytował dość stary komputer, ale najwidoczniej spodobała mu się komenda, żeby się zamknął i czekał na więcej.

– Kimberly – powiedział komputer. Nic. Bezimienny pies wyglądał na rozczarowanego.

– Kirby.

– Kirk.

Pies powoli opadł do koszyka wyłożonego starymi gazetami i wrócił do poprzedniej postawy pełnego zakłopotania cierpienia. Stare gamety. Tego potrzebował Dirk.

Kilka godzin później miał odpowiedź, a przynajmniej coś w rodzaju odpowiedzi. Nic, co zaszłoby tak daleko, aby mieć jakikolwiek sens, ale wystarczyło, aby Dirk odczuł zachęcający przyływ podnieceniami udało mu się rozwiązać część łamigłówki. Nie wiedział, jak dużą. Na razie nie miał pojęcia, z jak dużą łamigłówką ma do czynienia, mniejszego pojęcia.

Zebrał reprezentatywną próbkę gazet z kilku ostatnich tygodni – z koszyka z psem, spod kanapy, spod łóżka, z okolicy łazienki i co najważniejsze, dwa wilgotne, ale pełnosprawne egzemplarze „Financial Times” od włóczęgi, z którym zamienił się na koc, trochę wina i egzemplarz *Pochodzenia świadomości w jutrzence dwuizbowego umysłu*. Wracając z małego parku, zastanawiał się, skąd tak dziwne żądanie włóczęgi, ale prawdopodobnie nie było wiele dziwniejsze od jego własnego. Stale coś mu przypominało, jak zaskakująco innym miejscem jest świat, obserwowany z miejsca przesuniętego o metr w lewo.

Korzystając z danych z gazet, udało mu się skonstruować mapę ruchów każdej głównej waluty świata w ciągu minionych tygodni oraz, dostrzec, jak się mają do fluktuacji sum wpłacanych co tydzień na jego konto. Rozwiązanie natychmiast było widoczne. Dolary amerykańskie. Dokładnie mówiąc, pięć tysięcy. Gdyby co tydzień przekazywano z USA do Wielkiej Brytanii 5000\$, docierałoby mniej więcej dokładnie tyle, o ile przyrastało jego konto. Eureka! Czas na uczczenie tego wyprawą do lodówki.

Dirk siedział przed telewizorem z trzema kawałkami zimnej pizzy i puszką piwa, miał do tego włączone radio i kompakt ZZ Top. Musiał pomyśleć.

Ktoś płacił mu co tydzień 5000\$, a robił to od siedmiu tygodni. Zdziwiająca informacja. Żuł pizzę. Nie tylko – płacił ktoś z Ameryki. Wziął kolejny kęs, bogaty w ser, pepperoni, ostrą, mieloną wołowinę, anchois i jajko. Nie spędził wiele czasu w Ameryce i nie znał tam nikogo – także nikogo na całej skorupie ziemskiej – kto nie proszony, ot tak sobie rzucałby w niego garściami baksów.

Przyszło mu coś do głowy, ale nie związanego z pieniędzmi. ZZ Top śpiewali o kolacjach przy

telewizji i kazało mu się to chwilę zastanowić nad trzymaną w ręku pizzą. Popatrzył na nią z nagłym zdziwieniem. Ser, pepperoni, ostra, mielona wołowina, anchois i jajko. Nic dziwnego, że miał niestrawność. Pozostałe trzy kawałki zjadł na śniadanie. Był od takiej kombinacji – prawdopodobnie jako jedyny człowiek na świecie – uzależniony, a kilka miesięcy temu poprzysiągł sobie, że ją rzuci, bo jego żołądek nie był już w stanie sobie z tym poradzić. Kiedy rano grzebał w lodówce, nie zastanawiał się, bo pizza była czymś, co człowiek lubi znajdować w lodówce. Nie wpadło mu do głowy spytać, kto ją tam włożył. Na pewno nie on.

Powoli, z niesmakiem, wyjął wpół przeżuty kawałek z ust. Nie wierzył w przynoszące pizzę wróżki.

Pozbył się ledwo zżutych, rozpaćkanych kawałków i przyjrzał się obu pozostałym kawałkom pizzy. Nie było w nich nic niezwykłego ani podejrzanego. Wyglądały dokładnie jak kawałki pizzy, którą jadał do czasu, aż postanowił przestać. Zadzwoił do pizzerii, w której zawsze się zaopatrywał i spytał, czy był u nich ktoś, kto kupował pizzę z tak specyficznym zestawem składników.

– Ach... ty jesteś tym gościem z *gastricciana*, tak? – spytał szef knajpki.

– Kim?

– Tak to nazywamy. Nie, stary, uwierz mi – nikt poza tobą nigdy nie życzył sobie tak wspaniałego zestawu.

Dirk poczuł się nieco rozczarowany pewnymi aspektami tej rozmowy, dał sobie jednak spokój. Z namysłem odłożył słuchawkę. Czuł, że dzieje się coś dziwnego i nie miał pojęcia, co to mogłoby być.

– Nikt nic nie wie.

Słowa te zwróciły jego uwagę i spojrzał w kierunku telewizora. Żwawy Kalifornijczyk w czymś w rodzaju hawajskiej koszuli, która w razie konieczności mogłaby zostać użyta jako płachta do oznakowania tratwy z rozbitkami, stał w jaskrawym słońcu i odpowiadał na pytania. Dirk od razu się domyślił, że chodziło o nadlatujący meteor. Facet nazywał meteor „Dziękujemy Państwu”.

– Dziękujemy Państwu? – spytał prowadzący wywiad kalifornijski korespondent BBC.

– Jasne. Mówimy na to: „Dziękujemy państwu”, ponieważ w cokolwiek trafi, będzie na to można powiedzieć: „Temu państwu dziękujemy”.

Kalifornijczyk szeroko się uśmiechnął.

– A więc twierdzi Pan, że uderzy?

– Powiedziałem, że nie wiem. Nikt tego nie wie.

– Tak, ale naukowcy z NASA twierdzą, że...



– NASA głównie wie – genialnie zrekapitulował Kalifornijczyk., – Nie mają o niczym pojęcia. Jeżeli my nic nie wiemy, oni tym bardziej. W Similar Engines mamy najpotężniejsze na Ziemi komputery; równoległe, więc kiedy mówię, że nic nie wiemy, to wiem, co mówię.! Wiemy, że nic nie wiemy i wiemy, dlaczego nic nie wiemy. NASA nawet tyle nie wie.

Następna wiadomość pochodziła także z Kalifornii, a dotyczyła mającej wielkie poparcie grupy lobbystycznej o nazwie Zielone Pędy. Ich poglądy streszczały się do tego, że świat umie dbać o siebie znacznie lepiej, niż my o niego dbamy, więc nie ma sensu wszystkiego dla niego ustalać ani próbować temperować nasze naturalne zachowanie. „Don't worry, be happy” – brzmiał ich slogan, cytujący tytuł popularnej piosenki.

„Great Balls of Fire” – pomyślał Dirk, cytując inny tytuł\*.

– Naukowcy w Australii – powiedział ktoś w radio – próbują uczyć kangury mowy.

Dirk uznał, że najbardziej potrzebuje kilku godzin dobrego snu.

\*

Rano sprawy nagle wyglądały wspaniale klarownie i prosto. Nie miał na nic odpowiedzi, ale wiedział, co robić. Kilka telefonów do banku pozwoliło ustalić, że prześledzenie źródła pochodzenia pieniędzy będzie niezwykle trudne, po części dlatego że jest to z natury skomplikowane, a po części dlatego że szybko stało się jasne, iż ten, kto mu płacił, podjął pewien wysiłek w celu zatarcia śladów – głównie jednak dlatego że urzędnik w banku, zajmujący się przekazami zagranicznymi, miał rozszczęp podniebienia.

Życie było zbyt krótkie, pogoda zbyt piękna, a świat zbyt pełen ciekawych i podniecających pułapek. Dirk postanowił pożegłować.

Życie, jak lubił sobie mówić, przypomina ocean. Można przebijać się przez nie jak łódź motorowa albo można podążać za wiatrami i prądami – innymi słowami – żegłować. Miał wiatr, ktoś mu płacił. Prawdopodobnie ów ktoś płacił za jakąś usługę, nie powiedział jednak, za co. Cóż, takie jest prawo klienta, Dirk miał jednak wrażenie, że powinien jakoś zareagować na to szczodre pragnienie płacenia mu – powinien coś zrobić. Tylko co? Cóż, był prywatnym detektywem, a tym, co robili prywatni detektywi, kiedy im płacono, było śledzenie ludzi. A więc to takie proste... Dirk będzie kogoś śledził. Oznaczało to, że musi znaleźć dobry prąd – kogoś do śledzenia. Tuż obok miał okno, za którym przemykał cały świat – no, przynajmniej kilka osób. Wybierze kogoś. Zaczął drzeć z podniecenia, że wreszcie dochodzenie ruszyło, a przynajmniej ruszy, kiedy następna osoba – nie, nie następna, ale... piąta osoba wyjdzie zza rogu po przeciwnej stronie ulicy. Od razu poczuł zadowolenie z tego, że postanowił wprowadzić krótki okres duchowego przygotowania się do działania. Niemal natychmiast zza rogu wyszedł numer jeden – wielka jak kołdra kobieta, ciągnąca za sobą opierające się numery dwa i trzy – własne dzieci, które strofowała i besztowała za każdym

krokiem. Dirk odetchnął z ulgą, że to nie będzie ona.

Stał z boku okna, milczał i czekał. Przez kilka minut nikt nie wyszedł z za rogu. Dirk obserwował, jak potężna kobieta wpycha dzieciaki do kiosku mimo ich zawodzeń, że chcą iść do domu oglądać telewizję. Po minucie lub dwóch babsztyl wypchnął dzieciaki z powrotem na słońce mimo ich zawodzeń, że chcą loda i komiks z sędzią Dreddem.

Odciągnęła latorośle w górę ulicy i po chwili scena zamarła.

Scena była trójkątna z powodu kąta, pod jakim zbiegały się dwie ulice. Dirk dopiero co wprowadził się do nowego biura – nowego dla niego, bowiem budynek był stary i zniszczony i stał nie tyle dzięki właściwej budynkom konstrukcyjnej spójności, a bardziej z przyzwyczajenia – ale wolał je znacznie bardziej od poprzedniego, które znajdowało się kilometry od czegokolwiek. W starym biurze mógłby czekać tydzień, aż pięć osób wyjdzie z za rogu.

Zjawił się numer cztery.

Był to listonosz z wózkiem do pchania. Kiedy Dirk zaczął pojmować, jak bardzo jego plan może nie wypalić, na czole pojawiła mu się kropelka potu.

I oto miał przed sobą numer piąty.

Numer pięć wszedł w pole widzenia niemal szarpnięciem. Zbliżał się do trzydziestki, był wysoki, miał jasnobrązowe włosy i był ubrany w czarną, skórzaną kurtkę, jaką w czasie wojny nosili piloci bombowców. Kiedy wychynął z za węgła, zatrzymał się i trwał przez chwilę w bezruchu. Rozejrzał się, jakby miał się z kimś spotkać. Dirk poruszył się, kiedy nagle z za rogu wyszedł numer sześć.

Numer sześć stanowił całkowicie odmienną ofertę – była to dość smakowicie wyglądająca kobieta, w dzinsach, z krótkimi, gęstymi czarnymi włosami. Dirk zaklął pod nosem i w duchu zastanowił się, czy zamiast pięć nie miał na myśli sześć. Nie – postanowienie było postanowieniem, a płacono mu mnóstwo pieniędzy. Wobec tego, kto płacił, miał obowiązek trzymać się umowy, której nie zawierali. Numer pięć w dalszym ciągu stał niezdecydowany na rogu i Dirk szybko zbiegł po schodach, aby rozpocząć pościg.

Kiedy otworzył splekane frontowe drzwi, stanął naprzeciwko numeru cztery – listonosza z wózkiem, który podał mu pliczek listów. Dirk wsadził je do kieszeni i wyszedł szybkim krokiem na ulicę, w wiosenne słońce.

Od jakiegoś czasu za nikim nie chadzał i stwierdził, że trochę stracił dryg. Ruszył tak entuzjastycznie za swoją zwierzyną, że – jak od razu zauważył – poruszał się zbyt szybko i wkrótce wyprzedziłby numer pięć. Zrobił to, przez kilka sekund stał dezorientowany, po czym odwrócił się i zaczął wracać w kierunku, z którego przyszedł, co spowodowało, że zderzył się ze ściganym. Dirk tak był speszony tym, że zetknął się fizycznie z osobą, za którą miał w niewidoczny sposób podążać, więc dla uniknięcia jakiegokolwiek podejrzenia wskoczył do przejeżdżającego autobusu i pojechał Rosebery Avenue.

Nie był to zbyt pomyślny początek. Usiadł na kilka sekund w autobusie, kompletnie zaskoczony własną niekompetencją. Płacono mu za to tygodniowo 5000\$. No, w pewnym sensie. Zaczął sobie uświadamiać, że ludzie nieco dziwnie mu się przyglądają. Choć nawet po części nie tak dziwnie, jak by patrzyli, wiedząc, co właśnie robi.

Odwrócił się i popatrzył na uciekającą do tyłu ulicę, zastanawiając się, jaki mógłby być następny dobry ruch. Normalnie, jeśli się kogoś śledzi, problem robi się, kiedy ten ktoś wskoczy niespodziewanie do autobusu, chyba jednak jeszcze większy pojawiał się w chwili, gdy wskoczyło się do autobusu samemu. Prawdopodobnie najlepszym rozwiązaniem byłoby wysiąść i spróbować wznowić pogoń, choć Dirk nie miał pojęcia, jak to zrobić w sposób, który nie wyglądałby podejrzanie. Ledwie autobus się zatrzymał, wyskoczył i zaczął wracać Rosebery Avenue. Nie zaszedł daleko, gdy zauważył swoją zwierzynę, idącą chodnikiem w jego kierunku. Dostrzegł, że udało mu się wybrać wyjątkowo pomocny i chętny do współpracy obiekt, lepszy, niż zasługiwał. Najwyższy czas wziąć się w garść i być nieco bardziej dyskretnym. Znajdował się blisko wejścia do małej kawiarenki, wsunął się więc szybko do środka. Stał przed kontuarem, udając, że waha się, którą kanapkę wybrać, aż miał wrażenie, że obiekt przeszedł.

Obiekt nie przeszedł. Obiekt wszedł do kawiarenki i stanął za nim przy kontuarze. Spanikowany Dirk zamówił bułkę z tuńczykiem i kukurydzą, czego nienawidził oraz cappuccino, które bardzo źle się komponuje z rybą i pospieszył usiąść przy jednym z maleńkich stoliczków. Najchętniej schowałby się głęboko za gazetą, nie miał jednak gazety, więc musiał się zasłonić listami. Udawał, że intensywnie je czyta. Miał przed sobą zwykle nedorzeczne i szaleńczo nadoptimistyczne oferty. Dziwaczne druki, jakie dostają prywatni detektywi – katalogi pełne maleńkich, elektronicznych gadżetów, mających na celu wzajemnie się zwalczać, reklamówki niezwyklej jakości materiałów fotograficznych oraz rewolucyjnych, nowych typów cienkich, plastikowych pasków. Dirk nie zamierzał marnować na to czasu, choć zatrzymał się chwilę nad ulotką reklamującą świeżo opublikowaną książkę o zaawansowanych technikach inwigilacji. Zmiał ją poirytowany i rzucił na podłogę.

Ostatnia koperta zawierała kolejny wyciąg z konta. Jego bank już dawno popadł w nawyk przysyłania mu ich co tydzień, tak naprawdę chyba tylko po to, aby cokolwiek robić. Jeszcze nie przystosowali się do jego połysku płynności finansowej albo mu nie ufali”. Prawdopodobnie wcale go nie zauważyli. Otworzył kopertę, cały czas z niewiarą.

Tak jest!

Kolejne 3253 funty 29 pensów. W zeszły piątek. Niesamowite. Niepojęte. Ale fakt to fakt.

Było jeszcze coś dziwnego. Dostrzeżenie tego zajęło mu chwilę, ponieważ jednym okiem fachowo spoglądał na obiekt, który kupił kawę i pączka, płacąc wachlarzem dwudziestek.

Ostatni zapis na wyciągu bankowym Dirka dotyczył podjęcia gotówki kartą bankomatową. 500 funtów. Wczoraj. Wyciąg najwyraźniej wysłano wczoraj pod koniec dnia pracy, dlatego informował o transakcji na bieżąco. Było to oczywiście znakomite, sprawne i stanowiło doskonały dowód skuteczności współczesnej technologii komputerowej, prawda była jednak taka, że Dirk nie podejmował wczoraj 500 funtów – ani żadnego dnia przedtem. Ktoś musiał mu ukraść kartę! Jasny

gwint! Sięgnął nerwowo po portfel.

Nie. Karta była na miejscu. Bezpieczna.

Zastanowił się. Nie był w stanie wyobrazić sobie żadnego sposobu, w jaki oszust mógłby pobrać pieniądze, nie będąc w posiadaniu karty. Żołądek ścisnęła mu nagle przerażająca myśl. Dostawał swoje wyciągi, prawda? Nerwowo posprawdzał dane. Tak jest – jego nazwisko, jego adres, numer jego konta. Poprzednie wyciągi sprawdzał wczoraj wieczór kilka razy. Wyciągi zdecydowanie dotyczyły jego konta. Problem w tym, że nie opisywały jego transakcji finansowych.

Nadszedł czas, aby skoncentrować się na pracy. Podniósł wzrok. Zwierzyna siedziała dwa stoliki dalej, cierpliwie żuła i gapiła się w niedaleką przestrzeń.

Po kilku chwilach numer pięć wstał, otrzepał skórzaną kurtkę z okruchów, odwrócił się i ruszył do drzwi. Chwilę przy nich postął, jakby zastanawiał się, w którą stronę się udać, po czy ruszył swobodnym krokiem w kierunku, w którym szedł przed wejściem do kawiarni. Dirk wsunął pocztę do kieszeni i spokojnie za nim podążył.

Szybko stało się jasne, że śledził dobry obiekt. Jasnobrązowe włosy mężczyzny działały w jasnym słońcu jak promień kierunkowy, więc za każdym razem, kiedy połykał go tłum, mijało kilka sekund i Dirk znów go widział, meandrującego leniwie po ulicy.

Dirk zastanawiał się, z czego mężczyzna żyje. Najwyraźniej nie miał zbyt wiele pracy – przynajmniej nie dziś. Przyjemny spacer przez Holborn w kierunku West Endu. Przez pół godziny zaglądał do kolejnych księgarń (Dirk zapisał tytuły książek, które zwierzyna przeglądała), zatrzymał się na (kolejną) kawę we włoskiej kawiarni, gdzie przejrzał egzemplarz „The Stage”\* (co prawdopodobnie wyjaśniało, dlaczego ma tyle wolnego czasu na zaglądanie do księgarń i włoskich kawiarni), po czym powoli, spokojnie przeszedł wokół Regens Parku, przeciął Camden i zaczął wracać do Islington. Dirk zaczął uważać śledzenie ludzi za dość sympatyczne zajęcie. Świeże powietrze, ruch fizyczny – pod koniec dnia miał tak znakomite samopoczucie, że ledwie stanął przed frontowymi drzwiami swego domu – choć raczej należałoby powiedzieć: płachtą polietylenu – od razu było dlań jasne, że pies ma na imię Kierkegaard.

## Rozdział 5

Rozwiązania niemal zawsze zjawiają się z kierunku, z którego najmniej się ich spodziewamy, co oznacza, że nie ma sensu próbować w tym kierunku spoglądać, bowiem nie zjawia się stamtąd.

O fakcie tym Dirk wspominał wielu ludziom i zrobił to ponownie – Kate, kiedy zadzwonił do niej wieczorem.

– Zaczekaj, zaczekaj, zaczekaj – powiedziała, próbując wcisnąć kilka słów w jego monolog

i poruszać nimi. – Chcesz mi powiedzieć, że...

– Chcę ci powiedzieć, że zmarły mąż kobiety, która zapomniała imienia swojego psa, był biografem.

– Ale...

– Wydaje mi się, że wiesz, iż biografowie często nazywają swoje zwierzątka imieniem tych, których biografię piszą.

– Nie wiem. Chciałam...

– To dlatego że chcą mieć na kogo się wydrzeć, kiedy mają dość. Człowiek spędza wiele godzin na przedzieraniu się przez kogoś, I koczę o teleologicznym zawieszeniu etyki czy czymś podobnym i czas sami musi mieć możliwość ryknięcia: „Zamknij się, Kierkegaard, na Boga!”. Po to jest pies.

– Dir...

– Niektórzy biografowie używają małych drewnianych ornamentów albo roślin doniczkowych, najczęściej jednak wolą coś, co może zacząć ujadać. Informacja zwrotna, rozumiesz? Mówiąc o tym, czy prawidłowo wyczuwam, że chcesz wypowiedzieć jakąś uwagę?

– Dirk, chcesz mi powiedzieć, że spędziłeś całe popołudnie na śledzeniu całkiem obcej osoby?

– Jak najbardziej. I zamierzam to samo powtórzyć jutro. Powiniennem bladym świtem przycupnąć gdzieś w pobliżu jego domu. No, przynajmniej świtem. Błady niepotrzebny. Jest aktorem!

– Mogą cię za to aresztować!

– Ryzyko zawodowe. Kate, dostaję za to pięć tysięcy dolarów tygodniowo. Trzeba być przygotowanym na...

– Ale nie całkiem obcą osobę!

– Ten, kto mnie zatrudnia, zna moje metody. Stosuję je.

– Nic nie wiesz o osobie, która cię zatrudnia!

– Wręcz przeciwnie – wiem bardzo dużo.

– No dobrze, jak ma na imię?

– Frank.

– Frank i jak dalej?

– Nie mam pojęcia. Posłuchaj, nie wiem, czy ma na imię Frank. Jego – albo jej – imię nie ma

jakiegokolwiek znaczenia. Sedno w tym, że ma problem. Jest poważny – inaczej nie płacono by mi tak wielkich pieniędzy za rozwiązanie go. Jest niewypowiedziany, inaczej by mi go określono. Ktokolwiek mnie zatrudnia, wie kim jestem, gdzie jestem i jak najlepiej się ze mną skontaktować.

– Może to tylko bank się pomylił. Wiem, trudno w to uwierzyć, ale...

– Kate, uważasz, że mówię bzdury, ale tak nie jest. Posłuchaj: w przeszłości, kiedy ludzie chcieli się nad czymś zastanowić, wpatrywali się godzinami w ogień. Albo w morze. Tańczące bez końca kształty i wzory sięgały znacznie głębiej w nasze umysły, niż bylibyśmy w stanie tego dokonać za pomocą rozsądku i logiki. Logika może wyjść jedynie z założeń i tez, których dokonaliśmy, kręcimy się więc w kółko i w kółko jak nakręcane samochodziki. Do puszczenia wodzy fantazji potrzebujemy tańczących konturów, w dzisiejszych czasach coraz trudniej je jednak znaleźć. Nie można się wpatrywać w kaloryfer. Nie można się wpatrywać w morze. To znaczy można, ale jest pokryte warstwą plastikowych butelek i zużytych prezerwatyw, człowiek siedzi więc i tylko głupieje. Musimy wpatrywać się w biały szum. W to, co czasami określamy mianem informacji, a co naprawdę jest jedynie unoszącym się w powietrzu bełkotem.

– Ale bez logiki...

– Logika jest potrzebna potem. Za jej pomocą odtwarzamy kroki, jakie przeszliśmy. Trzeba być mądrym po wydarzeniu. Przed wydarzeniem należy być bardzo głupim.

– Aha. Robisz to więc.

– Tak. Jeden problem już mam rozwiązany. Nie miałem pojęcia, jak długo zajmie mi ustalenie, że ten nieszczęsny pies nazywa się Kierkegaard. Jedynie bardzo szczęśliwy przypadek chciał, że obiekt mojej inwigilacji przypadkiem wziął do ręki biografię Kierkegaarda, została ona napisana – jak odkryłem, przeglądając ją – przez człowieka, który rzucił się z dźwigu z owiniętą wokół nóg gumą.

– Ale te dwie sprawy nie mają ze sobą żadnego związku.

– Wspominałem ci, że wierzę, iż u swoich podstaw wszystkie sprawy są ze sobą powiązane? Chyba tak.

– Wspominałeś.

– Dlatego zanim zacznę się przygotowywać do jutrzejszej wyprawy, muszę ruszyć na badanie innych książek, którymi się interesowałem.

– Słyszę, że ze smutkiem i konsternacją kręcisz głową. Nie martw się. Wszystko elegancko wymyka się spod kontroli.

– Jeśli tak uważasz... a tak poza tym, co oznacza słowo „aproksymatywny”?

– Nie mam pojęcia – z napięciem stwierdził Dirk. – Ale zamierzam się dowiedzieć.

Następnego dnia pogoda była tak zła, że ledwie zasługiwała na swoją nazwę i Dirk postanowił mówić na nią Stanley.

Stanley nie był dobrą ulewą. Jeśli chodzi o oczyszczenie powietrza, nie można mieć nic przeciwko dobrej ulewie, ale Stanley był tym, do czego potrzeba dobrej ulewy, aby oczyściła powietrze. Stanley był parny, duszny i przytłaczający, jakby ktoś wielki i spocony przyciskał się do człowieka w metrze. Stanley nie padał, jedynie raz za razem mżył człowiekowi na głowę.

Dirk stał w Stanleyu.

Aktor kazał mu czekać na siebie już od mniej więcej godziny i Dirk zaczął żałować, że nie posłuchał swej opinii, iż aktorzy nigdy rano nie wstają. Zamiast tego pojawił się dość zwawo przed domem aktora mniej więcej wpół do dziewiątej i od godziny czekał za drzewem.

Teraz to już niemal od półtorej godziny. Na chwilę się podniecił, kiedy zjawił się kurier na motocyklu i dostarczył paczuszkę, ale na tym był koniec. Dirk czyhał mniej więcej dwadzieścia metrów od drzwi domu aktora.

Incydent z przybyciem kuriera motocyklowego nieco go zaskoczył. Aktor nie wyglądał na dobrze prosperującego. Wyglądał na człowieka, który ciągle jest w pukającej-do-różnych-drzwi fazie kariery, a nie w fazie przywożenia-scenariuszy-do-domu.

Czas się włókł. Dirk dwa razy przeczytał przyniesiony zbiór gazet i kilka razy przejrzał zawartość portfela oraz kieszeni; był tam zwykły zestaw wizytówek ludzi, których nie pamiętał, nieczytelne numery telefonów na kawałkach papieru, karty kredytowe, książeczka czekowa, paszport (kiedy wczoraj jego zwierzyna zatrzymała się na dłużej przy oknie agenta biura podróży, nagle przypomniał sobie, że zostawił go w innej marynarce), szczoteczka do zębów (nigdy nie podróżował bez szczoteczki do zębów, w efekcie czego była całkowicie bezużyteczna) i notes.

W jednej z gazet skonsultował nawet swój horoskop – napisany przez jego podejrzaną konduity przyjaciela, który bez skrupułów pisał pod nazwiskiem Wielki Zaganza. Najpierw obejrzał kilka horoskopów dla innych znaków, aby się zorientować, w jakim nastroju był WZ. Na pierwszy rzut oka ocenił go na spokojny. „Twoja zdolność patrzenia na sprawy z perspektywy pomoże Ci pokonać kilka drobnych trudności, kiedy Merkury...”, „Minione tygodnie nadwerężyły Twoją cierpliwość, ale nowe możliwości zaczną się pojawiać, kiedy Słońce...”, „Nie pozwól innym wykorzystywać swojej łagodnej natury. Zdecydowanie będzie konieczne, zwłaszcza gdy...”. Nudny bełkot. Przeczytał własny horoskop. „Spotkasz dziś trzytonowego nosorożca imieniem Desmond”.

Dirk zamknął gazetę z irytacją i w tym momencie nagle otworzyły się drzwi. Pojawił się aktor. Zdawał się mieć konkretny cel. Niósł aktówkę, na ramieniu wisiała mu torba, w rękę trzymał płaszcz. Coś się działo. Dirk popatrzył na zegarek. Trzy po dziesiątej. Zrobił szybko notatkę. Jego puls przyspieszył.

Zbliżała się taksówka. Aktor machnął na nią. Cholera! Coś tak prostego! Zaraz odjedzie. Aktor wsiadł do taksówki, która po chwili minęła Dirka. Dirk odwrócił się, by za nią popatrzeć i ujrzał, że aktor wygląda przez tylną szybę. Dirk bezradnie się gapił to w jedną, to w drugą stronę w cichej nadziei, że...

Zakrawało to na cud, ale w głębi ulicy pojawiła się druga taksówka. Jechała w jego kierunku. Dirk wyrzucił rękę i samochód zatrzymał się obok niego.

– Za tamtą taksówką! – wykrzyknął Dirk, wsiadając.

– Jestem taksówkarzem od dwudziestu lat – stwierdził złotowa, włączając się do ruchu – i jeszcze nigdy nikt mi tego nie powiedział. – Dirk przycupnął na skraju kanapy i przyglądał się taksówce przed nimi, przepychającej się przez powolnie sunący, męczący ścisk porannego londyńskiego szczytu. – Dla pana to może nic, ale w sumie to ciekawe, nie?

– Co? – spytał Dirk.

– W telewizorni, za każdym razem, jak ktoś wskakuje do taryfy, zawsze krzyczy: „Za tamtą taksówką!”.

– Naprawdę? Nie zwróciłem uwagi.

– Nic dziwnego. Nie robi pan na taryfie. To, na co zwracamy uwagę, zależy od tego, kim jesteśmy. Kiedy jest się taryfiarzem, w telewizorni zwraca się uwagę na taryfy. Patrzy się, do czego są taryfy. Rozumiesz pan?

– Eee... pewnie.

– Tyle że w telewizorni nigdy nie widzi się taryf. Widać tylko ludzi z tyłu taryfy. Jakby taryfy nie były ciekawe.

– Eee... chyba tak. Widzi pan taksówkę, którą mamy śledzić?

– Jasne, jadę za nią. No więc taryfiarza widuje się jedynie wtedy, kiedy klient coś do niego powie. Wie pan, co to zawsze jest?

– Niech zgadnę – stwierdził Dirk. – Za tamtą taksówką?

– Otóż to. Więc jakby wierzyć temu, co się ogląda w telewizorni, to taryfy nic, tylko śledzą inne taryfy.

– Hmmm – mruknął Dirk z powątpiewaniem.

– Co stawia mnie w bardzo dziwnej pozycji, no bo mnie jeszcze nikt nigdy nie poprosił, żebym jechał za jakąś taryfą. Prowadzi to w sposób nieunikniony do wniosku, że muszę być taryfiarzem, którego śledzą wszyscy inni taryfiarze... – Dirk wyjrzał przez okno, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma jakiejś taksówki, do której mógłby się przesiąść. – Nie mówię, że tak jest, ale rozumie pan, że



ktoś mógłby tak sobie pomyśleć, nie? Potęga mediów, co nie?

– Był serial telewizyjny o kierowcach taksówek. Jeśli dobrze pamiętam, nazywał się *Taxi*.

– Nie o tym mówię – stwierdził taksówkarz. – Mówię o władzy, jaką mają media w wybiórczym skrzywianiu rzeczywistości. O tym mówię. Kiedy przyjdzie co do czego, każdy z nas żyje we własnej, odmiennej rzeczywistości, prawda, kiedy przyjdzie co do czego...

– Hm... no cóż... chyba ma pan w samej rzeczy rację – odparł Dirk, któremu zdążyło się zrobić bardzo nieswojo.

– Weźmy te kangury, które próbują nauczyć mówić. O czym będziemy z nimi gadać? Co im powiemy? „Hej, cześć, jak leci skakanie?” „Nie narzekam, choć ta kieszeń, którą mam z przodu, sprawia trochę problemów, zawsze w niej pełno kłaków i spinaczy do papieru”. Nic z tego nie będzie. Te kangury mają mózdzki wielkości orzecha włoskiego. Żyją w całkiem innym świecie. Będzie z nimi tak, jakby próbować rozmawiać z Johnem Selwynem Gummerem\*. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Widzi pan taksówkę, za którą jedziemy?

– Jak na dłoni. Pewnie będziemy na miejscu pierwsi. Dirk zmarszczył czoło.

– Gdzie będziemy przed nim?

– Heathrow.

– Skąd pan wie, że jedzie na Heathrow?

– Każdy taryfiarz wie, kiedy inny taryfiarz jedzie na Heathrow.

– Skąd?

– Patrzy się na znaki. No, są pewne oczywiste rzeczy – na przykład to, że klient ma bagaż, ale przede wszystkim chodzi o trasę. To proste, no, choć może też jechać do przyjaciół do Hammersmith. Moim skromnym zdaniem klient nie wsiadał jednak jak ktoś, kto wybiera się do przyjaciół w Hammersmith. Na co się jeszcze patrzy? Aby to wiedzieć, trzeba być taryfiarzem. Normalne życie taryfiarza to masa drobiazgów tu i tam. Nie wiadomo z minuty na minutę, co się wydarzy, jaką się załapie robotę, jaki będzie dzień. Człowiek bez przerwy krąży wokół. Jeśli dostaje się klienta do Heathrow, ma się z głowy. Dobry porządny kurs, dobra zapłata, potem stoi się jakąś godzinę w kolejce i ma się następny porządny kurs do miasta. Całe przedpołudnie zajęte. Człowiek jedzie całkiem inaczej. Zachowuje się bardziej ekstrawagancko na ulicy, ścina zakręty. Jedzie się jak król. Ma się cel. Mówimy na to „Skok na Heathrow”. Każdy taryfiarz od razu to zauważy.

– Hmm... ciekawe.

– To, co zauważamy, zależy od tego, kim jesteśmy.

– Nie wie pan przypadkiem, który lot weźmie? – spytał Dirk.

– Kim ja, pana zdaniem jestem? Zakichanym prywatnym detektywem?

Dirk opadł na kanapę i zamyślony wyglądał przez okno.

## Rozdział 7

To, co sprawia, że ludzie w taki właśnie sposób mówią, musi być chorobą, a powinno się mniej więcej nazywać „zespół samolotowego stresu sylabowego”. Choroba ta rozpoczyna się na wysokości około 3000 metrów, po czym im wyżej, tym staje się bardziej – jeżeli można w tym kontekście użyć tego określenia – wyrazista, aż przy wysokości 10000 metrów osiąga stadium mówienia kompletnych nonsensów, ale objawy przestają się nasilać. Sprawia ona, że racjonalnie myślący ludzie mówią zdania w stylu: „Kapitan właśnie zgasił napis, że trzeba mieć zapięte pasy” – jakby zaraz miał skądś wyskoczyć ktoś, kto zechce zaprzeczyć, iż kapitan coś takiego zrobił, spróbuje zakwestionować, że kapitan to kapitan, a nie oszust i stwierdzi, że w samolocie nie ma mnóstwa podłego gatunku napisów o zapinaniu pasów, więc kapitan nie ma się czym bawić.

Kolejną rzeczą, jaka przyszła Dirkowi do głowy, kiedy siadał w fotelu, było to, jak dziwną zbieżnością jest, że z zewnątrz samolot wygląda jak odkurzacz, a od wewnątrz pachnie jak wnętrze odkurzacza.

Wziął od stewardesy kieliszek szampana. Podejrzewał, że większość słów używanych przez załogi samolotów, choć raczej większość zdań, w jakie układają słowa, tak ciężko pracowała, aż umarła. Dziwaczne akcentowanie, z jakim stewardesy wałą zdania, przypominają elektrowstrząsy zadawane ofiarom zawałów serca w celu ich ożywienia.

No cóż.

Dziwne i skomplikowane półtorej godziny to było. Dirk w dalszym ciągu nie był pewien, czy gdzieś, w którymś momencie coś paskudnie źle nie poszło i miał wielką ochotę – zwłaszcza teraz, kiedy kapitan zgasił napis o konieczności zapięcia pasów – przejść się po samolocie i rzucić okiem na swoją zwierzynę. Ponieważ jednak przez jeszcze jakiś czas nikt na pewno nie miał się dosięść do samolotu ani z niego wysiąść, Dirk uznał, że prawdopodobnie mądrzej będzie jeszcze godzinę się powstrzymać. A może dłużej. W końcu lot do Los Angeles miał potrwać jedenaście godzin.

Nie spodziewał się znaleźć dziś w Chicago i widok zwierzyny, stojącej w kolejce do odprawy lotu o 13.30 do Chicago sprawił, że lekko się zachwiał. Postanowienie było jednak postanowieniem, więc po krótkiej chwili, aby upewnić się, że zwierzyna nie podeszła do stanowiska odpraw, aby zapytać, jak dojść do sklepu z krawatami, Dirk, któremu lekko kręciło się w głowie, podszedł do okienka z biletami i klasnął kartą.

Przytłoczony nagłą płynnością finansową, kupił bilet w klasie biznesowej. Jego anonimowy pracodawca najoczywiściej nie był człowiekiem, który miałby coś przeciwko kilku drobnym wydatkom. A jeżeli zwierzyzna też będzie lecieć biznes-klasą? Siedząc w ogonie samolotu, Dirk nie miałby możliwości pilnowania aktora. Był to niemal argument za lotem pierwszą klasą, ale Dirk – choć niechętnie – przyznał wobec siebie samego, że nie jest on rozsądny.

Półtorej godziny po starcie Dirk zaczął się dziwić. Jako pasażerowi klasy biznesowej odmówiono mu dostępu do znajdującej się na dziobie klasy pierwszej, wszędzie indziej mógł jednak chodzić swobodnie. Przeszedł już swobodnie po trzy razy każdym przejściem między rzędami foteli, ukradkowo oglądając przy tym każde drzwi do toalety, nigdzie jednak nie dostrzegł swojej zwierzyny. Wrócił na miejsce i zaczął rozważać sytuację. Albo zwierzyzna była w kabine pierwszej klasy, albo nie było jej na pokładzie.

Pierwsza klasa? Nie wyglądał na takiego. Kosztowałyby go to tyle, co kilka miesięcy czynszu. Ale kto wie? Może ściągnął na siebie uwagę hollywoodzkiego dyrektora castingu, który sprowadzał go na zdjęcia próbne. Dostanie się do pierwszej klasy i rozejrzenie tam nie byłoby trudne, niełatwo byłoby to jednak zrobić, nie zwracając na siebie uwagi.

Nie na pokładzie? Dirk widział go, jak idzie do kontroli paszportowej był jednak taki moment, kiedy aktor nagle się rozejrzał i Dirk musiał się schować w księgarni.

Kilka sekund później, kiedy Dirk znowu spojrzął, zwierzyzna poszła – jak Dirk założył – do kontroli paszportowej. Dirk postarał się zachować odpowiedni dystans, kupił kilka gazet i książek, po czym sam przeszedł przez kontrolę paszportową do strefy odlotów.

Nieszczególnie zaskoczyło go, że nigdzie nie widzi swojej zwierzyny – strefa odlotów była lśniącym labiryntem bezsensownych sklepów, kawiarni i saloników; Dirk uznał, że nic nie da bieganie wokół i szukanie. Odnajdą się w samolocie.

Nie na pokładzie? Dirk siedział sztywny. Cofając się myślą, musiał przyznać, że ostatni raz widział zwierzynę chwilę przed kontrolą paszportową, a wszystko inne opierało się na założeniu, że zwierzyzna robi to, co zdaniem Dirka powinna zrobić. Musiał przyznać, że było to dość ryzykowne założenie. Poczł na karku ciąg zimnego powietrza – leciało z dyszy nad jego głową.

Wczoraj, śledząc tego człowieka, niefachowo wsiadł do autobusu. Dziś niepotrzebnie wsiadł do samolotu do Chicago. Położył dłoń na czole i zadał sobie pytanie, na ile był naprawdę dobry jako prywatny detektyw.

Wezwał stewardesę, zamówił szklaneczkę whisky i pieścił ją, jakby była chora. Po jakimś czasie sięgnął do torby z książkami i gazetami. Nic się nie stanie, jeżeli zabije czas. Westchnął. Wyjął z torby coś, czego chyba tam nie wkładał.

Była to już otwarta paczka kurierska. Podczas gdy czoło Dirka powoli się marszczyło, wyjął zawartość paczki. Była to książka. Ze zdziwieniem obrócił ją w rękach. Tytuł brzmiał: *Zaawansowane techniki inwigilacji*. Przypomniał sobie książkę. Wczoraj miał w poczcie jej reklamówkę. Zmiał ją i rzucił na podłogę. Między stronami książki tkwiła ta właśnie ulotka –

starannie wygładzona. Ze złymi przeczuciami Dirk powoli ją otworzył. W poprzek napisano flamastrem – piśmem, które wydało mu się nieco znajome – „BON VOYAGE!”. Stewardesa pochyliła się nad nim.

– Dolać panu?

## Rozdział 8

Słońce stało wysoko nad dalekim Pacyfikiem. Dzień był jasny, niebo błękitne i bezchmurne, a powietrze – jeżeli lubiło się zapach spalonej wykładziny dywanowej – idealne. Los Angeles. Miasto, w którym nigdy nie byłem.

Z zachodniej części Beverly Hills eleganckimi (o ile dobrze zrozumiałem) zakrętami Sunset Boulevard wyjechał samochód, błękitny kabriolet, smukły i budzący pożądanie. Każdy na widok takiego samochodu by go pożądał. Oczywiście. Został tak zaprojektowany, aby go pożądać. Gdyby okazało się, że ludzie nie bardzo chcieliby wejść w jego posiadanie, projektanci przeprojektowywaliby go tak długo, aż osiągnęliby cel. Świat jest teraz pełen podobnych rzeczy i to właśnie jest oczywiście powodem, dlaczego wszyscy są nieustannie w stanie pożądliwości.

Prowadziła kobieta, a zapewniam, że była piękna. Jej delikatne, ciemne włosy obcięte na pazia, mierzwił wiatr. Opowiedziałbym, jak była ubrana, ale jestem bardzo kiepski w sprawach ubrań i gdybym zaczął opowiadać, że to było od Armaniego, a tamto od jakiejś – tam Farhi, instynktownie byście wyczuli, że oszukuję, a ponieważ zadajecie sobie trud przeczytania, co napisałem, zamierzam was traktować z szacunkiem, nawet jeśli czasami, w dobrej intencji, was okłamuję. Powiem więc jedynie tyle, że ubranie, jakie miała na sobie kobieta, należało do rodzaju tych, którym ktoś znający się na ubraniach znacznie lepiej ode mnie bardzo by się zachwycił i było granatowe. Nad kobietą wznosiły się niemożliwie wysokie palmy, milczący Meksykanie krążyli po niemożliwie doskonałych trawnikach.

Otworzyły się bramy Bel Air – a za nimi doskonałe domy, otoczone doskonałymi kępami krzewów. Widziałem te domy w telewizji i nawet ja, sceptyczny i sarkastyczny ja, poczułem, że naprawdę, naprawdę chcę mieć któryś z nich. Na szczęście to, co mówią do siebie ludzie mieszkający w takich domach, sprawia, że chichoczę, aż herbata tryska mi nosem, więc chwila minęła.

Smukły, godny pożądania kabriolet podjeżdżał. Wiem, że na granicy Bel Air i Brentwood są światła uliczne – właśnie zamieniły się na czerwone. Samochód stanął. Kobieta potrząsnęła głową i patrząc w lusterko, poprawiła okulary. Kiedy to robiła, zauważyła w lusterku szybki ruch. Z cienia obok drogi cicho wychynęła mała, ciemnowłosa postać, która szybko obeszła samochód od tyłu. Chwilę później postać pochyliła się nad kobietą i celowała jej w twarz z niewielkiego pistolecika. O broni ręcznej wiem jeszcze mniej niż o ubraniach. W Los Angeles zachowywałem się beznadziejnie. Śmiano się nie tylko z braku mojego wyczucia dla strojów, ale także z żalostnego braku

umiejętności odróżnienia magnum 38 od walthera PPK czy nawet – na Boga! – od derringera. Wiem jednak na pewno, że pistolet był granatowy, przynajmniej czarnogranatowy, a kobieta przerażona tym, że broń jest skierowana z odległości niecałych dwóch centymetrów prosto w jej lewe oko. Napastnik dał do zrozumienia, że nadszedł doskonały moment, aby opuściła zajmowany fotel i nie, niech nie zabiera kluczyków ani nawet nie próbuje łapać torebki leżącej na prawym siedzeniu, a jedynie zachowa spokój, porusza się bardzo powoli, spokojnie i niech wypieprza z wozu.

Kobieta próbowała zachować spokój, poruszać się bardzo powoli i spokojnie, przeszkadzał jej jednak fakt, że trzęsła się w niemożliwy do opanowania sposób z powodu pistoletu podskakującego dwa centymetry od jej twarzy niczym jętką w lecie. Udało jej się jednak wypieprzyć z samochodu. Stała na środku ulicy, podczas gdy złodziej wskoczył do środka, w akcie triumfu zawył krótko silnikiem, po czym pomknął Sunset Boulevard, skręcił za róg i zniknął. Kobieta bezradnie, w udręce kręciła się wokół własnej osi. Jej świat nagle przewrócił się do góry nogami, wypadła z niego i nagle, całkowicie nieoczekiwanie, stała się członkiem grupy najbardziej bezradnych w Los Angeles ludzi – pieszym.

Spróbowała machać na przejeżdżające samochody, kierowcy grzecznie ją jednak objeżdżali. Jednym z samochodów był mustang cabrio z głośno grającym radiem. Z ogromną przyjemnością bym stwierdził, że było nastawione na stację ze starymi przebojami i waliły z niego akurat słowa: „I jak to jesssst? I jak to jesssst?”, ale nawet fikcja literacka ma swoje granice. Fakt, była to stacja nadająca stare przeboje, ale szła właśnie *Sunday Girl* w wykonaniu Blondie, co nijak nie było na miejscu, bowiem był czwartek. Co mogła zrobić?

Kolejne doskonałe przestępstwo. Kolejny doskonały dzień w Mieście Aniołów. I tylko jedno małe kłamstwo.

Wybaczcie mi.

## Rozdział 9

Jeżeli istnieje w Anglii paskudniejszy budynek niż Ranting Manor, to go nie widziałem. Musi się gdzieś chować, a nie – jak Ranting Manor – rozwalać pośrodku dziesiątków hektarów pagórkowatego parku. Pierwotnie posiadłość obejmowała znacznie większą liczbę hektarów i była dumą Oxfordshire, jednak pokolenia syfilistycznego debilizmu i zidiocenia zredukowały ją do dzisiejszego, podupadającego stanu – źle utrzymanej zbieraniny drzew, pól i łąk zaśmieconych skutkami licznych nieudanych prób zdobycia pieniędzy za pomocą działań, które wydały się nie wiadomo komu dobrym pomysłem: resztkami opuszczonego wesołego miasteczka, swego czasu dobrze zaopatrzonego zoo, oraz – nieco świeższej proveniencji – niewielkim kompleksem biznesowym dla firm zajmujących się najnowszymi technologiami, którego jedynym lokatorem była w tym momencie schodząca na psy firma produkująca gry komputerowe, porzucona przez amerykańskiego rodzica i uważana za jedyny twór tego typu na świecie, który przynosi straty. W Ranting Manor można by znaleźć złożę ropy naftowej o wielkości miliarda baryłek i z dużym

prawdopodobieństwem dałoby się zagwarantować, że w ciągu kilku lat zacznie przynosić straty, a dla utrzymania działalności rodzina będzie musiała sprzedać familijną cynę. Srebra rodzinne oczywiście już dawno temu się rozeszły – wraz z większością rodziny. Choroby, alkohol, narkotyki, imbecylizm seksualny i źle utrzymane pojazdy złożyły się na wycięcie straszliwych ran w szeregach Rantingów i zredukowały ich niemal do zera.

Ile historii chciałbyś poznać? Może bardzo mało. Sama rezydencja sięga XIII stulecia – no, przynajmniej jej fragmenty. Jest to wszystko, co pozostało z dawnego klasztoru zamieszkiwanego w ciągu kilku wieków, czy coś w tym stylu, przez pobożny zakon kaligrafów i pederastów. Potem łapska położył na klasztorze Henryk VIII i w podzięce za wyjątkowo lojalne łotrostwo przekazał posiadłość dworskiemu draniowi Johnowi Rantingowi. Ranting zburzył klasztor i zbudował nowy budynek wedle własnego gustu, co jak wiemy na podstawie tego, że architekci epoki Tudorów znali się na tym, co robia, musiało być bardzo przyjemne. Były mocne belki, ładne tynki i wprawiane w ołów okna, w sumie wszystkie elementy, które obecnie tak bardzo cenimy, ale których niestety nie cenili potomkowie Johna Rantinga – zwłaszcza wiktoriański magnat gumy Sir Percy Ranting, który w latach sześćdziesiątych XIX wieku zburzył większą część budynku i przebudował go na domek myśliwski. Te wiktoriańskie „domki myśliwskie” powstawały, ponieważ od ówczesnych niezwykle bogatych kupców oczekiwano, aby nie demonstrowali publicznie swoich penisów – w zamian za to bezlitośnie gwałcono olbrzymie połacie pięknych i nietkniętych wiejskich terenów Anglii. Wbijano w nie wielkie, jakby wzdęte, rudoczerwone budynki z olbrzymimi salami balowymi, wielkimi, zakręcającymi schodami i tyloma wieżyczkami oraz blankami, co niejeden dom publiczny.

W kategoriach estetycznych XIX wiek był dla Ranting Manor katastrofalny, zaraz jednak po nim zjawiał się rach-ciach wiek XX, ze wszystkimi teoriami architektonicznymi i podwójnym szkleniem. Głównymi dodatkami tego okresu były – w latach trzydziestych – wielka sala bilardowa w stylu nazistowskim, a w latach sześćdziesiątych kryty basen wyłożony pomarańczowymi i fioletowymi kafelkami, do których obecnie dołączyły najróżniejsze wykwity jaskrawo zabarwionych grzybów.

Tym, co łączy tak różne style, jest ogólna atmosfera wilgoci i rozkładu oraz poczucie, że gdyby jakiś obywatel o dużym poczuciu społecznym spróbował to miejsce podpalić, zgąsłoby samo jeszcze przed przybyciem straży pożarnej. Co jeszcze? Aha. W tym domu straszy.

Dość o nieszczęsnym budynku.

Okolo wpół do jedenastej wieczorem, czyli mniej więcej w tym samym czasie, kiedy skradziono samochód na Sunset Boulevard, ze zgrzytem otworzyła się mała furtka w otaczającym posiadłość ogrodzeniu. Główne, żeliwne bramy posiadłości trzymane w nocy zamknięte, ale bocznej furtki zazwyczaj nie ryglowano. Reputacja miejsca niezdrowego i niemiłego zazwyczaj wystarczała, aby odstraszyć intruzów. Stary szyld na głównej bramie ostrzegał: „UWAGA PIES”, ktoś dopisał na dole: „Dlaczego szczególnie podkreślacie psa?”.

Przez furtkę przeszli wielki pies i mały człowiek. Szli, wyraźnie utykając. Pies kulał na lewą przednią nogę, mężczyzna na prawą, choć nie było to do końca prawdą, bowiem nie miał prawej nogi. Nie miał jej od kolana w dół. Zamiast na prawą nogę, kulał na drewnianą protezę, ponad dwa

centymetry dłuższą od lewej nogi, co sprawiało, że poruszanie się było dla niego nie tylko trudne, ale wręcz stanowiło ciężką próbę.

Noc była pochmurna. Księżyc wisiał na niebie – przynajmniej jego połowa – ale większą część spowijały chmury. Obie mroczne postacie zgodnie kuśtykały podjazdem, przypominając z daleka dziecięcą zabawkę na poruszających się krzywo kółkach. Szły w kierunku domu najdalszą drogą. Wiła się ona okrężnie przez posiadłość, mijając niektóre z nieudanych lub właśnie podupadających lokalnych przedsięwzięć.

Pies cicho poszczeniwał i mruczał, aż pan sztywno się pochylił i odpiął go ze smyczy, na co zwierzę wydało z siebie szorstkie zadowolone warknięcie, zrobiło kilka szybkich kroków do przodu, po czym powróciło do kuśtykania w jednym rytmie ze swoim panem, idącym teraz dwa metry z tyłu. Od czasu do czasu pies oglądał się, by sprawdzić, czy pan cały czas idzie za nim, czy wszystko jest w porządku i nic znikąd nie wyskoczy, by się na nich rzucić.

Sunąc w ten sposób, powoli pokonali szeroki zakręt podjazdu. Mimo przyjemnej temperatury, jaka panowała tego wieczoru, mężczyzna kulił się w długim, ciemnym płaszczu. Po kilku minutach minęli znajdujące się z lewej strony wejście do zoo, które tak wydrenowało ograniczone środki posiadłości. Przebywało tu niewiele zwierząt: kilka kóz, kurczak i kapibara, największy gryzoń świata. Obecnie w zoo przebywało także specjalne zwierzę gościnne, które znalazło tu schronienie na czas przebudowy jego zwykłego domu w zoo w Chatsfield. Desmond – zwierzę miało na imię Desmond – przebywał dopiero od kilku tygodni, jego obecność, a nie było w tym nic zaskakującego, spowodowała już jednak nieco zamieszania w Little Ranting.

Kiedy mężczyzna i jego pies minęli wejście do zoo, na chwilę stanęli, po czym odwrócili się i znów na nie popatrzyli. Niska, drewniana brama, która o tej porze powinna być zamknięta i zabezpieczona, stała otworem. Pies zaskomlał i zaczął węszyć przy ziemi, która wyglądała na nieco skopaną i rozrytą. Mężczyzna podkuśtykał do otwartej bramy i spojrzął w ciemność za nią. Między niskimi baraczkami panował mrok – z wyjątkiem mdłego światła palącego się w chacie, w której mieszkał Roy Harrison, opiekun Desmonda z Chatsfield. Nic nie rzucało się w oczy. Nic się nie poruszało. Dlaczego więc brama była otwarta? Prawdopodobnie nic to nie znaczyło. Gdybyś zapytał, mężczyzna by ci powiedział, że większość rzeczy zazwyczaj nic nie znaczy. Mimo wszystko zawołał psa burkniętą, monosylabową komendą, pokuśtykał przez bramę i zamknął ją za sobą. Powoli, chrzęszcząc stopami o ziemię, człowiek i pies ruszyli żwirowaną ścieżką w kierunku jedyne źródła światła: chaty Roya Harrisona. Panowała w niej cisza.

Mężczyzna energicznie zapukał i zaczął słuchać. Żadnej reakcji. Ponownie zapukał. W dalszym ciągu nic się nie działo. Otworzył drzwi. Nie były zamknięte, ale prawdopodobnie nie było powodu tego robić. Kiedy pchnął drzwi, za którymi otwierał się maleńki, ciemny korytarz, jego nozdrza drgnęły od dziwnego zapachu. Mieszkania strażników ogrodów zoologicznych są miejscem, w którym można się spodziewać szerokiego i bogatego wachlarza dziwnych zapachów, ale niekoniecznie tego, tak słodkiego i mdłego. Hmmm. Pies wydał z siebie cichy, cichutki pisk.

Z prawej strony korytarza znajdowały się drzwi, a pokój za nimi był źródłem zarówno widocznego z zewnątrz światła, jak i wyczuwalnego w środku zapachu. W dalszym ciągu panowała cisza. Mężczyzna ostrożnie pchnął drzwi.

Na pierwszy rzut oka wydało mu się, że oparta o kuchenny stół postać nie żyje. Po długim, przeciągającym się w nieskończoność momencie, wydała jednak z siebie ciche, jakby terkoczące chrapnięcie.

Pies ponownie zaskomlał i zaczął nerwowo obwąchiwać podłogę. Pies, który zawsze sprawiał wrażenie nazbyt nerwowego jak na psa o tak dużych rozmiarach, nie przestawał dla uspokojenia spoglądać na swojego pana. Tak naprawdę był to w sumie dziwny pies, nieokreślonej rasy czy ras. Był duży i czarny, włosie rosło mu kępkami, ciało miał kościste i pokraczne, a zachowywał się nerwowo, nadpobudliwie, jakby stał na skraju pełnego neurotyzmu. Gdziekolwiek na chwilę stanął, ponowne ruszenie zdawało mu się sprawiać trudność, jakby z trudem sobie przypominał, gdzie pozostawił każdą nogę. Robiło to wrażenie, że coś paskudnego się z nimi stało albo zaraz stanie.

Śpiący strażnik chrapał dalej. Walał się obok niego okazały zbiór pozgniatanych puszek po piwie, stały do połowy opróżniona flaszka whisky i kilka szklanek. W popielniczce leżały niedopałki trzech skrętów, rozrzucone wokół były kawałki podartej paczki papierosów, paczuszka bibułki papierosowej oraz kawałek aluminiowej folii, skręcony w tradycyjny sposób. Stąd dolatywał zapach. Roy najwyraźniej spędził z kimś upojny wieczór, po czym ten ktoś sobie poszedł. Przybysz spróbował go delikatnie potrząsnąć za ramię, ale nic to nie dawało. Spróbował ponownie, tym razem strażnik powoli ześlizgnął się jednak z krzesła i zamarł w nieeleganckiej, niechlujnej pozie na podłodze. Psa tak to zaskoczyło, że jak oszalały skoczył, by schować się za kanapą. Niestety był większy i cięższy od kanapy i skacząc, przewrócił mebel, przykrywając się nim. Pies zaskowyczał, podrapał linoleum, po czym dał susa, by schować się za stolikiem do kawy, który połamał. Kiedy zabrakło przedmiotów, za którymi można by się schować, skulił się w kącie i dygotał ze strachu.

Upewniwszy się, że Roy znajduje się w przejściowym stanie nierównowagi chemicznej, a nie w poważnym niebezpieczeństwie, pan przemówił do swego psa kilkoma uspokajającymi słowami i wyszedł. Wrócili razem ścieżką do bramy i wyszli na główną drogę, by kontynuować kuśtykanie w poprzednim kierunku, czyli w stronę głównego budynku. Ścieżka była poryta głębokimi śladami kopyt.

Desmond nagle poczuł się dezorientowany. W jednej chwili wszystkie zapachy świata, które czuł, rozmyły się i wydały dziwne. Migaly wokół niego światła, ale nie zwracał na nie uwagi. Światła nie stanowiły problemu. Mig, mig. Co z tego? Choć było to jednak bardzo dziwne. Powiedziałby, że ma halucynacje, tyle że nie znał tego słowa, choć dokładniejsze byłoby stwierdzenie, że nie znał ani jednego słowa. Nawet nie wiedział, że nazywa się Desmond, ale to też była jedna ze spraw, którymi się nie przejmował. Imię to jedynie dźwięk i nie ma ekscytującego odoru czegoś realnego. Dźwięk nie dudni w głowie i nie robi w niej WUMP! jak zapach. Zapach jest realny, jest czymś, czemu można ufać.

Przynajmniej tak było do tej pory. Teraz jednak miał wrażenie, jakby cały świat koziółkował mu nad głową, a podejrzewał, że w przypadku świata to bardzo niepokojące zjawisko.

Wziął głęboki wdech, aby uspokoić wielkie cielsko. Przez wrażliwe błony nosowe przepuszczał miliardy maleńkich aromatycznych cząsteczek. No, nie aż tak bardzo aromatycznych. Zapachy tutaj były mizernymi, obrzydliwymi zapaszkami – zwietrzałymi, stęchłymi, gorzkimi smrodkami z gryzącym ukrytym niuchem spalonego czegoś ohydneho. Nie było w nim nic z bujnych, hojnych



zapachów gorącego, przepelnionego zapachem trawy powietrza i nawozu dawnych dni, które nawiedzały jego wyobraźnię; przynajmniej jednak te marne, nijakie lokalne zapachy powinny go uspokoić i przykuć do ziemi.

Nie zrobiły tego.

HHHRRRRRAAAHH! Miał w głowie dwa całkowicie odmienne i sprzeczne światy. GRRRAAAHHH! Co się działo? Gdzie zniknął horyzont?

To o to chodzi! To dlatego świat zdawał się pochylać mu nad głowę. Tam gdzie zazwyczaj znajdował się doskonale normalny horyzont, niczego teraz nie było. Zamiast tego widział więcej świata. Znacznie więcej. Ciągnął się, ciągnął i ciągnął w coraz bardziej zamgloną dal. Desmond czuł zbierające się w jego wnętrzu wielkie, dziwaczne lęki. Poczł nagłą ochotę, by coś zaatakować, nie da się jednak szarżować na niepokojącą niepewność. Niemal się potknął.

Zrobił kolejny głęboki wdech. Powoli zamrugął.

HHHRRRRHH! Kolejny fragment świata zniknął! Gdzie się podział? Dokąd odszedł? Znow się pojawił! Rozwinął się jak zbiorowisko cętek i zajął poprzednie miejsce, a Desmond odniósł wrażenie, jakby sam znow się przewracał, tym jednak razem udało mu się szybciej uspokoić. Głupie drobiazgi. Mig, mig, mig. Ten nowy fragment świata – co to było? Niepewnie weń zajrzał, pozwolił, aby pobawiło się tym jego wewnętrzne, umysłowe nozdrze. Światła powoli zaczynały go rozpraszać. Zamknął oczy, aby skoncentrować się na badaniu, kiedy to jednak zrobił, nowy świat zniknął! Znowu! Przez moment, w którym ostro kręciło mu się w głowie, zastanawiał się, czy obie sprawy są ze sobą jakoś powiązane; dokonywanie logicznych powiązań między wydarzeniami nie należało jednak do silnych stron Desmonda. Odpuścił sobie. Kiedy ponownie otworzył małe, otoczone pomarszczoną skórą oczka, nieziemski nowy świat powoli rozpostarł się w jego umyśle. Znow do niego zajrzał.

Był to świat znacznie bardziej zwariowany niż ten, do którego zdążył się przyzwyczaić – składał się ze ścieżek i wzgórz. Ścieżki rozwidlały się, rozdzielały i zamieniały w doliny, zbocza wznosiły się, tworząc wysokie wzgórza. Przestrzeń w oddali była pocięta potężnymi łańcuchami gór i szaleńczymi kanionami spowitymi przesuwającą się mgłą. Przepelniała go obawa. Tak samo jak do mocnych stron Desmonda nie zaliczało się tworzenie logicznych związków między zjawiskami, tak samo nie była nią umiejętność wspinaczki.

Dokładnie przed nim ciągnęła się najbardziej płaska, najszersza ścieżka, kiedy jednak skierował na nią uwagę, zaczęły się ukazywać niepokojące rzeczy.

Na ścieżce leżało coś paskudnego. Coś wielkiego i paskudnego. Desmond podejrzewał, że było jeszcze większe i paskudniejsze niż on sam. Znow zamrugął i owo coś zniknęło. Kiedy po sekundzie albo dwóch odtworzyło się w jego wewnętrznym nozdrzu, poczucie nadchodzącej katastrofy jeszcze narosło. Czy to był grzmot?

Zazwyczaj Desmondowi grzmoty nie przeszkadzały, ledwie zauważał błyskawice, ten grzmot jednak zrobił na nim wrażenie. Nie towarzyszyło mu zawirowanie ciężkiego powietrza, jedynie nieprzyjemne, trzaskające eksplozje czerni. Desmond poczuł potężny strach. Jego potężny korpus

zaczął drzeć i dygotać; nagle Desmond ruszył biegiem. Przedziwny nowy świat roztrzaskał się i zniknął. Desmond pędził jak ciężarówka. Przemknął przez płataninę małych, białych światełek i otoczyła go tona jakiś rzeczy – nie miał pojęcia, czego – które zwisały z niego w strąkach. Głośno trzaskały i trochę migotały, Desmond przebił się jednak przez nie jak taran. Po chwili się uwolnił i popędził jak lokomotywa, rozwalił nędzne drzwi, może ścianę – dla niego niczym się nie różniły. Wystrzelił w noc, dudniąc w ziemię, jakby zamiast potężnych nóg miał młoty.

Wszystko wokół rozpryskiwało się na boki. Rzeczy wrzeszczały. Tam gdzie przebiegł, wznosiły się dalekie, żalosne okrzyki zaniepokojenia i rozpacz, ale Desmond nie zwracał na nie uwagi. Po prostu chciał pooddychać nocnym powietrzem. Dobrze było nawet to nocne powietrze – choć zatęchłe i gryzące. Było chłodne, a kiedy gnał, świstało wokół niego i wpadało mu do gardła. Miał pod dudniącymi, tłukącymi nogami twardy asfalt, potem, przez chwilę, wokół karku, kawałki płotu, potem nierówną, szpeciniastą trawę.

Zbliżał się do szczytu niskiego pagórka. Prawdziwego, ziemnego pagórka, a nie przerażającej halucynacji ryczącej mu w głowie niczym nadchodząca śmierć. Zwyczajny pagórek, otoczony innymi stromymi pagórkami. Niebo było bezchmurne, ale mgliste i mętne. Desmonda nie interesowały gwiazdy. Nie wyczuwało się powiewu gwiazd, a dziś ledwie dało się je dostrzec. Nie obchodziło go to, liczyło się, że zbiegając ze wzgórza, ma coraz większą prędkość, budzi śpiące mięśnie i uruchamia je. BRRRAMMM! Biegnij! Pędź! Szarżuj! Trzask! BAM!H Znów miał wokół szyi kawałki płotu i nagle jego ruch do przodu jakby został czymś ograniczony i coś go oplatało. Parł ciężko do przodu. Wtem stwierdził, że znajduje się w tłumie rozbiegających się na boki stworów, piszczących, gdy jego cielsko się między nimi przebijało. Powietrze wypełniały krzyki, ryki i odgłosy cichych brzęknięć. Wokół wirowały przedziwne zapachy – palącego się mięsa, powodujące zawroty głowy fale czegoś oszałamiającego, dźgnięcia groźnie ostrego pizma. Był zdezorientowany i próbował skoncentrować się na poszczególnych przedmiotach, patrząc na nie. Nie bardzo ufał wzrokowi – niewiele mu dawał, w zasadzie informował go jedynie o tym, że coś migota, czai się albo beładnie biega. Spróbował skoncentrować wzrok na pokrzykujących, przemykających kształtach i nagle dostrzegł wielki, zamglony prostokąt światła. To było coś konkretnego! Obrócił się i zaszarżował.

BAMMM!

Poczuł w całym boku coś paskudnego, kłującego, swędzącego. Nie spodobało mu się. Kiedy wpadł do wielkiego pomieszczenia, zatoczył się i natychmiast został zaatakowany fontanną duszących zapachów, wrzaskliwych odgłosów i smagających świateł. Wbiegł w grupkę wrzeszczących postaci, które ryknęły, zapiszczały, zaraz jednak sflaczały i oklapły jak mątwy. Jedna z istot przyczepiła się do Desmonda i musiał ją strząsnąć, energicznie kręcąc głową. Miał przed sobą kolejny wielki prostokąt światła, za którym od ziemi biła błękitnawa poświata. Znów skoczył naprzód. Rozległ się kolejny trzask i oblała go kolejna fontanna kłującego bólu. Ponownie wyprysnął na powietrze.

Światło w ziemi było zalane dziwną kałużą wody, w której poruszały się wrzeszczące przedmioty. Nigdy przedtem nie widział tak jarzącej się wody. Dalej w przodzie migotały kolejne światła. Nie zwracał na nie uwagi. Nawet nie zwracał uwagi na trzaski, towarzyszące każdemu mignięciu. BANG! BANG! i co z tego? Jego uwagę zwrócił jednak niespodziewany gryzący zapach i kwiaty bólu, które zaczęły rozkwitać w jego ciele. Jeden kwiat wbił mu się w bark, zaraz potem

następny. Jedna z nóg zaczęła się dziwnie zachowywać. Miał kwiata w boku, który sprawiał niezwykle, niepokojące wrażenie. Kolejny kwiat wbito mu w głowę i powoli cały świat zaczynał się oddalać, stawać coraz mniej ważny. Świat zaczął ryczeć. Desmond czuł, że przewraca się niezwykle powoli do przodu i stwierdził, że otaczają go potężne fale ciepłego, jarzącego się błękitu.

Kiedy świat od niego odpływał, terkoczący, histeryczny głos wyrzaskiwał tony, które nie miały dla niego sensu, ale brzmiały mniej więcej tak:

– Przyślijcie sanitariuszy! I policję! Nie tylko z Malibu, z Los Angeles też! Natychmiast! Niech przylecą śmigłowcem! Mamy zabitych i rannych! I powiedz im... nie wiem, jak sobie z tym poradzą, ale powiedz im, że mamy w basenie martwego nosorożca...

## Rozdział 10

Choć dla Dirka było w żenujący sposób jasne, że na pokładzie samolotu jest tylko on, a nie ma jego zwierzyny, że został za pomocą dziecinnie prostego podstępny wypchnięty o prawie siedem tysięcy kilometrów z kursu i osłabiony o kilka decydujących tysięcy funtów, był zdecydowany dokonać ostatniego sprawdzianu. Kiedy wszyscy zaczęli wysiadać na lotnisku O'Hare, zajął pozycję przy samym wyjściu. Tak intensywnie przyglądał się ludziom, że mało brakowało, a nie dosłyszałby, że jest wywoływany i proszony do punktu informacyjnego.

– Pan Gently? – spytała rozpromieniona kobieta za biurkiem.

– Tak... – odparł Dirk ostrożnie.

– Mogę rzucić okiem na pański paszport?

Podał paszport. Stał napięty, niemal na palcach, spodziewał się kłopotów.

– Pański bilet do Albuquerque.

– Mój...

– Bilet do Albuquerque.

– Mój bilet do...?

– Albuquerque.

– Albuquerque?

– Albuquerque w Nowym Meksyku.

Dirk popatrzył na podawany mu bilet, jakby był kawałkiem sfalszowanego rabarbaru.

– Skąd się wziął? – zapytał. Wziął bilet i poddał go uważnej obserwacji.

Kobieta obdarzyła go szerokim lotniczym uśmiechem i potężnym lotniczym wzruszeniem ramion.

– Podejrzewam, że z tej maszyny. Drukuje bilety.

– A co mówi pani komputer?

– Proszę przygotować dla pana Dirka Gently’ego bilet do Albuquerque w Nowym Meksyku, zostanie odebrany. Nie planował pan dziś lecieć do Albuquerque?

– Zaplanowano, abym trafił dokądś, gdzie nie planowałem. A nie planowałem Albuquerque, to wszystko.

– Wygląda, że to będzie świetne dla pana miejsce przeznaczenia. Miłego lotu.

Lot był miły. Dirk siedział i w milczeniu dumał nad wydarzeniami ostatnich kilku dni, układał je w myślach, tak że choć jeszcze nie miały logicznego sensu, tworzyły sugestywne krótkie szeregi. Tu meteor, tam pół kota, elektroniczne sznury niewidzialnych dolarów i łączące wszystko niespodziewane bilety na samolot. Przed lądowaniem w Chicago jego pewność siebie była w gruzach, teraz jednak czuł podniecający dreszczyk. Istniało coś fascynującego, coś, co tylko on odkrył i co go teraz ku sobie ciągnęło. Coś lub ktoś. To, że ciągle nie ma pojęcia, o kogo czy o co chodzi, nie martwiło go już. Sprawa istniała, znalazł ją, a ona znalazła jego. Wyczuł jej puls. Twarz i imię sprawy pojawi się w odpowiednim czasie.

Na lotnisku w Albuquerque postać przez chwilę w milczeniu pod wysokimi malowanymi legarami, otoczony ciemnymi, świdrującymi oczami spoglądających z billboardów prawników walczących z osobami jeżdżącymi samochodami pod wpływem alkoholu. Oddychał głęboko. Przepelniał go spokój, czuł się dobrze, był gotów na spotkanie z dzikimi, szalejącymi nieprawdopodobieństwami leżącymi na głębokość atomu pod matową powierzchnią opowiadanego świata oraz do mówienia ich językiem. Poszedł spacerkiem do długich schodów ruchomych i pozegłował powoli w dół niczym niewidzialny król.

Jego człowiek czekał na niego.

Od razu to wiedział – tworzył kolejny nieruchomy punkt w przepelnionym krzątaniem lotnisku. Był wielki, tusty i spocony, miał niedopasowany czarny garnitur, a oblicze jak źle zastawiony stół. Stał dwa metry od dołu schodów i spoglądał w górę z nieruchomym acz skomplikowanym wyrazem twarzy. Dobrze, że Dirk był przygotowany na zauważenie go, ponieważ łatwo mógłby nie dostrzec kartki, którą trzymał, a na której napisano: „D. JENTTRY”.

Dirk przedstawił się. Mężczyzna ujawnił, że ma na imię Joe i pójdzie po samochód. Zdaniem Dirka, było to – raczej prostacko – na tyle.

Samochód podjechał do krawężnika; lekko podstarzały, czarny długi Cadillac, matowo jarzący się

w światłach lotniska. Dirk zlustrował go z zadowoleniem, wszedł i spoczął na tylnej kanapie, wydając z siebie pomruk zadowolenia.

– Klient powiedział, że się panu spodoba – powiedział Joe z dalekiej kabiny kierowcy, spokojnie ruszając w kierunku drogi wyjazdowej z lotniska. Dirk popatrzył na pozaciąganą i wytartą niebieską aksamitną tapicerkę i przyciemnianą folię odlepiającą się od szyb. Kiedy włączył telewizor, łapał jedynie białą kaszę, a astmatyczna klimatyzacja wypluwała stęchłe powietrze, w niczym nie lepsze od wieczornego gorącego pustynnego powietrza, w którym jechali.

Klient miał stuprocentową rację.

– Klient... – powiedział Dirk, kiedy wielka kupa trzeszczącego złomu jechała miejską drogą szybkiego ruchu. – Kim jest ten klient?

– Australijski dżentelmen, sądząc po głosie – odparł Joe dość cienko i piskliwie.

– Australijski?

– Tak, proszę pana. Australijski. Jak pan.

Dirk zmarszczył czoło.

– Jestem z Anglii – stwierdził.

– Ale jest pan Australijczykiem, nie?

– Dlaczego?

– No, z tym akcentem...

– Właściwie to nie – odparł Dirk.

– Gdzie to właściwie jest?

– Co?

– Nowa Zelandia – stwierdził Joe. – Australia jest w Nowej Zelandii, prawda?

– No, nie do końca, ale rozumiem, co pan chce... no tak, pomyślałem, że rozumiem, co pan chce powiedzieć, ale nie jestem tego do końca pewien.

– Z której części Nowej Zelandii pan pochodzi?

– W zasadzie to bardziej z Anglii.

– To też w Nowej Zelandii?

– Tylko w pewnym stopniu – zamknął sprawę Dirk.

Samochód jechał na północ, w kierunku Santa Fe. Na rozległej pustyni światło księżyca tworzyło magiczny nastrój. Wieczne powietrze było czyścusiennie.

– Był pan już kiedyś w Santa Fe? – spytał nosowo Joe.

– Nie. – Zrezygnował z wciągnięcia kierowcy w jakąkolwiek inteligentną konwersację i zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie wybrano go właśnie z powodu pewnych niedoborów w tym zakresie. Dirk usilnie próbował pozostać zagłębiony w myślach, ale Joe raz za razem wyrывał go na powierzchnię.

– Piękne miejsce – mówił Joe. – Piękne. Żeby tylko nie zostało zniszczone przez tych wszystkich sprowadzających się tu Kalifornijczyków. Nazywają to kalifornikacją. Ha ha! Wie pan, jak to nazywają?

– Kalifornikacja? – zaryzykował Dirk.

– Fanta Se – odparł Joe. – Te wszystkie typy z Hollywood, sprowadzające się z Kalifornii. Rujnują okolicę. Zwłaszcza od trzęsienia ziemi. Słyszał pan o trzęsieniu?

– Słyszałem. Mówiono o nim w wiadomościach. Było dość poważne.

– Taaa... to było wielkie trzęsienie ziemi, a teraz cała Kalifornia się tu sprowadza. Do Santa Fe. Rujnują okolicę. Kalifornijczycy. Wie pan, jak nas nazywają?

Dirk miał wrażenie, że rozmowa zatoczyła koło i wraca do niego. Spróbował odbić piłkę.

– Mieszka pan w Santa Fe od zawsze? – spytał słabo.

– Jasne – odparł Joe. – No, prawie od zawsze. Już od ponad roku. Ale mam wrażenie, jakbym mieszkał tu od zawsze.

– Gdzie mieszkał pan przedtem?

– W Kalifornii. Wyprowadziłem się po tym, jak moja siostra dostała z przejeżdżającego samochodu. Macie coś takiego w Nowej Zelandii?

– Nie. O ile wiem, w Nowej Zelandii tego nie ma. Także w Londynie, gdzie mieszkam. Przykro mi z powodu pańskiej siostry.

– Jasne. Stała na rogu Melrose, kilku gości jedzie mercedesem, jednym z tych nowych, wie pan, tych z podwójnymi szybami i bam! – rozwalają ją – to było chyba 500 SL. Granatowy. Musieli go porwać. Macie porwania samochodów w starej Anglii?

– Porwania samochodów?

– Ktoś podchodzi i kradnie człowiekowi samochód.

– Nie, ale dziękuję, że pan pyta. Mamy ludzi, którzy wbrew woli kierowców myją przednie szyby, ale eee... – Joe parsknął z zadowoleniem. – Sprawa polega na tym, że w Londynie można by podejść do kogoś i ukraść mu samochód, ale nie dałoby się nim odjechać.

– Macie jakieś sprytne urządzenia?

– Nie, korki. A eee... pańska siostra – spytał Dirk – wyszła z tego?

– Czy wyszła? – wrzasnął Joe. – Jeśli się do kogoś strzela z kałacha, a on wychodzi z tego, pójdiesz po zwrot pieniędzy. Ha ha!

Dirk próbował wydać z siebie jakieś współczujące dźwięki, ale nie chciały mu się formować w krtani. Samochód zwalniał, więc detektyw opuścił szybę z odklejającą się folią, aby popatrzeć na pustynną noc.

W świetle reflektorów mignął znak drogowy.

– Niech pan się zatrzyma! – wrzasnął nagle Dirk.

Wychylił się z samochodu i wbijał wzrok w przestrzeń za zatrzymującym się powoli samochodem. Światło księżyca otaczało kontur stojącego w oddali znaku drogowego.

– Mógłby pan się cofnąć? – spytał Dirk.

– To droga szybkiego ruchu.

– Tak, wiem, ale nie ma nikogo za nami. Jest pusto. To tylko kilkaset metrów.

Pomrukując pod nosem, Joe ruszył wielkim jak barka autem do tyłu i powoli zaczęli wracać.

– Coś takiego robi się w Nowej Zelandii, tak? – jęknął.

– Co?

– Jeździ do tyłu.

– Nie, ale wiem, co ma pan na myśli. Oni tak samo jak Brytyjczycy jeżdżą po lewej stronie jezdni.

– Tak chyba jest bezpieczniej – stwierdził Joe. – Jeżeli wszyscy jeżdżą do tyłu.

– Oczywiście – przyznał Dirk. – Znacznie bezpieczniej.

Ledwie samochód się zatrzymał, wyskoczył z niego.

W kręgu reflektorowego światła, 8000 kilometrów od rozsypującego się biura Dirka w Clerkenwell, stał duży prostokątny znak drogowy, na którym widniał zrobiony dużymi literami napis: „PORYWISTE WIATRY”, a pod tym nieco mniejszymi „MOGA WYSTĄPIĆ”. Księżyc

wisiał dokładnie nad znakiem.

– Joe! – zawołał Dirk do kierowcy. – Kto to postawił?

– Co?

– Ten znak!

– Ma pan na myśli ten znak?

– Tak! PORYWISTE WIATRY MOGĄ WYSTĄPIĆ.

– Podejrzewam, że Zarząd Autostrad.

– Kto?

– Zarząd Autostrad – powtórzył Joe, nieco zbaraniały. – Wszędzie sieje widuje.

– PORYWISTE WIATRY MOGĄ WYSTĄPIĆ? Chce pan powiedzieć, że to jest normalny znak drogowy?

– Hm... iak – odparł Joe. – Znaczy, że jest tu dość wietrznie. No wie pan, wieje przez pustynię. Może człowiekiem trochę potrząsnąć. Zwłaszcza tutaj.

Dirk zamrugał. Zrobiło mu się dość głupio. Wyobraził sobie, trochę dziko, że ktoś celowo umieścił imię przepołowionego kota na słupie drogowym na drodze w Nowym Meksyku specjalnie dla niego. To było absurdalne. Wchodzący w rachubę kot najwyraźniej został nazwany od powszechnego w Ameryce napisu na znaku drogowym. Przypomnił sobie, że paranoja jest zwykłym produktem ubocznym szybkiego przelatywania przez strefy czasowe i whisky.

Zawstydzony, zaczął wracać do samochodu. Zatrzymał się i przez chwilę dumał. Podeszedł do okna kierowcy i zajrzał do środka.

– Joe... zwolnił pan, kiedy zbliżaliśmy się do tego znaku. Specjalnie po to, abym go zauważył? – Miał nadzieję, że przemawiają przez niego jedynie zmęczenie lotem i whisky.

– Nie – odparł Joe. – Zwalniałem z powodu nosorożca.

## Rozdział 11

– To prawdopodobnie zmęczenie lotem, ale zdawało mi się, że powiedział pan „nosorożca”.

– Aha – mruknął wyraźnie zde gustowany Joe. – Już raz nas zatrzymał. Przy wyjeździe z lotniska.



Dirk postanowił, że zanim cokolwiek powie, pomyśli, aby nie narazić się na kpiny. Prawdopodobnie musi być tu jakaś miejscowa drużyna futbolowa albo zespół rockowy zwany Nosorożcami. Na pewno. Wyjeżdżali z lotniska? Jechali do Santa Fe? Powinien spytać.

– O jakim rodzaju nosorożców właściwie mówimy? – spytał.

– Nie wiem. Nie jestem tak dobry w odróżnianiu ich gatunków tak jak akcentów. Gdyby to był akcent, powiedziałbym panu dokładnie, skąd pochodzi, ale ponieważ to nosorożec, mogę powiedzieć tylko tyle, że jest wielki, szary i ma róg na nosie. Z Irkucka czy jakiegoś podobnego miejsca. No wie pan – z Portugalii.

– Ma pan na myśli Afrykę?

– Może być Afryka.

– I twierdzi pan, że jest przed nami na tej drodze?

– Aha.

– No to za nim! Szybko!

Dirk wsiadł pospiesznie do samochodu, a Joe ponownie włączył się do ruchu. Dirk przycupnął w przedniej części kabiny pasażerskiej i kiedy mknęli przez pustynię, wyglądał Joemu znad ramienia. Po kilku minutach w światłach reflektorów cadillaca pojawiła się wielka ciężarówka. Był to wielki, zielony niskopodłogowiec z przywiązaną olbrzymią klatką.

– Aha, interesuje się pan nosorożcami, tak? – powiedział Joe konwersacyjnym tonem.

– Nieszczerólnie. Dopiero od chwili, gdy przeczytałem dziś rano swój horoskop.

– Naprawdę? Ja tam nie wierzę w horoskopy. Wie pan, co było dziś w moim? Że powinienem się długo i poważnie zastanowić nad perspektywami finansowymi. Mniej więcej to samo było wczoraj. Codziennie jeżdżąc, dużo o tym myślę. Może więc to coś znaczy? Co było w pańskim?

– Że spotkam trzytonowego nosorożca imieniem Desmond.

– Z Nowej Zelandii widać chyba inne gwiazdy – stwierdził Joe, po czym dodał: – Wydaje mi się, że to zastępstwo.

– Zastępstwo?

– Aha.

– Zastępstwo czego?

– Poprzedniego nosorożca.

- No, raczej nie żarówka – stwierdził Dirk. – A co się stało z eee... poprzednim nosorożcem?
- Zginął.
- Cóż za tragedia. Gdzie? W zoo?
- Na przyjęciu.
- Na przyjęciu?
- Aha.

Dirk z namysłem ssał wargę. Gdy o tym pamiętał, lubił stosować zasadę, aby nigdy nie zadawać pytania, dopóki nie ma się pewności, że odpowiedź się spodoba. Posał drugą wargę.

- Chyba wysiądę i rzucę okiem – stwierdził i wysiadł z samochodu.

Wielka ciężarówka stała na poboczu. Jej boki miały niecałe półtora metra wysokości, wielka klatka była przykryta płachtą. Kierowca opierał się o otwarte drzwi kabiny i palił papierosa. Najwyraźniej uważał, że zajmowanie się trzytonowym nosorożcem sprawi, że nikt nie będzie miał z tego powodu do niego pretensji, ale się mylił. Najbardziej zadziwiająco ilości obelg rzucali mu kierowcy próbujący omijać jego pojazd.

– Dranie... – mruknął pod nosem kierowca, kiedy Dirk podszedł do niego i nonszalancko zapalił towarzyskiego papieroska. Próbował rzucić palenie, ale zazwyczaj nosił paczkę w kieszeni do celów taktycznych.

– Wie pan, czego nienawidzę? – spytał Dirk kierowcę ciężarówki. – Tych szyldów w taksówkach z napisem: „Dziękujemy za niepalenie”. Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli jest napisane: „Proszę nie palić” albo wprost: „Palenie zabronione”, ale nienawidzę tych pruderyjnych: „Dziękujemy za niepalenie”. Człowiek ma ochotę natychmiast zapalić i powiedzieć: „Nie ma mi za co dziękować, nie zamierzałem nie palić”. – Kierowca roześmiał się. – Daleko wiesz łobuza? – spytał Dirk tonem wytrawnego dostawcy nosorożców, porównującego notatki z kolegą po fachu. Spojrzał z uznaniem na ciężarówkę.

- Tylko do Malibu. Kawalek w górę kanionu Topanga.

Dirk zagdakał konfidencjonalnie, jakby chciał powiedzieć: „Nic mi nie mów o kanionie Topanga, kiedyś musiałem wieźć minibusem stado dziczy do Cardiff. Chcesz mieć kłopoty? Wtedy dopiero miałem kłopoty”. Zaciągnął się głęboko dymem.

- Musiało być jakieś przyjęcie – stwierdził.
- Przyjęcie?

– Zawsze uważałem, że nosorożce to kiepscy goście na przyjęciu – powiedział Dirk. – Jeśli to konieczne, można spróbować, ale trzeba być na to i owo przygotowanym. – Dirk uważał, że

zadawanie pytań wprost sprawia, iż ludzie robią się czujni. Znacznie skuteczniejszą metodą jest mówienie kompletnych bzdur i czekanie, aż ludzie cię poprawią.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „przyjęcie”? – spytał kierowca.

– Przyjęcie, w którym uczestniczył tamten nosorożec – odparł Dirk, stukając się palcem w bok nosa – kiedy zginął.

– Uczestniczył? Nie powiedziałbym, żeby w nim uczestniczył. – Dirk z zachętą uniósł brew. – Wypadł spomiędzy wzgórz, przebiegł przez ogrodzenie, wpadł do domu przez panoramiczne okno, pokręcił się po salonie, raniąc mniej więcej siedemnaście osób, wypadł do ogrodu, gdzie został postrzelony, po czym wpadł powoli do basenu pełnego głównie nagich scenarzystów, wrzucając do wody pół wanny sosu z awokado i polinezyjskiej sałatki owocowej.

Dirk potrzebował chwili lub dwóch, aby przetrwać tę informację.

– Czyj to był dom? – spytał w końcu.

– Jakichś ludzi z filmu. Podobno w zeszłym tygodniu gościli u siebie Bruce’a Willisa. A teraz to...

– Dla starego nosorożca też nie najlepiej się skończyło – odparł Dirk. – Ale teraz jest nowy.

\*

Jak Douglas Adams przyjeżdża na kawę? Gdyby był podobny do wielkomięjskich panów pojawiających się u Pierre’a Lafonda, pojawiłby się w terenowej limuzynie, luksusowym samochodzie albo w luksusowej terenowej limuzynie. Najtańsza filiżanka kawy u Lafonda kosztuje 1.25\$ i nazywa się „organiczne francuskie palenie”. Smakuje dokładnie jak kawa w McDonalddie albo organiczny olej do przekładni,; ale kierowcy terenowych limuzyn się tym nie przejmują.

Spodziewałem się po Adamsie czegoś więcej niż terenowej limuzyny. Chciałem, aby wysiadł ze statku kosmicznego, zmaterializował się albo po prostu przyszedł na piechotę. Ten gość napisał *Autostopem przez Galaktykę* i sprawił, że życie, wszechświat i cała reszta stały się zabawniejsze. Zastanawiałem się więc, czym przyjedzie.

Czarnym mercedesem.

Adams ma metr dziewięćdziesiąt osiem wzrostu i bardzo okrągłe oczy. Nie miał dobrego dnia. Córka mu zachorowała, a croissanty, które jadł o 17.00, były jego obiadem. Życie nie obeszło się jednak źle z czterdziestodwuletnim Adamsem. Jeździ po świecie, jego dziewięć książek sprzedano w ponad piętnastu milionach egzemplarzy, a często opóźniany film *Autostopem* jest w trakcie produkcji u Disneya, przy czym umowę na reżyserię podpisał twórca *Austina Powersa*.

„Wieczny film, który miał być robiony od niemal dwudziestu lat i teraz jeszcze bardziej ma być zrobiony – mówi Adams. – Zobaczymy. Żałuję, że w ogóle pomyślałem o sfilmowaniu książki. Odzyskałbym z dziesięć lat życia”.

Po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat Adams pracuje nad książką.

„Był taki moment, kiedy miałem tego serdecznie dość. Moje książki mają tendencję do zużywania pomysłów w błyskawicznym tempie – mówi. – Od początku nie zamierzałem zostawać powieściopisarzem, postanowiłem więc zabrać się za masę innych rzeczy. [...] Konsekwencją tego jest ogromny zapas pomysłów i teraz nieco panikuję, myśląc, czy przy tempie, w jakim się w tej chwili pojawiają, zdążę wszystkie wykorzystać do końca kariery? Inny rodzaj paniki to oczywiście ciągły problem pisarza z ich zastosowaniem. Myślę, że boję się pisania bardziej niż inni pisarze”.

Nowa książka nie należy do książek cyklu *Autostopem* – których jest pięć – ani książką z Dirkiem Gentym, ale „będzie stylem rozpoznawalna przez wszystkich, którzy je znają”.

„Od tego czasu mam przeróżne wątki, czekające na przerobienie na książki. Jednemu z nich dam tytuł *Łosoś zwątpienia*, ale jeszcze nie wiem, któremu”.

W 1990 roku Adams wraz z zoologiem Markiem Cawardine’em napisał *Ostatnią okazję, by ujrzeć*. Jest to jedna z najtrudniej osiągalnych jego książek i jego ulubiona. Kiedy Adams – który przez ostatnie dwa lata mieszkał w Santa Barbara – będzie dziś mówił w UCSB, opowie o tej właśnie książce.

„Wygłaszam odczyty prawie w całym kraju – mówi Adams. – Bardzo zależało mi na wygłoszeniu odczytu tutaj, tylko po to, aby powiedzieć »Cześć, jestem!«,».

Adams wygłasza wiele odczytów, zazwyczaj o nowoczesnych technologiach do pracowników wielkich firm.

„Prawdę mówiąc, wolę ten, który zazwyczaj udaje mi się wygłaszać jedynie na uczelniach, bowiem jest zabawny, ale wielkie korporacje nie bardzo lubią słuchać o ochronie zagrożonych gatunków – mówi. – Na ochronę zagrożonych gatunków traci się masę pieniędzy”.

*Ostatnia okazja, by ujrzeć* zaczęła się od artykułu gazetowego dla „Word Wildlife Fund”. Wysłano Adamsa na Madagaskar, gdzie spotkał Cawardine’a. Adams napisał o aj-aj z Madagaskaru (palczaku madagaskarskim), zagrożonym gatunku nocnego lemura, który wygląda jak skrzyżowanie nietoperza, małpy i bardzo zaskoczonego dziecka.

„W tym czasie sądzono, że jest ich nie więcej niż piętnaście. Jednak znaleziono ich więcej, nie są więc aż tak bardzo zagrożone, jedynie bardzo, bardzo, bardzo zagrożone – powiedział Adams. – Cała sprawa była magiczna”.

Tak magiczna, że Adams i Cawardine spędzili następny rok, podróżując po świecie i szukając zagrożonych gatunków zwierząt – takich jak nielotna papuga kakapo w Nowej Zelandii czy rzeczne delfiny chińskie baiji. Ostatnie dwadzieścia delfinów wyginie, kiedy rząd chiński zakończy budowę Tamy Trzech Przełomów i zniszczy ich naturalne środowisko.

„To rozpaczliwe, nie tylko dlatego że ginie kolejny gatunek, ale dlatego że nie mam pojęcia, po co budują tę cholerną tamę – powiedział Adams zaskakująco dobitnym brytyjskim szeptem. – Nie tylko spowodują katastrofy środowiskowe i społeczne, ale z niewielkimi wyjątkami nie osiągną tego, co planowali. Popatrzmy na Amazonkę, gdzie wszystko jest wypalowane. Jaka jest na to reakcja? Zaraz powstanie osiemdziesiąt następnych zapór. To szalone! Musimy mieć geny bobrów czy coś w tym stylu... tkwi w nas taki popęd do budowania zapór, że warto by się temu może przyjrzeć i usunąć z ludzkiej natury. Może uda się w ramach Projektu Poznania Genomu Ludzkiego zlokalizować gen bobrzy/budowy zapór wodnych i go wyciąć”.

*W Autostopem przez Galaktykę* międzygwiazdne buldożery niszczą Ziemię i ludzkość. Całkiem inny rodzaj buldożera zniszczył najskuteczniejszy gatunek, jaki znała Ziemia. 65 milionów lat temu meteoryt o średnicy 10 kilometrów uderzył w półwysep Jukatan i stworzył krater o średnicy ponad 150 kilometrów, wzbijając w powietrze chmurę gorącej pary i pyłu. Na dinozaury starczyło.

„Mam pewną obsesję na temat tej komety i idei, że właśnie jej zawdzięczamy nasze istnienie – mówi Adams. – To prawdopodobnie najdramatyczniejsze wydarzenie, jakie miało kiedykolwiek miejsce i z pewnością najdramatyczniejsze w naszym życiu – w tym znaczeniu, że stworzyło drogę dla naszego powstania, a nie było nikogo, kto mógłby to obejrzeć”.

Kamienie, które zabijają dinozaury, to klasyka fizyki. Nowsza fizyka jest nieco zbyt egzotyczna dla Adamsa, który napisał, że odpowiedź na wielkie pytanie o sens życia, wszechświata i całej reszty brzmi „42”. Odpowiedź tę dał komputer, a Adams uważa, że komputery zmieniają wszystko.

„Od chwili, kiedy zaczęliśmy produkować komputery, najpierw je robiliśmy wielkie jak pokoje, potem były jak biurka, następnie zaczęły się mieścić do walizeczek i kieszeni, wkrótce będzie ich tyle co pyłu – będzie można rozpryskać komputery, gdzie się tylko zechce. Stopniowo środowisko stanie się czymś znacznie bardziej aktywnym i inteligentniejszym, będziemy żyć w sposób, który trudno sobie wyobrazić ludziom dziś żyjącym na planecie – mówi Adams. – Podejrzewam, że moja sześćioletnia córka będzie umiała się do tego znacznie lepiej zabrać”.

Adams robił wszystkiego po trochu – od pisania scenariuszy programów radiowych i telewizyjnych po produkcje gier komputerowych. Nie wszystko wypalało.

„To wszystko były życiowe doświadczenia – powiedział. – Wie pan, co to są życiowe doświadczenia? Doświadczenie życiowe to coś, co mówi: »Widzisz to, co właśnie zrobiłeś? Nie rób tego więcej«,,

„Po całym tym byciu-zdecydowanym-umieć-robić-wszystko uważam, że najlepiej wyjdę, siadając za biurkiem i ustawiając w odpowiedni sposób sto tysięcy słów”.

Adams pisze „powoli i boleśnie”.

„Ludzie sądzą, że człowiek siada sobie, zamyśla się, po czym pisze różne wspaniałe sprawy. Najczęściej jednak człowiek siedzi, wygląda na totalnie spanikowanego i ma nadzieję, że jeszcze nie postawiono mu pod drzwiami strażnika”.

Adams prawdopodobnie będzie pisał przez kilka następnych lat, aż jego córka dorośnie.

„Myślę sobie, że po prostu – mówiono bowiem w moim kontekście o realizacji wielkiego telewizyjnego serialu dokumentalnego – poczekam, aż zaczną u niej działać hormony i wtedy wystrzelę jak rakieta. Kiedy będzie miała jakieś trzynaście lat, zniknę i zrobię duży serial dokumentalny, po czym wrócę, kiedy ona się ucywilizuje”.

Wywiad zakończył się, kiedy w kieszeni Adamsa zadzwonił telefon komórkowy. W drugiej kieszeni miał kawałek bawełny, obszyty czerwoną lamówką, z nadrukiem żyrafy. Wyglądał, jakby należał do jego córki. Żona i córka miały tego wieczoru lecieć do Londynu, ale mała dostała zapalenia ucha. „Dość poważnego”.

Dla Adamsa nadszedł czas wsiąść do czarnego mercedesa i pojechać do domu, do córki.

I tak zrobił.

Wywiad przeprowadzony przez Brendana Buhlera, „Artsweek”

## Epilog

Oplakiwanie Douglasa Adamsa, najbardziej znanego jako autora *Autostopem przez Galaktykę*, który w sobotę zmarł w wieku czterdziestu dziewięciu lat na zawał serca.

To nie jest nekrolog – będzie na nie dość czasu. To nie wyrazy uznania, nie opis błyskotliwego życia, nie panegiryk. Jest to gorzki lament, napisany zbyt wcześnie, aby był wyważony, za wczesny, aby został starannie przemyślany. Douglas, nie możesz nie żyć!

Słoneczny piątkowy poranek w maju, dziesięć po siódmej, wstaję z łóżka i jak zwykle włączam pocztę elektroniczną. Jak zwykle pojawia się błękitna czołówka, mam głównie śmieci, trochę spodziewanych rzeczy i mój wzrok, niewiele rejestrując, przesuwa się w dół strony. Wpada mi do oka nazwisko „Douglas Adams” i uśmiecham się. Przynajmniej będzie jedna zabawna rzecz. Potem w klasyczny sposób patrzę po raz drugi, wracam na górę ekranu.

Co było w temacie wiadomości? Douglas Adams zmarł kilka godzin temu na zawał serca. W tym momencie ten sam klasyczny objaw: słowa rozmazują się przed moimi oczami.

To musi być element żartu. Na pewno chodzi o innego Douglasa Adamsa. To zbyt absurdalne, aby było prawdziwe. Na pewno jeszcze się nie obudziłem. Otwieram wiadomość – pochodzi od doskonale znanego producenta programów komputerowych. To nie żart, jestem w pełni obudzony. Jest to też ten właściwy – a raczej, ten niewłaściwy – Douglas Adams. Nieoczekiwany zawał serca, na siłowni w Santa Barbara. *Man man man man oh man* – kończy się wiadomość. Tak, cóż za człowiek. Gigant, bez wątpienia bliżej dwóch metrów niż metra dziewięćdziesiąt, barczysty, a nie garbił się jak niektórzy bardzo wysocy ludzie, czujący się źle ze swoim wzrostem. Nie puszył się też asertywnością w stylu niejednego macho, która w wydaniu wysokich ludzi umie zastraszać. Nie przeproszał za swój wzrost ani się nim nie afiszował. Jego wzrost był częścią skierowanego przeciwko samemu sobie żartu.

Był jednym z najwspanialszych intelektów naszych czasów, a jego złożony dowcip wyływał z głębokiej, zintegrowanej znajomości literatury i nauki – dwóch moich wielkich miłości. Do tego poznał mnie z moją żoną – na swoich czterdziestych urodzinach.

Byli dokładnie w tym samym wieku, pracowali razem nad *Dr. Who*. Mam ją teraz zawiadomić czy pozwolić jeszcze pospać, zanim rozbiję jej dzień? Zainicjował nasze wspólne życie i był wielokrotnie ważną jego częścią. Muszę powiedzieć.

Poznaliśmy się z Douglasem w wyniku listu od wielbiciela, który mu wysłałem – był to chyba jedyny przypadek, kiedy coś takiego zrobiłem. Podziwiałem *Autostopem przez Galaktykę*. Potem przeczytałem *Holistyczną agencję detektywistyczną Dirka Gently’ego*.

Kiedy ją skończyłem, wróciłem do pierwszej strony i przeczytałem książkę jeszcze raz – zrobiłem coś takiego po raz pierwszy i ostatni w życiu i napisałem do Douglasa, aby go o tym poinformować. Odpisał, że jest miłośnikiem moich książek i zaprosił mnie do swojego londyńskiego domu. Rzadko

miałem przyjemność odbywać spotkania w tak przyjemnej atmosferze. Oczywiście, wiedziałem, że będzie zabawny, ale nie wiedziałem, jak jest czytany w sprawach naukowych. Powinienem być się domyślić, bowiem nie da się zrozumieć wielu żartów z *Autostopem*, jeżeli nie wie się sporo o bardziej skomplikowanych zagadnieniach nauki. W sprawach nowoczesnej techniki elektronicznej był prawdziwym ekspertem. Rozmawialiśmy dużo o nauce prywatnie, a nawet publicznie, na festiwalach literackich, w radiu i telewizji. Stał się moim guru w zakresie wszelkich problemów technicznych. Zamiast walczyć ze źle napisanymi i niemożliwymi do zrozumienia instrukcjami obsługi napisanymi w wersji języka angielskiego używanej w krajach pacyficznych, wysyłałem e-maila do Douglasa. Odpowiadał, często po kilku minutach – czy był w Londynie, w Santa Barbara, czy w jakimś hotelu na końcu świata. W odróżnieniu od większości osób obsługujących telefony, przez które mają udzielać wsparcia technicznego, dokładnie rozumiał mój problem, wiedział, co mnie gnębi, a rozwiązanie przedstawiał zawsze szybko, wyraziście i dowcipnie. Częsta wymiana e-maili między nami była po brzegi pełna literackich oraz naukowych żartów, a także czule sardonicznych drobnych dygresji. Emanowała z niej jego technofilia, także głębokie wyczucie absurdu. Cały świat był jednym wielkim skeczem Monty Pythona, a szaleństwa ludzkości były w dolinach krzemowych tak samo śmieszne jak gdziekolwiek indziej.

Śmiał się z siebie z tak samo dobrym humorem. Na przykład z epickich rozmiarów blokad pisarskich („Uwielbiam nieprzekraczalne terminy. Uwielbiam świst, jaki robią, kiedy mijają”), kiedy, jeśli wierzyć legendzie, wydawca i agent zamknęli go w hotelowym pokoju, gdzie nie miał telefonu i nic do roboty poza pisaniem, a wypuszczano go jedynie na spacer pod nadzorem. Jeżeli ponosił go entuzjazm i tworzył biologiczną teorię zbyt ekscentryczną, aby mój sceptycyzm zawodowy pozwolił ją zaakceptować, jego reakcja na odrzucenie z mojej strony była zawsze bardziej humorystycznie autoszydercza niż naprawdę strapiona. Szybko wymyślał coś następnego.

Śmiał się z własnych dowcipów, czego nie oczekuje się od dobrych komików, robił to jednak z takim wdziękiem, że żarty robiły się jeszcze śmieszniejsze. Umiał delikatnie, bez ranienia szturchnąć dowcipem, nie kierował ich przeciwko ludziom, a przeciwko ich absurdalnym ideom. Aby zilustrować próżną zarozumiałość, że wszechświat musi być w jakiś sposób przeznaczony dla nas, ponieważ tak dobrze do niego pasujemy, odgrywał w cudownie śmieszny sposób kałużę, wpasowywał się ciasno w dziurę w ziemi, która okazywała się w osobliwy sposób mieć dokładnie taki sam kształt, co kałuża. Miał też porównanie, które opowiadał z wielką przyjemnością, jego morał rzuca się w oczy bez dalszych wyjaśnień. Pewien człowiek nie rozumiał, jak działa telewizja i był przekonany, że w pudle musi siedzieć masa maleńkich ludzików i poruszać obrazami z wielką prędkością. Inżynier wyjaśniał, opowiadając o wysokiej częstotliwości modulacjach widma elektromagnetycznego, przekaźnikach i odbiornikach, wzmacniaczach i lampach katodowych oraz liniach skanujących fosforyzujący ekran na wszystkie strony. Mężczyzna słuchał inżyniera z uwagą, po każdym etapie argumentacji kiwał głową. Na koniec wywołu oświadczył, że jest usatysfakcjonowany. Już rozumiał, jak działa telewizja. „Ale kilku małych ludzików tam jest, prawda?”.

Nauka straciła przyjaciela, literatura luminarza, goryle górskie i nosorożce czarne straciły walecznego obrońcę (kiedyś, aby pomóc zebrać pieniądze na walkę z kretańskim handlem rogami nosorożców, wspinał się na Kilimandżaro w kostiumie nosorożca), Apple Computers straciło swego najbardziej elokwentnego apologetę. Ja straciłem niezastąpionego intelektualnego kompana i jednego



z najuprzejmiejszych i najzabawniejszych ludzi, jakich udało mi się poznać w życiu. W dniu, kiedy zmarł Douglas, oficjalną drogą dostałem szczęśliwe wieści, które by go zachwyciły. Nie mogłem o tej sprawie mówić przez tygodnie, gdyż posiadałem informację nieoficjalnie, a teraz, kiedy mi wolno, jest za późno.

Słońce świeci, życie musi biec dalej, korzystajmy z chwili i tak dalej.

Powinniśmy tego dnia posadzić drzewo, jedlicę Douglasa – wysoką, strzelistą, wiecznie zieloną. Jest nieodpowiednia pora roku, ale spróbujmy.

Chodźmy do arboretum.

Richard Dawkins

W: „The Guardian”,

14 maja 2001

Richard Dawkins jest profesorem

Wydziału Społecznego Rozumienia Nauki

Uniwersytetu Oksfordzkiego

Douglas Noel Adams

1952–2001

Porządek nabożeństwa ku jego pamięci

*Schubler Chorale* – J. S. Bach

*L'Adieu des Bergers z Dzieciństwa Chrystusa* – Hector Berlioz

Powitanie w kościele przez pastora Antony'ego Hursta, w imieniu St. Martin-in-the-Fields

Wstęp i modlitwa początkowa, Stephen Coles

JONNY BROCK

*Die drei Könige* – Peter Cornelius

ED VICTOR

*Mine eyes have seen the glory of the coming of the Lord* – tradycyjna melodia amerykańska,  
słowa Julia Ward Howe

MARK CAWARDINE

*Gone Dancing* – Robbie McIntosh

*Te Fovemus* – The Chameleon Arts Chorus (solista P. Wickens)

JAMES THRIFT, SUE ADAMS, JANE GARNIER

*Rockstar* – Margo Buchanan

*Modlitwa Dziękczynienia* Stephena Colesa

*Holding On* – Gary Brooker

*Wish You Were Here* – David Gilmour

RICHARD DAWKINS

*For the beauty of the Earth* – muzyka Conrad Kocher, słowa Folliott S. Pierpoint

ROBBIE STAMP

*Yergnugte Ruh, beliebte Seelenlust* z *Kantaty Nr. 170* – J. S. Bach

*Aria*

*Contented rest, beloved hearts desire,*

*You are not found in the sins of hell,*

*But only in heavenly concord;*

*You alone fortify the feeble heart.*

*Contented rest, beloved heart's desire*

*Therefore none but the gifts of virtue*

*Shall have their abode in my heart.*

SIMON JONES

*For all the Saints who from their labours rest* – muzyka R. Vaughan Williams, słowa William W.  
How

Muzyka organowa J. S. Bacha: *Fantazja G-dur Preludium i fuga C-moll Koncert Włoski*

## PODZIĘKOWANIA WYDAWCY

Douglasowi, bez którego my wszyscy nie moglibyśmy się cieszyć szczodrymi przyjemnościami zawartymi na tych stronach; tęsknię za tobą.

Jane Belson, ukochanej żonie Douglasa; jej wiara w tę książkę oraz pomoc przy jej tworzeniu stanowiły fundament, na którym się opiera.

Edowi Victorowi, wieloletniemu agentowi i zaufanemu przyjacielowi Douglasa, którego zaangażowanie w to przedsięwzięcie usunęło każdą przeszkodę.

Sophie Astin, nieocenionej asystentce Douglasa, której inteligencja, oddanie i wkład „z pierwszej ręki” okazały się mieć zasadniczą wagę dla tych stron.

Chrisowi Ogle'owi, bliskiemu przyjacielowi Douglasa, którego znajomość komputerów oraz wiedza o procesach myślowych Douglasa, używanych przez niego hasłach dostępu i tego, co można by bardzo ogólnie nazwać jego systemem archiwizacyjnym, umożliwiły stworzyć dysk wzorcowy, zawierający wszystkie dzieła Douglasa, bez którego ta książka nie mogłaby powstać.

Robbiemu Stampowi, dobremu przyjacielowi i partnerami Douglasa w interesach który przypomniał mi, że Douglas już stworzył strukturę tej książki.

Shaye Areheart i Lindzie Lowenthal z Harmony Books, które włączyły mnie w realizację tego projektu oraz Bruce'owi Harrisowi, Chipowi Gibsonowi, Andrew Martinowi, Hilary Bass i Tinie Constable, którzy publikowali i kochali Douglasa; Peterowi Straussowi i Nicky Hursell z Wielkiej

Brytanii za wartościowe sugestie wydawnicze.

Mike'owi J. Simpsonowi, byłemu przewodniczącemu ZZ9, oficjalnego fanklubu Douglasa, którego szczodrość i encyklopedyczna wiedza o życiu i twórczości Douglasa była bezcennym źródłem.

Patrickowi Hunnicuttowi, który pomagał mi w Chapel Hill w Karolinie Północnej oraz Lizzy Kremer, Maggie Philips i Lindzie Van z biura Eda Victora.

Licznym, autorom i przyjaciołom Douglasa, którzy szczerze udzielali dostępu do swych prac oraz pozwolili na przedruki tych związanych z jego osobą.

Isabel, mojej partnerce życiowej.

Moim synom Samowi i Williamowi; którzy – .do czego mają skłonność nowe pokolenia – wręcz pożerali książki Douglasa.

Wszystkim czytelnikom Douglasa: jak wiecie, miłość chadzała (i w dalszym ciągu chadza) różnymi drogami.

Aby uzyskać więcej informacji o Douglasie Adamsie i jego dziełach, należy odwiedzić oficjalną stronę internetową [www.douglas-adams.com](http://www.douglas-adams.com).

Może zechcesz wstąpić do ZZ9 Plural Z Alpha, oficjalnego Stowarzyszenia Entuzjastów *Autostopem przez Galaktykę*, założonego w 1980 roku. Szczegóły dotyczące fanklubu znajdują się na [www.zz9.org](http://www.zz9.org).

Douglas Adams patronował dwóm organizacjom dobroczynnym: Dian Fossey Gorilla Fund ([www.gorillas.org](http://www.gorillas.org)) oraz Save the Rhino International ([www.savetherhino.org](http://www.savetherhino.org)).

**Douglas Adams** (1952–2001) urodził się w Cambridge w Wielkiej Brytanii i swój talent komiczny zaczął rozwijać podczas studiów na wydziale literatury angielskiej, dostarczając materiały do słynnego „Footlights Review”. Po magisterium przez kilka lat pisał teksty dla radia i telewizji oraz sztuki teatralne, występował na scenie i czasami reżyserował przedstawienia w Londynie, Cambridge i na festiwalu w Edynburgu. Jak sam mówił, był także „portierem szpitalnym, budowniczym stodół, czyścicielem kurników, ochroniarzem, realizatorem programów radiowych i redaktorem tekstów w serii książek o *Doktorze Who*. Twierdzi, że pomysł na *Autostopem przez Galaktykę* przyszedł mu do głowy podczas wędrowki po Europie z egzemplarzem przewodnika *The Hitch-Hikers Guide to Europe* (Autostopem po Europie) w plecaku. Pewnej nocy, wpatrując się w niebo, stwierdził, że można by spróbować stworzyć nowy rodzaj SF na bazie opowiadania o „międzygalaktycznym unoszeniu kciuka”. Zaczął wtedy pracować nad pilotowym odcinkiem serialu radiowego, który początkowo miał się nazywać *Końce świata*. Mimo braku reklamy, szybko pojawiła się grupa lojalnych fanów, a sława tej historii zataczała coraz szersze kręgi. W 1981 roku opowieść została przeniesiona na ekran telewizyjny i była pierwszym brytyjskim serialem telewizyjnym w wersji stereo, gdzie wykorzystano grafikę komputerową, która towarzyszyła czytaniem przez Petera Jonesa fragmentom z przewodnika. Krytycy chwalili serial jako „pierwszy międzygalaktyczny epos multimedialny”.

Coś, co zaczęło się jako audycja radiowa dla programu 4 BBC pod tytułem *Autostopem przez Galaktykę*, odniosło fenomenalny sukces jako książka oraz program telewizyjny i nic nie wskazuje na to, by sława opowieści malała. Pierwotny cykl audycji radiowych został nadany w marcu i kwietniu 1978 roku. Opowiadał on historię Forda Prefecta, badacza zatrudnionego w najważniejszym w Galaktyce przewodniku po wszechświecie, podróżującego ze swym wiecznie zdezorientowanym przyjacielem Arturem Dentem i nieustannie napotykanego wszelkie możliwe dziwaczne stwory, w tym niezapomnianego dwugłowego hochsztaplera Zaphoda Beeblebroxa. Nieco później Adams przerobił tę historię na książkę, która ukazała się w 1979 roku i od razu stała się wielkim bestsellerem. Po pierwszej części nastąpiły kolejno: *Restauracja na końcu wszechświata* (1980), *Życie, wszechświat i cała reszta* (1982), *Cześć, i dzięki za ryby* (1984) oraz *W zasadzie niegroźna* (1992). Książki te zainspirowały kult „autostopowy” i zaowocowały pojawieniem się licznych pamiątek – płyt, koszulek i długopisów – nie wspominając o serialu telewizyjnym, kilku wersjach komiksu czy planach na film długometrażowy. Douglas Adams zmarł niespodziewanie na atak serca 11 maja 2001 roku w Santa Barbara w Kalifornii, gdzie mieszkał z żoną oraz córką.

---

\* Chodzi o Babel Fish, określaną w Internecie także jako BabelFish oraz Babelfish (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

\* Światowej sławy grupa komediowa, działająca przy uniwersytecie w Cambridge, w której debiutowało wielu sławnych brytyjskich aktorów dramatycznych i komediowych, pisarzy oraz pastorów.

\* Znany brytyjski aktor.

\* Brytyjski polityk i parlamentarzysta. W latach 1997–2001 był ministrem spraw wewnętrznych, od roku 2001 jest ministrem spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii.

\* The Rutles – powstały w połowie lat siedemdziesiątych zespół rockowy, parodiujący piosenki The Beatles.

\* Matthew Arnold (1822–1888) – jeden z najważniejszych poetów epoki wiktoriańskiej, główny angielski krytyk literacki swego pokolenia, uznawany za ważnego komentatora wydarzeń społecznych i kulturalnych, skuteczny w działaniu członek organów rządowych.

\* *Długi mroczny podwieczorek dusz*. Tłum. Kinga Dobrowolska, wydania polskie 1995 (Prószyński i S\_ka) oraz 1999 (Zysk i S-ka).

\* Douglas Adams i Mark Cawardine, Zysk i S-ka, 1998, tłum. Krzysztof Teisseyre.

\* Działająca od 1985 roku organizacja charytatywna, stawiająca sobie za cel likwidację biedy i niesprawiedliwości społecznej w Wielkiej Brytanii i najbiedniejszych krajach świata.

\* Dzień Świętego Michała jest obchodzony 29 września; mianem semestru lub trymestru świętego Michała określany jest okres nauki jesiennej.

\* *Alfabet Hockneya*, książka stworzona z inicjatywy sławnego malarza angielskiego Davida Hockneya, który namalował 26 obrazów – po jednym dla każdej litery – a następnie zaprosił sławnych pisarzy, by napisali do każdej litery krótki tekst. Książka, z której dochód przeznaczony jest dla osób żyjących z AIDS, miała od 1991 roku wicie wydań, w tym bardzo ekskluzywnych, bibliofilskich, a także ogólnie dostępnych. Zawiera teksty m.in. Douglasa Adama, Martina Amisa, Juliana Barnes, Williama Goldinga, Seamusa Heaney, Arthura Millera, Joyce Carol Oates, Susan Sonntag, Johna Updike – a, Anthony’ego Burgessa.

\* *The Meaning of Liff* i jej następca – *The Deeper Meaning of Liff*, to książki napisane wspólnie przez Douglasa Adama i Johna Lloyda.

\* wieś w Puszczy Kurpiowskiej, w oryginale „Shoeburyness” – miasto w hrabstwie Essex.

\* wieś w Wielkopolsce, w oryginale „woking”.

\* Oxtail – ogon wołu. ironia z Oxford.

\* RSPCA – Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals (Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Zwierząt).

\* PIW, Warszawa, 1994.

\* Kilty, czyli szkockie spódnice i claymore’y, czyli szkockie obosieczne miecze są często widywane na etykietach whisky.

\* Autor wykorzystuje nieprzetłumaczalną na polski grę słów. „introduction” to „wstęp do książki”, a „introduce” oznacza „poznawać (kogoś z kimś)” lub „zapoznawać (się z czymś)”.

\* Łania – jeleń, żeński jeleń / Promień – kropla złotego słońca / Ja – imię, którym nazywam siebie / Dal – długa, długa droga do przebiegnięcia.

\* Szyć – igła ciągnąca nić / LA – nuta, która następuje po SO...

\* 7.11.1974 roku doszło w Londynie do makabrycznego morderstwa, o popełnienie którego podejrzewano lorda Lucana. Rzekomy sprawca zaraz po incydencie zniknął, sprawa do dziś nie jest wyjaśniona.

\* Jimmy Hoffa był kontrowersyjnym amerykańskim przywódcą związkowym, podejrzewanym o kontakty z mafią. W 1975 roku zniknął, ciała nigdy nie odnaleziono i w 1983 roku został oficjalnie uznany za zmarłego.

\* Piosenka wykonywana przez Paula Simona, znana także pod tytułem *50 Ways to Leave Your Lover*.

\* Dziewczęcy Zespół Nudziarek z Dagenham.

\* Muzak – „tapeta muzyczna”, muzyka wydobywająca się z głośników umieszczonych w budynkach użyteczności publicznej, środkach komunikacji, windach, poczekalniach itp.

\* „Tryb ręczny” to po angielsku „manual”, „Manuel” to imię.

\* *Zachód słońca w Blandings*

\* Pierwszy cytat pochodzi z *Hamleta* (tłum. Roman Brandstaetter), drugi (z Wodehouse’a) najprawdopodobniej odwołuje się do filmu Roberta Siodmaka *Kręte schody* (*The Spiral Staircase*). W tym legendarnym dziele amerykańskiego czarno-białego kina z 1946 roku, uważanym za wzór filmowego dreszczowca, do samego finału nie wiadomo, który spośród bardzo porządnie wyglądających mężczyzn jest chorym psychicznie mordercą kobiet.

\* Melodia z filmu *Nocny nalot* (reż. M. Anderson, 1955), którego akcja dotyczy przeprowadzonego przez pilotów RAF-u podczas II wojny światowej nalotu na niemieckie zapory wodne.

\* Opowiadanie P.G. Wodehouse’a.

\* Plum – zdrobnienie od Pelhama, imienia Wodehouse’a; Blandings – fikcyjna miejscowość, w której rozgrywa się akcja powieści Wodehouse’a.

\* Jest to towarzysko nieprawidłowe. Towarzysko poprawnym sposobem nalewania herbaty jest wlanie mleka po herbacie. Poprawność towarzyska tradycyjnie nie ma nic wspólnego z rozsądkiem, logiką ani fizyką. W Anglii na przykład za towarzysko niepoprawne uważa się generalnie zaniechanie się



na czymś albo myślenie o czymś. Przy pobycie w Anglii warto o tym pamiętać.

\* Noel Coward napisał w piosence *Mad dogs and Englishmen*: „W tropikalnych klimatach istnieją pory dnia / Kiedy wszyscy uciekają, by zerwać z siebie ubranie i się pocić / To zasada, której podporządkowują się nawet najwięksi głupcy (...) Ale szalone psy i Anglicy wychodzą na południowe słońce (...)”.

\*

\* Historyczny region w zachodniej Anglii, na granicy z Walią.

\* Lemur katta nazywa się po angielsku „ring-tailed lemur”, czyli „lemur z pierścieniami na ogonie”.

\* Z powodu specyficznej angielskiej wymowy litery „w” skrót „www” brzmi „da-blju dablju dablju”.

\* Chodzi o obowiązujące od 1689 do 1846 roku ustawy, narzucające ograniczenia importu zboża w sytuacji spadku cen poniżej określonego poziomu. Chroniące właścicieli ziemskich ustawy powodowały wzrost ich dochodów – kosztem zwłaszcza ubogich mieszkańców miast. Ich zniesienie w wyniku działań Ligi Przeciwko Ustawom Zbożowym było zwycięstwem klasy średniej i przyczyniło się do rozwoju liberalizmu oraz życia politycznego w Wielkiej Brytanii.

\* W nazwie „PowerBook” wykorzystano rozumienie słowa „power” jako „siła”. Autor ironizuje, odwołując się do innego znaczenia słowa „power” – „zasilanie”.

\* W USA napięcie w sieci wynosi 110–120 woltów.

\* Chodzi o takie ustawienie klawiszy w maszynie do pisania i klawiaturze komputerowej, że pierwszy rząd „pod cyframi” zaczyna się od liter qwerty.

\* Aluzja do komputera HAL 9000 z filmu *2001: Odyseja kosmiczna*.

\* Istnieje opinia, że ułożenie klawiszy w szereg „qwerty” wcale nie miało służyć spowolnieniu pracy maszynistki, by zapobiec zakleszczaniu się uderzających o papier czcionek, ale usunąć ich zakleszczanie się, by pisać szybciej. W tym celu wynalazca maszyny do pisania Scholes starał się tak ustawić klawiaturę, aby rozdzielić od siebie klawisze, które w języku angielskim najczęściej uderza się po sobie (s/h, t/h itp.). System pozostał mimo udoskonalenia mechanizmu maszyny do pisania. Szczegółowe informacje na ten temat można znaleźć na [www.i-lo.tarnow.pl/edu/inf/hist/historia/pages](http://www.i-lo.tarnow.pl/edu/inf/hist/historia/pages).

\* Założony w 1985 roku klub w londyńskim Soho, początkowo zrzesza! przedstawicieli branż wydawniczych, obecnie ok. 4000 członków rekrutuje się głównie ze świata mediów i sztuki.

\* Scena

\* Brytyjski konserwatywny polityk, 1983–85 przewodniczący Partii Konserwatywnej, 1983–97 liczne stanowiska w rządzie.